

t o m a s z
MARCHEWKA

Niezwykłe,
oryginalne,
świeże.

JAROSŁAW
GRZĘDOWICZ

— MIASTO SZULERÓW —

WSZYSCY PATRZYLI
NIKT NIE WIDZIAŁ

EQN
imaginatio



t o m a s z
M A R C H E W K A

◀ MIASTO SZULERÓW ▶
WSZYSCY PATRZYLI
NIKT NIE WIDZIAŁ

K r a k ó w 2 0 1 7

Mamie i Tacie.

Za to, że zawsze akceptowali
nawet najgłupsze z moich decyzji.

STARY HAUSENBERG, CZASY PANOWANIA REKINÓW

Uliczne przysłowie Hausenberga mówi, że prawdziwy mężczyzna musi w życiu zrobić trzy rzeczy. Po pierwsze, owo życie przegrać, czyli stracić wszystko, co posiada. Po drugie, odrodzić się dla nocy i odegrać z zyskiem, bo uczyni go to mocniejszym niż kiedykolwiek. Po trzecie, spłodzić syna – tak po prostu, bez dodatkowych warunków.

Najszcześliwsi byli ci, którym udało się dokonać tych trzech rzeczy w odpowiedniej kolejności. Najpierw biegli pośród cieni, cały czas blisko krawędzi, i chociaż co jakiś czas się potykali, to po każdym upadku udawało im się podnieść. Stawali się bogatsi o pewne doświadczenia, być może też ubożsi o kilka lęków – a może wprost przeciwnie, bali się znacznie bardziej – lecz mimo wszystko udawało im się wyjść z tego życia cało. Założyli szczęśliwe, niczego nieświadome rodziny i tylko raz na jakiś czas pozwalali sobie powspominać czasy szaleństwa. Takich ludzi można było policzyć na palcach jednej ręki. W Hausenbergu większość pomijała trzeci punkt, a pierwsze dwa powtarzała wciąż i wciąż, i wciąż...

Zachodzące słońce zniknęło już za horyzontem, a astralitowe latarnie oblały miasto fosforyzującą poświatą. Tam, gdzie światło latarni nie docierało, dachy kamienic zamieniły się w poszarpane, złowieszcze cienie, wyglądające na tle nieba jak postawione na sztorc ostrza noży. Ulice były puste. Prawie puste.

Z jednej z bocznych uliczek Jarvaku wyskoczył owinięty płaszczem człowiek i rozejrzał się nerwowo. Nie dostrzegł w okolicy niczego podejrzanego, więc zsunął na czoło kapelusz o szerokim, okrągłym rondzie i nieufnie przystanął pod jedną ze ścian. Wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy bezpieczniej będzie schować się w cieniu którejś z kamienic czy przeciwnie, maszerować w padającym na ulicę świetle latarni. Postanowił jednak zostać pod ścianą. Wydobył z kieszeni niewielki czasomierz i sprawdził godzinę. Powinni już tu być. Szlag.

Poczekaj najwyżej kwadrans, a później się zawija.

Czekał równo piętnaście minut. Kiedy uznał, że już nic z tego nie będzie i czas zniknąć, z oddalonej o kilkanaście kroków uliczki wyłoniły się dwie sylwetki. Pierwsza należała do niewysokiego, drobnego mężczyzny

o powolnych ruchach i nieobecny spojrzeniu. Chociaż patrzył przed siebie, wydawało się, że zupełnie nie zwraca uwagi na to, co dzieje się dookoła niego. Sprawiał wrażenie lekko przygarbionego i bardzo kruchego, lecz mogło to być tylko złudne wrażenie, wywołane przez kontrastującą postawę jego towarzysza. Drugi kroczył bowiem wyciągnięty niczym struna; stawiał długie, sprężyste kroki, a jego ściągnięte łopatki wypychały do przodu klatkę piersiową. Był wysoki i szeroki w barkach, lecz przy tym bardzo szczupły, wręcz kanciasty.

– Już miałem stąd zniknąć – powiedział, kiedy podeszli. – Spóźniliście się.

– Coś nas zatrzymało – odpowiedział ten niższy i poprawił krzywo ułożone okulary w drucianych oprawkach. –

Przyniosłeś?

– Co to w ogóle za posrany pomysł, żeby robić geszeft tu, w Jarvaku?!

– Bądź spokojny.

– Spokojny?! – wykrzyknął tamten. – W dzielnicy Rekinów, stojąc pod ich drzwiami?!

– Dziś w nocy Rekinów tu nie ma. – Niewysoki spojrzał mu prosto w oczy. Miał beznamiętne spojrzenie, mówił spokojnie i cicho. – Wszyscy są w Hrabinie, na dintojrze.

Słyszając to, mężczyzna zamilkł. Wszyscy Ludzie Nocy mieli poważanie dla starych zasad złodziejskiego sądu i wszyscy panicznie się go bali. Dintojra była rzadkością, ale kiedy już się odbyła, jej wyrok uznawano za święty. Wiedząc, że dalsze pretensje nie mają sensu, sięgnął za pazuchę i wyciągnął niewielkie zawiniątko. Natychmiast oddał je temu niższemu.

– Twoja pomoc jest nieoceniona – podziękował mu mężczyzna w okularach i przekazał pakunek swojemu kompanowi. – Pieniądze dostaniesz za rok, Provost o to zadba.

– Jak ktoś się o tym dowie...

– Powiedziałem, bądź spokojny. Nikodemus wie, jak dotrzymywać tajemnic. A po roku nikt nie będzie już nic podejrzewał.

Mężczyzna nie wyglądał na przekonanego. Wiedząc jednak, że nic tu po nim, odwrócił się i zniknął w tym samym zaułku, z którego wyszedł niespełna pół godziny temu.

Tamci dwaj popatrzyli po sobie i bez słowa ruszyli główną ulicą Jarvaku. Szli w ciszy; przystanęli tylko na krótką chwilę, by przepuścić wyjeżdżającą z najbliższej przecznicy dorożkę. Powóz ciągnięty przez cztery kruczoczarne konie przejechał kilka metrów od nich, po czym znacznie przyspieszył,

zostawiając za sobą oddalający się tętent kopyt. Mężczyźni skręcili w jedną z bocznych uliczek, podążając tam, gdzie budynki stały poupychane znacznie ciaśniej.

Najgorszym rodzajem zepsucia jest zepsucie z wyboru. Są bowiem ludzie, którym uliczna dziwka zawsze miłszą będzie nad najgorętszą nawet miłość. Woleć będą uderzenie pięści od najkorzystniejszego kompromisu. Wybierają dym, krew i łzy, bo bez nich ich świat staje się wyblakły. Dla takich ludzi gra toczy się nie dla wygranej, a dla samej gry. W Hausenbergu mówi się o nich „Rekiny”.

Dwóch z nich kroczyło ulicami miasta, w którym tej nocy coś się kończyło.

Stanęli przed gładkimi drzwiami. Na środku drewnianej płyty połyskiwała mosiężna kołatka, wyrzeźbiona w kształcie znaku zapytania. Jak na komendę mężczyźni otrzepali przykurzone garnitury i skinęli sobie w geście porozumienia.

Wyższy delikatnie zastukał.

CZĘŚĆ I. ROZDANIE



HAUSENBERG DZIŚ, DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ

Po Simonie Divardzie nie było widać, jak bardzo się denerwował. Może z wyjątkiem tych kilku kropel potu, które nagle pojawiły się na jego twarzy. Simon odłożył karty na stół, po czym delikatnie przytknął wydobytą z kieszeni chusteczkę najpierw do jednego, później do drugiego policzka. Następnie odwrócił się i głosem tak spokojnym, jakby miał zamiar poprosić stojącego przy drzwiach zbira o szklankę wody, wydał polecenie.

– Połamcie mu wszystkie palce. Co do jednego.

Kurwa, pomyślał Slava. A ten plan był naprawdę dobry.

Jeszcze dwie godziny temu, kiedy przygotowywał się do tej sztuki, wydawało mu się, że przewidział każdą ewentualność. A przygotował się naprawdę solidnie. Wiedział, o której Divard wstaje, gdzie i co jada oraz kiedy i z kim się prowadzi. Wiedział, że jest w mieście od niedawna i że nie ma tutaj prawdziwych przyjaciół, a chodząca za nim banda silnoręcznych zbiera za ochronę niemłą sumkę. Wiedział, że często bywa w burdelach i że najbardziej lubi blondynki. Wiedział, jak lubi uprawiać miłość i chociaż zgrywa twardego dziwkarza, jest bardzo nieśmiały w stosunku do kobiet. Poznał jego siły i słabości, a co najważniejsze, potrafił przełożyć je na sytuację przy stole karcianym.

Wiedział, że kiedy Simon się denerwuje, niemal niezauważalnie drga mu lewa powieka, a gdy tylko dostaje w rozdaniu mocną rękę, przesuwa językiem po wewnętrznej części lewego policzka. Wiedział, że lubi wystukiwać na zielonym płótnie różne melodie i że kiedy zaczyna blefować, to przestaje. Wiedział, że kiedy się boi, reaguje agresją. Dowolnej z jego emocji potrafił przypisać gest, grymas twarzy, drgnięcie ciała. Przewidział wszystko. Poza tym, że kiedy Divard przegra już swoją fortunę, każe połamać mu palce.

Simon Divard był nowobogackim panicznykiem, jakich w Hausenbergu ostatnimi czasy pojawiało się coraz więcej. Temu akurat uwidziało się, że z pomocą pieniędzy jest w stanie wejść pomiędzy Ludzi Nocy. Rozrzucał więc na prawo i lewo niemłą fortunę i zapewne wyobrażał sobie, że zyska w ten sposób szacunek pomiędzy zawodowcami. Rozpoczął w salach Błazna, kolorowego domu gry odwiedzanego głównie przez bohemę. Bywali w nim

wątpliwej proweniencji artyści – głównie drobni fałszerze, ale też niespełnieni poeci, aktorzy i zwykli hulacy. Raz na jakiś czas zaglądali tam również ludzie naprawdę poważni, lecz przecież nie po to, żeby robić interesy. Przy stołach Błazna było po prostu wesoło, a każdy raz na jakiś czas lubi się dobrze zabawić.

Tam Slava go wypatrzył. Siedział i leniwie obstawiał ruletę, zaś przy sąsiednim stoliku Divard w dość pretensjonalny sposób przegrywał spore pieniądze. Konkretnie, grał w kości, otoczony wianuszkami kobiet, z których kilka szulerów dobrze kojarzył – bez wyjątku bardzo ładnych i bez wyjątku będących kurwami. Co trzeba jednak im oddać, nie tanimi. Slava uśmiechnął się wtedy pod nosem, zauważając, jak po wygranym tym razem rzucie Divard klepie jedną z dziewczyn w pośladek, a następnie wsuwa dłoń pomiędzy jej uda. W szulerskim fachu podobne rzeczy robiło się na pokaz: by ściągnąć czyjąś uwagę lub – częściej – by ją od czegoś ją odwrócić. Za to siedzący przy kościach pajac zdawał się nie mieć żadnego celu. Właśnie wtedy Slava uznał, że Divard perfekcyjnie nada się na jego następnego numer.

Kolejnego wieczoru znowu się pokazał. W tym samym miejscu i w podobnym towarzystwie. Slava szybko odnotował w pamięci imiona dziewczyn kręcących się wokół tego frajera, a potem, jeszcze tej samej nocy, złożył wizytę Mamie Elwirze.

Hausenberg był miastem pełnym zepsucia. Po zachodzie słońca równie łatwo można było tam znaleźć dom uciech, co za dnia stragan z owocami. Właściwie stragan z dobrymi owocami odnaleźć było o wiele trudniej. Lecz nawet tu zepsucie przybierało różne formy, a jedną z najprzyjemniejszych zapewniał burdel Mamy Elwiry. Przeważnie kierowali się tam ci, którym nie zależało na dyskrecji, wprost przeciwnie – chcieli się pokazać i zyskać odpowiednią opinię. Siłą rzeczy byli to przede wszystkim pisarze pragnący obudować swoje dzieła atmosferą dekadencji, aktorzy, którym los przyoszczędził na talencie i którzy musieli zdobywać sławę innymi sposobami, a także podobni do Divarda bezczelni nuworysze, którym dużo się wydawało.

– Owszem, bywa tu. – Bajzelmama splótła ręce przed potężnym biustem i spojrzała na Slavę spod umalowanych rzęs. Chociaż już od dawna nie obsługiwała klientów, wciąż nosiła się adekwatnie do uprawianego kiedyś zawodu. – Pojawia się bardzo często, płaci zawsze z góry, za siebie i swoich znajomych. Naprawdę dobrze płaci.

– Rozumiem, doskonale rozumiem. – Slava uśmiechnął się w odpowiedzi. – Jednak wydaje mi się, że moglibyśmy troszeczkę na ten temat porozumować.

– Co byśmy mogli? – Mama Elwira zmarszczyła brwi. W kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki niemożliwe do zamaskowania nawet ciężkim makijażem.

– Porozumować. To oczywiste, że nie chce pani tracić bogatego i regularnie odwiedzającego ją klienta, ale jeżeli mam być szczery... Jego styl życia nie daje zbyt wielkich szans na utrzymanie majątku, powiedziałbym, że wprost przeciwnie. Któregoś wieczoru może zapomnieć się przy kościach i przegrać tak wiele pieniędzy, że nie będzie miał już za co pójść na dziewczynki albo ktoś go jeszcze, o zgrozo, zabije w celu rabunkowym. Tego byśmy przecież nie chcieli.

– Oj, nie chcielibyśmy.

– Właśnie – podsumował. – Zatem aby uniknąć tej przykrej ewentualności...

– Dwadzieścia procent – przerwała mu bajzelmama. – I ani korony mniej.

– Dostanie pani dziesięć, w ramach mojej dobrej woli i nieskrywanej sympatii.

– Dwanaście.

Szybko dobili targu. Już kilka nocy później Slava wiedział, z kim Divard się obraca, kto służy mu za silnorękiego, kto dba o jego finanse oraz, co najważniejsze, o czym opowiada dziewczynom, kiedy już skończy miłosne zapasy.

Niewielu zdaje sobie sprawę z pewnego istotnego faktu, do którego żaden mężczyzna by się nie przyznał, za to wiedzą o nim wszystkie dziwki świata: seks jest nierozzerwalnie związany z władzą. Kiedy mężczyzna posiada kobietę, staje się panem świata. Sądzi, że skoro był w stanie zawładnąć leżącym przed nim nagim ciałem, które dało mu przed chwilą tyle przyjemności, to będzie mógł dokonać rzeczy wielkich. Moment wielkości zwykle jednak trwa krótko, do tego głównie w głowie zdobywcy. Dlatego niemal wszyscy uważają, że powinni się nim z kimś podzielić, póki trwa. A kurwy potrafiły słuchać.

Slava o tym wiedział. Dzięki temu udało mu się zajrzeć w sam środek duszy Divarda. Za każdym razem, gdy patrzył mu w oczy, wnikał głębiej, poza przekrwione białka i szklące się źrenice. Wchodził w świat niespełnionych nadziei, stłamszonych marzeń, niepodjętych decyzji i wiecznych zamierzeń, nigdy nieprzekutych w czyn. Młody szuler doskonale wiedział, jak wykorzystywać to przy karcianym stoliku.

Pozostawało tylko ułożyć plan i wprowadzić go w życie.

A Slava uważał, że to był naprawdę dobry plan. Gdyby tylko nie musiał skakać przez to pieprzone okno.

Hausenberg miał rzecz jasna swoje legendy. Jedna z nich stała właśnie na ostatnim piętrze potężnej willi i zza okrągłych szkieł w drucianych oprawkach spoglądała w miasto. Za sobą postać miała przestronną salę klubową, pośrodku której znajdowały się pokryty zielonym płótnem stół oraz osiem ustawionych wokół niego wygodnych foteli. W pokoju panował przyjemny, wieczorny półmrok, rozpraszany jedynie przez jasne światło księżyca i poblaski miasta wpadające do środka przez ogromne okno tarasowe.

Profesor, najpotężniejszy szuler tej części świata, nigdy nie mówił o sobie – to raczej o nim opowiadano. Mówiono, że potrafi odwracać koleje losu. Że bez względu na okoliczności jest w stanie wyrwać zwycięstwo z paszczy porażki. Że jest niepokonany.

Był.

Nikt nie wiedział, co się z nim działo, zanim stał się legendą, ale każdy dobrze wiedział, kim jest teraz. W jego domu grało się o wszystko, a odwiedzali go najlepsi złotoręcy karciarze, o których pomiędzy zawodowcami mówiło się nie inaczej jak z najwyższym uznaniem. Profesor odsyłał ich jednego po drugim, uboższych o niemałe fortuny, a co bardziej lekkomyślnych także o honor, kiedy błagali, by pozostawił im część pieniędzy. Grywali z nim również władcy – przebogaci kalifowie, sułtani odległych królestw, a także, jak głosiła plotka, nawet jego własny monarcha.

W niektórych częściach świata Profesor służył tylko za legendę, przekazywaną jeden drugiemu przez podrzędnych karciarzy. Opowiadali sobie te historie, zawsze przyciszonym głosem, jakby powierzali sekret godny tylko najzagorzalszych hazardzistów.

„Kiedyś tu był, klnę się na grzechy mego ojca, wszedł tymi drzwiami i usiadł z nami przy stoliku. Chociaż miałem go na wyciągnięcie ręki, to jego twarz ciągle spowijał mrok, jakby pomagał mu ukryć się przed nami. Nie wiem, jak wyglądał, ale pamiętam jego oczy. Znały tajemnice. Nie musiał podnosić kart. Dostawał rękę i nawet na nią nie zerkał, przesuwał tylko pieniądze na środek, a one wracały do niego razem ze wszystkim, co mieliśmy. Nie przegrał choćby jednej partii. Raz spasował, też nawet nie patrząc w karty. Z nim nie można wygrać”.

Albo:

„Nigdy nie zapomnę tamtej nocy, mówię ci. Siedziałem wtedy w tym domu gry, wiesz którym, i coś nagle zwróciło moją uwagę. Tam, przy stole do dziesięciny. Wiesz, ja w to nie gram, bo to jest najgorszy rodzaj hazardu – wolę zakreślić ruletę, przynajmniej za nią nikt nie obetnie mi palców. W każdym razie patrzę, a on tam siedzi. Zwykły człowiek jak ty czy ja, ani wysoki, ani szczególnie niski, jednak w żadnym razie nie przeciętny – ani krztyny przeciętności w nim nie było. Drapieżnik, niech go szlag, prawdziwy łowca. Grał o stawki godne królów, a ilekroć przesuwiał na środek fortunę, ani drgnął. Tkwił nieruchomo jak jakiś pieprzony posąg, chociaż za chwilę mógł stracić wszystko. I wygrywał, ciągle wygrywał. To nie może być zwykły człowiek...”

Opowiadano. Takie lub inne, lecz za każdym razem równie malownicze głupoty.

Tajemnicą niezmiennie pozostawało, skąd pochodził oraz jak daleko sięgają jego wpływy. Profesor był duchem hazardu, jednocześnie wszechobecnym i nieistniejącym. Mało kto wiedział, gdzie go znaleźć, a jeszcze mniej było takich, którym udzieliłby prywatnej audiencji. Żeby usiąść z nim do kart, trzeba było się wykazać. Pomimo to wciąż pojawiali się tacy, którym udawało się zagrać z tym, który nigdy nie poniósł porażki. Przyjeżdżali, przegrywali, wyjeżdżali.

Mówiono, że przy stole w jego sali klubowej powstawały i upadały imperia, a z biegiem czasu coraz mniej było chętnych do sprawdzenia, ile jest w tym prawdy. Wciąż jednak nikt nie wątpił, że jest w Hausenbergu numerem jeden. Nie rządził, bo polityka bandytów nigdy go nie pociągała, wolał siedzieć w swojej rezydencji i tasować, poza tym wiedział, że nikt nie ważyłby się otwarcie mu sprzeciwić. Nic nie mówił, lecz miasto wiedziało, że słucha.

Teraz stał w oknie i spoglądał w stronę światła astralitowych latarni. Milczał.

Gdzieś tam, w gąszczu krętych uliczek, znajdował się jego jedyny uczeń. Był młody, nierozważny i zapewne teraz biegł pośród cieni. Tak to tutaj nazywano, kiedy w grę wchodziły ostry hazard, płatna miłość, zuchwałe przekrety i walka o to, o kim rankiem będzie mówić ulica. To, co rozgrywa się poza prawem, pomiędzy Ludźmi Nocy.

Slava, chociaż wciąż bardzo młody, miał już wyrobioną reputację. Wyskakiwał rozkręcać mniejsze i większe sztuki i chociaż tego nie wiedział, miasto bacznie mu się przyglądało. Z jednej strony można się było tego

spodziewać – był w końcu jedynym podopiecznym samego Profesora. Chłopak nie miał też pojęcia, że stary mentor dobrze wie o każdym jego posunięciu. Profesor nigdy mu tego nie powiedział, ale Slava miał prawdziwy talent. Jedyne, czego mu brakowało, to instynktu samozachowawczego. Z tygodnia na tydzień porywał się na coraz bardziej niebezpieczne numery. Każdy powinien kosztować go życie, lecz on wychodził z nich niemal bez szwanku. Grał w niebezpieczną grę, gdzie najdrobniejszy błąd groził upadkiem w przepaść. Biegł po krawędzi. A najzabawniejsze było, że chociaż ciągle się potykał, jeszcze nie upadł.

Profesor uśmiechnął się, nadal spoglądając na miasto.

Uderzył w szybę i czas nagle się zatrzymał. Świadomość Slavy cofnęła się kilkanaście sekund wstecz, krok po kroku odtwarzając, jak doszło do tak poważnej wtopy.

Divard wydaje polecenie. Zanim ktokolwiek zdąży zareagować, Slava zrywa się z miejsca i ciska krzesłem w stojącego przy drzwiach zbira. Chwyta za obrus (co za cymbał ustawia grę na obrusie?), zdziera go ze stołu razem ze wszystkimi leżącymi na nim pieniędzmi. Monety dzwonią, kilka banknotów upada na podłogę. Zwija materiał w kulkę i wpycha pod marynarkę. Kątem oka widzi, że ochroniarz odzyskuje równowagę i zaraz uderzy. Slava odwraca się. Skacze. Trzask pękającego szkła, a na twarzy i dłoniach klujące odłamki. Zaraz potem uczucie spadania.

Rzeczywistość wróciła jak trzaśnięcie bicia, falą bólu. Zleciał na sąsiedni dach, kilka pięter niżej. Przywalił tak mocno, że aż stracił oddech i pociemniało mu w oczach. Gdzieś na granicy świadomości zarejestrował krzyki; dochodziły z wysoka. Divard i jego ludzie na pewno ruszyli w pościg. Nie ma czasu na mazgajenie się, trzeba uciekać.

Uważając, by nie pokaleczyć się jeszcze bardziej o powbijane w marynarkę odłamki szyby, wstał i kilkakrotnie podskoczył w miejscu. W ten sposób przynajmniej pozbył się tych największych kawałków szkła. Odruchowo jeszcze przeczesał włosy i rozejrzał się, szukając jakiegokolwiek ratunku.

Dachy. Wszędzie, kurwa, dachy.

Podszedł najpierw do jednej krawędzi, potem do drugiej. Był wysoko – od bruku dzieliły go co najmniej dwa piętra, czyli wystarczająco dużo, by upadek wgniótł go w ziemię jak obcas zgniata zgniłe jabłko. I po tym upadku pewnie właśnie jak zgniłe jabłko by wyglądał. Krzyki ludzi Divarda ponownie

przypomniały mu, że musi się spieszyć. Jeszcze chwila i któryś z nich zejdzie tutaj na dół, a wtedy połamią mu znacznie więcej niż palce.

No to szlus.

Nie zastanawiając się więcej, Slava zrobił dwa kroki w tył i zerwał się do biegu. Wskoczył do góry, celując w dach najbliższego budynku, lecz kiedy był już w powietrzu, zorientował się, że przestrzelił – zdążył tylko zobaczyć, jak uprag-niona krawędź przelatuje mu przed oczami. Instynktownie wyciągnął ręce przed siebie i zacisnął powieki. W wyobraźni już rysował mu się obraz rozgnieczonego jabłka. Nagle jego dłonie napotkały coś, czego mogły się złapać. Z całej siły zacisnął palce i poczuł szarpnięcie. Otworzył oczy i zobaczył, co go uratowało.

Rynna. Pieprzona, metalowa rynna. Wisiał w powietrzu, czując, że przerdzewiały metal wbija mu się w palce, ale wiedział, że jeżeli rozluźni chwyt, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi. Zamajtał nogami, poszukując oparcia dla stóp.

Pusto, pusto... Jest.

Udało mu się zahaczyć palcami o wystający fragment gzymsu. Nieznacznie odciążając ręce, przykleił się do ściany i wziął głęboki wdech. Postanowił, że nie będzie patrzył w dół, po czym to dokładnie zrobił. Był cholernie wysoko.

Starając się o tym nie myśleć, zaczął przesuwać się do rogu. Tam rynna przechodziła w rurę biegnącą od dachu aż do ziemi. Kroczek za kroczkiem, i następny, i jeszcze jeden... Niech to szlag, jak wysoko.

Rany na dłoniach krwawiły, mimo to wciąż zaciskał palce z całych sił. Przesuwał się dalej, aż w końcu skończyło się miejsce. Dotarł do rogu. Chciał już tam zostać, ale wiedział, że równie dobrze mógłby po prostu rzucić się w dół. Zmusił się, by oderwać rękę od rynny, i natychmiast przytulił się do metalowej rury. Przytrzymujące ją przy ścianie przerdzewiałe śruby jęknęły w zgrzytliwym proteście.

A niech to jasny chuj, tylko nie...

Nie dokończył tej myśli. Trzasnęło i śruby wystrzeliły ze ściany, a Slava znowu zawisł kilkanaście metrów nad ziemią, tym razem obejmując rękami metalową rurę. Spojrzał w dół. Zgniłe, rozbryzgane, zgniecione jabłko.

Jeszcze raz zaklął i zamachał nogami. Niestety, nie był w stanie dosięgnąć ani ściany, ani najbliższego parapetu. Rąk też raczej nie mógł oderwać. Czyli będzie tu wisiał do końca zasranego świata. Albo dopóki nie zwiotczeją mu mięśnie. Albo dopóki nie przyjdą ludzie Divarda. Albo... Albo nic, bo kątem oka dojrzał, co wyrastało w powietrzu, kilka metrów od niego. Podest.

Pieprzone rusztowanie przy remontowanej kamienicy! Było kilka metrów pod nim, trochę po skosie, w odległości niecałego piętra, czyli jakieś półtorej sekundy, licząc w czasie spadania. Jeżeli odpowiednio mocno majtnie nogami, to trafi; spadnie na drewniane deski, a stamtąd będzie mógł zejść na ziemię. A jeśli nie...

Trafi. Musi trafić.

Zaczął się huśtać. Raz, drugi, trzeci...

I stchórzył.

Niech to szlag, zaklął w myślach, to bez sensu. Spadnie i skręci kark. Lepiej, żeby... żeby...

Nie było żadnego lepiej. Zamknął oczy, spinając całe ciało, i jeszcze raz zakołysał biodrami. Raz, dwa...

Puścił.

Półtorej sekundy spadania to wystarczająco długi czas, by przypomnieć sobie całe swoje życie, zwłaszcza kiedy leci się w kierunku bruku. Slava jednak nie zaznał tego uczucia. Zamiast tego zdążył dziesięć razy bardzo szybko powtórzyć „a to był taki, kurwa, dobry plan”, po czym uderzył w twardą powierzchnię.

Otworzył oczy. Udało się. Tafił na podest.

Nie ma czasu, trzeba wiać.

Pozbierał się tak szybko, jak tylko pozwalało mu poobijane i pokaleczone ciało. Błyskawicznie omiół spojrzeniem najbliższą okolicę. Pusto, ani śladu po ludziach Divarda, chociaż nie był to jeszcze powód do radości. Zyskał wprawdzie trochę czasu, wyskakując z drugiej strony budynku – uliczki tutaj były wąskie i pełne nieoczekiwanych przeszkód, przez co goniący go musieli nie tylko zbiec kilka pięter na dół, ale jeszcze okrążyć pół kwartału – lecz za minutę, może dwie, pościg tu dotrze.

Przeciął najbliższe podwórko, wziął rozpęd i przeskoczył przez stojące mu na drodze ogrodzenie. Później zanurkował pod rozciągniętym w poprzek drogi sznurem z suszącymi się ubraniami. Wiedział, że powinien kierować się na północ, a północ była trochę na lewo. Musiał dotrzeć za rzekę, tam, gdzie Gislak łączył się z Jarvakiem i Salinem, a ich ulice zbiegały się na niewielkim skwerku. Stamtąd tylko krok będzie dzielił go od kryjówki.

Dotarł do kolejnego rozwidlenia i znowu odbił w lewo. Teraz wystarczy, że będzie pruł mniej więcej przed siebie, i za parę minut ten koszmar powinien się skończyć.

Ledwie to pomyślał, gdzieś po jego lewej rozległy się krzyki.

– Tam! – darł się chrapliwy głos. – Tam, pod salonem balwierza!

Niech to szlag, pomyślał Slava. Właśnie mijał dokładnie te drzwi, za którymi stary Delman co rano golił brody. Usłyszeli go.

Zwolnił, przyciskając ramię do ściany i uważniej stawiając kroki. Przesunął się w stronę najbliższego rogu, po czym bardzo ostrożnie wyjrzał zza węgła. Pusto. Przystanął w ukryciu, chcąc zorientować się w sytuacji. Długo czekać nie musiał – wystarczył moment, by przed zakładem Delmana pojawili się ludzie Divarda. Co najmniej kilkunastu.

Ruszył przed siebie, starając się trzymać blisko ścian. Na jego szczęście, wszędzie wokół panował zawieszony półmrok, bo większość astralitowych latarni była w tej okolicy potłuczona albo po prostu przestała działać. Słyszał nawoływania. Szukali, cały czas szukali. Wydawało mu się, że są coraz bliżej. Chciał biec, ale bał się, że wtedy go usłyszą. A było ich wielu – zdecydowanie zbyt wielu na niewielką grę w gronie znajomych, jaką miał ustawić Divard.

Nagle wszystko zaczęło się zgadzać, jakby ktoś od nowa naoliwił jego zatarty mechanizm wnioskowania. O tym, że Slava robi go w wała, Divard wcale nie zorientował się w czasie gry – był na to za chudy w uszach. Tak naprawdę musiał wiedzieć wcześniej i odpowiednio się na ten wieczór przygotować. Podstawił tych dwóch pajaców, którzy siedzieli z nimi przy stole, żeby spokojnie tasowali sobie z nim i Slavą, a tymczasem za ścianą czekało co najmniej kilkunastu ludzi. Mieli wyskoczyć, gdy tylko skończy się gra i Slava spróbuje odejść z pieniędzmi. Skąd Divard wiedział, że szykuje mu się numer? Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna – ktoś musiał mu Slavę wystawić. W szulerze aż się zagotowało.

Nie miał czasu zastanawiać się, kto mógł to zrobić, bo krzyki zbliżały się z każdą chwilą. Chciał przyspieszyć, ale musiał przystawać przy każdym rogu i sprawdzać, czy nie wejdzie wprost na ludzi Divarda. Na razie miał szczęście. Szedł szybko, coraz szybciej. Minał jedno rozwidlenie, drugie, trzecie...

– Widzę go! – usłyszał krzyk zza pleców. – Tam jest!

Nawet się nie obejrzał.

Miasto zamieniło się w rozmyte, szare linie, a on pędził, skręcał w kolejne zaułki. Na północ, powtarzał w myślach, za rzekę. Obejrzał się przez ramię. Wydawało mu się, że widzi sylwetki zbirów Divarda, ale może było to tylko złudzenie. Biegł dalej. Trafił na ślepą uliczkę. Rozejrzał się. Jest, po lewej, rozlatująca się drewniana płyta. Z całej siły uderzył w nią barkiem.

Spróchniałe deski natychmiast puściły i już był wewnątrz budynku. Przebiegł przez wąski, śmierdzący korytarz, znalazł wyjście z innej strony, na szczęście otwarte. Wypadł na pustą ulicę i pośpiesznie zamknął za sobą drzwi.

Poczuł, że dalej nie jest już w stanie biec. Więcej – nie da rady zrobić kolejnego kroku. Piekące krople potu wpadały mu do oczu, płuca płonęły.

Oparł czoło o zimne cegły najbliższej ściany i łapczywie wciągał kolejne hausty powietrza. Uświadomił sobie, że jest już naprawdę blisko – do skwerku, który o rzut kamieniem dzielił go od rzeki, miał może dwie uliczki.

Odetchnął głęboko i już miał ruszać dalej, kiedy dobiegły go odgłosy walki. Uderzenie, jęk, łomot upadającego na ziemię ciała.

Slava uśmiechnął się pod nosem. Widać chłopcy z pościgu znaleźli coś innego, niż się spodziewali, i mieli teraz grube kłopoty. Dobrze. Nagle mina mu zrzędła, kiedy uświadomił sobie, że jego też czeka niemała awantura. Kiedy tylko Profesor dowie się o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru, Slava będzie musiał się naprawdę gęsto tłumaczyć. Tym jednak będzie martwić się potem, teraz czas zniknąć.

Uderzenie nadeszło nagle. W wyuczonym odruchu szuler zdążył zasłonić twarz, dzięki czemu nie zarył nią o mur. Udało mu się uratować nos i zęby, ale czuł, że z czoła leje mu się lepka, ciepła krew, która przesłania wzrok i odbiera siły.

Szkoda, przeszło mu przez myśl, kiedy upadał. Ten plan był naprawdę dobry.

Trzy rzeczy wypełniały tej nocy ulice Hausenberga: urywane oddechy, stukot obcasów i burdel. Wszechobecny, chędożony burdel. Wszystko to zaczęło się, kiedy w oknie jednego z budynków pękła szyba. Mrugnięcie oka później wypadł stamtąd człowiek. Gdy przywalił o pobliski dach, nocą zawładnął chaos.

Do tej chwili smukły cień był tylko zarysem ciała wtopionym w niewielką wnękę pośrodku wieży ratuszowej. Siedział i obserwował, beczynn timer patrząc w noc. Raz na jakiś czas jego obecność zdradzał żarzący się koniuszek trzymanego między zębami skręta, poza tym jednak, gdyby ktoś skupił wzrok w miejscu, w którym siedział cień, nie dostrzegłby nic poza kilkoma nierównymi plamami mroku. Petr, pierwszy spośród złodziei Hausenberga – a przynajmniej pragnący się za takiego uważać – umiał czekać. Uznawał to za nieodzowną część swojej pracy. Niecierpliwość była w jego fachu grzechem,

za który często płaciło się tylko raz.

Gdy pękło okno, przerzucany z nudów pomiędzy palcami nóż motylkowy zaklekotał i zniknął, sekundę wcześniej celowo przeciąwszy opuszkę palca. Skręt rozżarzył się po raz ostatni i poleciał w noc, wypluty wraz z przekleństwem. Petr był zły. Wszystko wymykało się spod kontroli i tym wieczorem zaczynał rządzić przypadek. Przypadek, czyli coś, na co pośród profesjonalistów nie było miejsca.

Petr nienawidził bałaganu. Bandyterka, a raczej „bandytierka”, jak wymawiał to z ulicznym akcentem, była dla niego zajęciem wymagającym najwyższego skupienia. Kraść trzeba było umieć, a każda robota wymagała odpowiedniego przygotowania. Najpierw należało zebrać informacje, opracować plan, zastanowić się, dopiero później działać. Celów też nie wybierało się przypadkowo, bo należało minimalizować prawdopodobieństwo strat. Gdyż podobnie jak w interesach straty były nieodłączną częścią złodziejskiej pracy. Tyle że mierzyło się je w latach odosobnienia za kratami albo liczbą ludzi, którzy mieli trafić do ziemi.

Złodziej zeskoczył z wnęki na przylegający do wieży ratuszowej podest i zszedł trzymając się sznurowej drabinki. Przystanął, nasłuchując odgłosów nocy. Słuchał Hausenberga. Miasta mówią, tak twierdził, lecz nie każdy potrafi je usłyszeć. W dzień rozbrzmiewają głosem kupca zachwalającego towary, rzepoleniem ulicznego grajka albo nawoływaniem zatroskanej matki. Potem przychodzi noc i miasta zaczynają szeptać. Szepczą głosem utraconej przy karcianym stole fortuny, pokątnie wręczonej łapówki, czasem noża wbitego pod zebro. Petr twierdził, że Hausenberg szepcze fałszywym jękiem ulicznicy. A złodziej zawsze wiedział, kiedy ta dziwka udaje.

Dojrzał przechodzącą nieopodal bandę i odruchowo sięgnął po nóż. Szukali tego samego co on – uciekającego po dachach cienia. Przyjrzał się im bliżej. Mieli zakazane ryje i szerokie barki, ale poruszali się jak amatorzy. Zupełnie bez polotu, lecz groźni i nie najtańsi. Dobrzy, żeby kogoś złapać, albo na postrach, kiedy było ich dużo.

Biedni chłopcy, pomyślał Petr, nie wiedzą, na co się porwali. Nie widzieli go, chociaż stał na wyciągnięcie ręki. Gdyby tylko chciał, żaden z nich nie wyszedłby stąd żywy. Właściwie to powinien ich pozabijać, tylko po to, by nie przynosili wstydu porządnym złodziejom, ale miał teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Odprowadzał ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli w pobliskim zaułku, i już miał ruszyć dalej, gdy usłyszał krzyki, a zaraz potem łomot upadającego na ziemię ciała. Wiedział, że nie znaleźli tego, kogo dzisiejszej

nocy szukało całe miasto. Umiejąc bowiem zignorować hałas, którego narobiły tłukące się wszędzie po okolicy bandy zbirów Divarda, słyszał także znacznie szybsze tempo kroków, a kroki te nieustannie oddalały się w kierunku rzeki. Towarzyszyły im przyspieszony oddech i niewyraźny szmer wydawany przez podeszwy za każdym razem, kiedy uciekający ostro zmieniał kierunek. Złodziej wiedział, że chłopak zaraz będzie na niewielkim skwerku łączącym ze sobą trzy dzielnice.

Należało się spieszyć.

Petr minął zaułek, w którym zniknęli tamci idioci, i przeszedł mało znanym skrótem. Chwilę potem był już na miejscu.

Późno, pomyślał. Za późno.

Uderzenie pałki w rzepekę kolanową w jednej sekundzie czyni z człowieka kalekę. Upadający mężczyzna jeszcze o tym nie wiedział, na razie jego świat wypełniał ból. Zanim zdążył zrozumieć, że prawdopodobnie już nigdy w życiu nie będzie biegał, kolejny cios zmiażdżył mu skroń i zabił go na miejscu.

Trzej pozostali mieli odrobinę więcej szczęścia. Stojący bliżej zdołał odskoczyć na bok, poprawił uchwyt na nożu i wysłał swoim kamratom porozumiewawcze spojrzenie. Kiwnęli głowami i ruszyli do walki, otaczając stojącego przed nimi zabójcę.

Mężczyzna był niewysoki, wręcz niski, ale szeroki co najmniej za dwóch; ogromne ramiona niemal rozsadzały podwinięte rękawy koszuli. Pomimo to poruszał się lekko, z pewnego rodzaju dziką gracją. Takim ludziom w Hausenbergu nie powinno się wchodzić w drogę, ale teraz było już na to za późno.

Nino Perrez wyszczerzył śnieżnobiałe zęby, kontrastujące z jego ciemną karnacją. Zamłynkował trzymaną w ręku pałką i obrócił się powoli, czekając, który z pozostałych napastników odważy się uderzyć jako pierwszy.

Biedni chłopcy, pomyślał, pewnie im się wydawało, że uśmiechnęło się do nich szczęście, bo był sam, a oni we czwórek. Na początku mogli się jeszcze wycofać. Udać, że niczego nie widzieli, pokręcić się po okolicy, zostawiając większych od siebie w spokoju. Byli jednak uparci, zachłanni. W grupie czuli się pewnie. Szukali wprawdzie kogoś innego, ale jak już wpadli na Nina, to postanowili, że dorobią trochę przy okazji. I teraz przyjdzie im za tę przyokazję zapłacić.

Pierwszego pchnięcia uniknął lekkim skretem barków, jakby od niechcenia.

Idiota, westchnął w myślach, i zablokował wypchniętą w jego stronę rękę. Podbił ją od spodu przedramieniem. Trzasnęło. Łokieć złamał się jak wykałaczką, a rozwarta bólem dłoń bezsilnie wypuściła nóż. Perrez przechwycił go i się odwrócił.

Zanim drugi z bandytów zdążył zareagować, szerokie ostrze zatopiło się w jego brzuchu aż po rękojeść.

Trzeci był szybszy, zdążył wyprowadzić cios. Pchnął Nina w plecy, a przynajmniej spróbował. Oczy bandyty rozszerzyły się w panicznym zdumieniu, kiedy broń minęła cel. Perrez obrócił się w miejscu, instynktownie wykonując unik. Trzymana w ręku pałka sama zatoczyła łuk. Działał odruchowo, nawet nie zdążył pomyśleć, że zadaje cios. Napastnik dostał idealnie w środek czoła, a głowa z impetem odbiła się od pobliskiego muru. Upadając na ziemię, był już martwy.

Perrez wzruszył ramionami i ponownie podążył śladem pościgu, zostawiając za sobą pojękiwania rannych. Przez te łajzy stracił już wystarczająco dużo czasu. A czas w tym wypadku wart był sporo pieniędzy i bardzo możliwe, że również ludzkie życie.

Nino otwarcie szedł środkiem ulicy, obłany blaskiem astralitowych latarni, i nie przejmował się zbytnio, czy ktokolwiek go zauważy. Czarna, lekko połyskująca pałka wirowała w jego dłoni. W dzisiejszej rozgrywce nie brali udziału profesjonaliści, tylko banda idiotów z pustymi łbami i rękami szybkimi do noży. I właśnie to go martwiło. Jedna zbyt szybka ręka, a cała sprawa się posypie.

Minął kolejne rozwidlenie i usłyszał oczekiwany hałas. Wreszcie. Skręcił w tamtą stronę, jeszcze przyspieszając kroku.

Znalazł to, czego szukał. Młodego chłopaka wartego fortunę. Nie spodziewał się tylko, że zobaczy go leżącego na ziemi i zalanego krwią, obok stojącego nad nim zbira, a zaraz za nimi ledwie uchwytny, niewidoczny cień. Co za noc.

Impet uderzenia zwalił go na ziemię, a napływające do oczu łzy momentalnie odebrały wzrok. Zdążył jeszcze przetoczyć się na plecy, zanim twardy czubek podkutego buta niemal złamał mu kolejne żebro, tym razem z drugiej strony. To zdecydowanie nie była jego noc.

Slava wiedział, że pozostała mu ostatnia szansa. Skulił się pod ścianą i przesunął rękę za siebie. Starał się, żeby wyglądało to naturalnie, jakby

dotykał bolącego miejsca. Czekał na kolejny cios, lecz on nie nadchodził. Zacisnął rękę na ukrytym za paskiem nożu i spróbował uspokoić oddech. Nasłuchiwał. Bandzior stał nad nim i wciąż powtarzał coś o nagrodzie. Dobrze, pomyślał szuler, niech pieprzy te swoje farmazony. Zaraz tego pożałuje.

Czekał, aż uda mu się odzyskać jako taką ostrość widzenia i dojrzeć zarys nóg napastnika. Wdech, wydech, wdech...

Zerwał się do skoku i uderzył, nawet za bardzo nie celując. Jedno cięcie z tyłu kolana i sprawa będzie załatwiona, więcej skurwiel nie pobiega. Zaskoczył sprężynowy mechanizm blokujący ostrze, nóż zagrzechotał w locie. Poszło.

Tamten był jednak czujny. I cholernie szybki. Zauważył atak, odskoczył. Cofnął się jeszcze o krok, po czym z krótkiego zamachu kopnął wspartego na rękach chłopaka w sam środek twarzy. Slava ponownie uderzył o ziemię, tym razem krwawiąc znacznie obficie. Z trudem łapał oddech, ból, już nie tylko promieniował od stłuczonych żeber, ale też rozlewał się po twarzy lepkiem gorącem. Wiedział, że następny cios pozbawi go przytomności. A potem obudzi się w jakiejś zatęchłej piwnicy, gdzie Divard połamie mu nie tylko palce i żebra.

– Gdyby kózka nie skaka... – Bandyta nie dokończył, gdyż przebijający jego gardło nóż zamienił ostatnie słowo w charkot. Broń była wystarczająco długa, by przed osunięciem się na ziemię umierający zdążył zobaczyć wystające ze swojej krtani ostrze.

Kiedy Slava podniósł wzrok, ujrzał nad sobą wysmukły cień. Ta sylwetka mogła należeć tylko do jednej osoby. Zwłaszcza że z pobliskiej uliczki wyłonił się mężczyzna masywny niczym okuta skrzynia, a pomimo to poruszający się miękko jak kot. Szuler dobrze znał tych dwóch.

– Proszę, proszę... – odezwał się ten drobniejszy, wciąż trzymając w ręku okrwawione ostrze. – Popatrz, Nino, co my tu mamy...

– Karciarz – dodał ten drugi, kanciasty – i to krwisty. Dokładnie takich lubię.

Slava zaklął, wypluwając gęstą krew. Dłonie mu drżały, ale zdołał się unieść na czworakach. Przez chwilę wpatrywał się w rozlewającą po bruku czerwień. Zadarł głowę i spojrzał wprost na stojącego nad nim złodzieja. Petr w odpowiedzi jedynie uśmiechnął się paskudnie.

HAUSENBERG, TRZY LATA WCZEŚNIEJ

Mieli tylko jedną szansę. Drugiego takiego numeru długo nie uda im się zorganizować. Poza tym to była sprawa osobista i trzeba było załatwić ją porządnie.

Siedzący przy karcianym stole Slava wziął głęboki wdech. Powstrzymał odruch, żeby spojrzeć na kręcącego się w okolicach baru Petra. Do teraz nie mógł uwierzyć, że zdołali wejść do Hrabiny. Sam może by się jakoś wkręcił, ale im udało się wejść we dwóch. Wiedział, że drugiej takiej szansy nie dostaną. Musieli działać bezbłędnie, a ten numer był bardzo, ale to bardzo ryzykowny.

Hrabina była elitarnym domem gry, gdzie wpuszczano tylko najlepszych i najbardziej charakternych z całego miasta. Choćby do Hausenberga przyjechał przebogaty zamorski finansista i postawił przed drzwiami lokalu skrzynie pełne złota, tutaj wciąż byłby nikiem. A byle jaki nikt nie wchodził do środka i nie siadał do kart. Przy zielonym suknie miejsca zajmowały niemal wyłącznie Rekiny. Karta szła tutaj ostro.

Slava siedział przy jednym ze stołów, a Petr zajmował miejsce przy barze i obserwował grę. Znali się od zawsze, jak zwykli to określać, „od początku”, ale dopiero od niedawna próbowali wyskakiwać na wspólne numery. Do tej pory przerobili kilku mniejszych frajerów, ale dzisiejsza noc... To było naprawdę grube. Jeżeli im wyjdzie, od jutra będą w zupełnie nowej lidze.

Slava grał od niecałej godziny, a nie mały majątek, który przyniósł ze sobą, kurczył się z minuty na minutę. Stosy żetonów topniały szybciej niż lód w podwójnej porcji kukurydzianego alkoholu, stojącego zaraz obok tych stosów. Naprzeciw szulera siedział tylko jeden gracz, który na koniec każdego wygranego rozdania zacierał wypiełgnowane dłonie i rzucał krupierowi hojne napiwki. Hojne, bo płacone z wygranych od Slavy pieniędzy. Uśmiechał się przy tym od ucha do ucha, prezentując idealnie równe białe zęby.

Nazywali go Laleczka, a jemu to nie przeszkadzało. Kolekcjonował koszule z najdroższych jedwabów, garnitury szyte z wełny ginących gatunków i sygnety, koniecznie wysadzone kamieniami wartymi fortunę. Co więcej, tak bardzo upodobał sobie swój przydomek, że każdego, kto w jakiś sposób nadepnął mu na odcisk, wieszał pod sufitem na zestawie wbitych w skórę

haków. Pociągał za kolejne sznurki, a laleczka tańczyła, tańczyła, tańczyła...

Ostatniego podwieszono znaleziono kilkanaście nocy temu w opuszczonym domu w robotniczej dzielnicy. Z pleców i brzucha torturowanego wyrwano całe połączenie skóry. Nie były to bynajmniej porachunki powiązane ze sprawami Ludzi Nocy, nie chodziło o walkę o terytorium ani nawet o zwykły haracz. Laleczka znany był z tego, że czasami wiesza ludzi ot tak, dla zabawy. Sprawa zapewne przeszłaby bez echa, takie rzeczy zdarzały się w Hausenbergu, lecz tym razem wystąpił pewien nieoczekiwany zbieg okoliczności.

Nieboszczyk nazywał się Jon Havitz i był zwyczajnym, ciężko pracującym człowiekiem, który prowadził piekarnię na obrzeżach Salinu, nieopodal miejsca, gdzie znaleziono jego ciało. Codziennie przychodził do pracy bladym świtem, zarabiał ciasto na pierwsze partie chleba, które zostawiał do wyrośnięcia w wielkiej niecce, i wychodził zapalić tytoniowego skręta. Stał zawsze w tym samym miejscu i oparty o ścianę piekarni, czekał na czeladników. Pewnego dnia właśnie wypuszczał ostatnie kłęby dymu, kiedy do jego piekarni wpadł młodziutki chłopak. Bez pytania minął piekarza i zakopał się pomiędzy stojącymi pod ścianą workami z mąką. Gdy Jon wyrzucił skręta i przydeptał go obcasem, pojawiło się trzech następnych. Mieli może po kilkanaście lat, ale już wyglądali na wprawionych w bandyckim fachu. Na widok piekarza przystanęli; jeden błyskawicznie złożył trzymany w ręce nóż, drugi wsunął do rękawa krótką pałkę. Podeszli do Jona, a największy z bandy podrapał się po krzywym, wielokrotnie złamanym nosie. Zaproponował prosty układ: Jon powie mu, gdzie pobiegł poszukiwany przez nich dzieciak, a on i jego koledzy nie wybiją mu szyb, nie nasikają do dziennego zapasu ciasta i nie będą czyhać na jego młodą i piękną córkę. W odpowiedzi na groźbę masywna, sękata pięść Jona po raz kolejny złamała krzywy nos. Szerokie, rozrośnięte od codziennego wyrabiania ciasta przedramię wystrzeliło w stronę drugiego z bandytów i jednym ruchem wydusiło z niego całe powietrze. A kolejny cios wybił mu trzy zęby. Ostatni z podrostków nawet nie próbował walczyć. Wypuścił schowaną w rękawie pałkę i ukląkł, błagając, żeby nie robić mu krzywdy. Kiedy było już po wszystkim i napastnicy zniknęli, spod worków wygrzebał się oblepiony mąką chłopiec. Chociaż ledwo uszedł z życiem, wcale nie wyglądał na przestraszonego. Podeszedł do Jona i po męsku uściśnił mu rękę. Zaraz potem odwrócił się i oddalił bez słowa.

Tym chłopcem był Petr i właśnie dlatego śmierć piekarza nie mogła przejść bez echa. Złodziej zawsze spłacał swoje długi, więc musiał dopaść Laleczkę

i surowo go ukarać. Niestety, metody, które zastosował, okazały się zupełnie nieskuteczne. Choćby nie wiadomo, jak mocno bito, czym grożono i gdzie próbowano podsłuchiwać, miasto milczało, jakby ludzie naprawdę bali się tego skurwysyna. Dlatego Petr musiał działać subtelniej. Fałszem, pochlebstwem i przekupstwem. Potrzebował pomocy kogoś, kto nie tylko był naprawdę dobry, ale też nie znał strachu.

Slava nie miał jeszcze nawet dwudziestu lat, ale we własnej głowie był niepokonany. Najlepszy. W ukryciu przed Profesorem tasował, rozdawał i wygrywał. Robił to jednak na tyle cicho, że nikt się nim nie interesował, a przynajmniej tak mu się wydawało. Wiedział, że jego czas jeszcze nadejdzie. Potrzebował czegoś wielkiego. Takiego numeru, o którym usłyszy każdy oszust w mieście i po którym zaczną go szanować. Doczekał się.

Jeszcze tej samej nocy, której zabito Jona Havitza, Petr zaprowadził Slavę do opuszczonej kamienicy, gdzieś pośród ruder Jarvaku. Tam zdjął ze ściany poszarpane i wyblakłe płótno bez ramy, a później przesunął dwie luźne cegły. Ze skrytki wyciągnął kilkanaście zwitków banknotów. Można było za nie kupić kamienicę w Valorii albo udziały w dużej spółce alchemicznej. Slava nie krył zdumienia, ale o nic nie pytał. Myślał już tylko o tym, jak ukarać Laleczkę.

Przez następne tygodnie razem z Petrem bardzo skrupulatnie planowali całą akcję. Starali się przy tym działać profesjonalnie, dyskretnie. Na początek dowiedzieli się, gdzie Laleczka jada, z kim sypia i kto za nim chodzi. Jak nietrudno było się domyślić, okazało się, że ma raczej więcej wrogów niż przyjaciół, a pracują dla niego ci, którym i tak nikt inny nie dałby roboty. Slava i Petr dowiedzieli się też, że Laleczka nie grywa nigdzie poza Hrabiną, lokalem, do którego, bez względu na posiadane kwoty, nie byli w stanie wejść. Tam liczyła się reputacja, a żaden z nich nie miał wtedy jeszcze prawa siadać pomiędzy Rekinami. Na kilka nocy sprawy stanęły w miejscu i wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna.

Nagle Slava zniknął. Nigdy nie powiedział Petrowi, gdzie był, co robił i ile kosztowało go wejście do Hrabiny. Za to coś w jego twarzy – jakiś ból wryty zmarszczkami w kącikach oczu, jakiś grymas pojawiający się, gdy zaciskał usta – zdradzało, że zapłacił za to naprawdę słono. Złodziej pomyślał wtedy, że Slava wygląda, jakby nie miał już nic do stracenia.

Szuler przybył z gotowym planem, w który szybko wtajemniczył Petra.

– Dzisiejszej nocy ktoś zginie – powiedział mu wtedy. – Lepiej, żebyśmy to nie byli my, bo razem z nami polecą wielu ludzi, którzy przy tym numerze ryzykują dla nas głową.

Tak zaczęła się ta bardzo szczególna robota. Szczególna, bo będąca osobistą zemstą, a nie chęcią zarobku. Ona doprowadziła ich tutaj, na salony Hrabiny.

Slava wszedł do kolejnej partii. Podbił stawkę w ciemno, nawet nie patrząc w stronę Laleczki. Usłyszał grzechotanie sztonów, kiedy tamten również dorzucił do puli.

Grało się.

Krupier dał znak, by spojrzeć w karty. Szuler go zignorował. Prowokacyjnie dorzucił w ciemno kolejny stos kolorowych krążków – warty tyle, że mógłby sobie za jego równowartość kupić niewolnika.

Laleczka wyrównał stawkę, również nie patrząc w karty. Bezczelny uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Rozdający ogłosił czas wymiany. Dłoń Slavy nawet nie drgnęła w kierunku rozdanych kart. Zamiast tego szuler dodał do puli jeszcze kilka tysięcy. Siedzący naprzeciwko Laleczka zrobił to samo, jak groteskowe, reagujące z sekundowym opóźnieniem odbicie zwierciadła.

Kiedy przyszedł czas odsłonięcia, nastoletni szuler rzucił karty na środek stołu, wciąż ich nie sprawdzając. Chociaż udało mu się wejść do Hrabiny, mieli go tu za ledwie odrośniętego od ziemi gnoja. Nadeszła pora, by pokazać charakter.

Laleczka wybuchł śmiechem, a Slava zerknął na karty i zamarł. Przegrał po raz kolejny.

Niech to piekło pochłonie.

Idealnie gładkie dłonie Laleczki zagarnęły pulę, jeszcze bardziej powiększając leżący przed nim stos. Chwilę później odpowiednio wysoka kwota trafiła w ręce krupiera.

Skurwiel, warknął w myślach Slava, widząc, jak bezpowrotnie uciekają mu pieniądze Petra. Był zły także dlatego, że dzisiejszego wieczoru patrzyła na niego więcej niż jedna para oczu. Do tej pory nie pokazywał się pośród elity, a każdy chciał wiedzieć, jak przy stołach Hrabiny poradzi sobie uczeń legendarnego Profesora. Mentor Slavy wielokrotnie dawał mu do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Młody szuler powoli zaczynał rozumieć dlaczego.

– Dziękuję panom za grę – oznajmił neutralnym tonem krupier. Wstał, ukłonił się sztywno i odszedł od stołu, a wraz z nim zniknęły napiwki, za które mógłby sobie kupić tydzień z dowolną dziwką w tym mieście. Jego miejsce zajął inny, równie mało charakterystyczny pracownik lokalu.

Już mieli rozpocząć kolejne rozdanie, gdy nagle pojawiła się ona.

Kiedy szła, jej nogi opowiadały historię, o której zakończeniu każdy mężczyzna mógł tylko marzyć. Przepiękna blondynka o kręconych włosach i ciele dzikiego kota. Miała na sobie długą obcisłą suknię, która jednak niewiele pozostawiała wyobraźni – z głębokim rozcięciem odsłaniającym kształtne piersi, do tego zupełnie przezroczystą. Dziewczyna nie mogła być starsza niż Slava, ale już była od niej niespotykana pewnością siebie. W przeciwieństwie do niego albo Petra poruszała się po dywanach Hrabiny, jakby robiła to od dawna. Z drugiej strony tak piękne kobiety zwykle nie miewają trudności w odnalezieniu się gdziekolwiek. Kiedy szła, odwracał się za nią sznur głów i było słychać coraz wyraźniejszy szmer. Znali ją, lecz nikt nie podchodził. Była tutaj nietykalna.

Kuszaco kołysząc biodrami, zbliżyła się do Slavy, bez ostrzeżenia odwróciła do siebie jego głowę, po czym go pocałowała. A raczej wepchnęła mu język do gardła.

– Na szczęście – szepnęła, przygryzając wargi, a potem zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Camilla, jego największy atut i jednocześnie nieuchronna zguba.

– Pas – wydyszał, próbując uspokoić szalejący oddech.

Siedzący naprzeciw Laleczka parsknął, zgarniając ze stołu nie tak dużą tym razem pulę. Myślał, że ma Slavę w garści.

Szuler się otrząsnął. Właśnie nadeszła chwila, na którą czekał cały wieczór.

Karta szła, grało się.

Laleczka nie mógł wiedzieć, że przed chwilą był świadkiem spektaklu przygotowanego i skrupulatnie odegranego specjalnie na potrzebę tego wieczoru. Bowiem chociaż suknia Camilli zdawała się pokazywać wszystko, to nikt nie był w stanie dojrzeć niewielkiego, starannie ukrytego pakietu, który Slava zgarnął podczas pocałunku. Szuler był pewny, że chociaż wszyscy patrzą, nikt tego nie widzi. W paczuszce znajdowała się odpowiednio spreparowana talia kart. Przekazał ją pod stołem przekupionemu krupierowi – temu, który przed chwilą podszedł do stolika. Mężczyzna zdjął z kart starannie podrobioną banderolę i zaczął rozdawać. Talię naznaczono tak zwaną marychą. W zależności od wartości karty na powtarzającym się na wierzchniej części kartoników wzorze odrobinę zmieniony został jeden szczegół wielkości maleńkiej kropki. Chociaż był on niemożliwy do dojrzenia dla osoby postronnej, Slavia zdradzał wszystko, co od tej pory działo się przy stole.

Nie widząc szans na wygraną, pierwszą grę spasował, odgrywając wciąż oszołomionego pocałunkiem.

Jednak już druga partia przyniosła mu na rękę układ, z którym Laleczka nie miał najmniejszych szans. Nie musiał nawet patrzeć na karty. Podbił w ciemno, przyjmując tę samą kamienną minę co dwa rozdania temu. Przeciwnik też bez wahania wszedł do gry, nawet podbił stawkę jeszcze raz – pewien, że czeka go powtórka sprzed parunastu minut i że znów zbierze całą pulę. Połknął haczyk. Grało się.

– I co teraz? – Laleczka miał głęboki, męski głos, zupełnie niepasujący do lekko zniewieściałej twarzy. – Gramy?

– Gramy – wysyczał przez zaciśnięte zęby Slava. Starał się wyglądać na zdesperowanego, jakby ponosiły go nerwy. Nie musiał nawet bardzo udawać: naprawdę był wściekły. – Tylko po co się rozdrabniać? Zagrajmy od razu o wszystko.

Laleczka po raz nie wiadomo już który parsknął śmiechem, lecz tym razem szybko się powstrzymał. Rozmawiali o kwotach tak ogromnych, że nawet on nie mógł ich lekceważyć.

– Dobrze – odparł po chwili namysłu. – Powiem nawet więcej: jeżeli ty wchodzisz za wszystko, to ja też. Bez liczenia, ale i bez wymiany. Odsłaniamy karty tu i teraz. Wygrywa jeden, nagła śmierć.

Slava wiedział, że jeżeli teraz się pomyli, to będzie po wszystkim. Wydawało mu się, że Laleczka dostał na rękę bardzo mocny układ, możliwy do przebicia zaledwie przez dwie inne kombinacje. Spojrzał w swoje karty i policzył szanse. Grało się.

– Nie zaczarujesz ich – prowokował go Laleczka. – Będzie, co ma być. Szybki strzał i szlus.

– I szlus – odpowiedział Slava, po czym zdecydowanym ruchem dołożył na środek stołu wszystkie swoje sztony. Laleczka zrobił to samo, a leżąca pomiędzy nimi góra zaczęła przypominać lodowiec.

Taka kwota musiała robić wrażenie nawet tu, w Hrabinie, i jasne było, że bez względu na wynik, nie przejdzie bez echa. Gdy tylko wieść o niej dotrze do Profesora, Slava znajdzie się w nie lada tarapatach. Tym jednak będzie martwić się później – jeden problem na raz wystarczył, a w tej chwili trzeba było wygrać i wyjść z Hrabiny żywym.

Po odsłonięciu kart wszystko potoczyło się bardzo szybko. A może to zdenerwowanie Slavy stopiło kolejne wydarzenia w chaotyczny, rozmyty ciąg?

Laleczka klnie, wali pięścią w kant stołu i krzyczy. Wszyscy na niego patrzą. Nagle milknie, poprawia krawat, wychodzi bez słowa. Slava zaciska zęby. Korci go, żeby spojrzeć na Petra, ale musi ufać, że złodziej sobie

poradzi. Trzeba działać szybko, bo na pomyłkę nie ma miejsca. Zostawia krupierowi niemały napiwek i dziękuje mu za grę. Wie, że na właściwe podziękowania przyjdzie jeszcze czas, kiedy dołoży jeszcze co najmniej dwa razy tyle. Zgarnia ze stołu resztę sztonów i wrzuca je do przygotowanej wcześniej torby. Idzie odebrać wygraną. Szybko, bez zbędnego hałasu i bez zwyczajowych gratulacji kierownika sali. Na szczęście tu jest Hrabina, tu rządzi dyskrekcja i takt. Wymiana sztonów odbywa się w oddzielnym pokoju, przed wejściem stoi dwóch bezimiennych silnorękich. Dwóch księgowych liczy pieniądze i pakuje je do tej samej torby, w której jeszcze przed chwilą były sztony. Szuler odbiera torbę, bez poklepywania po ramieniu, bez uścisku dłoni, bez kontaktu wzrokowego. Wychodzi i z każdym kolejnym krokiem grzęźnie, dywan zamienia się w miękką, lepka masę. Idzie w stronę wyjścia. Wie, że Laleczka będzie na niego czekać i że nie będzie sam. Nie odpuści mu, a niewiele trzeba, by zabić człowieka. Mógłby to zrobić nawet tu, w holu Hrabiny – potrącić i pchnąć między żebra ukrytym w ręce ostrzem. Slava wie, że musi się stąd wynosić, szybko, ale nie za szybko, żeby nikt nie pomyślał, że ucieka. Stawia więc krok za krokiem i wychodzi. Tłamsi w sobie palącą potrzebę obejrzenia się za siebie, sprawdzenia, czy Petr już ruszył. Idzie. Dochodzi do wyjścia, wspina się po kilku schodkach. Mija krzywe gęby w garniturach, które robią w lokalu za ochronę. Wydostaje się na zewnątrz i bierze wdech.

Dopiero po wyjściu z Hrabiny czas zwolnił, a Slava zebrał się do kupy. Na razie poszło gładko, ale noc jeszcze się nie skończyła. Przyszła pora na to, czego obawiał się przez cały wieczór. Teraz bowiem niewiele już zależało od niego. Mógł tylko czekać i mieć nadzieję, że wyjdą z tego numeru żywi.

Ruszył ulicą, czując, że żołądek podjeżdża mu do gardła. To już nie było tasowanie z podrzędnymi oszustami. Wkroczył do świata Rekinów. Szedł przez oświetlone astralitem miasto i czuł, że mięśnie ma napięte jak postronki. Zatem to tak smakuje gra z najlepszymi.

Szedł i wciąż nic się nie działo. Pozwolił sobie nawet na przelotną myśl, że może to już, że nic się nie stanie. Wróci w bezpieczne miejsce i nad ranem będą z Petrem dzielić łup. Potem pozostanie tylko wytłumaczyć się Profesorowi...

Z zamyślenia wyrwał go hałas dochodzący gdzieś zza rogu. Już wtedy był pewien, że się pomylił. Jeszcze za wcześnie na świętowanie. Szli wprost na niego. Laleczka miał ze sobą dwóch silnorękich, którzy wyglądali, jakby znali się na swojej robocie.

Kiedy przychodziło do działania, Laleczka nie był szczególnie wyrafinowany. Zbliżył się do Slavy i natychmiast powalił go na ziemię potężnym ciosem w żołądek. Przeczesał włosy i poprawił nieskazitelnie czysty garnitur.

– Dobra, gnoju, pośmialiśmy się, pożartowaliśmy, a teraz gorzko zapłaczesz – wysyczał. – Wyczerpałeś swój limit szczęścia na dzisiejszą noc. Nawet nie wiesz, jak bardzo pożałujesz, że przez chwilę je miałeś. Do rana jeszcze daleko, a ty się przekonasz, jak wolno może lecieć czas, kiedy będziesz dla mnie tańczył. Bierzcie go.

Laleczka spodziewał się, że jego ludzie ruszą do akcji. Zamiast tego dobiegł go jedynie cichy szelest. Był dobry, zareagował szybko – odwrócił się w miejscu, trzymając ukryty wcześniej w rękawie nóż.

Tam, gdzie do tej pory znajdowało się dwóch roślących mężczyzn, teraz stał tylko jeden, o wiele niższy, za to równie szeroki. U jego stóp zaś leżały dwa ciała. Z przeciętych tętnic szyjnych tryskała krew.

Laleczka błyskawicznie ocenił swoje szanse i rzucił się z powrotem w stronę Slavy, chcąc dopaść obezwładnionego szulera, ale jego już tam nie było. Była za to śmierć. Czując, jak ucieka z niego życie, Laleczka zerknął na ogromny nóż, który Petr wbił mu w brzuch po samą rękojeść. Nie miał już siły, by oddać cios.

– Dwa tygodnie temu zabiłeś człowieka. – Petr mówił spokojnie, patrząc, jak oczy jego ofiary gasną. – Prosił, żeby przekazać ci pozdrowienia.

W końcu Laleczka osunął się na ziemię, a złodziej splunął na jego zwłoki.

Niewysoki, smagły zabójca przekroczył trupa i bez słowa pokiwał głową. Wymienił uścisk dłoni z Petrem, następnie ze stojącym za jego ramieniem Slawą i podniósł torbę pełną pieniędzy. Nie oglądając się, zniknął w zaułku.

To była pierwsza robota, w której do Slavy i Petra dołączył Nino Perrez.

HAUSENBERG DZIŚ

U Louisa czas płynął po swojemu, w rytmie wyznaczanym przez tytoniowy dym, stukot obijanych o blaty szklanek oraz rzępolenie źle nastrojonego pianina. Światło wpadające przez umieszczone pod samym stropem półokrągłe okna właściwie najczęściej zupełnie niknęło w tytoniowo-alkoholowych oparach. Powietrze wydawało się tak gęste, że chciało się odepchnąć je na bok, kiedy zamierzało się zająć miejsce przy jednym z odrapanych stołów. W najjaśniejszym rogu, oświetlonym astralitowymi lampami, stało popękane pianino. Nieodmiennie siedział przy nim chudzielec o kończynach przypominających długie tyczki, w kraciastej koszuli, płóciennych spodniach na szelkach oraz lekko przekrzywionym meloniku.

Także tego wieczoru niedbale walący w klawisze Ósemka wydobywał z instrumentu wlekącą się nierównymi taktami melodię. Z miną wlepioną gdzieś w przestrzeń, nawet nie kwapił się, by spojrzeć w leżące przy nim poplamione nuty. Zresztą każdy z jego utworów zdawał się brzmieć podobnie i za każdym razem tak samo fałszywie. Nikt nie śmiał zasugerować, że powodem nie jest chwilowa niedyspozycja, lecz fakt nieposiadania przez Ósemkę dwóch palców.

Za barem stał stary Louis, w tym samym co zawsze ufajdanym fartuchu, i wycierał jedną ze stojących za nim szklanek, które i tak nigdy nie były czyste. W odróżnieniu od patykowatego pianisty przypominał raczej nieruchomą górę ciała. Jego spory brzuch wyraźnie napinał przód fartucha, umięśnione ręce przypominały dorodne bochny chleba, a olbrzymie dłonie zapewne równie łatwo otwierały słoik z przetworami, co skręcały kark. Legenda mówiła, że Louis wraz z Ósemką stanowili niegdyś parę najskuteczniejszych morderców w Hausenbergu. Pracowali w czasach, kiedy na ulicach miasta jedyną znaną walutą były przemoc, strach i śmierć. Ci, którzy pamiętali, nazywali to „Starym Hausenbergiem”. Niewielu jednak dożyło, by móc o tym opowiedzieć. Tym dwóm się udało i założyli knajpę U Louisa. Louis stał za barem, Ósemka grał. Ludzie pili.

Slava przecisnął się pomiędzy stolikami. Większość z nich była pusta, tylko pod jedną ze ścian trzech bandytów grało w karty. Mordy mieli paskudne, zakazane. Jeden z nich, którego twarz przecinała blizna gruba na dwa palce,

posłał Slavie krzywe spojrzenie.

Szuler podszedł do swojego miejsca, postawił tacę na stole i natychmiast sięgnął po jeden z kieliszków.

– Pijmy – warknął przez zęby.

– A gdzie toast? – zapytał go Petr.

Toast, pomyślał Slava, kolejny z tych jego durnych ulicznych przesądów. Złodziej miał swoje dziwactwa, czy, jak lubił je nazywać, rytuały. Kiedy wyciągał nóż, nigdy nie chował go bez upuszczenia choćby kropli krwi. Mówił, że to rozleniwia ostrze. Każdego zdrajcę albo partacza musiał doprowadzić na dintojrę, okrutny i rządzący się swoimi zasadami sąd złodziejski. Większość z nich w wyniku rozprawy traciła palec, dłoń, a nierzadko również życie. Petr wierzył też w toasty. Po każdym udanym numerze musieli wznieść przynajmniej jeden, na szczęście.

– Daj spokój, Petr – odezwał się siedzący obok Nino Perrez i kiwnięciem głowy wskazał twarz Slavy. Lewy policzek szulera pokrywała opuchlizna, która znacznie pomniejszała oko, i tak już zniekształcone przez potężnego krwiaka. – Na tę chwilę to on może co najwyżej puścić do ciebie oczko. Ale dobre i to, bo mrugnie do jakiej panny i ona zaszerwuje mu okład z młodych cycuszków. Od tego szybciej się goi, wiem, co mówię. Zresztą Slava też wie, co nie?

Szuler milczał. Odłożył kieliszek i zaczął luzować węzeł od krawata. Szło jak po grudzie.

Jeden z trzech oprychów z kąta, ten z blizną na pół pyska, walnął ręką w stół, drugi strzelił palcami w obelżywym geście.

– Poza tym – zagadnął znowu Nino – nie wiem, coście są tacy naburmuszeni. Prawda, może nie wszystko poszło, jak zaplanowaliśmy, ale przynajmniej była pierwszorzędna awantura! Zupełnie jak wtedy, kiedy zawalił się ten burdel w Salinie, pamiętacie?

– Nino – westchnął ciężko Petr – on się nie zawalił. Rozpieprzyłeś belki podporowe głową ochroniarza.

– Ale potem wybuchł pożar!

– Sam wybuchł? A może trochę mu pomogłeś, kiedy podpalałeś gacie temu klientowi, którego przyszedłeś sprzątnąć?

– Ale...

– Zamknij się, Nino.

Zapadła cisza. Milczeli. Slava milczał, Petr milczał i Nino też milczał. Grający w karty bandyta z blizną zaklął paskudnie. Ósemka grał.

– O co chodzi? – zapytał w końcu złodziej i szturchnął szulera. – No, mów.

– O co chodzi...? – odpowiedział powoli Slava, rozszarpując wreszcie węzeł pod szyją. – Pytasz mnie, o co chodzi? Musiałem wyskoczyć przez pieprzone okno! Upadając, prawie połamałem nogi, potem skakałem z budynku na budynek, dobre kilka pięter nad ziemią, a mimo to prawie mnie dopadli! Mam rozbity ryj, połamane żebra i, imaginuj sobie, jestem przez to w gównianym nastroju. A wiesz, dlaczego to wszystko się stało, Petr? Wiesz?

– Ty mi pewnie powiesz.

– Bo szykowali się na mnie! – Slava aż uniósł się z miejsca i wskazał Petra palcem. – Oto dlaczego! Spierdoliłeś robotę.

– Gówno prawda.

– Gówno prawda, twoja mać, Petr. Miałeś sprawdzić Divarda i upewnić się, że niczego nie szykuje. I co? I gówno.

Przez chwilę milczeli wszyscy trzej. Potem znów odezwał się Slava:

– To byli zawodowcy – rzekł grobowo. – Obstawili całą kamienicę. Gdybym wybiegł drzwiami, skończyłbym na dnie rzeki.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Nino, klepiąc sękatym łapskiem w stół. – Z tymi zawodowcami tobym znowu nie przesadzał. Ambitne bandyty, to prawda, ale nie zawodowcy. Co najwyżej bardzo się starali.

Splatając na piersi pocięte bliznami przedramiona, Nino Perrez zajmował dosłownie dwa miejsca. Popatrzył na stojące przed nimi kieliszki z miną zbitego psa. Slava tylko pokiwał głową i podniósł jeden z nich.

– Świat chce być oszukiwany... – zaczął uroczyście.

– ...więc niech będzie! – chórem dokończyli Nino i Petr.

Stuknęło, wódka połała się po palcach. Slava przytknął kieliszek do ust i odchylił głowę, odwracając szkło dnem do sufitu. Nino wzniosł dwa kieliszki naraz, po jednym w stronę każdego z kompanów i wychylił je jednym haustem.

Oprych z blizną na ryju zaklął na cały lokal. Najwidoczniej zaliczył kolejną przegraną.

– No, to opowiadaj – podjął Petr, zagryzając alkohol kawałkiem cytryny. – Co tam się porobiło?

– Na początku wszystko szło gładko – odpowiedział Slava. – Pierwsze kilka partyjek tasowaliśmy dla sportu, na niskich stawkach. Oprócz Divarda przy stole siedziało jeszcze dwóch gości, ale myślę, że byli podstawieni. Grali jak według algorytmu, zawsze przebijając tak samo i pasując, kiedy coś nie zgadzało się ze schematem. Ta technika nazywa się ciągiem Farvitzta.

Sprawdza się w domach gry, ale nie przy grubych ustawkach...

– To fascynujące – przerwał mu Petr – ale do rzeczy. Wchodzisz, siadasz, tasujesz. Sztos. Kiedy się zesrało?

– Zacząłem od tego, że wprowadziłem dwa, może trzy słabsze numery. Najpierw hausenberski sznyt, a potem lotne trójki. Nie połapali się, to jechałem dalej. Nieregularnie, co kilka gier, aplikowałem im jakieś małe coś. Pierwszy odpadł jeden z tych pionków, których ten skurwiel posadził ze mną przy stole. Drugi był na wykończeniu. A sam Divard grał jak demon.

– Mówiłeś, że on nie umie grać. – Nino aż uniósł brwi. – Że brakuje mu jajec, żeby pójść z tobą na grube wymiany.

– Bo brakuje. – Slava sięgnął po kolejną banie i wypił ją jednym haustem. Otarł usta i ciągnął dalej: – To się nie zgadzało. On grał tak, jakby wiedział, że czego nie zrobi, jego pieniądze zostaną z nim. Cwaniak zasrany.

– No – mruknął Nino. – Nie to co my, uczciwe łobuzy.

– W każdym razie zrobiłem się trochę ostrożniejszy. Zacząłem nasłuchiwać, czy ktoś nie rozbija się w pokojach obok nas. Było cicho, za cicho. W końcu zostaliśmy we dwóch i Divard sam zaczął wprowadzać różne numery, ale prostackie, jak rozdawanie ze spodu. Dobrze dla dzieciaków, kiedy grają o słodycze, a nie przy poważnych stołach...

Slava przerwał i podniósł kolejny kieliszek. Tym razem szybko dołączyli do niego Petr i Nino.

Wypili. Walnęli szkłem o stół i Slava podjął opowieść:

– Miałem nóż, myślałem, że po wszystkim pochwycę Divarda i wezmę go jako zakładnika. A na dole będziecie już wy.

– Ale się zesrało – podsumował Petr.

– Owszem, sprawy się skomplikowały. Divard był szybszy i dał znak swoim zbirom jeszcze w trakcie ostatniej partii.

– No i cały urobek pies jebał! – westchnął Nino i sięgnął po dwa kieliszki. Wzruszył ramionami i wychylił je na raz. – Szkoda.

W tym momencie szare oczy szulera błysnęły niebezpiecznie, jak u dzikiego lisa, który właśnie skończył udane łowy i teraz musi tylko wrócić do jamy. Slava wydobył spod potarganej marynarki spore zawiniątko i rzucił na środek dębowej ławy. Po drewnianym blacie posypały się monety w towarzystwie spiętych w pliki banknotów o niemałych nominałach.

– Oż ty, w pysk! – Zabójca aż klasnął z zadowolenia. Petr tylko pokiwał głową z uznaniem.

– Teraz – zakończył Slava z uśmiechem – przyszedł czas na toast.

Zdjął z tacki kolejny kieliszek i uniósł go wysoko w górę. Popatrzył na złodzieja porozumiewawczo.

– Za frajerską swołocz – zaczął Petr.

– Marny będzie jej los! – dokończyli Slava i Nino.

Trzy puste kieliszki rąbnęły o stół z taką siłą, jakby mieli nimi gwoździe wbijać. Z kąta poleciało kolejne przekleństwo. Znowu ten z blizną.

– Czego, jak czego, ale jaj to nie można ci odmówić – odezwał się złodziej. – Muszę przyznać, że to robi wrażenie. Ile...?

– Jeśli nie pomyliłem się, licząc, a byłem w trakcie gry... to jakieś siedem tysięcy i trzysta czterdzieści koron.

Dobrze wiedzieli, że jeżeli chodzi o liczby, Slava nigdy się nie myli. Równie sprawnie liczył karty, jak i kwoty, czasami aż przerażająco sprawnie.

Nino gwizdnął przeciągle.

– Jak na taką płotkę – podjął Petr poważnie – to Divard dysponował sporą gotówką...

– To prawda – przyznał Slava. – Kiedy go sprawdzaliśmy, nie wyglądał na grubą rybę. Czyli albo się zapożyczył i teraz czekają go naprawdę poważne kłopoty, albo popełniliśmy więcej niż jeden błąd i nie tylko szykował się na mnie, ale też miał o wiele większe możliwości, niż nam się początkowo wydawało.

– Byliśmy dokładni – odparł złodziej. – Raczej chciał zrobić skok życia. Pobrał mamonę, od kogo tylko się dało, żeby móc w razie czego przestraszyć cię kwotą. Te zbiry też nie wynajęły się za darmo. A to znaczy, że teraz będzie zdesperowany...

– To prawda – wtrącił zabójca. – Na jakiś czas musisz się zaszyć, bo on i jego ludzie będą chcieli cię dorwać.

– Nino ma rację. Zejdz nisko i przez parę nocy się nie wychylaj. Później powinno się uspokoić.

Po tym zdaniu zamilkli na dłuższą chwilę. Slava poczuł, że w uszach zaczyna mu szumieć od alkoholu. Niestety, nawet to nie było w stanie zagłuszyć myśli, które męczyły go, od kiedy tylko usiedli U Louisa. W końcu zdecydował się podjąć temat.

– Wiecie, że to nie wszystko – powiedział grobowo. – Mieliśmy go rozpracowanego w najdrobniejszych szczegółach, a on mimo to się zorientował. Zorganizował ludzi, ustawił grę i próbował mnie przerobić. A to oznacza, że ktoś musiał mnie wystawić.

– To niemożliwe. – Petr pokręcił głową. – Nikt z moich by się nie rozpruł,

a już na pewno nie przybyszowi znikąd. Poza tym użyłem tylko najpewniejszych.

Slava nie dawał za wygraną.

– W takim razie to ktoś inny, nie od ciebie.

– Nie ode mnie zostali tylko Mama Elwira i Daufre.

– Burdelmama zawarła z nami umowę i otrzyma za to swoją część, na tyle znaczną, że mogą być pewien jej lojalności. A Daufre nigdy by nikogo nie wystawił. On jest jednym z tych, którzy wymieniają uścisk dłoni z Profesorem.

– No właśnie...

– Co „właśnie”?

– Może już czas spojrzeć prawdzie w oczy... – Petr przyjął mocny, kategoryczny ton kogoś, kto wie lepiej. – I zrozumieć, że spieprzyłeś sprawę. Tak bardzo napaliłeś się na ten numer, że Divard cię przejrzał.

– Bredzisz – odparował Slava i ze złości aż zacisnął pięści. – Wszystko miałem pod kontrolą. Divard był bezradny jak dziecko, a ja się nim bawiłem. Ja...

– Ty skakałeś przez okno i masz ryj obity jak pierwszy lepszy frajer. Nie wyglądasz na kogoś, kto ma cokolwiek pod kontrolą. Zawaliłeś. Zawaliłeś grubo i trzeba będzie po tym posprzątać. Wracaj do Profesora, gdzie czeka na ciebie ciepły kurwidolek, a my z Ninem już się postaramy, żeby ta robota nie odbiła nam się wszystkim czkawką.

– Wiesz co, Petr? Pieprzę cię! Ciebie i twój ton wielkiego ulicznika.

Slava wstał i zapiął marynarkę. Strzepnął z ramienia niewidoczny pyłek, po czym sięgnął po jeszcze jeden kieliszek.

– Zadbaj o to, by Elwira dostała swoją część – wysyczał jeszcze do Petra. – Dwanaście procent. Sam sobie policzysz, ile tego będzie.

Po tych słowach wychylił ostatnią banie, a szkło ostentacyjnie rzucił za siebie. Ruszył do wyjścia. Po drodze podszedł jeszcze do grających w kącie oprychów. Szturchnął tego z blizną.

– Od godziny robią cię na lotne trójki. Wymieniają po trzy karty i za każdym razem, kiedy ty też wymienisz trzy, przegrywasz. Miłego wieczoru.

Po wyjściu Slavy U Louisa zapadła grobowa cisza. Bandyci z kąta wstawali z miejsc bardzo powoli, tylko czekając, który pierwszy wyciągnie nóż. Żaden z nich nie był na tyle głupi, by zaczynać w knajpie – stary Louis połamałby ich jak zapałki. Wychodzili pojedynczo, ale Petr mógł się założyć, że na tym się

nie skończy.

– Myślisz, że kiedyś się nauczy? – zagadnął go Nino.

– Będzie musiał – odparł złodziej. – Ten dzieciak jest niebezpieczny w najgorszy z możliwych sposobów. Nie w taki jak ty, czy ja. Każdy z nas potrafi wyrwać chwast, kiedy potrzeba, chociaż Slava najmniej chętnie. On jest jak kot, w którym ktoś podniósł do potęgi radość z zabawy ofiarą. Dla niego te wygrane dziś pieniądze nie są warte funta kłaków. Slava po prostu chciał, żeby wszyscy widzieli, jak je im zabiera, i byli świadomi, że nie są w stanie temu zapobiec.

– Jest charakterny i dlatego taki dobry.

– Może być lepszy od samego Profesora, ale wciąż nie będzie gotowy na grube numery. A wiesz dlaczego?

– Bo przyciąga kłopoty?

– Przyciąga? – zaśmiał się Petr. – Nie: on je ubiera i nosi niczym te swoje drogie garnitury. Jasna sprawa, że każdy w tym fachu prędzej czy później wpada w jakieś ciężkie gównno, ale ze Slawą jest inaczej. On je wynajduje specjalnie, bawi się nimi, a potem rozbija o najbliższą okolicę, ciesząc się, że pękają z takim hukiem. Któregoś dnia jeden z tych napompowanych kłopotów strzeli mu prosto w twarz, rozrywając go na kawałki. A kiedy pierdolnie, my będziemy stali obok i wybuch weźmie nas ze sobą. Trafimy przez niego do piachu, zobaczysz.

– Eee tam! – machnął ręką Nino. – Jak zwykle przesadzasz. Poza tym, jest jeszcze Profesor, a jego tak łatwo nie porozrywa.

– Profesor... No właśnie...

Gdzieś w tle Ósemka fałszował niemiłosiernie. W końcu Petr się odezwał:

– To miasto długo już nie pociągnie, Nino. Bo to nie jest sielanka, tylko cisza przed burzą... Po Nocy Łowów wszystko się zgadzało. Zgadzało się miesiąc, rok, pięć lat, ale teraz zaczyna być nerwowo. Ulice nie chcą już skradać się po kątach. Hazardujemy się, pijemy i jesteśmy na dobrą sprawę bezrobotni. Bandytierka nie śpi, ona czeka. Jest tu kilku takich, co jeszcze tego nie widzą albo bardzo widzieć nie chcą... Co jest? – Petr zauważył, że Nino ukradkiem spogląda ponad jego ramieniem. Robił to zawsze, ilekroć do knajpy wchodził ktoś nowy. – Co się stało? – powtórzył bez oglądania się za siebie.

– Chyba masz gościa – odparł Nino. – To jeden z tych twoich przydupasów.

– To nie są przydupasy, tylko współpracownicy. Ile razy mam ci powtarzać...

Złodziej westchnął i odwrócił się. Rzeczywiście, jeden z jego ludzi

przemykał pomiędzy pustymi stolikami, które dzieliły ich od drzwi. Nazywali go Bezgłośny Lejba, był miejscowym doliniarzem. Jak wieść niosła, był absolwentem jednej z prestiżowych szkół dla złodziei, gdzie kształcił się na kieszonkowca, a za jeden z najważniejszych elementów nauki fachu uważano manekina. Była to specjalnie przygotowana kukła, do której w kluczowych miejscach za pomocą cienkich nitki przymocowano dzwoneczki. Jeden fałszywy ruch i manekin dzwonił niczym woźnica ogłaszający odjazd. Doliniarze zgodnie twierdzili, że była to najtrudniejsza ze złodziejskich prób. Według miejskiej legendy Bezgłośny nigdy nie potrafił manekina. Nigdy.

Petr go lubił, bo Lejba był złodziejem niezwykle ostrożnym i cechowała go rzadka w tym zawodzie przezorność. Kiedy jednak wszedł do Louisa, zupełnie nie przypominał tego samego, co zawsze, beznamietnego doliniarza. Wprawdzie jego krok był wystudiowany, ale Petr umiał czytać ludzi. Lejba się bał. Był przerażony.

– Co jest, Lejba? – zapytał bez zbędnych wstępów, kiedy Bezgłośny podszedł wystarczająco blisko. – Nawijaj.

Kieszonkowiec zerknął na Nina, ale najwidoczniej uznał, że skoro Petr sam zaczął tę rozmowę, to może mówić swobodnie.

Ten gość jest naprawdę mądry, pomyślał Petr. Będzie trzeba to zapamiętać.

– Musisz to zobaczyć – wyszeptał Bezgłośny. – Poprowadzę was, chodźcie.

Nino uniósł brwi, a Petr dał mu znak, że pora wychodzić. Pozbierał ze stołu pieniądze i złożył je w niewielki pakunek, a Perrez sięgnął po ostatni kieliszek i wychylił go na raz. Wspólnie z Lejbą wyszli na zewnątrz.

Doliniarz prowadził szybko i w ciszy. Przemierzał kolejne ulice, nie oglądając się za siebie. Petr i Nino szli odrobinę za nim, oddaleni może na odległość kroku. Noc wciąż trwała w najlepsze, ponad nimi świeciły dwa księżyce. Petr mimowolnie spojrzął na niebo.

Niech to bładź, pomyślał, niedługo pieprzona podwójna pełnia. To zawsze przynosi kłopoty.

Miasto było ciche i opustoszałe, po zamieszeniu sprzed kilku godzin nie było śladu. Ludzie Divarda zapewne lizali rany, a on sam szykował się do odzyskania pieniędzy. Petr był pewien, że ta sprawa nie przejdzie bez echa. Wiedział też, że to on będzie musiał się nią zająć, bo inaczej Slava dostanie w łeb, a tego złodziej bardzo nie chciał. Slava był mu potrzebny. Poza tym naprawdę lubił tego dzieciaka.

W końcu Lejba przystanął przed jednym z zaułków i gestem głowy wskazał, by Petr i Nino poszli przodem. Za rogiem czekał jeszcze jeden z ludzi Petra.

Szpieg o twarzy łasicy, którego nazywali Flik, klęczał nad ciałem martwego mężczyzny. Trup leżał twarzą do ziemi, a wokół niego wysychała kałuża ciemnej krwi. Petr wsunął but pod ramię nieboszczyka i bez schylania się przewrócił go na plecy. Wtedy zmarł. Znał tego człowieka.

– Przecież to... – wydukał oszołomiony Nino. – O kurwa.

Martwe ciało należało do Franza Wirki, płatnego zabójcy, o którym mówiło się, że kilka lat temu przeszedł na emeryturę. Petr wiedział, że była to prawda tylko w połowie. Franz przestał otwarcie przyjmować zlecenia, lecz wciąż obsługiwał jednego klienta. Został człowiekiem silnie związanym z otoczeniem Profesora.

– No proszę... – mruknął zdziwiony Petr i skrupulatnie obmacał nieboszczyka. Jego klatkę piersiową i brzuch znaczyły dziwne, głębokie dziury. – Ktoś odwalił starego Wirkę.

– To niemożliwe – wyszeptał Nino. Złodziej nie pamiętał, by kiedykolwiek widział go w takim stanie; Perreza naprawdę trudno było przestraszyć, a teraz wyglądał, jakby zobaczył ducha. – Franza nie dało się ruszyć. Pałka, kastet, łańcuch, nic nie robiło na nim wrażenia. A co robił z kosą w ręku, tobyś mi nigdy nie uwierzył... Odsyłał ludzi do piachu, jednego po drugim. Nie było na niego kozaka.

– Sam się przecież nie podziurawił – podsumował Petr, po czym się zamyślił. – Chociaż...

– Chociaż co? – zapytał Nino. – No, mów.

– Poczekaj.

Krótkim ruchem nadgarstka Petr wy dobył nóż; zaklekotało. Przekrzywił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym wbił ostrze w ranę na brzuchu Franza. Obrócił nożem, raz w lewo, raz w prawo.

– Co jest, człowieku?! – sapnął Nino. – Oszalałeś?

W końcu złodziej cmoknął, jak gdyby właśnie udało mu się złowić dorodną rybę, i z cichym mlaśnięciem wyciągnął ostrze z rany pomagając sobie drugą ręką. Na zakrwawionej dłoni miał niewielki astralitowy stożek.

– Co to jest? – zapytał Perrez.

– Nie wiem – odparł spokojnie Petr – ale wydaje mi się, że w ranach starego Wirki jest tego więcej. I czymkolwiek by to nie było, nóż przed tym nie chroni.

Pracownia inżynierska Gottenhoff i Syn miała swoje tradycje. Została

założona przez człowieka z zasadami, Heinricha Gottenhoffa Starszego, który przez lata nie dał się złamać koncernom alchemicznym i uparcie odmawiał im sprzedaży swoich patentów. Odmawiał tak zapamiętale, że w końcu musiał zamienić wielką pracownię w samym środku Valorii na niewielki warsztat na obrzeżach Salinu, robotniczej dzielnicy Hausenberga. Po czterdziestu latach spędzonych nad mniej lub bardziej udanymi projektami nie przejmował się chwilowym niepowodzeniem, bo jeżeli istniało w życiu coś, w co wierzył bezgranicznie, to była to systematyczność. Pewnego dnia stary inżynier wysprzątał warsztat, wypolerował wszystkie narzędzia, zdjął fartuch ochronny, opłukał twarz, po czym położył się do łóżka, przykrył kołdrą i umarł. Miał równo sześćdziesiąt lat i dziesięć dni. Cały majątek, na który składała się skromna, acz historyczna pracownia, wraz z umieszczonym na zapleczu zaprojektowanym przez samego właściciela sejfem pełnym niewiele wartych patentów, zostawił swojemu jedyjnemu synowi, Heinrichowi Gottenhoffowi Młodszemu.

Młody Gottenhoff był mniej uporządkowany niż ojciec, ale miał sporo z jego systematyczności. Bez względu na to, czy miał akurat jakieś zlecenie czy też pracował tylko dla siebie, przez długie godziny siedział przy blacie konstruktorskim i dłubał w mechanizmach.

Podczas pracy zwykł się zastanawiać nad przyszłością swojego zakładu. Przez ostatnie miesiące nie raz i nie dwa pukali do jego drzwi wymuszkani przedstawiciele kompanii alchemicznych. Nachodzili pracownię nawet kilkakrotnie w ciągu jednego tygodnia i sugerowali, by sprzedał im patenty swego ojca, tym samym wciągając rodzinny interes do rozszerzającej się sieci koncernów. Heinrich wciąż odmawiał, chociaż przeczuwał, że może to być jego ostatnia szansa na uratowanie biznesu. Jeszcze trochę i alchemia prześcignie przemysł maszynowy, a projekty ojca mogą wtedy zupełnie stracić sens. Z drugiej strony nie ufał alchemicznym molochoch. Ich właściciele karmili wszystkich obietnicami nadchodzącego przełomu, ale Gottenhoff uważał to za propagandowe bajki. Oferta alchemików była dobra dla tych, którym brakowało talentu – dla miernych wyrobników mechaniki. Młody Heinrich wiedział, że jest w stanie dokonać czegoś wielkiego. Gdyby tylko znalazł odpowiedniego inwestora...

Jego głównym problemem była ta cholerna alchemia, nauka równie popularna, co niezbadana i losowa. To właśnie po tym, jak odkryto nowe właściwości astralitu i wybuchła rewolucja alchemiczna, przemysł ciężki poszedł w odstawkę, a popyt na projekty mechaniczne spadł praktycznie do

zera. Po części trudno było się dziwić – wykorzystanie tych połyskujących skał było znacznie tańsze, a dostęp do surowca praktycznie nieograniczony. Poza tym dzięki astralitowi w domach i na ulicach paliło się światło, zapewniał też tanie i niemal niewyczerpywalne ogrzewanie za pomocą pieców magnetycznych, a kompanie twierdziły, że to dopiero początek. Każdy dzień mógł przynieść wieści o kolejnym sukcesie pracujących w laboratoriach alchemików, chociaż Heinrich uważał, że klucz do prawdziwego przełomu to połączenie obydwu światów, alchemii i inżynierii. Nie wiedział tylko, jak to zrobić.

Wstał i przeszedł się po pracowni, kilka razy obracając tam i z powrotem. Zdjął z półki kubek, po czym podszedł do stojącego pod ścianą mechanizmu, wyglądającego jak płatanina rurek zakończona oznaczonym na czerwono kranem. Przekręcił drobną zawleczkę, a ze schowanej pośrodku automatu butli popłynęła zagrzana woda. Udało mu się napełnić pół kubka, po czym mechanizm zarzęził, zakasłał parą wodną i zdechł. Najwyraźniej nagrzewnica astralitowa znowu szwankuje, pomyślał Gottenhoff i przez chwilę rozważał, czy nie rozebrać wadliwego urządzenia na części. W końcu machnął ręką i pociągnął łyk gorącego napoju. Może zrobić to jutro, nagrzewnica nie była jego priorytetowym projektem. Miał nadzieję, że wkrótce uda mu się ją dokończyć.

Należał do trzeciego pokolenia, które sprawowało pieczę nad rodzinnym interesem. Jego dziadek rozpoczął prace nad astralitem na długo przed rewolucją, zanim namnożyły się sięgające nieba fabryki i zanim cokolwiek w Hausenbergu wybuchło. Teraz wybuchalo niemal codziennie, a ostatni z rodziny Gottenhoffów wciąż wierzył w systematyczność. Gdzieś z tyłu głowy, pomiędzy rosnącymi nadziejami, kłuło go nieprzyjemne przeczucie, jakiś strach przed wyższą koniecznością. Pomimo ogromnej wiary w dziadkowe i ojcowskie projekty młody Gottenhoff dobrze wiedział, że niedługo już pociągnie jako niezależny wynalazca. Jeszcze rok, może dwa, a potem wszystko szlag trafi.

Zmartwione spojrzenie inżyniera padło na masywny, wzmacniany żelaznymi sztabami sejf wmurowany w jedną ze ścian pracowni. Zapelnione płataninami kresk i wyliczeń projekty spoczywały bezpiecznie zamknięte i zabezpieczone autorskim mechanizmem. Czekały na właściwy moment, na dzień, w którym prace nad astralitem dogonią postęp technologii mechanicznej.

Rozmyślenia przerwał mu dźwięk wiszącego nad drzwiami dzwonka, który zwykł sygnalizować przybycie nowego klienta.

Do pracowni wszedł elegancki jegomość w lekko staromodnej dwurzędowej marynarce i spodniach zaprasowanych w kant; szyku dodawały też wyglansowane buty. Chociaż zupełnie już siwy, przybysz sprawiał wrażenie mężczyzny w sile wieku, chodził wyprostowany niczym struna i biła od niego pewność siebie. W ręku miał krótką czarną laseczkę z rękojeścią w kształcie miedzianej kuli, kiedy jednak wchodził, nie podpierał się na niej.

– Witam pana – przywitał go Gottenhoff i wyciągnął dłoń na powitanie. Sekundę później dojrzał na niej smar i się zawstydził. – Proszę mi wybaczyć, akurat wstałem od pracy nad projektem...

Chciał jak najszybciej schować dłoń za siebie, lecz tamten mu na to nie pozwolił. Chwycił ją w mocny, męski uchwyt, zupełnie nie przejmując się, że się otłuści i ubrudzi.

– Uszanowanie – odpowiedział i zmierzył inżyniera taksującym spojrzeniem. – Czy to pan jest Gottenhoff?

– We własnej osobie.

– No proszę – mruknął przybysz i cmoknął w namyśle. – Pańska pracownia cieszy się niemałą renomą. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że będzie pan starszy.

– Odziedziczyłem warsztat po ojcu. On nadał naszemu nazwisku znaczenie, ja walczę, by je podtrzymać. Czym mogę panu służyć, panie...

Klient wydawał się go nie słuchać. Postukiwał laseczką w otwartą dłoń i rozglądał się po pracowni, jakby czegoś szukał, a Gottenhoff czuł, że nie powinien mu przeszkadzać. Nie wiedział, kim jest ten człowiek i czego chce, ale podejrzewał, że być może nadszedł właśnie ów moment, na który czekał od dawna.

– Faugen – odparł w końcu przybysz. – Silas Faugen.

Przedstawił się tak, jakby jego nazwisko ostatecznie zamykało temat, po czym podszedł do zagraconego blatu. Zerknął na stalowe odlewy, zamruczał coś do siebie i sięgnął po jedną z ułożonych w niewielkie stosiki zębatek. Przysunął ją do oka i spojrzął pod światło, jakby oceniał drogocenny klejnot.

– Drogi panie Gottenhoff – odezwał się, nie odrywając wzroku od zębatek – przyjechałem do Hausenberga, bo wieść niesie, że potrafi się jeszcze tutaj docenić wspaniałą sztukę inżynierii. Mówi się, że są tu ludzie o charakterach tak hardych, iż nie boją się wziąć do ręki metalu i próbować tchnąć w niego mechaniczne życie. Chociaż wszyscy wokół wolą babrać się w probówkach, retortach i świecących głazach, tutaj, w Hausenbergu, jeszcze się konstruuje.

Faugen przerwał na chwilę i tym razem spojrzął wprost na młodego

inżyniera. Gottenhoff poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Ten człowiek miał w sobie naprawdę niesamowitą siłę.

Przybysz odłożył zębatkę i zapytał:

– Jak to jest, panie Gottenhoff? Konstruuje się?

Inżynier tylko skinął głową.

– Znakomicie – podsumował Silas i znowu postukał w dłoń laseczką. – Znakomicie...

Sięgnął pod marynarkę, w okolice prawego biodra, i wydobył stamtąd niewielki przedmiot, który następnie położył na stole konstruktorskim, rozrzucając wokół ułożone tam mechanizmy. Heinrich drgnął nerwowo. Nagle poczuł się bardzo niespokojnie.

– Co to? – zapytał, niepewnie zerkając na przedmiot. – Wygląda trochę jak...

– To, panie Gottenhoff – przerwał mu Faugen – jest prototyp. Prototyp wynalazku, który uczyni pana sławnym. O ile będzie pan w stanie zrealizować moje zlecenie. Otóż dysponuję jedynie tym pogładowym egzemplarzem, który w dodatku jest uszkodzony, nie posiadam ani projektu, ani specyfikacji. Zależy mi jednak, by ktoś odtworzył go tak wiernie, bym sam nie potrafił dostrzec różnicy między wzorem a kopią. Z jedną drobną różnicą: ten, który trzymam w rękach, przestał działać po pierwszych... testach. Dlatego potrzebuję kogoś, czyj projekt nie tylko dorówna jakości pierwszemu, lecz nawet zostanie wykonany o wiele, wiele lepiej. To stawia przed nami ważne pytanie, panie Gottenhoff... Czy jest pan człowiekiem, którego szukam?

Młody inżynier przez cały czas przyglądał się leżącemu na stole przedmiotowi. Chociaż widział go pierwszy raz w życiu, wydawało mu się, że rozumie, czym jest i do czego służy. Jeżeli przeczucie go nie myliło, właśnie otrzymał zaproszenie do wzięcia udziału w przedsięwzięciu zdolnym odmienić oblicze postępu. Równocześnie miał świadomość, że będzie musiał zapłacić za to ukrytą cenę. Skoro ten człowiek przynosił mu gotowy prototyp, lecz nie miał ani planu, ani patentów, to wynalazek najprawdopodobniej został skradziony bądź też jego konstruktor zniknął nagle i w niewyjaśnionych okolicznościach. Być może nawet nie udało mu się skończyć pracy nad wynalazkiem. Gottenhoff nie raz i nie dwa słyszał od ojca o takich przypadkach. A skoro zdarzało się to w przeszłości, mogło zdarzyć się i teraz, zwłaszcza jeśli o wynalazku dowiedzą się kompanie alchemiczne. Heinrich jednak się nie bał.

– Panie Faugen – odpowiedział przybyszowi, dbając przy tym, by jego głos

brzmiał zdecydowanie – nie traćmy czasu. Jak sam pan powiedział, tutaj się konstruuje.

REZYDENCJA PROFESORA, OSIEM LAT TEMU

Nigdy nie graj w karty z kobietami. Tę zasadę Profesor wpoił mu jako jedną z pierwszych, kiedy zaczęli już poważne nauki sztuki karcianej.

– Mój drogi – mówił mentor, prowadząc go wzdłuż regałów wypełnionych drogocennymi woluminami. – Może będzie ci dziś trudno ją zrozumieć, lecz nadeszła najwyższa pora byś poznał jedną z kardynalnych zasad gry w karty. Taką, której powinieneś przestrzegać jak żadnej innej. Właściwie składa się ona z trzech podpunktów i dopiero złożenie ich w jedną całość pozwoli ci w pełni zrozumieć ten problem. Albo też zupełnie nie pomoże, to nawet bardziej prawdopodobne.

Slava szedł obok, pokornie kiwając głową w rytm słów mistrza. Nauczył się już, że kiedy Profesor mówi, nie warto mu przerywać. Jego wykłady zawsze zawierały ukryty sens, nawet jeżeli początkowo wydawało się, że pozostaje on niedostępny dla kogokolwiek poza starym szulerem. Wzrok ucznia błędził po ścianach ogromnej biblioteki, prawdziwej dumy Profesora, czasem nazywanej przez niego skarbcem rezydencji. Jej ściany ozdobione były wspaniałymi portretami, z których każdy przedstawiał historyczną postać – jednego z wielkich oszustów, którzy dokonali czegoś wyjątkowego w sztuce kłamstwa. Były to także swego rodzaju przystanki na drodze przez bibliotekę. Kiedy nauczyciel Slavy przemawiał, miał dziwny zwyczaj przystawiania przy kolejnych postaciach, jakby zerknięcie na dzieło sztuki pomagało mu zbierać myśli.

– Pierwsza część tej zasady – ciągnął Profesor – jest jasna i bardzo klarowna. Nigdy, ale to nigdy nie graj w karty z kobietami. Sprawa to okrutnie zdradliwa, ponieważ kobieta, wbrew temu, co może się wydawać, ma znacznie więcej atutów w sztuce licytacji, niż ty kiedykolwiek posiadasz. Możesz być niewiarygodnie bystry, diabelsko przenikliwy, możesz wyrobić w sobie nerwy przypominające najprzedniejsze stopy luneitu. Możesz być nie do złamania. Lecz kobieta i tak będzie mieć nad tobą przewagę.

Chłopak zmarszczył czoło, porządkując w głowie kolejne punkty przemowy nauczyciela. W pierwszej chwili od razu chciał zaprzeczyć, lecz powstrzymał ten odruch. Profesor nauczył go, że najprostszy tok rozumowania nie musi być

błędnym, ale jest dokładnie tym, czego przeciwnik będzie się spodziewał. Tymczasem oszust musi przede wszystkim korzystać z zaskoczenia. Nie chodziło nawet o sam retoryczny wybieg, lecz o to, by Slava przyjął konkretny schemat myślenia, a właściwie tego schematu brak.

Słuchając, wpatrywał się w najbliższy portret. Przedstawiał dostojnego mężczyznę o zaczesanych do tyłu siwych włosach i dobrotliwym, serdecznym spojrzeniu. Proporcje ciała sugerowały człowieka słusznego wzrostu, jednak bardzo chudego. Kościste ramiona rozpychały surdut, jakby ktoś umieścił w poprzek pleców portretowanego metalowy drąg. Z tego co Slava pamiętał, mężczyzna nazywał się Luka Bonarelli, pochodził gdzieś z dalekiego południa i zmarł dobre sto pięćdziesiąt lat temu. Był wziętym karciarzem i pierwszym szulerem, który zamiast znaczyć karty albo oszukiwać przy tasowaniu, zaczął kantować w zupełnie inny sposób. Przez lata kształcił się na iluzjonistę, dzięki czemu miał nadzwyczaj zręczne dłonie, nawet jak na karciarza. Jednak zamiast podmieniać karty, wykorzystywał swoje umiejętności do odwrócenia uwagi i zamiany wrzuconych już do puli pieniędzy. W ten sposób zmniejszał wysokość swoich przegranych o grube tysiące. Slava spoglądał na jego uwiecznione olejną farbą oblicze i przez głowę przemknęła mu myśl, że Luka ma ten sam kolor oczu co Profesor – intensywnie błękitny. Patrzył w te oczy i zastanawiał się, jaką to niedostępną dlań siłą dysponują kobiety. Czytał o niejedynej niespełnionej miłości, płomiennych afektach i utracie rozumu z powodu zauroczenia. Sam był jeszcze zbyt młody, żeby to przeżyć, lecz uważał się za wystarczająco dorosłego, by wiedzieć, że nigdy nie zachowa się podobnie. Błędy popełniane z afektu do kobiety wydawały mu się nie tylko naiwne, ale wręcz śmieszne.

– Druga zasada jest równie ważna jak pierwsza, o ile nie ważniejsza. – Profesor ruszył dalej, ignorując zdeglustowaną minę swojego ucznia. – Brzmi ona następująco: nigdy, ale to nigdy nie łam zasady pierwszej. Przyjdzie w końcu taki dzień, kiedy staniesz przed nieuniknionym wyborem. Na stole będzie leżeć talia kart, znad której spoglądać będzie na ciebie para sarnich oczu. Twoja rozwaga zostanie zepchnięta na drugi plan, instynkt weźmie górę i pierwszą zasadę złamiesz bez najmniejszego wahania, co do tego nie mam wątpliwości. Ale wtedy, mój drogi, musisz sobie przypomnieć zasadę drugą. Po to właśnie ona jest.

Idąc, a raczej wlokąc się krok za krokiem, minęli drugi z obrazów. Przedstawiał gładko wygolonego starca przywdziewającego starodawną togę, spiętą na prawym ramieniu. Był to Kalengis z Tribultu, antyczny mędrzec

i jeden z pierwszych wielkich polityków. Pochodził z czasów odległych o dobre dwa tysiące lat i jak mówił Profesor, mógł równie dobrze wyglądać zupełnie inaczej niż na obrazie. Nie miało to większego znaczenia, bo nie ze względu na aparycję podobizna Kalengisa zawisała w galerii starego szulera. Polityk przez dekady służył cesarzowi Tribultu jako jego osobisty doradca. Przez niemal cały ten czas bezwzględnie wykorzystywał Najjaśniejszego Pana dla własnych korzyści. Stworzył prawdziwe państwo w państwie, niepodzielnie przewodząc tajnej jednostce zbrojnych i krwawo ściągając trybut z każdego zakątka kraju. Mówi się także, że skuszony odpowiednio wysoką sumą zaplanował oraz przeprowadził zamach na swego władcę. Po śmierci cesarza słuch po Kalengisie zginął. Podobnie jak zawartość cesarskiego skarbcza.

Slava wciąż się nie odzywał. Wdychał ciężkie, przepełnione zapachem książek powietrze, i rozważał kolejne opcje retorycznej obrony. Profesor wciąż mu powtarzał: nie pozwól mi poznać, w jaki sposób rozumiesz. Jeżeli dopiero do czegoś dochodzisz, zastanawiasz się, przedstaw mi efekt, a nie proces. Wszyscy, przeciwko którym będziesz stawał do walki, muszą poznać dopiero efekt, najlepiej tak, by proces pozostał dla nich zagadką.

– Jest jeszcze trzecia zasada – odezwał się znów Profesor. – Twoja ostatnia deska ratunku i uzupełnienie poprzednich. Tym razem zaczyna się odrobinę inaczej, zapamiętaj ją dobrze. Zawsze, ale to zawsze przestrzegaj zasady pierwszej i drugiej.

Widząc błysk w oku swojego mistrza, Slava nie zdołał powstrzymać śmiechu. Szybko się jednak opanował i wreszcie zadał przygotowane wcześniej pytanie:

– Profesorze, to w takim razie czy w karty grywałeś tylko z mężczyznami? Przecież pośród graczy Hausenberga są także kobiety. Chociażby Stassin, Olga Stassin.

Nauczyciel pokiwał głową, wyraźnie ukontentowany. Slava wiedział, że udało mu się pokazać, że nie tylko nie boi się na pozór prostych pytań, ale też zapamiętuje, kto pojawia się w rezydencji i wyławia urywki rozmów, kojarzy, z kim załatwia się sprawy poważne, a kto nie jest warty większej uwagi. A według Profesora Olga była warta najwyższej uwagi.

– Zasady ustala się po to, by je łamać – odpowiedział mu stary szuler – lecz przy jednoczesnej świadomości, że jest to najpewniej poważnym błędem. Każdy kiedyś złamie zasady. Jedni wcześniej, drudzy później. W dodatku z różnym, chociaż najczęściej właśnie oplakany skutkiem. Chodzi o to, mój

drogi Slavo, byś, kiedy to już się stanie, postępował świadomie i był w stanie poradzić sobie z konsekwencjami.

Tym razem Slava nie do końca zrozumiał, ale nie zawahał się spytać po raz kolejny:

– Dlaczego jesteś tak absolutnie pewny, że złamię zasady, nawet te najważniejsze?

Błękit oczu starego szulera otoczyła gęsta sieć drobnych zmarszczek, kiedy uśmiechnął się tak szczerze, jak tylko było to możliwe. Czynił to bardzo, bardzo rzadko.

– Nigdy nie graj w karty z kobietami – powtórzył po raz ostatni. – I kiedy już złamiesz tę zasadę, nie daj się pozreć.

HAUSENBERG DZIŚ

– Ty szujo! – Slava nawet się nie uchylał. Ciśnięte karty rozsypały się w powietrzu, ledwie muskając jego twarz. Kiedy dziewczyna brała zamach, jej nagie piersi podskoczyły zabawnie, a Slava nie mógł się powstrzymać od spojrzenia na zaróżowione sutki. I na bardzo widoczny ślad po zębach pod jednym z nich.

– Znowu mnie oszukałeś – warknęła Camilla. – Jesteś podły, wiesz? Podły Księżę Oszustów, bez serca.

Przy każdym kolejnym słowie dźgała szulera palcem, przybijając go do wezglowia łóżka. On w odpowiedzi tylko śmiał się serdecznie. Kiedy przestała, przysunął się bliżej i zrobił minę zbitego psa.

– Droga Królowo... Ja, podły?

– Wypchaj się tą swoją królową! Oszukiwałeś!

– Przecież przez cały czas patrzyłaś mi na ręce i dobrze widziałaś każdy ruch. Gdzież było to oszustwo?

– Ręce-sręce! – przedrzeźniła go naburmuszona. – Znam cię. Zawsze oszukujesz.

Szuler uniósł brwi.

– Zawsze? – zapytał.

– Zawsze – odburknęła i splotła ręce przed sobą. – Nie tylko w kartach.

Slava wiedział, że dziewczyna tylko udaje, ale postanowił zagrać w jej grę. Bawił go ten mały spektakl, a poza tym kiedy tak ścisnęła piersi, czuł w lędźwiach przyjemne ukłucie. Chciał chwycić nagie ciało Camilli i posiąść je po raz kolejny tej nocy. Uśmiechając się do siebie, sięgnął po kieliszek wina stojący na szafce obok łóżka. Upił drobny łyk, po czym mocno pocałował kochankę, przekazując jej alkohol z ust do ust. Czerwona kropelka pociekła po brodzie tancerki i kapnęła na pomięte prześcieradło, tworząc kolejną plamę. Żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Camilla oddała pocałunek i chwyciła Slavę za podbródek. Ścisnęła mocno, tak jak zawsze, ale obita szczęka zakłuła jak nigdy. Slava aż syknął i się odsunął. W odpowiedzi Camilla tylko pogroziła mu palcem.

– Później – powiedziała. – Teraz czas na małego dymka.

Zerknęła na etażerkę, a raczej na leżący na jednej z półek równy rząddek

niewielkich skrętów; stał tam również niemal pusty kieliszek oraz otwarta, opróżniona już w znacznej części butelka wina. Zupełnie naga, wstała i pochyliła się, w wyuzdany sposób wypinając pośladki. Podniosła jeden z ruloników, następnie wystudiowanym ruchem umieściła go w cygarnicze i odpaliła wydobytą nie wiadomo skąd zapalką. Kłęby dymu natychmiast popłynęły aż pod sufit, a Camilla wróciła do łóżka.

Slava upił kolejny łyk wina i patrzył, jak tancerka pali. Było w tym coś cholernie pociągającego.

Camilla była primabaleriną Wielkiego Teatru Hausenberga, jednego z tutejszych wielkich paradoksów. Miasto bowiem samo w sobie miało pewną szczególną cechę – starano się tu nie rzucać w oczy i unikać wszelkiej uwagi. Owszem, z Hausenberga pochodziło kilku znanych artystów i przedsiębiorców, lecz ogólnie trzymano się zasady, że nadmierne zainteresowanie szkodzi. Z kilkoma wyjątkami.

Jednym z takich wyjątków – chyba najważniejszym – był właśnie Wielki Teatr Hausenberga. Kiedy wystawiano tam kolejną sztukę baletową, miasto stawało się kulturalnym centrum królestwa. Zjeżdżała tam wówczas arystokracja z wicekrólem na czele, a mieszkający w Hausenbergu kanclerz puchł z dumy. Na czas premiery knajpy, domy gry i burdele wypełniały się w zasadzie wyłącznie ważnymi ludźmi, którzy przybyli obejrzeć taneczną ucztę. A przede wszystkim Camillę.

Mówiono, że brakuje jej techniki. Mówiono, że jak na zawodową baletnicę ma zbyt kobiece kształty. Mówiono, że brak jej pokory i że nie potrafi poświęcić całego życia baletowi. Że trupa jest jak klasztor i należy ofiarować jej duszę. Dusza Camilli była jednak zbyt harda, by oddać się w ręce starych nauczycielek. Pomimo to, kiedy tylko wychodziła na scenę, publiczność zamierała. Było w ruchu tancerki coś nieokreślonego, nieuchwytnego, lecz to coś właśnie dawało jej rząd dusz. Gdy odgrywana przez nią postać umierała w szaleńczym tańcu, tłumy płakały. Gdy jej miłość odrzucał zamorski królewicz, mężczyźni wygrażali mu pięściami. Kiedy tańczyła, ludzie zapominali, że to tylko teatr – scena stawała się prawdziwym światem.

Slawę Camilla poznała kilka lat temu, w czasach gdy Profesor zaczął powoli wypuszczać go spod skrzydeł, a właściwie gdy młody szuler sam zaczął spod nich uciekać. W trakcie jednej ze swoich szczenięcych przygód trafił na Camillę, która miała wtedy siedemnaście lat i już wyrobioną reputację jednej z najbardziej utalentowanych tancerek, jakie kiedykolwiek występowały na deskach Teatru. Poza tym była także kolejnym z nocnych duchów Hausenberga.

Chroniona przez potężnych, bezimiennych mecenasów bywała w miejscach zdecydowanie nienadających się dla pańienek z dobrego domu. I była cholernie charakterna. Młody szuler okazał się chyba pierwszym mężczyzną, który poznawszy ją, nie chciał zaciągnąć jej do łóżka. Za to ona od razu zaciągnęła jego. Finalnie jednak nie zostali parą w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. Petr złośliwie mówił, że Slava nie może się zdecydować, czy chciałby, żeby baletnica była jego kochanką czy przyjaciółką.

– No, powiedz – mruknęła, zaciągając się – jak to zrobiłeś?

Slava zwykle przestrzegał świętej zasady wszystkich szulerów, która zabraniała wyjawiania tajników sztuki. Jednak ten numer był tak prostacki, że podzielenie się nim z Camillą stawało się pokusą nie do odparcia. Za bardzo chciał zobaczyć jej minę. Slava odczekał chwilę, żeby tancerka nie pomyślała, że zbyt łatwo dał się przekonać.

– Podmianka ze spodu – powiedział wreszcie. – Kiedy rozdawałem karty, ty dostawałaś te z góry talii, ułożone zupełnie losowo. Moją rękę miałem przygotowaną wcześniej i podłożoną na spód. Podczas wymiany rozdawałem na dwa sposoby, tobie z góry, a sobie z dołu.

Camilla słuchała, a wyraz jej twarzy przechodził z zainteresowania w nieme zaskoczenie, które z kolei zmieniło się w nieskrywaną złość. W końcu ostatni raz głęboko zaciągnęła się trzymanym w palcach skrętem i parsknęła głośno.

– No tak... – Pokręciła głową z uśmiechem. – Książę Oszustów.

Krytycznie spojrzała na cygarniczkę, na końcu której żarzył się teraz krótki niedopałek. Nie wstając z łóżka strąciła go do popielniczki wypełnionej po brzegi popiołem. Paliła rzadko, ale bardzo intensywnie. Przeciągnęła się, bezwstydnie prezentując drobne piersi, mruknęła cicho i usiadła na Slawie. Przez chwilę znowu musiał ze sobą walczyć, żeby patrzeć jej prosto w oczy.

– Tak po prawdzie, to bardzo dziwny z ciebie książę – powiedziała, przesuwając dłoń po jego klatce piersiowej. Po lewej stronie widać było kilka wyraźnych śladów. Chociaż nie potrafiła dochować się długich paznokci, bo zawsze łamały się podczas treningów, to nawet te krótkie potrafiły pozostawić po sobie piekącą pamiątkę. – A może tobie się wydaje, że masz dziewięć żyć? Co z ciebie byłby za kot...? – Zadumała się, po kociemu przekrzywiając głowę. – Sama nie wiem – podjęła. – Nie wyobrażam sobie ciebie jako dumnego puchacza z Nahabu, bezwłosego kota z Ilvernii też nie przypominasz. One są delikatne, wysublimowane. Ty, prawda, jesteś dumny, odrobinę zmanierowany i na pewno masz charakter. Wszystkiego po trochu...

Zmrużyła oczy i zamruczała. Slava pomyślał, że sama wygląda jak łaszcząca

się kotka.

– Mam! – krzyknęła rozradowana. – Dachowiec!

– Dachowiec? – Szuler uśmiechnął się, chociaż poczuł wyraźne ukłucie urażonej dumy. – Naprawdę?

– Mhm... W dodatku taki, który uparł się, żeby sprawdzić, czy na pewno ma te swoje dziewięć żyć, i teraz pcha się w kłopoty, jak nie w jedne, to w drugie. Chodzi bez celu, z wyprężonym ogonem, i czeka, aż ktoś go za ten ogon złapie.

Zaczepnie zakołysała biodrami. Szuler chciał pochwycić ją w tali i gwałtownym ruchem zrzucić na prześcieradło, ale zdołał tylko jęknąć z bólu, tym razem naprawdę głośno. Cholerne żebra.

– I po dachach też za dobrze biegać nie umiesz – podsumowała z nutką czegoś pomiędzy współczuciem a przekorą. – W końcu spadniesz, a los nie obróci cię na cztery łapy. To co, ile ich jeszcze jest? Tych żyć?

Slava milczał. Patrzył wprost w błękitne oczy o kształcie migdałów.

– Droga Królowo, masz dużo racji – odpowiedział wreszcie. – Niestety, w jednym aspekcie się mylisz.

– Tak? – zdziwiła się Camilla. – W którym?

– Ja się nie wałęsam tu i ówdzie. Ja szukam.

– Szukasz? – zapytała ironicznie. – A czegoż to?

Znów zapadła cisza. Taka, której można było niemal dotknąć. Camilla drgnęła niespokojnie. W końcu Slava odezwał się:

– Dowiedcie się wszyscy, jak znajdę.

Nazywali to miejsce Kamienicą, choć jedyne prawdziwe kamienice, które stały obecnie w Jarvaku, były ruderami. Nietrudno było tu o bójkę, a sama dzielnica też przypominała pechową ofiarę złodziejskiej obijany. Ziejące w potłuczonych ścianach dziury gdzieniegdzie pozabijane były krzywo ułożonymi deskami. Na rozbitych uliczkach wiecznie zalegała śmierdząca, brudna woda – skutek nieremontowanej przez lata, nadwątlonej czasem i zniszczonej lokalnymi kłeskami kanalizacji.

Jednak nawet teraz w Jarvaku dało się odnaleźć przebłyski dawnego przepychu, chociaż dziś wyglądały już tylko jak ostatki powybijanych zębów w szczękach uliczników. Zaliczała się do nich między innymi Kamienica – z zewnątrz był to kolejny okaleczony pałacyk, pozostałość po czasach, kiedy na ulicach Hausenberga nie było samowolki i przy władzy stali Ludzie Nocy. Fronton tego niegdyś imponującego budynku specyliły puste futryny, murowane

ściany poznaczone były skrzepami zaschniętej zaprawy, a wejście zabite stalową płytą.

Dla złodziei to Kamienica stanowiła prawdziwy symbol Hausenberga, jedną wielką grę pozorów, bo tak naprawdę wcale nie była zupełnie opuszczona. Wewnątrz starannie odczyszczone korytarze prowadziły do kilkunastu pokoi. Niemal wszystkie umeblowano w ten sam sposób: stały w nich poustawiane w rzędach łóżka, niczym w przygotowanych do wojny miejskich koszarach. W samej Kamienicy przez cały czas mieszkało przynajmniej kilka osób, w większości pełniących funkcję strażników. Sercem budynku było odgródzone masywnymi drzwiami pomieszczenie, przed którym zawsze stało dwóch silnorękich. Wewnątrz rezydował samozwańczy przywódca.

Siedział w pokoju, w którym kiedyś zapewne znajdował się wielki salon, obecnie służący za centrum misternie utkanej sieci powiązań. Naprzeciw wejścia wisiał szczegółowy plan Hausenberga, a w rogu umieszczono skromne łóżko. Podłogę pokrywał nowy, czysty dywan, jednak ściany były gołe i wciąż dało się na nich zauważyć prostokątne ślady po wiszących tu przez lata obrazach. Środek pokoju zajmowało drewniane biurko. Za nim siedział człowiek numer jeden. Właśnie odbierał raport od jednego ze swoich szpionów.

– Mówiłeś, że przychodzisz z czymś poważnym – powiedział Petr. – No, to nawijaj.

Stojący przed nim Flik miał twarz cwane go borsuka, z jednej strony na swój sposób pocziwą, z drugiej było w niej coś, co świadczyło o niemałym sprycie. I taki też był sam Flik – na pozór łagodny, lecz wciąż pozostawał drapieżnikiem, w dodatku takim, który zna każdą norę. Petr cenił w nim jeszcze jedną, o wiele ważniejszą cechę: szpion był absolutnie lojalny, chociaż Petr nie łudził się, że powodem jest coś innego niż wysoce rozwinięty instynkt przetrwania. Gość po prostu dobrze wyczuwał, z kim w tej chwili opłaca się trzymać.

– Gada się, że ma do nas przyjechać ktoś poważny – zaraportował szybko Flik. – Rekin, i to gruby. Bardzo gruby.

– Konkrety – mruknął złodziej i ponaglił szpiona gestem dłoni. – Co dokładnie wiesz?

– Wiadomość przyszła z otoczenia Profesora – odpowiedział mu szpion i zawiesił głos. Chciał w ten sposób podkreślić jej wagę. Mało kto był w stanie dowiedzieć się czegokolwiek, jeżeli chodziło o starego szulera. Petr

nie wiedział, jakim cudem Flikowi udało się dostać taki cynk, ale był pewien, że zdobycie go kosztowało niemało trudu i ryzyka. – Starał się o audiencję. Nie mam nazwiska, ale to ktoś spoza miasta. Nikt nie zna szczegółów, po części dlatego, że to nie nasz. Nie wiadomo, po co przyjechał. Może będą hazardować.

Nie będą, pomyślał Petr, lecz nie powiedział tego głośno. Stary szuler się wycofywał. Przestał przyjmować gości, nie brał udziału w karcianych ustawkach i zaszył się w swojej rezydencji niczym w jakiejś twierdzy. Była to pilnie strzeżona tajemnica, o której wiedziało w mieście tylko kilka osób. Gdyby złodziej miał zgadywać, to konkretnie cztery osoby – Profesor, jego najbliższy doradca Jules, Slava, no i Petr.

– Dowiesz się więcej – rozkazał Flikowi. – Sprawa na pewno ma jakieś drugie dno. A jak już jesteśmy przy drugich dnach... Masz coś jeszcze na temat Franza?

– Ulice są suche, nikt się nie rozpruł. Wiadomo tylko, że wcześniej był w Hrabinie, ale wszyscy widzieli, jak wychodzi. Zachowywał się jak zawsze: jakby był nietykalny, ale nie musiał tego pokazywać.

– Wirka był naprawdę dobry... Niełatwo było go sprzątnąć.

Petr chciał zapytać, czy ktoś nie szedł za Franzem, nie śledził go, ale wiedział, że Flik na pewno to sprawdził i gdyby tylko miał taką informację, to sprzedałby mu ją bez zbędnych pytań.

– Dziękuję, Flik, to już wszystko – odpowiedział w końcu. – Bardzo dobra robota.

Petr położył na blacie przygotowany wcześniej zwitek banknotów. Z szuflady wyciągnął jeszcze jeden, znacznie mniejszy, i dołożył do leżących na biurku pieniędzy. Za informację o Profesorze Flikowi należał się dodatek. Człowiek o twarzy borsuka zgarnął swoją zapłatę, ukłonił się niezdarnie i wyszedł bez słowa.

Petr odwrócił się do naszpikowanego różnymi znacznikami planu Hausenberga. Przez chwilę spoglądał na niego w milczeniu.

Być może już niedługo będzie musiał przełożyć kilka z tych znaczników. Ich kolory przyporządkowane były Rekinom i oznaczały wpływy w mieście. Przy prawym górnym rogu planu ziała widoczna pustka, dokładnie w miejscu, gdzie stała Kamienica.

Pierwszy pomiędzy złodziejami nieprzypadkowo wybrał na swoją siedzibę akurat Jarvak. Ta dzielnica była ostatnią pamiątką po Starym Hausenbergu, po czasach, w których ulice wyglądały zupełnie inaczej. Miasto dzieliło pomiędzy

siebie kilka gangów, noszących wtedy miano klik. Klika Maczet, klika Rosomaków, klika Dymu. Nosiło się barwy, kto ich nie miał, szedł do piachu. A nad tym wszystkim zawsze stali Ludzie. Hausenberg oplatały sieci niby-feudalnych zależności. Wasale płacili swoim zwierzchnikom trybut za pomocą szybkich pięści, zuchwałych napadów i bezwzględności, tymczasem ich seniorzy wynieśli się z ulic, by zamieszkać w ogromnych posiadłościach, przypominających bardziej pałace niż wille. Jeden obok drugiego, jak bogowie-władcy przestępstwa w dzielnicy wisielczych świątyń – w Jarvaku. Każdy chroniony przez armię wyznawców uzbrojoną w noże, pałki, a przede wszystkim w ślepe oddanie i zupełny brak skrupułów.

Paradoks potęgi, tak w myślach nazywał ową sytuację Petr: kiedy obok siebie przebywają siły tak potężne, że trzymają się nawzajem w szachu, a każdy wrogi ruch byłby popchnięciem pierwszej kostki domina, która upadając, przewróci następną. Posypałyby się wszystkie, jedna za drugą, pociągając za sobą dziesiątki ludzkich głów nagle zerwanych z karków. Dlatego zamiast walczyć, kliki trwały obok siebie, rosnąc w siłę. Kradnąc, mordując i oszukując. Słabi dla silnych, silni dla silniejszych, silniejsi dla potężnych.

Stary Hausenberg i jego układy trzymały się latami. Aż pewnego dnia ktoś trącił tę zasraną kostkę domina.

Rozpoczął Noce Łowów.

Po nich z Jarvaku zostały tylko rozpadające się pałacyki. Przez niemal dwadzieścia lat po Nocach ocalali z masakry konsekwentnie dbali, by nikt nie odnowił starych kamienic. By już zawsze w tym miejscu leżały powoli obracające się w proch zwłoki dawnej potęgi. Ktokolwiek próbował wskrzesić Jarvak, umierał tak szybko, że nawet nie był w stanie się zorientować, co w niego uderzyło. Ludzie Nocy nie żartowali – Stary Hausenberg musiał umrzeć.

Petr zakołysał się na krześle, przywołując w pamięci rozkład sił w Starym Hausenbergu. Był zbyt młody, by dobrze pamiętać tamte czasy, ale śledził historię miasta od lat. Chciał je znać lepiej niż ktokolwiek. Zajrzeć w jego duszę. Często ironicznie porównywał Hausenberg do dziwki, która przez lata spełnia wszystkie marzenia, słucha o lękach i planach i pozwala położyć głowę na swej piersi... lecz w najmniej oczekiwanym momencie zdradzi, sprzeda temu, kto więcej zapłaci. Mimo to był jej wierny. Na swój zepsuty sposób myślał, że ją kocha.

Teraz był zadowolony. Wszystko wskazywało na to, że mozolne badanie

historii Hausenberga wreszcie się do czegoś przyda. Sporo ryzykował, ale stawka była cholernie wysoka.

Gottenhoff przez całą noc nie zmrużył oka. Pracował jak szalony, przy świetle astralitowej lampy tworząc listę komponentów mających posłużyć do produkcji tego dziwnego urządzenia, które kilkanaście godzin wcześniej przyniósł Faugen. Było to podwójnie trudne, bo chociaż inwestor dysponował prototypem, brakowało do niego specyfikacji i Gottenhoff musiał osobiście zdecydować, jakich materiałów użyć do wykonania konkretnych części. Jego warsztat był wprawdzie wyposażony w większość ze zwyczajowo wykorzystywanych śrub, płaskowników, rurek i profili, lecz wszystkie one odlane były ze standardowych materiałów. Tymczasem wynalazek przyniesiony przez Faugena wymagał zastosowania części ze stopów przygotowywanych na specjalne zlecenie i nierzadko bardzo trudnych do zdobycia. Na szczęście Gottenhoff znał odpowiednich ludzi.

Kiedy zbliżał się poranek, lista była prawie gotowa. Nie wiadomo który już raz, inżynier zerknął na wykonany naprędce podczas wizyty Faugena projekt i westchnął ciężko. Chciałby móc rozebrać ten jego prototyp na części pierwsze, a później na bieżąco porównywać z nimi efekty swojej pracy. Faugen się jednak nie zgodził. Położył prototyp na stole, po czym kazał rysować. W tym czasie siedział w pracowni i nie przestając zerkać inżynierowi przez ramię, czekał, aż ten dokona niezbędnych pomiarów i naszkicuje wstępne schematy. Na koniec pokazał mu jeszcze dziwne astralitowe stożki, wyjaśniając ich znaczenie w całym projekcie. A potem zabrał to wszystko ze sobą i wyszedł.

Większość znanych Gottenhoffowi mechaników nie potrafiłaby tak pracować, ale on był pewny swego. Wiedział, że nie tylko wiernie odwzorował projekt, lecz nawet udało mu się dokonać w nim pewnych usprawnień. Ojciec zawsze mu powtarzał, że inżynier musi pozostawiać po sobie jakiś charakterystyczny ślad, znak firmowy, bo inaczej jest to tylko tania fuszerka. Gottenhoff był zadowolony i czuł, że odwalił kawał dobrej roboty. Sięgnął po niewielką pinezkę i przypiął pokreśloną listę zaraz obok projektu, by po raz ostatni krok po kroku sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

Na pierwszy ogień szła obudowa dziwnego urządzenia. Musiała zostać wykonana z wytrzymałego metalu, który będzie jednak na tyle lekki, by umożliwić noszenie sprzętu przy sobie. Przedmiot w kształcie przekręconej

litery L musiał mieścić się w dłoni, mieć wyprofilowany uchwyt i mechanizm spustowy pod palcem wskazującym. W środku wydrążonej rączki Heinrich planował wmontować niewielki magazynek sprężynowy, w którym można będzie schować aż do dziesięciu dziwnych astralitowych stożków. Magazynka nie było w oryginalnym projekcie i to właśnie on miał posłużyć za jego znak firmowy. Samą rękojeść postanowił wyprofilować z lekkiego metalu, a następnie oprawić w okładziny z drewna. Do tego wszystkiego planował doczepić wydrążoną rurę. W tym wypadku konieczne było użycie stopu cięższego i odpornego na tyle, by wytrzymał niewielką eksplozję.

No właśnie, eksplozję, pomyślał Gottenhoff. Doszedł wreszcie do najtrudniejszej części – tej, w której mechanika, królowa nauk, łączyła się z diabelskimi arkanami alchemii i która czyniła wynalazek jednocześnie genialnym i fatalnie niebezpiecznym.

Nad lufą, niczym wielkie jajo, miało zostać doczepione naczynie wypełnione alchemicznym płynem. Należało wykonać je z nadzwyczaj odpornego szkła wzmocnionego luneitowym polimerem, bowiem pojemnik miał być narażony na potężne wstrząsy. Naczynie przytrzymywał miniaturowy stelaż zbudowany z szeregu metalowych osłon ułożonych na wzór ludzkich żeber. One z kolei musiały być wykonane z metalu jednocześnie wytrzymałego i sprężystego, by nie tylko osłonić szkło, ale również zamortyzować impet uderzenia.

Wyglądało na to, że konfiguracja była optymalna. Teraz wystarczyło złożyć prototyp i przystąpić do testów. Niestety, Faugen odmówił zostawienia Gottenhoffowi próbki mikstury napędzającej stożki. Należało wlać ją do górnego naczynia i nacisnąć mechanizm spustowy. Wtedy przymocowany do stelaża dozownik miał odprowadzić precyzyjnie odmierzoną kroplę aż do komory spustowej, a konkretnie do jednego z astralitowych stożków. Nastąpiłaby niewielka eksplozja i stożek z ogromną prędkością wyleciałby przez lufę. To zwolniłoby też sprężynę magazynku, która od razu umieszczałaby w komorze kolejny stożek.

Inżynier aż zacmokał. To było arcydzieło.

Uznał pracę za zakończoną i starannie przepisał listę, po czym umieścił ją w kopercie oznaczonej herbem pracowni Gottenhoffów. Teraz wystarczyło wysłać umyślnego i czekać na materiały. W ten sposób najpóźniej za dwa dni będzie mógł zacząć budowę swojego prototypu.

Za oknem świtało. W Hausenbergu zaczynał się nowy dzień.

Zaglądał przez rozsunięte zasłony promienie słońca obudziły Slavę nie tak całkiem już rano. Przeciągnął się, z żalem spoglądając na wygniecione miejsce, w którym jeszcze kilka godzin temu leżało nagie ciało Camilli. Tancerki nie było już w mieszkaniu. Chociaż zwykle wylegiwała się do późna, to podczas tygodni poprzedzających premierę musiała pojawiać się w teatrze już z samego rana.

Wyplątał się z pościeli i przeszedł do pokoju dziennego. Na stole znalazł na wpół pełną filiżankę kawy. Na rancie naczynia dojrzał odbity czerwony ślad. Uśmiechnął się na myśl o ustach tancerki i upił spory łyk. Kawa była zimna i strasznie słodka.

Trochę obudzony wrócił do sypialni. Opłukując się w balii stojącej pod ścianą, zastanawiał się, co robić dalej. Kilka spraw bezwzględnie należało przemyśleć. Wytarł twarz ręcznikiem, uważając przy tym, by nie naruszyć żadnej z pamiątek po poprzednim wieczorze. Zadrapania się już zasklepiły, za to siniaki dopiero zaczynały dojrzewać. Boleć będzie jeszcze długo. Nie miał ostatnio szczęścia.

Wszystko się wczoraj zesrało. I nie chodziło tylko o te głupią sprawę z Divardem. Zaczęło się już wcześniej, jeszcze w rezydencji Profesora.

– Wykluczone – powiedział stary szuler, siedząc w swoim ulubionym fotelu. – Udział w bankiecie to za duże ryzyko.

Premierowy bankiet Wielkiego Teatru Hausenberga odbywał się co roku, z okazji wystawienia nowej opery. Dostać się na niego można było jedynie dzięki zaproszeniu, którego zdobycie dla większości ludzi graniczyło z niemożliwością. Poszło o bankiet.

– Profesorze – odpowiedział mu wtedy Slava – przecież sam mówiłeś, że w czasie przyjęcia nie rozgrywa się gier o wysokie stawki i że podczas bankietu można się jedynie pokazać, zaznaczyć swoją obecność. A przede wszystkim mówiłeś, że będzie tam każdy, kto liczy się w mieście. To idealna okazja!

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – odparł mentor. – Podczas bankietu jednocześnie się gra i w ogóle się nie gra. Będąc tam i nic nie robiąc, można tak samo bardzo wiele zyskać, jak i wszystko stracić. Nie, nie przerywaj mi. Nie mam do ciebie pretensji o to, że wbrew moim zakazom siadasz do gry, bo do tej pory zawsze spadałeś na cztery łapy. Tym razem jednak musisz mi zaufać. Jesteś zdolny, szybko myślisz i szybko reagujesz, lecz czasami ten atut cię gubi. Działasz pochopnie i nerwowo. Jak amator. Do tej pory ratowało cię to, że grałeś przeciwko jeszcze większym amatorom, ale Rekiny ci nie

odpuszczą. Zauważą najmniejszy błąd, a potem wykorzystają go przeciwko tobie.

Po tym zdaniu Slava powinien był się zastanowić. Powinien był rozegrać to mądrze i dyplomatycznie. Powinien był.

– Wiesz, co myślę? – wysyczał do Profesora. – Że to jest gadanie starego pierdziela. Jestem lepszy niż połowa tych twoich Rekinów. Mógłbym się z nimi do stołu i tasować jak równy z równym. I wiesz co? Wygrałbym! Porobiłbym ich, jakby dopiero co nauczyli się tasować, i nic nie mogliby na to poradzić! Siedzieliby tam i patrzyli, jak „amator” zabiera ich pieniądze i szacunek.

Stary szuler nawet nie mrugnął, nawet się nie skrzywił. Siedział tylko z wciąż tym samym nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Slava pamiętał jednak, jaką minę miał Jules, prawa ręka Profesora i jego najbliższy doradca. Zbladł, a z jego oczu bił dziwny żal, podobny do tego, który rodzi się po utracie kogoś bliskiego. Slava był pewien, że trzęsły mu się dłonie.

– Moja decyzja jest ostateczna – odpowiedział spokojny jak zawsze Profesor.

A Slava trzasnął drzwiami. Wyszedł z rezydencji tak, jak stał.

Ale się zesrało, pomyślał, zakładając wczorajszą, lekko wymiętą koszulę, a na nią niewiele lepszą marynarkę. Spojrzał na siebie krytycznym wzrokiem i pokręcił głową. No cóż, na razie będą musiały wystarczyć.

Wychodząc z mieszkania Camilli, zamknął drzwi na klucz, który z kolei zakopał w pękatej donicy stojącej w korytarzu. Był to dziwny, pusty rytuał. Kiedy tu wróci, klucz dalej będzie spoczywał pod niewielką warstewką ziemi. Zawsze tak robił, kiedy wracał do rezydencji Profesora. Tym razem jednak nie miał zamiaru iść do domu. To nie był już jego dom. Te kilka nocy pomieszka z Camillą, posłucha Petra i zejdzie nisko. A potem sobie coś znajdzie. Po Bankiecie, kiedy wszyscy się dowiedzą, że w mieście jest nowy gracz.

Restauracja Wesoły Kucharzyna znajdowała się na pograniczu Valorii i Gislaku, gdzieś przy przejściu pomiędzy światem nocy a interesami dnia. Siłą rzeczy spotkać tam można było zarówno szanowanych finansistów, którzy po prostu lubili dobrze zjeść, jak i mniej uczciwych interesantów, szukających w lokalu czegoś więcej poza jedzeniem. Petr często bywał w Kucharzynie, gdyż karmili naprawdę nieźle, a poza tym obserwacja tutejszych gości dawała dobry obraz tego, co dzieje się w mieście.

Dzisiaj również nie przyszedł tu jeść, lecz w sprawach znacznie poważniejszych. Umówił się na spotkanie z Nikodemusem Provostem, bankierem Rekinów. Na zlecenie baronów podziemia Provost inwestował w patenty, kupował i sprzedawał waluty, handlował sztuką oraz nieruchomościami. Słowem, robił wszystko, by uzbieranych pieniędzy było za kilka lat jeszcze trochę więcej. Petr przez cały czas zastanawiał się, czy miasto tak bezgranicznie Nikodemusowi ufa, czy po prostu zdaje sobie sprawę, że jeżeli jego zabraknie, to wszyscy wylądują w równie głębokiej dupie.

– Widzisz, Petr – odezwał się Niko, wycierając usta rąbkiem serwetki. Skończył właśnie sute śniadanie, które obfitością przewyższało niejeden obiad. – Wszystko jest na właściwym miejscu: najpierw odpowiedni posiłek, a teraz możemy porozmawiać o interesach.

Złodziej przez cały czas bardzo uważnie obserwował Nikodemusa, dokładając drobne szczegóły do już zebranej na jego temat wiedzy. Chociaż Provost sprawiał wrażenie beztroskiego sybaryty, to pod tą manierą był czujny i diabelnie błyskotliwy. Mówiło się, że rzadko mylił się w kwestii pieniędzy i mądrze nimi obracał. Przed rozmową Petr postanowił to sprawdzić i rzeczywiście, wszyscy, którzy zdecydowali się zawrzeć układ z Provostem, wyszli na tym ze sporym zyskiem. Bankier zaś zachłannie czerpał z uroków życia. Jadał w najdroższych restauracjach, nosił eleganckie garnitury i mieszkał wyłącznie w hotelach. Był wprawdzie właścicielem dwóch czy trzech kamienic, ale wolał luksusowe apartamenty, które zmieniał, gdy tylko znudził mu się widok z okna. Był zachłanny, ale też sprytny. Petr dobrze wiedział, że to doświadczony i niebezpieczny gracz. Należało grać z nim mądrze.

Na stole przed nimi leżał srebrny półmisek z sosem musztardowo-winnym, w którym jeszcze chwilę temu pływały spore kawałki duszonej cielęciny. Obok stała też miska z samotnym młodym ziemniakiem obficie posypanym ziołami oraz zupełnie pusta salaterka po burakach z chrzanem. Provost zjadł wszystko niemalże sam, popijając to jeszcze butelką wina. Co zadziwiające, wcale nie wyglądał na przejedzonego.

– Jeszcze, jakżeby inaczej, kawusia. – Niko skinął na przechodzącego nieopodal kelnera, unosząc dwa palce. Czarny napar pojawił się tak szybko, jakby czekał już wcześniej przygotowany. Widać dobrze znali tutaj jego zwyczaje. – O tak, nie ma dobrego posiłku bez odpowiednio zaparzonej, mocnej kawy na koniec.

Petr nawet nie spojrzał w kierunku swojej filiżanki. Nie trawił tych

wszystkich umizgów i czekał, aż Provost skończy się wygłupiać. W końcu bankier poklepał się po brzuchu, a porcelana cicho stuknęła o spodek.

– No dobrze, koniec tych przyjemności – podsumował wreszcie. – Jaki masz do mnie interes?

Petr pochylił się nad stołem, przesuając na bok swój talerz z niemal nietkniętym kawałkiem cielęciny. Spozrzegł, że oczy Nikodemusa na krótki moment uciekają w stronę soczystego mięsa.

Dobrze, pomyślał złodziej, jest głodny, bardzo głodny. Ciągłe tylko chciał więcej i więcej. To świetnie wróżyło, zwłaszcza w świetle tego, o czym za chwilę mieli rozmawiać.

– Jest interes do ubicia – zaczął Petr. – Gruby, poważny interes dla poważnych ludzi.

Usta bankiera rozciągnęły się w lekko pobłażliwym uśmiechu. Złodziej wiedział, że w jego oczach znaczy niewiele. W końcu był tylko jednym z pomniejszych rozgrywających, podczas gdy Provost pracował niemal wyłącznie z Rekinami i praktycznie nie zniżał się do poziomu ulicy. Zapewne mocno się starał, żeby teraz nie parsknąć śmiechem. Jednak Petr dobrze wiedział, że już za parę chwil Nikodemusowi zupełnie nie będzie do śmiechu.

– Słucham uważnie – odparł Provost uprzejmie i podkreślił czernionego wąsa. Nie przestawał się przy tym uśmiechać, chociaż nie pozwolił sobie na otwartą drwinę. Zachowywał się dokładnie tak, jak Petr się spodziewał. Jakby kierował nim precyzyjnie kalkulujący instynkt przetrwania. Nikogo nie lekceważył, bo nigdy nie było wiadomo, czy za kilka tygodni jego klienci nie przejdą na przyspieszoną emeryturę. – Powiedz mi, Niko... ile trzeba, żeby cię kupić?

Provost właśnie upijał kolejny łyk kawy i usłyszawszy pytanie, niemal się zakrztusił.

– Co... co proszę? – zapytał niepewnie.

– Ile kosztuje król hausenberskiego pieniądza? – powtórzył powoli Petr. – Nie rób takiej miny, dobrze wiem, że jesteś na sprzedaż. Każdy jest. Trzeba tylko uzgodnić cenę.

– Nawet pomijając bezczelność twojego pytania, nie mogę na nie odpowiedzieć. Wiesz dlaczego, Petr? Bo żaden ze mnie król. – Provost zakręcił w filiżance pozostałym naparem i wciągnął powietrze, jakby degustował dojrzałe wino. – Jestem tylko skromnym finansistą, nikim i niczym nie rządę. Przelewam z jednego naczynia do drugiego z nadzieją, że czasami uda mi się oszukać miarkę. Moi klienci o tym wiedzą. Po prostu dbam o to,

żeby szklanka zamiast być w połowie pusta, zawsze była w połowie pełna. I nigdy, ale to nigdy nie zawieram sojuszy. Myślałem, że to oczywiste.

Tego złodziej też się spodziewał. Niko bardzo dbał o to, by postrzegano go jako absolutnie neutralnego. By było wiadomo, że może do niego przyjść każdy, bez względu na to, jakie obecnie układy panowały w mieście. To dawało mu o wiele większe pole manewru oraz pewność, że usunięcie go będzie równie bolesne dla wszystkich. Po części tylko dlatego spotkał się z Petrem – chciał utrzymać swój wizerunek. Był jak pajak, którego sieci oplatały niemal każdy zakątek Hausenberga. Petr jednak wiedział, jak przejść przez precyzyjnie utkaną pajęczynę.

Uśmiechnął się do bankiera, ale jego oczy pozostały zimne.

– W takim razie przepraszam, najwidoczniej się pomyliłem... – Teatralnie urwał w pół zdania. – Ale, zaraz, zaraz, niech no sobie przypomnę... Czy zupełnym przypadkiem, kilkanaście lat temu, w Starym Hausenbergu, jeszcze zanim swoje finanse powierzyli mu Ralf Fersl, Kraven Sakle, a nawet sam stary Louis... Czy przypadkiem wtedy zaradny Niko Provost nie sprzedał wszystkich po równo? Kiedy tylko zorientował się, co stanie się już za chwilę, opłacił potajemnie wszystkie kliki jednocześnie? I kiedy doszło do Nocy Łowów, a oni wyrzynali się na ulicach, jako jedyny spał sobie spokojnie w ciepłym łóżeczku poza granicami Jarvaku? A wszyscy do dzisiaj myślą, że to był tylko przykry przypadek. Niech to bładź, musiałem się umówić nie z tym gościem, co trzeba.

– Milcz, złodziejskie ścierwo. – Provost odłożył filiżankę z takim impetem, że goście z sąsiednich stolików aż spojrzeli w jego kierunku. Odczekał, aż wrócą do swoich spraw, i zaczął mówić przez zaciśnięte zęby. – Skąd to wiesz? A zresztą, nieważne... Jebany doliniarzu gównem usmarowany, nie wiesz nawet, z kim zadarłeś.

– Spokojnie, Niko, złość piękności szkodzi.

– Już jesteś trupem. Wypatroszą cię, zanim zdążysz...

– Grzeczniej, Provost – przerwał mu Petr. – Przyszedłem tutaj zaproponować ci interes, a nie słuchać, jak mnie obrażasz. Jeszcze jedno słowo i przybiję cię do tego stołu twoim własnym widelcem.

Niko drgnął niespokojnie i zaczął miętosić wąsa. Bez względu na to, ilu ludzi w Hausenbergu było w stanie zaoferować mu ochronę, musiał jeszcze wyjść z Kucharzyny żywy i dobrze o tym wiedział. Słyszał też, co Petr potrafi zrobić z nożem, i wcale nie chciał sprawdzać, ile jest w tym prawdy.

– Po tym, co usłyszałem, wątpię, byś był w stanie mnie przekonać do

czegokolwiek. Na ulicy możesz sobie wymachiwać złodziejską fujarą na lewo i prawo, ale Rekiny i tak mają większego. – Provost nieoczekiwanie się rozluźnił, sprawiał wrażenie wręcz spokojnego. Z powrotem wygodnie rozparł się na krześle. – Wiesz co? Dopóki jeszcze nie jest za późno, dam ci radę. Zapomnij, że cokolwiek planowałeś, i udajmy, że tej rozmowy nie było. Pójdę ci na rękę i w ramach dobrej woli nikomu o niej nie powiem. Co ty na to?

Petr bezceremonialnie grzebał w talerzu srebrnym widelcem. W końcu wbił go w nietknięty płat cielęciny i parsknął śmiechem.

– Nie do wiary, ty naprawdę jesteś tylko psem na smyczy Rekinów. A miałem cię za kogoś z jajami.

– Wszyscy jesteście – prychnął bankier. – Oni rządzą tym miastem, rządzą tobą, rządzą mną. Lepiej się z tym pogódź, bo nic innego nie możesz zrobić.

– A co jeśli jest wprost przeciwnie? Co jeżeli mogę zdjąć z ciebie Rekinów, tak że już nigdy więcej nie będziesz musiał się bać, że ktoś się dowie, co zrobiłeś podczas Nocy Łowów? Dobrze wiesz, że jeżeli by się dowiedzieli, to nie przetrwałbyś tygodnia. Tam ginęli ich przyjaciele. Upadały potęgi.

– Jesteś szalony. Od tego chodzenia wśród smrodu ulic już całkiem ci się w głowie posrało.

– Zapomniałbym jeszcze o jednym. Mogę uczynić cię nie tylko wolnym, ale też bogatym. Obrzydliwie bogatym.

Nagle Provost zawahał się i zamilkł. Udało się, połknął haczyk. Petr wiedział, że teraz pozostaje tylko czekać.

– Założmy... – podjął Provost – założmy, że na chwilę stanę się równie szalony jak ty i uwierzę, że jesteś w stanie stanąć przeciwko Rekinom... Jak chcesz tego dokonać?

– Miasto już nie chce być niczyje. Na oczach wszystkich rodzi się nowa siła, która tylko czeka, aż ktoś poderwie ją do walki.

– Co to za nowa siła?

– Bandytierka. Wystarczy tylko się nią zaopiekować.

– Zaopiekować? Dobrze wiesz, że w mieście nie ma już miejsca na jakąkolwiek organizację. Ich czas skończył się wraz ze Starym Hausenbergiem. A kiedy była jeszcze jakaś prawdziwa złodziejska władza, to trzymały ją Rekiny. Nie zastanawiało cię nigdy, z jakiego powodu rezygnuje się z takiej mocy? Jesteś za młody, żeby to pamiętać, ale Hausenberg prawie poszedł z dymem. Wielu ludzi się nami interesowało, plotka głosiła, że sam król przeprowadzi czystki. Jednak zanim zdążył, kliki odwaliły całą robotę

i pozabijały się nawzajem. Dlatego jest, jak jest. I tak pozostanie.

– To było lata temu, Niko – odparł Petr. – Idzie nowe, a wraz z nim koniec ciepłego kurwidołka. Właściciele kompanii alchemicznych jeden po drugim otwierają w Hausenbergu kolejne fabryki. Jeszcze chwila, a sprowadzą tutaj swoje prywatne armie. Jeszcze tydzień, miesiąc, może rok i będą równie mocni jak my. Będą chcieli robić interesy, tyle że bandytierka nie potrafi negocjować, zamiast tego sięga po noże. Z tego będzie wojna, dużo gorsza niż Noce Łowów. Poleje się więcej krwi, niż Hausenberg kiedykolwiek widział.

– Przesadzasz...

– Przesadzam? Wczoraj poszła w piach kolejna fabryka i wszyscy, którzy w niej pracowali, znaleźli się na bruku. Nie mają pracy i nie mają pieniędzy. Wiesz, do czego jest w stanie posunąć się głodny człowiek? A taki, któremu do tego marzną dzieci? Bierze pierwsze pod ręką, najłatwiejsze wyjście. Bandyckie wyjście. Co będzie, kiedy okaże się, że już nie tylko Jarvak stoi w płomieniach, ale również Gislak? I Salin, i Valoria? Co zrobicie, ty i reszta bogatych pajaców? Załamiecie ręce, mówiąc, że wszystko się zesrało?

– Nigdy nie ruszycie Valorii.

Petr splótł ręce na piersi. Pozwolił, by cisza odpowiedziała za niego.

– Nigdy nie ruszycie Valorii... – powtórzył Niko i zasepił się. Wylał na obrus ostatnią kropelkę kawy i rozsmarował ją, tworząc dziwną, nieokreśloną kaligrafię. Czarna smuga szybko wsiąknęła w śnieżnobiały materiał.

Petr mu nie przerywał. Wiedział, że od decyzji bankiera zależeć będzie życie bardzo wielu ludzi.

– No dobrze... Załóżmy, że masz rację – odezwał się wreszcie Provost. Był spokojny, rzeczowy i chłodny. Widać było, że odzyskał rezon i zaczął kalkulować. – Załóżmy, że w najbliższych... tygodniach? Miesiącach? Dobrze, raczej tygodniach. Załóżmy, że Hausenbergowi grozi rewolta bandytów, kiedy postępie sięgnie za daleko. Gdzie w tym wszystkim jesteś ty i co to konkretnie za propozycja? Jak chcesz zatrzymać kompanie alchemiczne? Wytłuczesz ich niczym robaki? A przede wszystkim, co zrobisz, żeby na tym wszystkim zarobić?

Złodziej uśmiechnął się paskudnie.

– Zrobię to samo, co ty przed laty. Wywołam wojnę.

Provost wybałuszył oczy jak wielka, wąsata ryba niespodziewanie wyciągnięta nad powierzchnię wody.

– Ty jednak oszalałeś – wyjąkał.

– Może, ale niedługo zarażę tym szaleństwem połowę miasta. Kiedy ulice

ruszą do walki, Rekiny natychmiast spróbują zapobiec katastrofie. Dobrze wiesz, jak działa to od czasów Starego Hausenberga. Ten ma ludzi, kto ma pieniądze. A że wszyscy mają mniej więcej po równo, to tkwimy w stanie równowagi. Nie ma już organizacji. Pewnie, niektórzy opłacają silnorekich na własny użytek, ale ich jest tylko kilku i nie mają większego znaczenia. Na mocy układu zawartego po Nocach Łowów Rekiny wspólnie przeciwdziałają zagrożeniom. Sięgają po pieniądze i razem płacą za załatwienie sprawy. Teraz będą chciały zrobić dokładnie to samo. Każdy dołoży trochę do wspólnej kiesy i spróbują stworzyć małą armię, która będzie miała za zadanie stłumić bunt. Pewnie w końcu im się to uda, chociaż kosztem długiej walki, która przyniosłaby tylko straty. Tak im, jak i tobie.

Bankier milczał, złodziej mówił.

– Chyba że – ciągnął dalej – ktoś im w tym przeszkodzi. Tym kimś będziesz ty.

– Ja?

– A kto trzyma pieniądze Rekinów? Żeby prowadzić wojnę, potrzeba pieniędzy. Dużych pieniędzy. A te trzyma Nikodemus Provost. Dlatego potrzebuję, żeby zniknęły. Nie na długo, tydzień powinien wystarczyć.

– Zaraz... I to wszystko? Przez tydzień mam udawać, że straciłem płynność finansową. Zamrozić aktywa?

– Na piękne oczy żaden porządny zabójca nawet nie pomyśli o ruszaniu tyłka do Hausenberga. Już ja zadbam, by ulice były w takim rozbiciu, że wśród miejscowych też braknie chętnych. Poza tym mogę potrzebować trochę grosza na swoje operacje, ale nie martw się, na tyle niedużo, że nikt nie zauważy. Zanim minie siedem dni, nie będziesz musiał się też martwić żadnymi tłumaczeniami, bo nie będzie komu się tłumaczyć.

– A co z tymi, do których pieniędzy nie mam dostępu?

– Poradzę sobie z nimi.

– No dobrze, a co ja będę z tego wszystkiego miał?

– Jedną trzecią tego, czym teraz obracasz. Na własny użytek.

– Jedną trzecią. A reszta?

– Resztę przeznaczymy na fundusz dla sierot. – Ton Petra nie pozostawiał miejsca na negocjacje. – Sierot po tym, jak połowa tego miasta pójdzie w piach.

Provost zamyślił się, a Petr pozwolił, by bankier wszystko sobie dokładnie przetrawił. Jak nie przymierzając, zeżarte przed chwilą śniadanie. Wiedział, że Niko tylko udaje, bo tak naprawdę nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji.

Znał plany Petra, więc musiał się zgodzić lub szybko wynająć dobrego płatnego zabójcę.

– A jaką masz pewność, że zaraz po tej rozmowie nie wstanę od stołu i nie pójdę z tym dalej? Do Kravena chociażby?

Petr wiedział, że Provost blefuje. Gdyby chciał go odwalić, nigdy by mu tego nie powiedział. Wszystko układało się po jego myśli.

– Taką samą jak ty, że jeśli spróbujesz mnie zdradzić, jutro nie uda ci się obudzić żywym. Sprawdź mnie.

Provost nie odrywał wzroku od wysychającej już i coraz bardziej wyblakłej plamy po kawie. Tak samo jak ona, właśnie blaknął jego starannie wypracowany przez ostatnie lata spokój.

– Masz jedną dobę na podjęcie decyzji – podsumował Petr. – Ale sugerowałbym zrobić to szybciej. Nie musisz dawać mi odpowiedzi. Ja będę wiedział, że zaczęłeś działać.

– Kazałeś mnie śledzić?

Pytanie Provosta pozostało bez odpowiedzi. Petr wstał od stołu i powolnym krokiem ruszył w kierunku drzwi. Nie oglądał się za siebie

STARY HAUSENBERG, POPOŁUDNIE

Zza drzwi wychynęła twarz kobiety. Podkrążone oczy i zmęczona skóra zdradzały nieprzespane noce, ale było na niej widać coś jeszcze – jakby strach i rezygnacja odcisnęły na niej nieodwracalne już piętno. Kiedyś, być może wcale nie tak dawno temu, kobieta zapewne była bardzo piękna, lecz teraz wydawała się jedynie cieniem dawnej siebie. Bez słowa zmierzyła dwóch przybyszów pustym, wypranym z emocji spojrzeniem.

– Niech wejdą – odezwał się zza uchylonych drzwi męski głos.

Kobieta odsunęła się, robiąc miejsce dla gości i wpuszczając ich do przytulnej sieni. W mieszkaniu unosił się zapach niedawno ugotowanego obiadu, ale gdzieś spod niego przebijało coś mocniejszego, nieuchwytna aura obecności małego człowieka. Jakby powietrze utrzymywało w sobie śmiech, płacz, a nawet odgłos upadku po pierwszych krokach dziecka. W pokoju po lewej od wejścia rzeczywiście stało niewielkie łóżeczko, lecz mężczyźni skierowali się na prawo, do salonu.

Gospodarz już na nich czekał. Ubrany w garnitur z najdroższej importowanej wełny i koszulę z delikatnego jedwabiu rozluźniał zawiązany pod szyją krawat. Pomimo eleganckiego stroju sprawiał wrażenie wymemłanego. Zajmował fotel w niewielkim salonie i patrzył w okno. Słońce wpadało do pokoju przez rozsunięte rolety. Drugi taki sam fotel stał pusty.

– Wiedziałem, że to wy – zaczął bez powitania. – Tylko was dwóch wie, gdzie mnie znaleźć.

Nie czekając na zaproszenie, niższy z niezapowiedzianych gości przysunął sobie wolny fotel i usiadł naprzeciwko gospodarza. Wyższy zajął miejsce za oparciem, po prawej stronie fotela. Wyprostowany jak struna, dłonie trzymał splecione za plecami. Niższy ściągnął okulary w drucianych oprawkach i wsunął je do kieszeni koszuli. Pochylił się do przodu, wpatrując się w siedzącego naprzeciw mężczyznę.

Przez długą chwilę w pokoju panowała cisza.

– Podziało się na ostro, co? – odezwał się w końcu gospodarz. Potarł kark i się uśmiechnął, lecz jego oczy pozostały smutne. – Reki nie odpuszczają.

– To koniec – odparł ten siedzący w fotelu. – Tym razem nie ma wyjścia.

– Zawsze jest wyjście. Ty wiesz to najlepiej. Ty, który nigdy nie

przegrywasz, który masz moc odwracania kolei losu. Ty...

– Nie ma wyjścia – przerwał niewysoki. – Żadnego. Przykro mi.

Nagle huknęło, gdy w sąsiadującej z pokojem kuchni upadł garnek. Siedząca tam kobieta zaczęła szlochać. Po chwili dołączyło do niej dziecko. Płakali razem, dopóki matka nie podeszła do łóżeczka utulić syna przez łzy.

– Mnie... mnie też jest przykro. Widocznie tak już musi być.

Gospodarz niespodziewanie się uśmiechnął. W jego oczach zapaliła się niebezpieczna iskra.

– Ale musicie przyznać, zrobiłem ich wszystkich w wała! Nikt nigdy nie odwalił takiego numeru... – powiedział. –

Przynajmniej świat będzie pamiętać. Będą wiedzieć, będą mówić, a nieliczni spróbują się ze mną równać. A ja już zawsze będę największym z nich wszystkich. Dzisiaj jest mój dzień.

– Nikt nie będzie pamiętać – odezwał się tym razem ten wyższy. – Szuka cię całe miasto, nawet Rekiny wyszły na ulice. Dzisiaj zwołano dintojrę, cały Jarvak siedzi teraz w Hrabinie i ustala, co dalej. I wiesz, co ustali? Wszelki słuch po tobie zaginie. Zaginie, rozumiesz? Nikt nie będzie wiedział, co zrobiłeś i jak to zrobiłeś. Jak tylko cię znajdą, wciągną cię pod ziemię, dosłownie czy w przenośni, bez różnicy. Wszyscy, którzy byli zamieszani w sprawę, zginą. Tak samo jak twoi bliscy.

– To na was też polują.

– Nami się nie martw – odparł niższy. – Próbowali pytać, ale milczeliśmy. A ci, co próbowali także siły, już nie żyją.

Gospodarz nie pytał, spojrzał tylko na wyższego z gości. Za fotelem stał Robert Baudleir, nikomu dotąd nieznany, lecz prawdopodobnie najlepszy szermierz w tej części świata. Wprawny w nożu, szabli, potrafił też bić się pałką czy dwiema. Wielki tancerz, którego kroki pozostawiały po sobie ślady krwi.

Na krótką chwilę w oczach gospodarza zatliła się iskierka nadziei. Spojrzał kolejno na każdego z przybyszów, oni jednak pozostali niezłomni. Nie było dla niego ratunku, bo w przeciwnym wypadku tych dwóch dałoby radę go wyciągnąć. Razem wychodzili z każdego kłopotów. We trzech, zawsze we trzech, zanim...

– Miało być inaczej – powiedział w końcu.

– Inaczej? – zapytał niższy z mężczyzn. Wyciągnął okulary z kieszeni, przetarł je i z powrotem schował. – Co miało być inaczej? Mówiliśmy ci, że jak wejdiesz w ten numer, to po tobie. Dlatego ani ja, ani Robert nie braliśmy

w tym udziału. Nie słuchałeś, bo musiałeś im wszystkim udowodnić. Wszystkim.

Pochylił się do przodu i złapał gospodarza za koszulę, przyciągając go brutalnie do siebie.

– Nic nam nie powiedziałaś! – wykrzyczał mu w twarz. – Razem byśmy sobie poradzili, rozumiesz? Nie wiem jak... Jakoś. Ty sukinsynu! Byłeś najlepszy, kurwa, najlepszy! Masz, udław się tym!

Po ostatnich słowach cisnął mężczyznę na fotel. Oddychał głęboko, jakby z trudem powstrzymywał furję. Stojący za nim Baudleir położył mu na ramieniu dłoń. Niewysoki nie strząsnął jej, pokręcił tylko głową.

Gospodarz wyglądał na zakłopotanego. Zagryzł wargi i wygładził pomiętą koszulę.

– To... – zaczął. – Co teraz zrobimy?

Niższy milczał. Za to odezwał się stojący za fotelem zabójca.

– Umrzesz.

CZĘŚĆ II. LICYTACJA



HAUSENBERG DZIŚ, TYDZIEŃ PO NUMERZE Z DIVARDEM

Echo. Echo kroków. Unoszący się w powietrzu, niemal wyczuwalny, równy rytm wystukiwany obcasami. Slava szwendał się ulicami miasta już którąś godzinę. Był sam na sam z pustymi witrynami opuszczonych sklepów, z afiszami na murach, z echem odbijającym się od ścian kamienic. Tylko on i miasto.

Przy którymś wydechu z jego ust wyleciały kłęby dziwnej pary, zbyt gęstej jak na skroplone powietrze. Zwłaszcza że wcale nie robiło się chłodno. Slava szedł dalej, rozglądając się tępo za jakąś wskazówką, która mogłaby wytłumaczyć, co tu się dzieje. Zaglądał w ciemność okien, skrywał się w zaułkach, by zniecka wyjrzeć i zaskoczyć niczego niespodziewających się przechodniów. Pusto. Na chwilę przypadł do ziemi i nasłuchiwał kroków, odgłosu końskich kopyt zwiastujących nadjeżdżającą dorożkę. Bezskutecznie.

W pewnym momencie zaczął biec. Mijał kolejne kwartały, a fasady budynków zmieniały się z po prostu szarych na jasnoszare, ciemnoszare, brudnoszare. Astralitowe latarnie zamiast świecić, trwały zawieszony martwo w powietrzu. Otaczała je poświata emanująca z bezbarwnych chmur. Szarość, wszędzie szarość. Przystanął w miejscu. Teraz słyszał nawet krew płynącą mu w żyłach, a jego puls zdawał się wygrywać dziwną melodię szaleństwa, której nie wolno słuchać zbyt długo, bo można postradać zmysły.

Para buchająca z otwartych ust zabarwiła się na fioletowo, jeszcze bardziej zgęstniała. Kierowany dziwnym przeczuciem Slava odwrócił się. Stał na jednej z głównych ulic, ciągnącej się niemal przez całą długość Gislaku. Teraz droga wyglądała na jeszcze dłuższą, jakby nie miała końca. Gdzieś w oddali udało mu się dostrzec drobną sylwetkę, jakiś odcinający się na tle szarości punkt, który z każdym zamknięciem powiek znajdował się bliżej.

Cztery mrugnięcia później nieznajomy stał już na wyciągnięcie ręki. Jego twarz w dużej części zasłaniało spiczaste rondo nisko zsuniętego kapelusza. Slawie wydawało się, że w miejscu oczu mężczyzna ma dwie czarne plamy. Była to czerń tak głęboka, jakby pochłaniała światło zewsząd dookoła.

Nagle czas zwolnił. Nieznajomy wsunął dłoń za połę płaszcza. Wyciągnął wachlarz złożony z kart. Slava wiedział, że jeżeli ten wachlarz się rozsypie,

nie będzie już nadziei. Kościste palce rozwarły się i karty poszybowały w stronę ziemi. Spadały z wysoka, bardzo wysoka.

Otwarł usta w niedopowiedzianym krzyku. Na wpół wykrzyczany, a na wpół połknięty spazm poderwał go do góry.

Obudził się.

– Mmm... – Kołdra zsunęła się gdzieś na prawo, odklejając się od spoconego szulera. – Co się stało, książę? Miałeś zły sen?

Camilla podparła się na łokciu, spoglądając na niego z troską.

Zdezorientowany szuler rozejrzył się wokoło. Odetchnął głęboko raz i drugi, przetarł zaspane oczy. Był w łóżku, gdzieś pomiędzy obrazami. U Camilli. Jej mieszkanie urządził jakiś malarz, podobno bardzo znany, ale pod żadnym pozorem nie chciała zdradzić który. Wszystkie ściany oraz sporą część sufitu sypialni pokrył czymś, co wyglądało na niekończący się wodospad obrazów. Na leżącego Slavę wprost wylewały się wizje przepełnione szaleństwem kolorów. Bezpośrednio nad łóżkiem Camilla powiesiła malowidło przypominające otwarte usta, z których płynęły poskręcane fale ni to gęstego powietrza, ni to rzadkiej galarety. Sprawiały wrażenie, jakby wylewały się wprost do pomieszczenia i za chwilę miały objąć szulera niczym czająca się na kolejną ofiarę, niewidoczna gołym okiem meduza. Nie lubił tego obrazu.

Otrząsnął się.

– Zły sen – westchnął. – Tak. Przepraszam, obudziłem cię.

Odpowiedziała uśmiechem i pogładziła Slavę po policzku. Miała przyjemne, delikatne dłonie.

– Ostatnio często do ciebie przychodzą, te koszmary. Co się dzieje?

Milczał, bo i co miał jej powiedzieć? Że śnił mu się kościsty demon, który ucieleśniał jego lęki i był wszystkimi tymi rzeczami, do których nie przyznawał się nawet przed samym sobą: strachem, niepewnością, poczuciem, że tak naprawdę jest na świecie sam? Camilla była szczerą i na swój specyficzny sposób, relatywnie nieskomplikowaną. To znaczy nigdy nie zastanawiał się, jak z nią rozmawiać, nie musiał się tłumaczyć ani otwarcie kłamać. Mówił tylko tyle, ile chciał, a ona to rozumiała. Jednak pomimo szczerych intencji, a może właśnie dzięki nim, wiedziała, że nigdy nie wyjawia jej wszystkiego.

– To nic – odparł po chwili. – Po prostu zły sen.

Popatrzył, jak naga Camilla przewraca się w pościeli. Przysunęła się bliżej ściany i oparła na niej te cudownie długie nogi. Wyciągnięte na pointe stopy

przyjmowały kolejne pozycje baletowe. Robiła to w każdej wolnej chwili, niemal bezwiednie. Choroba zawodowa tancerek, mówiła.

– No, powiedz mi – zagadnęła go. – Znowu spadałeś z jakiegoś dachu? Wysunąłeś pazury przeciwko zbyt grubym rybom?

– Moja pani, nie ma zbyt grubych ryb.

Szuler wymownie spojrział na kołdrę zakrywającą jego krocze. W udawanej powadze pokręcił głową.

Zachichotała i szturchnęła go łokciem. Poczł cudownie znajomy, przyjemny zapach wanilii.

– Ech, książę, mój książę... Mogą mówić o tobie, że jesteś mistrzem kłamstwa, chodzącymi złymi intencjami tego miasta, ale skoro jesteś taki dobry... to dlaczego, na bogów, przy mnie nigdy się nie starasz?

Właśnie to w niej lubił. Camilli nie dało się wcisnąć prostych farmazonów, bo od razu wiedziała, że coś jest na rzeczy. Wiedziała, ale nie drążyła sprawy. Szanowała, że jeżeli będzie chciał jej opowiedzieć, to opowie, a kiedy nie będzie chciał, to i tak w żaden sposób nie da rady go zmusić. Czasami zastanawiał się, czy ta dziewczyna nie wie o nim znacznie więcej, niż on sam o sobie. Chociaż z drugiej strony im wszystkim wydawało się, że już dawno go przejrzeni i czytają z niego jak z otwartej książki, bo to przecież taki prosty chłopak. Pcha się w kłopoty, tasuje i ma trociny zamiast rozumu.

– A pamiętasz – odezwała się nagle – jak się to wszystko zaczęło? Wtedy, w Hrabinie?

– Mhm...

– To był dobry numer – ciągnęła – naprawdę dobry. Po tym, jak załatwiliście Laleczkę, całe miasto o was mówiło. Nie wiedzieli, że to zemsta za tego piekarza, i czekali, co odwalicie następnego. Myśleli, że pójdziecie za ciosem. Bali się...

– W sumie Petr dobrze na tym wyszedł – odparł Slava. – Ulica się z nim liczy. To wtedy zaczął coś znaczyć.

– A ty?

– Co ja?

– Dobrze na tym wyszedłeś?

Slava nie odpowiedział. Tancerka spojrzała na niego i widać było, że nad czymś się zastanawia.

– Ile to już lat? Cztery? Pięć? – spytała z nostalgią.

– Nie wiem – odburknął. – Nie liczyłem.

Gówno prawda. Liczył i bardzo dobrze wiedział. Cztery lata i pięć

miesiący.

– Wiesz, dlaczego cię nie szanują? – zagadnęła Camilla.

– Kto?

– Oni. Rekiny, ulica... Ludzie Nocy. Nie szanują cię, bo nie potrafisz załatwiać swoich spraw. Jak tej ostatniej, z tym, jak mu tam było...?

– Divard. I ściągnąłem z niego tyle, że przez następne miesiące będę żył jak król.

– Król z obitą mordą i siniakami na honorze. – Camilla wzruszyła ramionami. – Nikt nie liczy tych pieniędzy. On jutro wróci do gry, a ty?

Odwrócił wzrok.

– Tak myślałam.

Slava się zamyślił. Może Camilla miała rację? Wtedy, kiedy razem z Petrem weszli do Hrabiny, to było coś. Dwóch zupełnie zielonych cwaniaków w najlepszym lokalu w mieście. Zaczynali od numeru tak grubego, że mógł być ich ostatnim. I co? I gówno. Cztery i pół roku później on dalej był nikim.

Tancerka przytuliła się do niego.

– Mógłbyś chociaż coś powiedzieć, wiesz, księżę? – szepnęła już mniej karcąco. – Zamykasz się w swoich problemach jak w nieistniejącym pokoju i odbijasz się od ścian. Raz, drugi, trzeci. A ja tu leżę. Sama. I naga.

Poczuł, że trochę mu lepiej, i się roześmiał. Objął dłońmi smukłą talię Camilli i delikatnie wciągnął ją na siebie. Usiadła na nim, tak jak oboje najbardziej lubili.

– Sam, sam, sam... – zamruczała. – Zawsze sam ze swoimi problemami, zbyt wielkimi jak na śliczną główkę małej tancerki... Ale nie, to chyba nie to. Tak o mnie nie myślisz, prawda?

Milczał. Patrzył prosto w te przepiękne błękitne oczy. Camilla lekko przekrzywiła głowę, tak jakby chciała dokładniej się mu przyjrzeć. Robiła to, co zwykle on robił z ludźmi: czytała go.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie myślisz tak, za bardzo mnie szanujesz. W takim razie o co chodzi? O to, że jestem kobietą? Kobiecie nie można zaufać, prawda? Bo kobieta to najgorszy wróg, w krytycznym momencie zdradzi cię i wbije nóż w plecy. O nie, nie patrz tak na mnie. Jestem jedną z nich, dobrze wiesz, że to zrobię.

– Wiem – odpowiedział. – Ale nie przejmuj się, droga królowo, mam to wliczone w koszty.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że wcale nie żartował. To była jedna z najskuteczniejszych metod kłamania: mówić prawdę prosto w twarz, tak

bezczelnie, by nikt nie uwierzył, że to prawda.

Profesor i Petr ciągle mu o tym przypominali, każdy na swój szczególny sposób. Nigdy nikomu nie ufaj, a już na pewno nie kobiecie. Nawet jeżeli będzie ci wierna, to wykorzystają ją, żeby się do ciebie dobrać. W tym fachu nie ma miejsca na romanse. Zresztą każda kobieta w końcu cię zdradzi. Tak było, jest i będzie. A ty możesz być tylko kolejnym frajerem, który uważa siebie za wyjątek. Wyjątki są natomiast jak zbiegi okoliczności – jedynie idioci są przekonani o ich istnieniu.

Poczuł, że krótki paznokieć tancerki wbija mu się w ramię. Zaboląło. Może to i lepiej, że nie mogła nosić dłuższych.

– Nie martw się, aż tak szybko cię nie zniszczę. – Drapnęła mocniej. – Wykorzystam cię, a potem porzucę. Ale jeszcze nie teraz. – Delikatnie poruszyła biodrami. – Ale teraz jeszcze możesz mi się przydać.

Heinrich Gottenhoff czuł się spełniony. Chociaż od kilku dni praktycznie nie sypiał, gdyż zamiast tego spędzał długie godziny nad blatem konstruktorskim, to jednak było warto. Produkcja prototypu odbywała się według planu i jeżeli nic nie nawali na ostatniej prostej, inżynier spodziewał się już nazajutrz trzymać w ręce gotowy wynalazek. Faugen powinien być zadowolony.

Właśnie, Faugen... Inżynier zadumał się. Do tej pory był w pracowni dwa razy. Na początku, by przekazać zlecenie, a później jeszcze raz, w celu sprawdzenia, czy wszystko idzie po jego myśli. Chociaż sprawiał wrażenie człowieka wiarygodnego i bogatego, to jednak kilka kwestii wciąż nie dawało Gottenhoffowi spokoju.

Po pierwsze, wciąż zastanawiał się, skąd Faugen wziął prototyp oraz dlaczego nie posiadał ani specyfikacji, ani tym bardziej patentu na wykonanie wynalazku. W świecie techniki patent był wszystkim. Młody Gottenhoff wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Ojciec dziesiątki razy opowiadał mu o przypadku, który spotkał go z dawnym wspólnikiem, Alojzym Helgbaumem.

Była to historia z czasów, kiedy inżynieria mechaniczna przeżywała szczyt swojej świetności, a ambitny Heinrich Gottenhoff Starszy (wtedy będący po prostu Heinrichem Gottenhoffem) założył warsztat w Valorii. Z Helgbaumem znali się i przyjaźnili od wczesnej młodości, a kiedy Gottenhoff studiował inżynierię, młody Helgbaum ubijał interes za interesem, kontynuując rodzinną tradycję handlu tkaninami. Pewnego dnia przyszedł do warsztatu Gottenhoffa. Obwieścił, że ma pomysł na wynalazek, i to nie byle jaki, chciał bowiem

wykonać pierwsze w historii mechaniczne liczydło. Idea polegała na tym, by z jednej strony wrzucić pieniądze, odebrać z drugiej, a sprawdzająca kształt monet i oznakowania banknotów maszyna przesunie odpowiednie odważniki, wskazując kwotę. Alojzy wiedział, czego chce, i miał na to pieniądze, nie wiedział tylko, jak tego dokonać. Udał się więc do przyjaciela z dzieciństwa i zaproponował mu spółkę. Heinrich Starszy był zachwycony i od razu rzucił się w wir pracy. Pracował całymi tygodniami, praktycznie zaniedbując wszystkie inne projekty. Mógł sobie na to pozwolić, bo jego pracę w całości finansował bogaty inwestor w osobie Helgbauma. Sam Alojzy bardzo aktywnie interesował się przebiegiem prac – niemal codziennie zaglądał do pracowni, za każdym razem podpytując Heinricha o postępy, ale też o trudności, które tamten napotkał w czasie projektowania, i o skomplikowane szczegóły techniczne. W końcu, po długich i wyczerpujących tygodniach, wynalazek był gotowy. Dzięki kontaktom Helgbauma szybko zaprezentowano go kilku wybranym właścicielom sklepów, którzy natychmiast zamówili po co najmniej jednym egzemplarzu. W ten sposób, zanim jeszcze pierwsze oficjalnie sprzedane liczydło opuściło warsztat, przed drzwiami Gottenhoffa ustawiała się długa kolejka interesantów, pytających o możliwość wykonania tego cuda. Słowem, wynalazek okazał się sukcesem i wydawało się, że zapewni rodzinie Gottenhoffów dostatni byt przez kolejne dekady. Do czasu, aż przyszło do rozliczeń. Okazało się, że młody Alojzy Helgbaum był nie tylko bardzo przedsiębiorczy, ale też zupełnie pozbawiony skrupułów. Omijając jakiegokolwiek wzmianki o Gottenhoffie, potajemnie dokonał rejestracji patentu i położył rękę na lwiej części tego, co udało się zarobić na liczydłach. Heinrichowi ledwo zwróciły się materiały.

Dlatego też młody Gottenhoff dobrze wiedział, jak ważne jest, by dmuchać na zimne. Zaraz po wykonaniu pierwszej wersji planów natychmiast przerysował je jeszcze dwa razy. Jedną kopię wysłał do znajomego metalurga, by ten wykonał dla niego wszystkie niezbędne materiały, druga zaś, odpowiednio zabezpieczona i oznaczona, trafiła prosto do siedziby KIRN-u, czyli Królewskiego Inspektoratu Rozwoju Nauki. Dzięki temu rozpoczęto procedurę rejestracji patentu, która miała się zakończyć w momencie, gdy uprawniona do tego osoba przedstawi w Inspektoracie finalny projekt oraz prototyp. Jeżeli Faugen spróbuje orznać go na tym wynalazku, grubo się zdziwi. Gottenhoff nie był chciwy i ani myślał kraść czyjeś pomysły. Chciał tylko sprawiedliwego podziału – czyli takiego, w którym jego pracownia otrzyma procent z zysków oraz czasową wyłączność na produkcję wynalazku.

Bardzo możliwe, że Silas Faugen był inwestorem, który pewnego dnia postanowił, że jednak nie chce dzielić się ze swymi współnikami, zwinął prototyp i zniknął. Albo w ogóle nie miał z wynalazkiem nic wspólnego – kupił go na czarnym rynku i teraz chciał jak najszybciej zdobyć do niego prawa. Kosztem Heinricha Gottenhoffa.

Jeżeli taki był jego plan, pomyślał inżynier, to srogo się zawiedzie.

KILKA LAT WCZEŚNIEJ

Poranek należał do tych słonecznych. Z błękitnego nieba, gdzieniegdzie upstrzonego puchatymi chmurami, sączyło się przyjemne ciepło, które po pewnym czasie zamieniało się w nieustępliwy, dokuczliwy żar. Szczególnie dało się to odczuć na zamkniętym z czterech stron, nagrzanym podwórku, w samym środku Jarvaku. W powybijanych oknach straszyły resztki szkła, niczym nierówne zęby w szczęce szczerbatej od bójki, a czarne plamy na pożółkłych ścianach przypominały siniaki. Przy każdym mocniejszym zrywie wiatru gdzieś stukała o ścianę spróchniała, połamana okiennica. W Jarvaku okna wyłamywano równie sprawnie jak ręce.

Kilkunastoletni Slava stał na środku małego skwerku. Czuł, że Petr ma rację, chociaż wcale nie podobało mu się to, po co tu przyszedł. Patrzył spode łba na podwijającego rękawy koszuli złodzieja. Petr przygryzał długie i grube cygare, co jakiś czas uśmiechając się pod nosem.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytał go Slava. – A w ogóle to z tym cygarem wyglądasz jak pajac.

– Nie możesz kolejny raz dać sobie obić mordy – mruknął Petr. – Przewinięliśmy już o tym. Nie mogę za każdym razem nadstawiać za ciebie karku. Raz się uda, może dwa, ale w końcu dostaniesz czapę i tyle z tego będzie. Ludzie Nocy się nie pierdolą w tańcu. Giętki język i szybkie nogi mogą kiedyś nie wystarczyć. Kapisz, dzieciaku?

Slava przewrócił oczami. Złodziej może i miał rację, ale młody szuler nienawidził, kiedy przyjmował ten swój ton wszystkowiedzącego ulicznika. Z drugiej strony chłopak musiał przyznać przed samym sobą, że o ile w kartach i intrygach był naprawdę dobry, to stawał się bezużyteczny, kiedy do gry włączały się pałki, noże i potłuczone butelki. Dlatego Petr postanowił, że musi nauczyć go, jak się bronić. Chociaż „bronić” to niewłaściwe określenie – miał nauczyć się robić krzywdę. Bardzo szybko i bardzo skutecznie.

Zdjął marynarkę, później kamizelkę, a następnie wysunął spinki z mankietów. Mozolnie zabrał się do rozpinania kolejnych guzików koszuli.

– Pospiesz się, nie mamy całego dnia – poganiał go Petr, ocierając pot z czoła. Słoneczny ukrop dokuczał coraz poważniej, a duchota była tak wielka, że ledwie dało się oddychać. – I skup się. To nie będzie łatwe. Proste tak, ale

nie łatwe.

Slava wyplątał się z koszuli i stanął naprzeciw złodzieja, przechylając głowę to na jedną, to na drugą stronę. Przeskakujące stawy trzasnęły nieprzyjemnie.

– Walka wręcz to bardzo prosta rzecz – zaczął Petr. – Rozchodzi się o robienie krzywdy. Niby każdy to wie, ale nie każdy umie zastosować. Tak naprawdę bicie się nie jest jakimś szczególnym sztukmistrzostwem. To znaczy jest, lecz dopiero na pewnym poziomie. Nie miej złudzeń: dobry pięściarz po prostu da ci po głbie, wytlucze z ciebie przytomność, a potem wysika się na twoje ciało. Na to nic nie poradzisz.

– To po co w ogóle marnujemy czas – zapytał szuler – skoro z góry wiadomo, że mam przesrane?

– Ponieważ – Petr językiem poprawił trzymane w ustach, niezapalone cygaro – przeciętny strażnik miejski czy byle doliniarz to co innego niż wytrenowany zabójca. Na nich wystarczy, żebyś był zdecydowany zrobić im jak najszybciej jak najpoważniejszą krzywdę. Szybciej niż oni tobie. Pojmujesz?

Slava pokiwał głową, lecz skrzywił się przy tym wyraźnie. To wszystko bardzo mu się nie podobało.

– I niby sama wiedza o tym ma mi wystarczyć, żeby skutecznie się bronić, tak? – dodał z przekąsem. – Genialne...

– Tak – odparł zupełnie niezrażony Petr – bo mało który z nich spodziewa się, że będziesz zachowywać się jak zwierzę walczące o życie. Nie możesz myśleć, musisz działać. Jeżeli miałbym cię nauczyć teraz walki na pięści, to zesrałbyś się już przy pierwszych detalach. Praca nóg, kontrola dystansu, garda... Może za kilkanaście miesięcy potrafiłbyś zrobić cokolwiek. Za to uświadomienie nawet takiej łajzie jak ty, że uderzenie łokciem w nasadę nosa spowoduje, że klient zaleje się łzami jak mała dziewczynka, powinno wystarczyć, żebyś zdążył skontrolować dystans po swojemu. Czyli odpowiednio szybko zwiększyć go do odległości co najmniej kilku przecznic.

Przez krótką chwilę Slava znów chciał się odgryźć, ale zgodnie z naukami Profesora nie należało się odgryzać, kiedy ktoś ewidentnie miał rację.

Złodziej wyjął z ust cygaro i podszedł do niego.

– Nos, podbródek... – niezapaloną końcówką wskazywał na kolejne części ciała szulera – szyja, wątroba, jądra, a jeżeli potrafisz mocno kopać, mięsień czworogłowy uda. Odpowiedni cios w dowolne z tych miejsc kończy objaną, jeszcze zanim zdąży się ona zacząć na dobre. Uderzasz, czym tylko możesz,

byle mocno i byle nie zrobić krzywdy samemu sobie. Pojmujesz?

Slava uniósł brwi w geście na wpół zdziwienia, na wpół powątpiewania.

– Czymkolwiek? – zapytał.

– Czymkolwiek, nawet czołem, bo jest wystarczająco twarde, by przypadkowo połamać komuś nadgarstek, kiedy ten ktoś źle złoży pięść do ciosu. Ale lepiej walić łokciem, bo to najtwardsza kość w ciele, poza tym uderza punktowo. Jednak obijana to trudna sztuka i do niej może przejdziemy kiedyś, teraz nie ma na to czasu. Zapoznam cię za to z tym, czym stoi siła hausenberskich ulic.

Nagle w dłoni Petra coś błysnęło złowrogo. Slava nawet nie zauważył, kiedy złodziej wydobył skądś długie, wąskie ostrze. Nieznacznym ruchem nadgarstka obrócił je i trzymając za czubek, podał szulerowi.

– Tutaj tańczy się z tym – powiedział. – Ostrożnie, ostry.

Slava chwycił broń i niepewnie zważył ją w dłoni. Powoli zamarkował dwa cięcia w powietrze. Nie bał się, ale teraz już nie był pewny, czy za ściekającą po skroni kroplę potu odpowiada upał czy adrenalina.

– Z nożem – podjął Petr – jest zupełnie inaczej niż z pięściami. Szanse wprawnego pięściarza ze zwykłym ulicznikiem to dobre dziewięć do jednego. Trzeba mieć naprawdę dużo szczęścia, by w obijaniu zgasić kumatego wirażkę. Ale przy ostrzu... Masz dobry refleks i nie boisz się ciąć, a twoje szanse z dowolnym nożownikiem stoją na czterech do sześciu. A każdy pięściarz, który się na ciebie machnie, idzie w piach. Bez wyjątku.

Szuler powoli przesunął ostrzem wzdłuż przedramienia. Miejsce, w którym nóż musnął skórę, momentalnie stało się gładkie. Kiedy Slava uniósł wzrok, Petr właśnie odpalał cygaro, wypuszczając z ust gęste kłęby dymu.

Słońce leniwie zbliżało się do zenitu. Błyszczące krople potu zaczęły rysować na skórze cieniutkie, słone ścieżki.

– No, dzieciaku – mruknął złodziej, wypuszczając z ust błękitną smugę – zatańcz.

– Ten nóż... jest ostry, cholernie ostry.

– Dalej! – warknął Petr. – Walcz! Walcz o życie!

Slava przygryzł wargi. Jego wzrok błędził pomiędzy łapiącym promienie słoneczne ostrzem a kroplą potu zsuwającą się z podbródka Petra. Podążała wprost na tętnicę szyjną. Może to wyobraźnia, a może szuler naprawdę widział delikatne pulsowanie krwi pod napiętą skórą. Zawahał się.

I wtedy poczuł, jak pięść Petra uderza go w szczękę. Zanim się zorientował, co robi, skrętem barków nabrał rozpędu i wyprowadził cięcie skosem od

spodu. Prosto w szyję Petra. Na krótki moment przeraził się, że jest za szybki i że nonszalancja kosztowała jego przyjaciela życie. Czerwień zasnuła mu oczy. Chciał krzyknąć, nie zdążył. Wystarczyła sekunda zawahania i Petra już tam nie było. Zrobił unik i stał pod kątem do wyciągniętego w przód ciała Slavy.

Coś zasyczało i szuler poczuł palący ból. Petr wbił w niego zapalone cygaro. Slava zachwiał się, walcząc o utrzymanie równowagi.

– Co do kur... – jęknął i złapał się za bark. Czuł na sobie kpiące spojrzenie złodzieja, który stał dokładnie za nim. Wściekłym ruchem odwrócił się z powrotem w stronę przeciwnika. Przyjął postawę do walki. – Jeszcze raz.

– Zapraszam – odparł spokojnie Petr.

Kolejna próba kosztowała Slavę oparzenie pod prawą stroną żeber, dokładnie tam, gdzie ostrze przebiłoby wątrobę.

Następnego nie poczuł, ale z tyłu nad udem miał w spodniach wypaloną dziurę. Na jednej z głównych tętnic. Człowiek trafiony w to miejsce miał jedynie kilka minut, zanim wykrwawi się na dobre.

Czwarty cios nie tylko poczuł, ale nawet zobaczył. Dostał w skroń, złodziej celowo ominął oko.

Petr był szybki. Bardzo szybki. Nie, to wciąż za mało – on był nietykalny. Slava wreszcie się przekonał, dlaczego ulice mówią, że złodziej jest jednym z najtwardszych uliczników Hausenberga. Zobaczył, jak to jest znaleźć się po drugiej stronie ostrza, kiedy trzyma je Petr. A bardzo niewielu ludzi miało szansę o tym później opowiedzieć.

Slava potrząsnął głową, strząsając z włosów krople potu. Z każdym jego krokiem z ziemi podnosiły się tumany kurzu. Piach dusił, słońce paliło. Petr dymił.

Szuler po raz kolejny przyjął postawę, jedną nogę wysuwając w przód. Teraz zaczął od zwodu i ciął od zupełnie innej strony. Myślał, że jest sprytny. Nawet nie zauważył ruchu. Nie zdążył. Poczuł tylko, jak żarzące się cygaro wypala kolejny ślad, z boku szyi. Małe koło oznaczające śmierć.

Uderzał dalej. Uderzał z całej siły, nawet nie myśląc o tym, że jedno trafienie może kosztować Petra życie. To było bez znaczenia, bo nie walczył ze swoim przyjacielem. Bił się z nieuchwytnym duchem. Z gorącym powietrzem.

W końcu poczuł, że traci równowagę. Zamiast piekącego żaru cygara przyszło coś jak uderzenie biczem, kiedy kopnięcie z półobrotu podcięło mu nogi. Z głuchym łomotem zwałił się w piach, ostatnim świadomym ruchem

wyrzucając spod siebie ostrze. Leżał na ziemi i ciężko dyszał, szaleńczo próbując złapać oddech. Mokra włosy przykleiły mu się do czoła i zasłaniały pole widzenia. Odgarnął je i uniósł wzrok na otoczonego mgiełką cygarowego dymu rozbawionego Petra.

– Nogi, dzieciaku. W nożu myśli się nogami. Nie przez przypadek najlepsi nożownicy tego świata byli tancerzami. Może powinienem pogadać z Camillą, żeby dała ci lekcję albo dwie.

Slava przetoczył się na brzuch. Powoli ugiął kolana i przysiadł na kostkach, podnosząc wzrok na Petra. Złodziej wyciągnął do niego rękę. Slava odczekał chwilę, ale w końcu roześmiał się, kiedy mocny chwyt za przedramię dźwignął go na nogi. Petr pomógł mu się otrzepać z pyłu.

– Dobrze, jeszcze raz – powiedział Slava i przyjął postawę. To miał być bardzo długi dzień.

HAUSENBERG DZIŚ, TYDZIEŃ PO NUMERZE Z DIVARDEM

Tej roboty Petr nie chciał powierzać żadnemu ze swoich ludzi, dlatego też osobiście filował w punkcie obserwacyjnym i uważnie notował w pamięci wszystkie podejrzane ruchy wokół posiadłości, w której pokoje zajmował Simon Divard. A właściwie notował podejrzanych ruchów brak. Jak dotąd panował tu absolutny spokój, a złodziej z nudów zwijał kolejnego tej nocy tytoniowego skręta, już nawet nie liczył którego. Niby nic się nie działo, a jednak Petr nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś się nie zgadza, a ktoś szykuje tutaj gruby geszeft. Dobrze sprawdzili Divarda, lecz wciąż męczyło go przeczucie, że coś przeoczyli.

Jeszcze raz uważnie spojrział na kamienicę, jakby to ona miała podać mu odpowiedź. Na ostatnim piętrze widać było światło, w tym samym oknie, przez które jeszcze niedawno wyskakiwał Slava. No, w prawie tym samym, bo szklarz wstawił już nową szybę i po spartaczonyj akcji nie pozostał nawet ślad.

Petr przesunął językiem po sprawnie zwiniętej bibułce, gotowego skręta włożył za ucho, po czym wydobyl z kieszeni niewielki czasomierz i sprawdził godzinę.

Jeszcze chwilę, pomyślał.

Schował mechanizm z powrotem do kieszeni, a z innej wydobyl zapalke. Sięgnął po skręta, odpalił. Chociaż przesiedział tu dobrych kilka godzin, nie uważał tego czasu za zmarnowany. To właśnie odróżniało kumatych od frajerów – czas i cierpliwość.

Wydobyl z kieszeni nóż. Lubił to ostrze. Metaliczne stukanie motylkowych rękojeści zawsze pomagało mu myśleć.

Klik, klak, klak. Nóż otwarty, ostrze na wierzchu.

Czas podsumować fakty.

Divard był w Hausenbergu od niedawna, a przyjechał tu jako rezydent jednej z kompanii alchemicznych. Próbował rozkręcić w mieście kilka laboratoriów, prawdopodobnie ze względu na tanią siłę roboczą; ci, którzy nie kradli, pracowali tutaj naprawdę za bezcen. Pojawiła się też sugestia, że import astralitu do Hausenberga odbywa się po bardzo korzystnym kursie.

Wszystko wyglądało na przemyślaną, trochę odważną, a trochę głupią inwestycję. Słowem, wyglądało tak jak sam Divard. Pomieszkał tu parę tygodni i dosyć szybko zaczął rozbijać się po szulerniach. Raz na jakiś czas wszczynął jakąś awanturę. Wynajmował kilku pomniejszych bandytów, którzy łązili za nim każdego wieczoru i którzy na jego zlecenie zastawili nieudaną pułapkę na Slawę. To wszystko jednak wciąż nie składało się na żaden przemyślany numer albo Petr nie potrafił go tutaj dostrzec. A jednak wiedział, że coś się nie zgadza.

Klak, klak, klik. Nóż zamknięty.

Chociaż z drugiej strony... może wszystko jest w porządku? Może właśnie dlatego kiblował tutaj sam, bo dobrze wiedział, że nic nie znajdzie, i w ten sposób nie będzie mógł na nikogo zrzucić winy? To znaczy na nikogo poza Slawą, bo to będzie oznaczać, że dzieciak skrewił doprawdy koncertowo i dał się podejść Divardowi jak pierwszy lepszy frajer. No nic, trzeba dać temu na razie spokój i obserwować, jak rozwinie się sytuacja.

Klik, klik, klak, przerzut, cięcie. Mała skaza na przedramieniu. Nóż otwarty.

Była za to inna sprawa, która wymagała najwyższej uwagi, bo wyglądała jednocześnie na bardzo poważną i bardzo, ale to bardzo dziwną. Ostatniej nocy Petr ruszył kilka kontaktów i ku jego zdziwieniu wieści od Flika się potwierdziły: do Hausenberga naprawdę przyjechał ktoś wyjątkowy. Był to gracz na tyle poważny, że udało mu się uzyskać audiencję u Profesora, a stary szuler bardzo rzadko przyjmował gości i większość z nich była na tyle znana, że dawało się ich z łatwością namierzyć. Tymczasem ten ktoś pozostawał dla złodzieja absolutnie anonimowy.

Istniała wprawdzie szansa, że Flik miał rację i był to któryś znajomy Profesora, prawdopodobnie z czasów tak dawnych, że ulica o nim zapomniała. Ale złodziej był pewien, że ten ktoś nie zapomniałby o ulicy i nie pozwoliłby na to, by o jego przyjeździe dało się dowiedzieć z dwóch niezależnych źródeł.

Klak, klak, klik. Nóż zamknięty. Wystarczy.

W tym momencie pod kamienicę Divarda zajęchały dwie dorożki, z których wysiadło kilkunastu ludzi. Zbierali się wokół jednej osoby, chociaż Petr nie był w stanie dostrzec, kim ten ktoś jest. Pewnym było, że powozy nie należą do nikogo z miasta.

Nagle złodziej zrozumiał. Zrozumiał i zamarł. A potem zaczął biec.

Kilka nocy od pechowego zajścia z Divardem Slawa wciąż nie mógł uwolnić

się od myśli o tamtym wieczorze. Pozwolił się wtedy podejść jak podrzędny amator i zamiast teraz świętować udany numer, topił zarobione na nim pieniądze w kolejnych kieliszkach wódki.

Tym razem siedział przy barze Alchemika i zabijał czas przy kolejnych alkoholowych strzałach, popijając je od czasu do czasu łykiem kawy. Lubił tę knajpę, jak na taką spelunę mieli ładne filiżanki i parzyli naprawdę dobrą kawę. Wódka była paskudna, jak wszędzie.

Slava machnął ręką do stojącego za barem chudzielca i wskazał na puste szkło. Barman natychmiast wypełnił je po brzegi przezroczyстым płynem. Szuler chwycił kieliszek i opróżnił jednym haustem. Paskudna.

Pieprzony Divard. Na nic mu były pieniądze tego gnoja, skoro robota została spartaczona, wykonana zupełnie wbrew kanonowi. Profesor zawsze powtarzał, wszystko powinno odbywać się tak, by cel nawet nie wiedział, że jest przerabiany. Divard nie tylko się zorientował, ale jeszcze udało mu się wyjść bez szwanku i teraz zapewne rozbijał się gdzieś na mieście. A Slava miał rozbity ryj.

Była jeszcze druga kwestia, która też nie przestawała go martwić – Profesor. Od dłuższego czasu bawili się w rozbudowany dwuosobowy teatr, w którym nauczyciel zdawał się nie zauważać kolejnych samowolnych wyskoków swojego ucznia, a uczeń miał za zadanie jak najlepiej się maskować. Slava nie łudził się, że jego mentor do tej pory nie usłyszał o tych nocnych popisach, mimo to wciąż nie wezwał go na rozmowę.

Znowu skinął na barmana; wódka pojawiła się równie szybko jak poprzednia. Tym razem odczekał chwilę, wpatrując się w pełny kieliszek. Widział w nim odbicie swojej twarzy, obficie pokrytej siniakami i resztkami opuchlizny. Tak, pomyślał, to się zamaskowałem, jak stara dziwka mocnym makijażem.

Westchnął. W końcu będą musieli się spotkać z Profesorem, i dobrze wiedział, że stary szuler wyciągnie względem niego konsekwencje. A potrafił udzielać reprimendy jak nikt inny. Był to przywilej człowieka, który nigdy się nie myli.

Slava wypił wódkę i odstawił szkło. Zapieczętował w gardło i poczuł, że konieczny będzie łyk kawy. Ledwie zdjął filiżankę ze spodka, gdy jego wzrok przykuła leżąca pod porcelaną gazeta. Na pierwszej stronie, poznaczonej już mocno brunatnymi plamami, wydrukowano wielkimi literami: JUŻ ZA DWA TYGODNIE – PREMIERA NOWEGO SPEKTAKLU WIEL...

Dalszy ciąg tytułu był częściowo potargany, częściowo ufajdany, a częściowo zasłonięty porcelanowym krążkiem. Slava nie musiał go odsłaniać, żeby wiedzieć, o czym mowa. Uśmiechnął się, upijając łyk zimnej już kawy.

To miała być jego pierwsza premiera, lecz co ważniejsze, także pierwszy bankiet. Slava wiedział, że pojawią się tam niemalże wszyscy, którzy liczą się w mieście. Niemalże, bo nie będzie Profesora. Chociaż co roku dostawał zaproszenie, nigdy nie przychodził. I nigdy nie pozwalał na to, by poszedł Slava. Jednakże w tym roku chłopak miał inne wejście: Camillę.

Na krótką chwilę wrócił w myślach do wczorajszej nocy i poczuł, że robi mu się przyjemnie ciepło. Jednak gdy tylko wspomnienie przeszło z cielesnych rozkoszy do następującej po nich rozmowy, szulera przeszedł dreszcz. Nieprzyjemne ciarki strachu pojawiły się w dole kręgosłupa i popęzły ku górze, nim jednak dotarły do karku, cierpkie uczucie zastępował lodowaty gniew. Szuler wciąż słyszał w głowie głos dziewczyny.

Nie potrafisz dbać o swoje sprawy. Nie kończysz ich. Zostawiasz i odchodzisz. Jak kot. Dachowiec.

Nie kończysz...

Wiedział, co musi zrobić.

Spojrzał na pełny kieliszek i wychylił kolejny strzał. Obsługujący go chłopak natychmiast poderwał się z miejsca, jednak szuler go powstrzymał. Otwartą dłoń pokazał, że na razie starczy tego dobrego. Pieprzony Divard.

Wstając, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobyl z niej zwitek banknotów. Odliczył osiem i rzucił je na ladę, zostawiając nie tylko należność w wysokości miesięcznej pensji przeciętnego robotnika, ale i liczący dobre drugie tyle napiwek. Co tam, żyje się tylko dziewięć razy.

Z tą myślą wyszedł w miasto.

A to szczywana gnida!

Petr powinien czuć satysfakcję, że intuicja go nie myliła, ale po pierwsze był wściekły, a po drugie nie miał na to czasu. Teraz trzeba było działać, i to działać szybko, bo to wszystko okazało się znacznie grubszą aferą, niż mu się wydawało.

Zaraz po tym, jak przed rezydencją Divarda pojawiły się dorożki, złodziej zaczął łączyć fakty. Układanka złożona z małych poszlak stopniowo przyjmowała coraz wyraźniejszy kształt i wszystko zaczynało się zgadzać. Już

po chwili widział, że właściwie zgadzało się od samego początku.

Niech to bładź, zaklął w myślach. Muszę zawinąć Slavę! I to już, zanim zrobią to tamci.

Rzucił się pędem przez miasto. Teraz dopiero pożałował, że poszedł na tę robotę sam. Gdyby wziął ze sobą chociaż jednego człowieka, mógłby wysłać go do Kamienicy, żeby sprowadził pomoc. A wtedy na pewno znaleźliby szulera, zanim zdąży zrobić coś głupiego. Zwłaszcza że dzieciakowi groziło niebezpieczeństwo większe niż kiedykolwiek.

Niech to bładź!

Pędził i w biegu jeszcze raz powtarzał w myślach wszystko, czego się do tej pory dowiedział. Po pierwsze, Slava miał rację. Divard szykował się na niego. Szuler pomylił się tylko, sądząc, że chodziło o tę jedną ustawkę, po której wszystko się zesrało. To prawda, Divard pojawił się w mieście kilka tygodni temu i już wtedy było o nim głośno. Praktycznie sam się prosił, żeby go przerobić. A Slava z Petrem pobiegli za przynętą jak pieprzone psy za świeżą kością. Szło tak łatwo, jakby ktoś specjalnie wystawił im ten numer. Slava nie przestawał opowiadać, jakimi to nagle stali się kozakami, skoro bez większych trudności opracowali sobie tego wypchanego mamona faceta. No i właśnie. Nikt nie pomyślał, że tak dobrze idzie, bo zostało to wcześniej precyzyjnie zaplanowane. Szkoda tylko, że nie przez nich.

Chwilę po Divardzie przybyła do miasta informacja, że ma się tutaj zjawić ktoś ważny – na tyle gruby, że zdołał załatwić sobie audiencję u samego Profesora, a jednocześnie na tyle anonimowy, że nic nie było o nim wiadomo. Jakby pojawił się zupełnie z innej bajki. Właśnie to uśpiło czujność Petra. Że też wtedy nie połączył faktów...

Forpoczta! To wszystko była, kurwa, forpoczta!

Wysyłanie forpoczty było zagranem, które stosowano rzadko i decydowali się na nie nieliczni. Polegało na tym, że zanim do miasta przyjechał jakiś poważniejszy gracz, w okolicy pojawiali się przysłani przez niego umyślni. Zwykle dbali o to, by zauważono ich w co bardziej popularnych domach gry, ewentualnie organizowali swojemu zleceniodawcy jakąś ustawkę z którymś z Rekinów. Jednak zapowiadanie się było ryzykowne, bo po pierwsze, traciło się element zaskoczenia, a on czasami był kluczowy; po drugie, niejako wystawiało delikwenta na to, że ktoś zaplanuje mu numer szyty na miarę, czyli przygotowany specjalnie dla niego. Znacznie rzadziej forpoczte wysyłano w tajemnicy, tylko po to, by zbierała informację. Postępowano tak właściwie tylko wtedy, kiedy wcześniej obrano jakiś cel i forpoczta miała ten cel

wybadać. A w Hausenbergu cel mógł być tylko jeden.

Profesor.

Divard był forpocztą tego wielkiego kogoś, kto chciał przerobić Profesora i wysłał forpocztę, by zajęła się Slavą. Jeżeli stary miał bowiem jakikolwiek słaby punkt, to tylko taki, którego nie mógł kontrolować. A Profesor kontrolował wszystko poza jednym młodym szulerem, który ubzdurał sobie, że musi wszystkim udowodnić, że nie ma sobie równych w pakowaniu się w kłopoty.

I o ile Petra nie myliło przecucie – czy raczej tym razem logiczne rozumowanie – to ludzie Divarda tylko czekali, aż Slava wystawi łeb. Bo jeżeli zagrozą, że mu ten łeb ukręcą, to Profesor na pewno uważnie posłucha, co będą mieć do powiedzenia. Złodziej miał tylko nadzieję, że Slava wykaże choć tyle rozumu, by siedzieć u tej swojej tancerki i się nie wychylać.

Musiał zdążyć przed nimi.

Przy stolikach Błazna każdej nocy było wesoło. Zupełnie jakby w tym domu gry wcale nie chodziło o to, żeby tasować, rozdawać i licytować, jakby nie kręcono ruletą, nie przekładano kubków i nie turlano kości. W Błaznie liczyła się tylko dobra zabawa.

Ściany lokalu obwieszono portretami nagich kobiet o przeróżnych kształtach. Można było znaleźć pośród nich obficie obdarzone piękności o pełnych biodrach i płaskich brzuchach, szczuplutkie i drobne kokietki uśmiechające się znad perkatych piersi o zawsze sterczących sutkach, lecz także potężne matrony z udami rozlewającymi się niczym farba olejna, którą zostały namalowane. Kobiety ustawione zostały w zróżnicowanych konfiguracjach, zwykle jednak opierających się na wzajemnych pocałunkach, obmacywaniu i innych sposobach kreatywnego wykorzystania dłoni, palców oraz ust. Co jakiś czas na którymś z aktów pojawiał się wizerunek mężczyzny – zawsze tego samego pokracznego chudzielca, dryfującego pośrodku oceanu nagości niczym ledwie dostrzegalna boja. Gdy już się pojawiał, ze złośliwą miną dzierżył swą męskość w zaciśniętej dłoni, jakby zaraz miał nią dźgnąć którąś z otaczających go kobiet. Najczęściej w ucho, oko, pod pachę lub inne równie niekonwencjonalne miejsce. W sumie na gości lokalu spoglądało około setki oblicz wykrzywionych w wyrazie półudręki i półekstazy.

Błazen cieszył się w Mieście reputacją hazardowego burdelu, w którym

zamiast się pieprzyć, szmacono się przy stołach z kartami, ruletą czy kośćmi. Środkową część głównej sali zajmowali oczywiście gracze, zwykle o wątpliwej reputacji, jeżeli chodzi o hazardowanie się, za to znani w środowiskach artystycznych.

Ładowali tu niespełnieni aktorzy, we własnych głowach będący wirtuozami sceny, dla których jednak widownia nie okazała się zbyt łaskawa. Obok nich przy zielonym płótnie widywano także jeszcze nieodkryte talenty malarskie, którym potrzebny był tylko ten jeden upragniony autorski wernisaż. Obstawiali najczęściej ruletę, żaląc się niedocenionym muzykom, którzy z braku angażu na prawdziwych scenach rzępolili na ulicach miasta. Grafomani, poeci i pisarze grali raczej w karty, upijając się do nieprzytomności. Mało przy tym mówili, jakby wcześniej wykorzystali już wszystkie słowa, przelewając je na wiecznie czekający na publikację rękopis. Podczas jednej czy drugiej partii można było także wypatrzeć drobnego oszusta, ale jak to w domu gry – oni po prostu wypełniali swój naturalny habitat.

Pomiędzy nimi wszystkimi kręciły się damulki z dobrych domów, które postanowiły trochę nadwyrężyć reputację rodziny. Okrężały hazardowy anturaż, raz za razem zerkając na stoliki w poszukiwaniu wielkiego artysty. W wypudrowanych głowach już stawały się muzami, były portretowane, opisywane i wielbione. Do podobnych myśli nie przyznałyby się także bywające w salach Błazna kurtyzany, jednak też wybierały ten lokal nie tylko ze względu na łatwość znalezienia klienta.

Noc trwała w najlepsze, kiedy w drzwiach Błazna pojawił się poobijany Slava. Miał na sobie idealnie skrojony grafitowy garnitur, a jego szyk dziwnie pasował do puchliwej opuchlizną twarzy. Skinął stojącym w wejściu ochroniarzom, poświęcając im jakby dłuższą niż zwykle chwilę uwagi, po czym szybkim krokiem udał się wprost do stolika z kartami.

Czując na sobie wzrok nie tylko dwóch pozbawionych karku wykidajłów, ale też coraz większej liczby klientów, chłopak uśmiechnął się pod nosem. Wkraczając do głównej sali, sięgnął w stronę stojącej przy drzwiach ozdoby – olbrzymiego pucharu wypełnionego po brzegi kostkami lodu. Na grubo ciętych kryształkach leżało kilka masywnych butelek, zawierających najdroższe gatunki wina. Szuler bez pytania chwycił jedną z nich i zważył w dłoni, zerkając przy tym na etykietę. Trafił na szampana, rocznik wart pewnie pół kamienicy w nie najgorszej części miasta.

Slava rozejrzał się, chociaż dobrze wiedział, że to, czego szuka, znajdzie przy największym stole, zajmującym honorowe miejsce w głównej sali. Tam

grano o wysokie stawki i grano tylko w karty. Szuler posłał spojrzenie w stronę zielonego płótna, a właściwie odrobinę ponad nie. Tyłem do niego, zajmując razem ze swoimi dziwkami aż cztery miejsca, siedział Simon Divard.

Chłopak przebrnął przez tłum gości, nie odrywając oczu od upatrzonego wcześniej punktu. Kiedy od celu dzielił go zaledwie jeden krok, chwycił szyjkę butelki i z całej siły wziął zamach. Grube szkło trafiło w głowę niczego niespodziewającego się Divarda, pękło i stół Błazna zaląła mieszanka krwi i musującego płynu. Zanim ktokolwiek zdążył choćby westchnąć, Slava chwycił oburącz głowę ofiary i jeszcze raz uderzył nią w zasypany odłamkami blat. Z chrzęstem wbijanych w twarz kawałków szkła ciało Divarda opadło nieruchomo na pole gry.

Dopiero wtedy Slava uniósł wzrok i spojrzał wprost w parę czarnych, błyszczących oczu. Naprzeciw karcianego stołu pólsiedział, półleżał Jacob Bronte, właściciel Błazna. Jego przypominający tron fotel obity był czerwonym pluszem, a podłokietniki wyrzeźbiono w kształt nagich kobiet wypiętych tak, by dłonie spoczywały na ich twarzach z jednoznacznie rozchyłonymi ustami. Jacob był jednym z Rekinów. Znali się z młodym szulerem za sprawą pewnej dawnej historii, podczas której pomiędzy Brontem a Petrem zaszło delikatne nieporozumienie. Zanim Slava dotarł na miejsce, złodziej w pojedynkę zabił trzech doborowych ochroniarzy Jacoba, jednego z nich przybijając do ściany Błazna za pomocą widelca. Nikt tego nigdy nie powiedział głośno, ale zanim Petr by zginął, na pewno zdążyłby zabrać ze sobą jeszcze kilka osób. A Bronte był następny w kolejce. Slava jednak zjawił się na czas, załagodził sprawę i wszyscy się dogadali, jak to ludzie interesu. Od tego czasu dobrze ich tu z Petrem pamiętali.

Zwykle znudzony Jacob spoglądał teraz w szare oczy młodego szulera, nie kryjąc rozbudzonej nagle ciekawości. W geście przypominającym ni to zdziwienie, ni to rozbawienie uniósł brwi, a następnie spojrzał na nieprzytomnego Divarda. Kiedy przeniósł wzrok z powrotem na Slavę, widział, że chłopak oddycha niespokojnie, wciąż owładnięty stanem zimnej, pozornie kontrolowanej furii.

Szuler skinął w stronę tronu i wtedy kątem oka dojrzał pod ścianą nerwowe poruszenie. Jeden z ochroniarzy Divarda wyraźnie nie mógł się zdecydować, czy powinien jakoś zareagować, jednak ostatecznie postanowił pozostać na miejscu. Zrozumiał, że już i tak nie bardzo ma kogo bronić.

Uspokajając oddech, szuler odwrócił się i jak gdyby nic się nie stało, podążył w stronę wyjścia. Idąc, strzepnął z marynarki przylepiony do kłapy

odłamek szkła. Przy drzwiach sięgnął po jeszcze jedną butelkę arcydrogiego trunku.

Kiedy wychodził, żaden ze stojących przy wyjściu gigantów nawet nie drgnął.

Na początku nie dostrzegli, jak bardzo był wkurwiony. I to był błąd.

– Nie usłyszałeś czy uznałeś, że nie warto odpowiadać? – Chudy barman znowu nie zareagował. Spojrzał tylko gdzieś ponad lewym ramieniem Petra i wrócił do polerowania szklanek. Złodziej jednak nie odpuszczał. Śpieszyło mu się. – Powtórzę pytanie. Widziałeś dzisiaj Slave?

– Nie rozmawiamy tutaj o naszych klientach – odparł beznamiętnie mężczyzna zza lady. – Mamy reputację bardzo dyskretnego lokalu i dbamy o to, by się nie zmieniła.

Petr nie musiał się odwracać, żeby poczuć, że za jego plecami ktoś się pojawił. Było ich dwóch, szerokich, ciężkich, grubo ciosanych wykidajłów. Zaklął pod nosem. Czuł, że to się tak skończy. Nienawidził tej knajpy i nie mógł zrozumieć, dlaczego Slava ciągle tu przesiaduje.

– No chyba was pojebało – westchnął ciężko.

– Pan już sobie pójdzie – wydukał jeden z ochroniarzy Alchemika. – Starczy tego dobrego.

Złodziej tylko pokręcił głową. Kojarzył większość obstawiających knajpy zakapiorów, ale musiał trafić akurat na tych, którzy nie znali jego. Zresztą to miejsce słynęło ze specyficznego podejścia do ochrony. Mówiło się, że z Alchemika trzeba wyrzucać tak, żeby klient przypadkiem nie poczuł się za bardzo obrażony. Bywało tutaj wystarczająco wielu wszczynających burdy artystów, by cackanie się z nimi mieć wliczone w koszty. Bo fifarafy były solidarne, jak jeden się obrazi, przestają przychodzić wszyscy. Dlatego też w tej knajpie najpierw dyskutowano, a dopiero potem bito. Petr jednak nie miał czasu na te umizgi. A nawet gdyby miał, to by się w nie nie bawił.

– Płyn stąd – wysyczał, nie oglądając się. – I weź ze sobą kolegę, bo nie lubię, jak mi się dyszy w kark.

– Szanowny pan pójdzie z nami – ochroniarz położył na ramieniu Petra ciężką dłoń – zanim zrobi się nieprzyjemnie

Błąd. Duży błąd. A Petr naprawdę nie miał na to czasu.

Obracając się, zgarnął z baru najbliższy kufel. Ochroniarze nie zdążyli choćby drgnąć, kiedy szkło trafiło pierwszego z nich w sam środek twarzy.

Drugi dostał nasadą łokcia w podbródek, tam, gdzie łączą się sploty nerwowe, i bez przytomności osunął się na ziemię. Petr chwycił głowę pierwszego i poprawił kolanem. Chrupnął łamany nos.

Złodziej odwrócił się i od razu sięgnął po stojącego za barem chudzielca. Złapał go za koszulę i przeciągnął przez bar. Zaklekotał rozkładany nóż, a barman zawisł nad ladą, jakby uszło z niego całe powietrze.

– Był tutaj! – wychrypiał przez łyżę. – Wy-wyszedł niedawno.

– Kiedy to jest „niedawno”?

– Nn-nie wiem – jękał się barman. – Będzie może niecała godzina... Siedział tutaj i nie odzywał się do nikogo... Tylko pił wódkę, dużo wódki. Miał... miał poobijaną twarz.

– Kiedy wychodził... ktoś szwendał się za nim?

– Nikt, kogo bym zauważył – odparł szczerze chłopak. – My tu zwracamy uwagę na takie rzeczy, proszę pana.

– W dupę se wsadź swoje „proszę pana”. To wszystko?

Petr przysunął nóż do policzka barmana. Z przeciętej skóry pociekła kropelka krwi.

– Ch-chyba tak. On... wyglądał, jakby był bardzo zły...

Petr odwrócił się i wyszedł. Teraz dopiero był wkurwiony.

Noc nad Hausenbergiem była jasna i ciepła, dwa księżycy świeciły w niemalże podwójnej pełni. Slava przeciągnął się, aż coś chrupnęło mu w plecach, i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie. Szedł przez Gislak i popijał z zabranej ze zbiorów Błazna butelki. Tym razem trafiło mu się czerwone wino. Wchodziło jak złoto i kończyło się zdecydowanie za szybko.

Rozejrzał się wokół, próbując ustalić, gdzie właściwie zawędrował. Stał pośród niewielkich kamieniczek, przypominających tłum rozpychających się łokciami ludzi. Odnosiło się wrażenie, że niektóre stoją krzywo, wspierając się na bardziej prostych sąsiadach. W dodatku każda została wybudowana w innym stylu. Wyglądały przez to jak zbiór budynków, które postawiono tu, bo nie pasowały nigdzie indziej. Pośród tego bałaganu wiły się ciasne, puste uliczki, po których właśnie płątał się szuler.

Przed oczami cały czas miał rozbitą głowę Divarda, którą jeszcze przed chwilą zostawił w musującej kałuży szampana i krwi. Ta łajza pewnie wyżyje, ale dobrze go zapamięta. I teraz już na pewno nie będzie próbować żadnych numerów.

No, kurwa, pomyślał Slava. Już dawno powinienem był to zrobić. I szlus, po sprawie.

Ciekawe, co teraz powiedzą – oni wszyscy, którym się wydawało, że rozpracowali go w najdrobniejszych szczegółach. W ich oczach był tylko dzieciakiem obracającym się pomiędzy wielkimi tego miasta. Oni i on. Złodzieje, oszuści i artyści. A na końcu małe szulerzátko, które przypałało się jednej nocy i tak już zostało. Dobrze na takich idiotów jak Divard.

Spacerował już dobrą chwilę i wydawało mu się, że jest tu zupełnie sam. Słyszał jedynie dziwny szum w głowie – zupełnie jakby krew przelewała się z jednej strony na drugą, czasami powodując, że tracił równowagę i musiał wesprzeć się na ścianie najbliższego budynku. Był pijany.

Ciekawe, co powiedzą... Petr, Camilla, Nino... Profesor.

Całe życie czuł, że wisi nad nim niemożliwy cień wielkiego, niepokonanego Profesora. Że bez względu na to, co robi, zawsze będzie najwyżej na drugim miejscu. Mógł sobie ganiać po dachach, mógł grać w karty z pomniejszymi cwaniakami, ale na grube ryby miał embargo. Nie łowi się Rekinów – one charakternym urywają ręce.

A rekiniátka rozbijają głowy.

Zachichotał i potknął się o krawężnik – pęknięty tak samo jak głowa Divarda, tylko zamiast krwi wylewała się z niego zatechła, brudna woda. Slava złapał się najbliższej ściany i oparł o nią pocięte czoło. Targnął nim niespodziewany spazm i z wymiotował obficie.

Tak jest, pomyślał ocierając usta, Rekinów się nie łowi, więc trzeba skakać przez okna. Swoją drogą czy którykolwiek z tych skurwysynów zrobił kiedyś coś takiego? Znaleźli się wielcy panowie... Siedzą sobie w fotelach, tasują, rozdają... ale ich czas się kończy. Idzie nowe.

Przepłukał gardło winem i ze smutkiem stwierdził, że to był ostatni łyk. Wyrzucił butelkę i ruszył w dalszą drogę. Nagle z pobliskiej bramy coś wyleciało wprost pod jego nogi. Slava zatoczył się, lecz tym razem zdołał utrzymać równowagę. Mały, szary kot przeskoczył pomiędzy wybitymi w ulicy wertepami. Wbiegł do sąsiedniej rudery, znikając w ziejącej pośrodku drzwi dziurze. Dachowiec, najpospolitszy z kotów. Bez rodziny, własnego kąta i bez reputacji w kocim świecie.

Ciekawe, bracie, ile jeszcze masz żyć?

Nagle szuler przystanął, kierowany niespodziewanym impulsem. Kroki. Wyraźnie słyszał kroki, szybkie i zdecydowane, a zaraz po nich następowała cisza. Nie potrafił określić, skąd dokładnie dobiegały, ale coś mówiło mu, że

nie są to kroki przypadkowe. Zaczął nasłuchiwać.

Znów. Stukot obcasów o bruk, a później przerwa. Zupełnie jak gdyby ktoś się skradał i przy końcu każdej uliczki sprawdzał, czy jest już wystarczająco blisko. Petr wyczulił go na takie rzeczy. A jeżeli Slava był tutaj sam, to ten ktoś mógł skradać się tylko do niego.

I znowu, ale tym razem w trochę innym rytmie. Zatem było ich co najmniej dwóch. I znów, jeszcze z innej strony. Dwóch albo i więcej.

Sięgnął za plecy i wy dobył spod marynarki nóż, który Petr kazał mu zawsze nosić przy sobie. Slava długi czas go wyśmiewał, ale mimo to nie rozstawał się z ostrzem. Dawno nie czuł się tak wdzięczny złodziejowi za jego ciągłe zrządzenie. I za tych kilka razy, kiedy potężnie obił mu pysk podczas treningów.

Zaczął iść wolniej i uważniej, przeklinając w myślach każdą kroplę wypitego alkoholu. Przynajmniej po tym, jak zwymiotował, przestał się już zataczać, lecz wciąż czuł, że krok ma niepewny, a nogi jak z galarety. Spoconą ręką ścisnął rękojeść noża, który starał się trzymać ukryty wzdłuż przedramienia. Jeżeli go obserwowali, lepiej, żeby nie wiedzieli, że jest przygotowany. Szedł przed siebie, nie rozglądał się. Słuchał.

Po chwili był już pewny, że się na niego czają. Było ich trzech, może czterech. Z początku szli z tyłu, ale w pewnym momencie wyprzedzili go. Słyszał, jak przesuwali się po prawej, w równoległej uliczce. Zastanawiał się, czy nie rzucić się w jedno z bocznych przejść, ale bał się, że wtedy mogą go otoczyć. Dlatego brnął dalej przed siebie, cały czas próbując sobie przypomnieć rozkład ulic w tej części miasta. Nie miał pojęcia, dokąd idzie, a szumiący w głowie alkohol nie pomagał.

W końcu przystanął. Stało się to, czego się najbardziej obawiał. Droga prowadziła ku przewężeniu. Jeżeli tam go dorwą, będzie ugotowany.

Odwrócił się i dostrzegł idącego w jego stronę mężczyznę. Szedł spokojnie, ani szybko, ani wolno, po prostu podążał przed siebie. Wyglądał, jakby wybrał się na nocny spacer. Ręce trzymał w kieszeniach. Szuler wiedział, że gdyby przed chwilą zanurkował w przewężenie, tamten natychmiast odciąłby mu drogę ucieczki. Dlatego przystanął i udał, że nad czymś się zastanawia. Starał się wyglądać na bardziej pijanego niż jest. Nasłuchiwał.

Z drugiej strony przejścia też odezwały się kroki. Pojawił się kolejny spacerowicz, który także zbliżał się w stronę Slavy.

Od tego z przodu dzieliło go jakieś dziesięć kroków. Od tego z tyłu pięć. Szuler wziął głęboki wdech. Cztery. Dwa.

No to szlus.

Odepchnął się od ściany i w trakcie obrotu szybko ciął nożem. Zaatakowany próbował odskoczyć. Nie zdążył. Chociaż musiał sam szykować się do ciosu, nie spodziewał się, że Slava uderzy pierwszy. Skośne cięcie trafiło z lewej strony szyi, a diabelnie ostra krawędź tnąca przeszła przez ciało jak przez masło. Siknęła krew.

Slava zachwiał się, ale udało mu się nie przewrócić. Ten drugi właśnie zbierał się do biegu, równocześnie sięgając pod płaszcz. Pewnie też miał nóż.

Szuler wiedział, że w swoim stanie nie ma najmniejszych szans, by poradzić sobie w otwartej walce – zwłaszcza że stracił przewagę zaskoczenia. Rzucił się w najbliższą uliczkę. Przebiegł kilka metrów, skręcił w następną. Przystanął i przywarł plecami do ściany. Serce waliło mu jak młot kowalski. Łapał oddech i próbował się nie przewrócić. Mroczki zatańczyły mu przed oczami, więc zamrugał szybko kilka razy. I słuchał. Czekał na kroki.

Cisza. Wszędzie wokół cisza.

Nagle dobiegł go szmer. Za rogiem, po lewej stronie. Cichy i niewyraźny. Blisko, bardzo blisko.

Wiedząc, że błąd będzie kosztował go życie, okręcił się i natychmiast wyprowadził pchnięcie. Krótkie, szybkie i śmiertelne. Ostrze napotkało opór. Zanim zorientował się, co robi, wyuczone odruchy zadziałały za niego. Cofnął rękę i pchnął jeszcze raz. I znowu. Trzy szybkie ciosy, a potem odskok.

Odepchnął od siebie zaskoczonego napastnika. Mężczyzna trzymał się za brzuch, rozpaczliwie usiłując zatamować krwawienie. Jucha wyciekała mu przez ręce i obficie zalewała chodnik. Spróbował zrobić jeszcze krok i upadł.

Slava powtrzymał się, żeby po raz kolejny nie zwymiotować. Odetchnął głęboko.

Wdech, wydech. Wdech...

Nagle świat zniknął. Zastąpiła go mokra, śmierdząca mgła w brunatnym kolorze i niespodziewany wybuch bólu. Poczuł, jak uderzenie czymś twardym zabiera mu oddech. Próbował zaczerpnąć powietrza. Śmierdziało stęchlizną. Tonął.

Spanikowany młócił rękami na oślep. Ta z nożem trafiła w ścianę. Ostrze zgrzytnęło o mur i wypadło mu z dłoni. Popęłnił błąd. Trzeba było bić do tyłu.

Idiota.

Zarzucili mu coś na głowę, jakiś worek, i trzymali ciasno przy szyi, czekając, aż ujdzie z niego powietrze. Dusił się, ale nie przestawał walczyć. Uderzał wszystkim, czym tylko się dało – łokciami, głową, deptał obcasem.

W końcu zdołał okręcić się przodem do napastnika.

Poczuł, jak jeden z jego desperackich ciosów trafia w cel. Trzasnęło, chyba udało mu się złamać tamtemu szczękę albo chociaż porządnie ją naruszyć, bo to była masywna, twarda szczęką. Pięści, które go okładały, też nie należały do drobnych. Kolejny wybuch bólu przyszedł od strony przepony. Slava niemal zwymiotował.

Poderwał dłonie do szyi i spróbował zedrzeć z głowy ten śmierdzący worek.

Tylko czekali na ten moment. Błyskawiczne podcięcie wyciągnęło spod szulera nogi. Uderzył o ziemię, ale wciąż walczył. Za plecami miał chropowatą ścianę. Odpychał się od napastników i kopał, lecz czuł, że traci siły.

Bili dalej. Mocno, ale tak, żeby nie zabić. Zawodowcy.

Nagle usłyszał tętent kopyt i stukot kół na bruku. Dorożka. Tempo było duże, bardzo duże, woźnica musiał gnać na złamanie karku. Czyżby nadchodził ratunek? Ale kto...?

Dorożka zatrzymała się blisko, gdzieś z boku, jednak oni nie przestawali go bić. W końcu zrozumiał: to nie była zemsta za Divarda. To było zaplanowane porwanie.

Po kolejnym potężnym sierpie Slava zwiotczał. Mocne szarpnięcie poderwało go z ziemi i przerzuciło do przodu. Tyłem głowy zawadził o jakiś twardy kant, po czym upadł na coś niespodziewanie miękkiego. Dorożka, wrzucili go do dorożki.

Spróbował zerwać zasłaniający wzrok worek, ale ręce zostały za plecami, na wysokości bioder. Nawet nie wiedział, kiedy go skrępowali.

Trzask bata, szarpnięcie. Powóz ruszył w drogę.

Gottenhoffa zjadały nerwy. Niby był przekonany, że zlecenie wykonał pierwszorzędnie i że jego wersja wynalazku będzie działać równie dobrze jak prototyp Faugena, lecz wciąż pozostawał spory margines niepewności. Inżynier byłby o wiele spokojniejszy, gdyby mógł samodzielnie przeprowadzić pierwsze testy, dokonać niezbędnych pomiarów, wprowadzić poprawki, a potem sprawdzić wszystko jeszcze raz. Wtedy wiedziałby, że może spokojnie dokonać prezentacji przed klientem. Faugen jednak nie godził się na takie warunki. Już podczas pierwszej wizyty zapowiedział, że testy odbędą się tylko raz, i wyłącznie w jego obecności. Co więcej, zamierzał przeprowadzić

je samodzielnie. Dopiero wtedy miał podpisać niezbędne papiery, wraz z umową patentową i przyznaniem praw konstrukcyjnych rodzinie Gottenhoffów.

Inżynier od samego początku czuł, że jest w tej sprawie coś bardzo śmierzącego, lecz mimo to zdecydował się zaryzykować. Jeżeli Faugen dotrzyma słowa, to nazwisko Gottenhoffów na zawsze zapisze się w dziejach techniki. Jeżeli zaś będzie próbował go oszukać... Cóż, na tę ewentualność Heinrich był przygotowany. Złożony kilka dni temu wniosek patentowy czekał już na rozpatrzenie w Królewskim Inspektoracie Rozwoju Nauki, a jego starannie sporządzona kopia spoczywała w sejfie. Kod do sejfu znały tylko dwie osoby. Pierwszą był sam inżynier, a drugą zaufany notariusz, przyjaciel rodziny Gottenhoffów.

Nawet przez chwilę nie miał przy tym zamiaru oszukać Faugena i przywłaszczyć sobie praw do czegokolwiek. Chciał tylko uczciwego rozwiązania sprawy, czyli wyegzekwowania zapisu zapewniającego dziesięcioletnią wyłączność na produkcję wynalazku. Jeżeli to dostanie, raz na zawsze będzie mógł pokazać wała koncernom alchemicznym. A przy okazji zapewni królowej nauk należne jej miejsce, mechanika w świecie nauki znowu wróci na piedestał. Mimo że był zabezpieczony, nie przestawał się denerwować. Bez przerwy chodził po pracowni i co chwila zerkał na tykający głośno czasomierz. Umówili się późnym popołudniem, przed zachodem słońca.

Jeszcze tylko pół godziny...

Jeżeli było coś, co mogło go uspokoić, to tym czymś była praca. Dlatego też po raz kolejny podszedł do leżącego na stole wynalazku i obejrzał go dokładnie. Owoc jego nieprzespanych nocy składał się z długiej lufy wytłoczonej z najprzedniejszej jakości metalicznego stopu, połączonej z komorą, do której należało wsadzić odlany w specjalnej formie astralitowy stożek. Stożki podawał sprężynowy magazynek, a nad nim Gottenhoff zamontował mechanizm spustowy, będący częścią metalowego uchwytu. Najważniejszy jednak był niewielki zbiorniczek, przymocowany za pomocą miniaturowego stelaża do górnej krawędzi lufy. Naczynie o kształcie lekko wydłużonej bańki inżynier spryskał płynem solarnym, co nadało mu niebywałą odporność na stłuczenia. Po naciśnięciu na spust małej zawór wypuszczał ze zbiornika precyzyjnie odmierzoną kroplę, która następnie spadała na spłonkę astralitowego stożka.

Wszystko według planu...

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk dzwoneczka nad drzwiami. Inżynier odłożył

wynalazek na stół i szybko zarzucił na niego płócienną płachtę. Kiedy się odwracał, Silas Faugen wchodził właśnie do warsztatu, postukując o dłoń nieodzowną laseczką.

– Panie Gottenhoff – zaczął od progu – czy wszystko gotowe?

Krótko i na temat. Bez powitania, bez uścisku ręki i bez zbędnego udawania, że chodzi o coś więcej niż interesy. Niech tak będzie, pomyślał inżynier.

– Dokładnie tak, jak się umawialiśmy – odparł. – Zapraszam.

Zawahał się, czy nie poruszyć raz jeszcze tematu kontraktu, ale uznał to za bezcelowe – Faugen zapewne po raz kolejny go zbędzie. Pozostawało pokazać mu gotowy egzemplarz, nawet pozwolić dokładnie obejrzeć, dokonać testu, a potem po prostu odmówić wydania projektów. Bez nich zaś jakakolwiek produkcja wynalazku będzie niemożliwa. Faugen nie dostanie nawet patentu. Chociaż po tym, co spotkało Gottenhoffa Starszego, inżynier wzdrygał się na samą myśl o szantażu, nie widział innego wyjścia z sytuacji.

Bez słowa wskazał inwestorowi wybrzuszenie pośrodku przykrywającej stół płachty. Faugen podszedł do niego i zamasztywym ruchem zrzucił materiał na ziemię. Od razu sięgnął po wynalazek, zważył go w dłoni, a następnie pokiwał głową – Gottenhoff nie wiedział: z aprobatą czy w zadumie. Później postukał paznokciem w szklany pojemnik, po czym mocno potrząsnął, trzymając za uchwyt. Kiedy okazało się, że wynalazek nie wydaje z siebie nawet cichego grzechotania, Faugen uniósł brwi w geście zdziwienia.

– No, panie inżynierze – powiedział z wyraźną estymą – muszę przyznać, że wykonanie jest prima sort. Rzekłbym, że może okazać się nawet lepsze od oryginału. Proszę mi tylko powiedzieć...

Wcisnął wystający z boku uchwytu przełącznik, a na jego rękę wyskoczył sprężynowy magazynek.

– Cóż to jest? – zapytał.

– Magazynek – odparł spokojnie Gottenhoff. – Prototyp dostarczony przez pana mieścił w komorze tylko jeden nabój. Tutaj można włożyć sześć. Zużyty stożek wypadnie z prawej strony, a sprężyna natychmiast wciśnie na jego miejsce następny.

Faugen był zaskoczony, lecz widać było, że jest to zaskoczenie pomieszane z zadowoleniem, gdyż nie przestawał się uśmiechać pod tym swoim sumiastym wąsem.

– Pomysłowe – pomrukiwał – naprawdę pomysłowe...

Jeszcze przez chwilę majstrował przy wynalazku, sprawdzał palcem mechanizm spustowy, słuchał, jak podłączony do szklanej bańki zawór zasysa

powietrze i zaglądał do lufy.

– I gwarantuje pan – zapytał inżyniera – że ten egzemplarz nie rozpadnie się po, powiedzmy, dwudziestu użyciach?

– Trochę zmodyfikowałem konstrukcję przy lufie i użyłem innego stopu. Ten jest bardziej sprężysty i powinien lepiej reagować na wstrząsy przy eksplozji...

– Znakomicie – przerwał Faugen. – Pora na rozpoczęcie testów. Czy...

Nie zdążył zadać pytania. Tym razem Gottenhoff nie zamierzał tracić czasu na uprzejmości.

– Tam. – Wskazał Faugenowi drogę do tylnego wyjścia. – Za pracownią.

Wyszli na zewnątrz, gdzie czekało odpowiednio przygotowane przez Gottenhoffa miejsce do przetestowania nowej wersji wynalazku. Na oddalonej o kilka metrów belce inżynier rozpiął płachtę z tarczą w formie kilku koncentrycznych kół, zaś na ziemi wyrysował linię z dokładnym oznaczeniem odległości. Biegła od tarczy aż do przygotowanego na czas testów stołu, na którym można było położyć wynalazek i spokojnie przeładować. Gdy tylko Faugen ujrzał to wszystko, znów z ukontentowaniem pokiwał głową. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobył niewielkie pudełko i umieścił je na stole. Kiedy zdjął z niego pokrywkę, okazało się, że jest wyścielone watą, a w środku leżą równiutko ułożone astralitowe stożki. Sięgnął po jeden z nich i uważnie obejrzał, trzymając go w dwóch palcach niczym jubiler drogocenny klejnot. Nieznacznie skinął głową i kilka razy wsunął oraz wysunął pocisk do komory przy lufie. Później odliczył jeszcze pięć i napełnił magazynek do końca. Po raz drugi sięgnął pod marynarkę i tym razem wyciągnął zakorkowaną próbkę z fosforyzującym, fioletowym płynem. Odpiął od bańki giętką rurkę, która służyła do napełniania zbiornika. Włożył ją do próbki i nacisnął na spust. W kilka sekund niemal cały płyn znalazł się w naczyniu nad lufą. Fioletowa ciecz zaczęła się przelewać pomiędzy miniaturowym ozebrowaniem.

Bez żadnego ostrzeżenia Faugen uniósł wynalazek, trzymając go w ciasno splecionych dłoniach, i sześć razy pociągnął za spust. Wszystko trwało sześć sekund.

Sześć razy błysnęło. Sześć razy huknęło. Sześć eksplozji. Sześć dziur w tarczy. Kule przeszły na wylot.

– Ha! – zakrzyknął Faugen i aż uniósł pięść w geście zwycięstwa. – Jak mawiają w moich stronach, eccellente!

Gottenhoff po raz pierwszy widział, jak emocje wręcz wylewają się z tego

człowieka niekontrolowanym strumieniem. Miał wrażenie, że dopiero teraz Faugen zrzucił skrupulatnie wypracowaną maskę chłodnego inwestora i po prostu cieszy się jako dziecko. Uznał, że to właściwy moment, by poruszyć trapiący go temat.

– Pozostaje jeszcze kwestia kontraktu – napomknął. Głos miał pewny i stanowczy. – Wedle zwyczajowych ustaleń mojej pracowni należy się dziesięć lat wyłączności na produkcję oraz procent z zysku od każdego patentu korzystającego z pańskiego odkrycia.

Faugen nie odpowiadał. Zbierał z ziemi łuski i oglądał jedną po drugiej. Sprawiał wrażenie, jakby był w transie i w ogóle nie słuchał, co inżynier do niego mówi.

– Jednak biorąc pod uwagę szczególną... naturę tego zlecenia – ciągnął dalej Gottenhoff. – Sugerowałbym wyłączność na piętnaście lat...

Gdyby inżynier był bardziej uważny, dostrzegłby, że Faugen od dobrej chwili nie zajmuje się już porzucanymi na podwórku łuskami. Zauważyłby, że sięga po kolejny, tym razem tylko jeden, astralitowy stożek i umieszcza go w komorze spustowej. Widziałby, jak prostuje rękę i niemal przykłada mu broń do głowy. Czego nie mógł widzieć, to jak po naciśnięciu spustu pojedyncza kropla fioletowego płynu przepływa przez podłączoną do mechanizmu rurkę. Jak spada na odlaną ze specjalnego stopu spłonkę, która natychmiast wchodzi w reakcję z cieczą. Nie zobaczył też miniaturowej eksplozji, która wyrzuca pocisk z komory i rozpędza go do prędkości na tyle dużej, by kula rozerwała ciało. Ostatnim, co widział, było podwórko za pracownią. Wtedy astralitowy stożek uderzył w tył jego głowy, przebił kość i dotarł aż do mózgu.

Dochodziło już południe, a Petr stał w Jarvaku pod ścianą zrujnowanego budynku i bezmyślnie przerzucał w rękach nóż. Był cholernie zmęczony. I martwił się.

Klik, klak, klak...

Całą poprzednią noc nie zmrzył oka, bo do rana biegał po mieście, usiłując znaleźć Slaveę. Bezskutecznie. Szuler przepadł jak kamień w wodę. Jedyne, co udało się zdobyć złodziejowi, to cynk od miejscowego pijaka. Gość siedział akurat pod ścianą w Salinie i odkręcał pierwszą tej nocy butelkę, kiedy zobaczył idącego przez miasto Slaveę. Rozpoznał go bez trudu, bo szuler kroczył środkiem ulicy odpiardolony, jakby szykował się co najmniej na balety

w Hrabinie. Jak się potem okazało, szedł po Divarda, prosto w paszczę lwa.

Klak, klak...

– Kiedyś wypadnie ci to z rąk, urżnie klejnoty i będzie płacz. – Głos Nina wytrącił go z rytmu. Jak ten sukinsyn to robi? Niewielu było w tym mieście ludzi, którzy byliby w stanie podkraść się do Petra, a jemu wciąż się to udawało. – Mówię poważnie, znam takiego typu, któremu się to przydarzyło. Też cwaniakował i cwaniakował, a teraz nie może się podrapać po jajach.

– Nino, nie wkurwiał mnie.

– Słowo honoru, naprawdę znam takiego typu i...

– Nie wkurwiał mnie – powtórzył jeszcze raz Petr. – Dowiedziałeś się czegoś?

– Nikt nic nie widział i nikt nic nie słyszał. Pusto.

– Sprawdzałeś u Kramera?

– Tak. U niego, u Louisa, w szulerni Krepkiego, u Livelle...

– Tam na pewno nie poszedł. W głowie ma ostatnio tylko jedną lalę. – Petr pokręcił głową i zapatrzył się na jakiś widoczny tylko dla niego punkt. Po kilku sekundach otrząsnął się i wrócił do tematu. – Ale dobrze. Dobrze, że sprawdziłeś...

– U jego lali też byłem – uśmiechnął się zabójca. – Miała próby w teatrze i nie chciała ze mną gadać. Zbyła mnie po paru minutach, ale przynajmniej chwilę popatrzyłem, jak wywija tymi nogami...

– Powiedziała coś?

– Tylko tyle, ile już wiemy. Był u niej. Poszła na próbę i zostawiła go w domu. Dodała, że nie jest jego matką. I że ty też nią nie jesteś.

Petr parsknął ironicznie. Ta baletnica zawsze była pyskata.

– Niech to bladź... A to było takie proste: miał tylko siedzieć u Camilli i się nie wychylać. Polizać rany, pokutasić i poczekać, aż wszystko się uspokoi. To nie, kurwa, musiał wyjść i roztrzaskać Divardowi łeb.

Na wspomnienie Divarda Nino rozpromienił się jak dziecko, które dostaje ciastko.

– Facet do teraz nie odzyskał przytomności. Moja szkoła.

Petr zgrzytnął zębami. Przesunął palcem po ostrzu i złożył nóż. Dyskretnie roztarł na opuszcze kroplę krwi.

– Ty byś to załatwił porządnie – warknął. – A on wlaźł prosto w ich pułapkę.

– Prr! Jakich znowu „ich”? – zatrzymał go Nino. – Skoro są jacyś oni, to może powinniśmy do nich iść i uprzejmie zapytać, gdzie jest nasz ancymon?

– Problem w tym, że chociaż mam pewne podejrzenia, kto dorwał maślaka, to i tak nie bardzo jest kogo pytać. Divard nic nam nie powie, bo nie może, a ja nie wiem, kto nagrał mu tę robotę...

– No dobra, ale dlaczego uważasz, że jest jakiś ktoś?

– Wczoraj wieczorem pod kwaterę Divarda przyjechały dwie dorożki. I wtedy popełniłem ten jeden kluczowy, pieprzony błąd. Zamiast ich śledzić, sprawdzić, kto przyjechał, ja pobiegłem ostrzec Slavę... Kurwa! Od początku wiedziałem, że nie powinniśmy zostawiać go samego!

– Nawet jeżeli masz rację i dopadli Slavę... to co? Posłali go w piach...? Za jedną małą awanturkę?

– Na pewno nie. Ci goście nie są głupi, Nino. W przeciwnym wypadku już byśmy ich mieli.

– To o co im może chodzić?

Nad tym pytaniem Petr spędził całą poprzednią noc. I doszedł do bardzo konkretnych wniosków.

– Myślę – odparł poważnie – że porwali Slavę, bo chcieli w ten sposób dostać się do Profesora. Bo jeżeli stary ma jakąś słabość...

– ...to jest nią ten dzieciak – dokończył Nino, a zawsze obecny na jego twarzy uśmiešek nagle zniknął. Zaczynał rozumieć. – No to, kurwa, grubo...

– Przerobili nas. Jak mawia Slava, wszyscy patrzyliśmy, nikt nie widział.

– To... – Nino potarł czoło i spojrzał pytająco na Petra – co teraz?

– Nic. – Złodziej wzruszył ramionami. – Kazałem ludziom przeczesywać miasto. A nuż coś się pojawi... Ale jeżeli to są tacy zawodowcy, jak myślę, to i tak go nie znajdziemy. Ze Slavą czy bez niego musimy działać według planu.

– No właśnie, planu... Jesteś tego pewien?

Petr spojrzał uważnie na Nina. Dobrze wiedział, że troska ma niejedno oblicze. U większości ludzi przeważa obawa o własną dupę, odmiana pół na pół pomieszana ze strachem. Jednak w wypadku Nina chodziło o zupełnie inny rodzaj troski. Zabójca ani przez chwilę nie bał się o siebie – jemu naprawdę nie podobał się ten plan. Petr za to był pewien, że nie ma innego wyjścia.

– Wszystko już poszło w ruch – powiedział. – Brakuje tylko tej jednej, ostatniej części. Potrzebujemy Ignaca Karva.

Silas Faugen poświęcił wiele czasu, by skrupulatnie zaplanować wszystko, co stało się, odkąd tylko wszedł do warsztatu Gottenhoffa. Wybrał go nieprzypadkowo, od lat bowiem obracał się w inżyniersko-alechemicznym

interesie i potrafił odróżnić dobrą pracownię od złej. Ta była wybitna – Gottenhoffowie mieli świeże podejście do inżynierii, a jeżeli chodzi o pomysły, wyprzedzali konkurencję o co najmniej kilka lat. Brakowało im jedynie tego drobnego czegoś, co Faugen nazywał genem obrotności. Dorobienie się dużych pieniędzy wymagało bowiem, by mieć w sobie takiego małego skurwysyna, który we właściwych momentach przejmowałby nad człowiekiem kontrolę i pozbawiał wszelkich skrupułów. Bo doświadczenie Faugena mówiło też, że naprawdę duże kwoty zarabia się zawsze czyimś kosztem.

Przeanalizował historię pracowni Gottenhoffów od początku jej powstania, przejrzał wszystkie zrealizowane, porzucone i zawieszane projekty. Sprawdził nawet, co mówi się o obecnym właścicielu warsztatu, młodym Heinrichu, i upewnił się, czy nie prowadzi on żadnych prywatnych wojen albo nie ma nałogów, które mogłyby zakłócić wykonanie zlecenia. Tymczasem młody Gottenhoff, jak zresztą cała jego rodzina, był porządny aż do zrzygnięcia i przekładało się to na jego podejście do inżynierii. Każdy projekt musiał być wykonany bez żadnych kompromisów i na tyle solidnie, by wytrzymał lata użytkowania.

Zanim Faugen pojawił się na miejscu, wielokrotnie odegrał w głowie wszystkie możliwe scenariusze rozmowy. Był przygotowany na to, że Gottenhoff będzie zadawał niewygodne pytania o pochodzenie prototypu, odmówi odtworzenia wynalazku, który już istnieje, albo będzie drażył sprawę braku patentu. Brał nawet pod uwagę możliwość, że inżynier spróbuje wyrzucić go z pracowni, a później będzie chciał donieść na niego do KIRN-u. Tymczasem poszło gładko i Gottenhoff przyjął zlecenie.

Drugim krokiem było upewnienie się, że inżynierowi uda się dostać wszystko, czego potrzebował do wykonania konstrukcji. Faugen zapłaciłby niemal dowolną kwotę, by zapewnić niezbędne materiały, bo pieniądze nie grały tutaj żadnej roli. Jeżeli byłoby trzeba, kupiłby i całą fabrykę, tylko po to, by wymontować potrzebne części ze znajdujących się tam maszyn. Był gotowy poruszyć niebo i ziemię. Równocześnie działał jednak na tyle dyskretnie, by Gottenhoff się nie zorientował, jak ważny projekt ma w swoich rękach. Jak się jednak okazało, renoma jego warsztatu nie wzięła się znikąd. Projekt był realizowany terminowo, solidnie i co zupełnie niespodziewane, bardzo tanio.

Poza tym, chociaż Faugen wyznaczył inżynierowi bardzo restrykcyjne warunki, w ramach których absolutnie domagał się wspólnego przeprowadzenia pierwszych testów, tutaj także inżynier spisał się wzorowo.

Ze wszystkim uporał się na czas, sam zorganizował miejsce do sprawdzenia wynalazku, a na dodatek zaproponował taką porę, która zapewniała im możliwie dużą dyskrecję.

Faugen wprost nie mógł w to uwierzyć. Wystarczyło tylko pojawić się w pracowni i dokończyć dzieła. Kiedy pociągał za spust, nie wahał się, bo wewnętrzny skurwysyn podpowiadał mu, że tak właśnie skonstruowany jest świat – żeby ktoś mógł zyskać, ktoś inny musi stracić.

Wszystko układało się lepiej niż podczas nawet najbardziej optymistycznych prognoz. Aż do teraz.

Faugen poświęcił ostatnią godzinę na przetrząsanie pracowni w poszukiwaniu planów wynalazku. Wiedział, że muszą być gdzieś na miejscu, bo podczas długich godzin spędzonych na projektowaniu inżynier zapisał całe dziesiątki kartek. Część z nich pokryły odrysowywane od prototypu szkice, część specyfikacja poszczególnych elementów, a część luźne notatki. Tymczasem nie pozostał po nich choćby ślad.

Sprawdził wszystkie półki, wybebeszył szafki, a nawet niemal rozebrał na części pierwsze blat konstruktorski.

Pusto. Wszędzie pusto.

W końcu zrozumiał, że w całym swoim planie popełnił jeden błąd. Przeoczył, że jednym z najsłynniejszych projektów ojca inżyniera był jego sejf. Solidna pancerna szafa autorskiej konstrukcji, której zamka nie dało się sforsować w żaden sposób. Faugen nie przewidział, że to właśnie w tym sejfie znajdzie się to, czego najbardziej teraz potrzebował. Nie wiedział też, że razem z planami Gottenhoff schował podbity przez KIRN wniosek patentowy na okaziciela, który przyznawał prawa do wynalazku. Tego miał się dowiedzieć kilka dni później.

Usłyszał za sobą huk zatraskiwanych drzwi i chrobotanie zasuwanego rygła. Potem nastąpiła grobowa cisza.

Leżał na zimnych kamieniach i czuł, że nie za bardzo może się poruszać; nadgarstki i kostki miał związane grubym sznurem, a twarz wciąż zasłaniał mu obrzydliwie śmierdzący worek. Jakby tego było mało, od strony żeber cmił nieustający, pulsujący ból. Musieli uszkodzić je podczas szamotaniny. Albo podczas jazdy powozem, kiedy Slava wciąż próbował się wyrwać. Dostał wtedy kilka solidnych razów, które ustały, gdy tylko przestał się stawiać.

Przetoczył się na plecy i spróbował wymacać, gdzie właściwie jest.

Niezgrabnymi ruchami, przypominającymi pewnie skakanie ryby dogorywającej na brzegu, starał się przesunąć w róg pomieszczenia. W końcu za plecami poczuł twardą cegłę, a gdzieś nad sobą usłyszał stłumione dźwięki. Piwnica. Wrzucili go do piwnicy.

Slava poczuł, że ogarnia go panika. Raz za razem wciągał hausty stęchłego powietrza, a serce waliło jak oszalałe. Adrenalina spięła ciało do tego stopnia, że mogła zaraz pozrywać mięśnie. Spokojnie. Tylko, kurwa, spokojnie. Przecież nie pozwoli przerobić się jakimś frajerom... Niech to szlag! Już się dał przerobić!

Ze złości chciał kopać i bić pięściami w ścianę, wyobrażając sobie, że rozbija łby tym pajacom. Tymczasem ani drgnął, bo leżał na ziemi spętany jak szynka i mógł najwyżej wierzgać. Diabli by to wzięli...

Uspokoił się trochę. Worek śmierdział jakby mniej, ale Slava wiedział, że po prostu już się do niego przyzwyczaił. Wykręcone do tyłu ramiona powoli drętwiały. Na razie bardziej go to denerwowało, niż sprawiało ból, ale Slava nie miał złudzeń, że jeszcze trochę i straci w nich czucie. Z każdą chwilą jego szanse malały.

Bez paniki. Profesor zawsze powtarzał: jedna rzecz naraz. Była to parafraza słów starego mistrza sztuki wojennej, który zapisał swoje doświadczenia w postaci traktatu filozoficznego. Jedna z jego kardynalnych zasad głosiła: jeżeli to tylko możliwe, nigdy nie prowadź więcej niż jednej bitwy.

Oddychał już spokojniej i starał się myśleć racjonalnie. Najpierw trzeba oswobodzić ręce.

Przetoczył się na bok i podciągnął nogi do klatki piersiowej. Trochę ciasno, ale może się uda... I raz... I dwa...

Wziął głęboki wdech i wraz z wydechem przełożył spętane nadgarstki pod stopami. Teraz ręce miał już przed sobą. Dobrze. Niemal od razu odczuł ulgę; poruszył napiętymi barkami, najpierw lewym, potem prawym.

Gdyby związali go porządnie, nie miałyby szans się wyplątać, na szczęście zrobili to na szybko, jeszcze w czasie tej ulicznej objawy. Zapewne nie spodziewali się, że będzie stawiał jakikolwiek opór – raczej myśleli, że dadzą mu dwa razy w pysk, zarzucą worek na głowę i półprzytomnego wepchną do powozu. Zaskoczył ich, a kiedy zaczęły się problemy, chcieli to mieć jak najszybciej za sobą. Dostał parę kopów i przestał fikać, a żaden z nich nie pomyślał, by wtedy poprawić sznury. Petr nigdy nie popełniłby takiego błędu.

Mając ręce przed sobą, bez problemu zdarł z głowy worek i od razu wziął kilka głębokich wdechów. Chociaż w piwnicy też śmierdziało stęchlizną,

Slava czuł się, jakby wciągał czyste, letnie powietrze. Kilka razy szybko zamrugał, próbował wypatrzeć cokolwiek w ciemności. Już po chwili był w stanie wyodrębnić poszczególne kształty.

Pusto. Piwnica jak piwnica – wilgotne, kamienne ściany, a pod nogami twarde klepisko. Naprzeciwko widział też zarys drzwi. Ich rozmiar pozwalał sądzić, że znajdująca się po drugiej stronie zasuwą spokojnie wytrzyma nie tylko uderzenie barkiem, ale nawet zaimprovizowanym taranem.

Uznał, że tym będzie się martwić później. Jedna bitwa naraz. Odzyskał już wzrok i oddech, teraz czas na ręce i nogi.

Podczas porwania obmacali mu kieszenie i zabrali wszystko, co miał przy sobie. Zdjęli mu nawet pasek, żeby przypadkiem nie rozdarł więzów o metalową klamrę. Czyli coś tam jednak umieli. Nie znali jednak sztuczki, której nauczył go Nino.

Slava podciągnął się do pozycji siedzącej i oparł plecami o ścianę. Zębami rozerwał mankiet koszuli, wypluł oderwaną zębami spinkę i wy dobył schowane wzdłuż przedramienia ostrze. Było tak cienkie, że aż niewidoczne, a już na pewno niewyczuwalne w czasie przeszukania. Teraz spokojnie, trzeba było opanować nerwy. Jeżeli upuści ten krótki, diabelnie ostry nóż, to będzie po wszystkim, bo w ciemności na pewno nie uda mu się go znaleźć. Czując, że pot ścieka mu po skroni, powolutku, pomagając sobie kolanami, obrócił ostrze w kierunku więzów. Udało się.

Poprawił się jeszcze pod ścianą i zacisnął mocniej zęby na tępej stronie narzędzia. Zaczął piłować.

To był jeden z najdziwniejszych poranków, jakie zdarzyły się w dotychczasowej historii straży miejskiej. W Hausenbergu widziano już wiele, ale to, co strażnicy zastali w pracowni Gottenhoff i Syn, wychodziło poza jakiegokolwiek normy. Na środku warsztatu leżało ciało. Niby nic nadzwyczajnego, czasy niebezpieczne, to i ciała się zdarzają, ale w głowie mężczyzny, zidentyfikowanego jako Heinrich Gottenhoff Młodszy, zionęła dziura. Rana była tak rozległa, że rozciągała się na połowę twarzy, pożerając jedno z oczu i kawałek nosa. W dodatku, wypełniały ją niewielkie odłamki pokruszonego i nadtopionego astralitu.

To jednak jeszcze nie wszystko, bo dziwne śmierci zdarzały się w Hausenbergu coraz częściej. Odkąd w mieście pojawiły się kompanie alchemiczne, niejedna osoba padła ofiarą nieudanych eksperymentów. Były to

sprawy proste, bo winien okazywał się najczęściej sam zmarły. Tutaj mogło być podobnie, gdyż instrumenty w pracowni Gottenhoffa świadczyły o tym, że porzucił on klasyczną inżynierię i zaczął parać się badaniami zahaczającymi o arkana alchemii. Strażnicy wiedzieli, że ryzyko niepowodzenia wzrastało wtedy co najmniej kilkukrotnie, bo trzeba się było liczyć z tym, że w każdej chwili coś może wybuchnąć, najczęściej wraz z wynalazcą oraz najbliższym otoczeniem. Krótko mówiąc, inżynier wziął i przedobrzył.

Było jednak coś, co nie mieściło się w jakichkolwiek znanych stróżom prawa ramach. Pomimo stanu, w jakim znajdowało się ciało właściciela, w pracowni nie dało się zauważyć absolutnie żadnych zniszczeń. Chociaż sprzęty pozostawione były w pewnego rodzaju chaosie, wciąż był to chaos uporządkowany. Nie znaleziono też nawet najmniejszego dowodu na to, by poprzedniej nocy nastąpiła tu choćby drobna eksplozja.

Mimo wszystko sprawę szybko zakwalifikowano jako wyjątkowo pechowy wypadek przy pracy naukowej i zrezygnowano z dalszego dochodzenia. Strażnicy miejscy zabezpieczowali wejście do pracowni, po czym uznali sprawę za zamkniętą. Jak zawsze w wypadku nagłej i niespodziewanej śmierci wynalazcy pojawili się również urzędnicy z Królewskiego Inspektoratu Rozwoju Nauki. Zabezpieczyli stojący w kącie sejf, w którym wedle ich wiedzy powinny się znajdować oryginały projektów inżyniera. Teraz jego odkrycia miały zostać dokładnie opisane, a ich zgodność sprawdzona z archiwami Inspektoratu. Następnie, z racji tego, że inżynier nie miał żadnego żyjącego spadkobiercy, trafią na odbywającą się co kilka tygodni aukcję patentów. W ten sposób skrzętnie pilnowane dokonania rodziny Gottenhoffów zostaną przekazane w ręce tego, kto wykaże się najgrubszym portfelem. Gdyby stary inżynier wiedział, że czeka je taki los, gorzko by zapłakał.

Nikt z kolei nie płakał nad ciałem Heinricha Gottenhoffa. Najbardziej zatroskani byli chyba przenoszący ciało funkcjonariusze. Zachodzili w głowę, w jakiego rodzaju wybuchu nieszczęsny inżynier odniósł tak osobliwe obrażenia. Jak jednak zgodnie stwierdzili, kiedy zbliżała się podwójna pełnia, wszystko mogło się zdarzyć.

Ignac Karv był człowiekiem z dwóch światów, miejską legendą przekazywaną w Hausenbergu z ust do ust. Chociaż nikt nie wiedział, jak wygląda, gdzie mieszka ani jak go znaleźć, to wszyscy wiedzieli, kim był. Bez względu na to, czy spytać drobnych złodziejasków, wyrobionych doliniarzy, specjalistów od

objany czy artystów oszustwa, każdy znał historię o Ignacu Karwie.

Podobno dorastał gdzieś na ulicach Gislaku. Jedni mówili, że był pomocnikiem szewca, inni, że subiektem kupieckim, a jeszcze inni, że zwykłym żebrakiem, wychowanym w sierocińcu. Historie splatały się w miejscu, w którym młody Ignac Karv postawił się Klice Kruków. Było to jeszcze za czasów Starego Hausenberga, kiedy ulice były znacznie mniej cywilizowane. Ignac natknął się na kilku blatnych z kliki Kruków, którzy akurat w najlepsze zabawiali się z młodą dziewczyną. Wciągnęli ją w zaułek, zatkali usta szmatą i używali sobie, jeden po drugim. Kruki rekrutowano spośród tych, których inne kliki nie chciały widzieć w swoich szeregach. Byli bezwzględni, nieobliczalni i okrutni, dlatego też starano się raczej nie wchodzić im w drogę. Nikt nie wie, dlaczego Ignac zrobił to, co zrobił. Jedni mówili, że znał tę dziewczynę, że podkochał się w niej przez długie lata, kiedy przychodziła po zakupy do sklepu, w którym pracował. Inni – że sam wcześniej ją okradł, jednak zrobił to z uśmiechem i kindersztubą, z której słynęli starzy ulicznicy. Ponoć zdarł z jej szyi diamentową kolia i puścił wolno, wyrażając nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkają. Byli też tacy, którzy twierdzili, że kiedy zobaczył, jak ją gwałcą, po prostu coś w nim pękło.

Bez względu na powody Ignac Karv stanął wtedy przed obliczem śmierci. Jak udało mu się przeżyć? Tego też nie wiedział nikt. Może wykorzystał podstęp, może sztukę negocjacji, a może pomógł mu nóż, którym walki uczył go zabójca z dalekiego południa. Pewnym jest natomiast, że uratował tę dziewczynę, która okazała się córką bogatego finansisty. Z wdzięczności przygarnął on Karva i niczym syna wprowadził do rodzinnego interesu. Chociaż Ignac obracał coraz większymi pieniędzmi, nigdy nie zapomniał, skąd pochodzi. Pamiętał, że aby przetrwać, trzeba kręcić numery, i w kluczowym momencie podstępem przejął kompanię swojego dobrodzieja. W ten sposób doszedł do ogromnych pieniędzy i połączył dwa światy. Był pierwszym spośród Ludzi Nocy, który zaczął liczyć się również w świetle dnia. Tyle legenda.

Petr przez wiele lat starał się dociec, ile prawdy jest w historii o człowieku z dwóch światów, lecz jego poszukiwania utknęły w martwym punkcie. Chociaż każdy słyszał o Ignacu, a niektórzy nawet utrzymywali, że go spotkali, nikt nie potrafił powiedzieć, jak do niego dotrzeć ani gdzie jest teraz. Mówiło się tylko, że wciąż siedzi gdzieś w Hausenbergu, że robi naprawdę grube interesy i że nie zapomniał o ulicy. Złodziej zaczynał już przypuszczać, że to wszystko brednie, kiedy pewnego dnia Slava opowiedział mu o jakiejś

dyskusji w domu Profesora. Brał w niej udział też Jules, doradca starego szulera, który niechcący zdradził jedną z największych tajemnic ulicy. Wypowiedział imię i nazwisko Ignaca Karva i dodał, że trzeba będzie zapytać, co myśli o sprawie. Zatem Ignac musiał być prawdziwy.

Wtedy razem ze Slavą chwycili trop. Zamiast na ulicach, zaczęli szukać gdzie indziej – w otoczeniu Profesora. To, czego udało im się dowiedzieć, przerosło najśmielsze oczekiwania Petra. Okazało się, że Ignac nie tylko dorastał do swojej legendy, ale nawet znacznie ją przewyższał. Był bowiem królem astralitu. Organizował transport pierwiastka ze wschodu na zachód, dbając jednocześnie o to, by odpowiednia ilość została w Hausenbergu. Zaopatrywał w astralit wszystkie miejskie fabryki, wszystkie zakłady inżynierskie, a nawet miejską infrastrukturę. Dostarczał temu miastu powietrze. To dzięki niemu robotnicy mieli co sortować, alchemicy – mieszać w probówkach, a inżynierowie – podłączać do maszyn. Każda jedna uliczna latarnia wykorzystywała towar Ignaca. A wszystko to legalnie i z biurokratycznym błogosławieństwem niezbędnych pozwoleń.

Jakby tego było mało, przydomek człowieka z dwóch światów również znajdował pokrycie w rzeczywistości. Ignac Karv bowiem, poza tym, że był transportowym magnatem, zajmował się jeszcze drugim biznesem. Gdzieś w środku Hausenberga, w sprytnie ukrytych laboratoriach, kupę bezużytecznego astralitowego gruzu przerabiano na prawdziwą ostrą jazdę. Przy odpowiedniej obróbce fosforyzujący kamień dało się rozbić na kilka różnych pochodnych, które nazywano zażywkami. Wprowadzone do organizmu – za pomocą igły, przez nos albo przez dziąsło – podkreślały doznania, wyostrzały zmysły i wywoływały wizje. Po małej działce miłosne zapasy stawały się znacznie ciekawsze i przyjemniejsze, zwiększała się czujność albo po prostu wjeżdżał ostry haj.

Ten nowy cud rewolucji alchemicznej miał jednak drobną wadę – okazyjne skutki uboczne. Na przykład ktoś w narkotycznym szale rzucał się na leżącą obok dziwkę, chociaż jeszcze przed chwilą wciągał z jej pleców odpowiednio doprawiony proszek. Po prostu nagle wpadał w furję, podrzynał kobiecie gardło, a kiedy udawało mu się odzyskać kontrolę, było już za późno.

Jednak ryzyko nigdy nie przeszkadzało poszukiwaczom mocnych wrażeń, a tych, zarówno pomiędzy Ludźmi Nocy, jak i wśród bogatych paniczyków, było znacznie więcej niż dostępnego towaru. Dlatego zażywki chodziły w mieście po bardzo wysokich cenach, o ile ktoś wiedział, jak do nich dotrzeć. Popyt był spory, a podaż zapewniał znowu jeden człowiek.

Kolejnym krokiem Petra było doprowadzenie do spotkania z Ignacem, a to okazało się wcale niełatwe. Jeżeli bowiem przyjąć, że Petr z wszystkimi ulicznymi zasadami bezpieczeństwa po prostu dbał o swoją prywatność, to Ignaca trzeba było nazwać kompletnym paranoikiem. Razem ze Slawą siedzieli nad tym długie tygodnie, krok po kroku próbując dotrzeć do Karva. W końcu udało im się znaleźć kogoś, kto znał kogoś.

Petr zostawił więc wiadomość z prośbą o spotkanie i czekał. Czekał tak długo, aż zaczął myśleć, że nic z tego nie będzie, kiedy niespodziewanie pojawił się kolejny ktoś z odpowiedzią. Po informację zwrotną miał przyjść ktoś jeszcze inny. Raz tym kimś był obdartus wprost z rynsztoka, raz przekupa z Gislaku, a raz nawet jakiś baronet z Valorii. Nie mieli ze sobą żadnych powiązań, łączyło ich jedno imię i jedno nazwisko – Ignac Karv.

Umówili się na noc nieszczęścia, czyli tę, gdy dwa księżycy będą wisieć nad miastem w podwójnej pełni. Przesądni mówili, że to zły znak. Matki modliły się, by wówczas nie urodzić, bo dziecko będzie przekłete. Szulerzy przestawali tasować, gdyż nawet najlepiej ustawiona partia mogła wziąć w łeb. Niektóre zabójstwa na zlecenie odbywały się dzień później, na wszelki wypadek. Petr najchętniej też przełożyłby spotkanie na inny termin, ale wiadomość od Ignaca była krótka i treściwa: „Spotkanie jutro. Zachodnie wyjście z Jarvaku. Trzy godziny po nadejściu zmroku. Eskorta dozwolona. Bez broni”.

Petra już powoli zaczynała irytować ta cała maskarada, ale musiał grać w grę Ignaca, bo na chwilę obecną kontakt z Karvem był mu bardzo, bardzo potrzebny. Dlatego ignorował te szpionowe popisy i posłusznie stosował się do zaleceń. Poza tym musiał przyznać, że ostrożność Ignaca wzbudziła jego szacunek – ten gość naprawdę wiedział, co robi, i sprawiał wrażenie profesjonalisty.

Dobrze, że zgodził się na eskortę, pomyślał złodziej, zerkając na stojącego obok Nina. Miał być z nimi jeszcze Slava, ale akurat dzień przed najważniejszym spotkaniem w życiu Petra postanowił zrobić z siebie idiotę i wpakował się prosto w pułapkę. Fenomenalnie.

Na kilkanaście minut przed wyznaczoną godziną razem z Ninem stawili się przy zachodnim wyjściu z Jarvaku – tam, gdzie dzielnica złodziei łączyła się z Salinem. Ulice były puste, bo dzisiejszej nocy ludzie woleli nie kusić losu. Pozasłaniali okna, zamknęli drzwi i czekali, aż podwójna pełnia się skończy. Zresztą i bez tego w Jarvaku zawsze było pusto.

Stali w ciszy, bo i nie za bardzo było o czym gadać. Mieli robotę do

wykonania i obydwaj wiedzieli, co robić. Petr odruchowo sięgnął po nóż, po czym przypomniał sobie, że nie wziął go ze sobą. Jechali do Ignaca w interesach i nie spodziewali się kłopotów.

– Masz ze sobą broń? – zapytał Nina z ciekawości, chociaż po chwili szybko się zreflektował. – To w sumie bez różnicy. I tak nas porządnie przetrzepią przed wejściem.

– Denerwujesz się – wyszczerzył się Perrez – inaczej byś nie zapytał. Poza tym, mówiłeś, że nie będzie potrzebna.

– Nie powiedziałem „niepotrzebna” – warknął zirytowany Petr. – Jestem pewny, że użyłem określenia „zbędna”. I nie, nie denerwuję się.

Zamilkli. Gdzieś nad ich głowami zamiauczał kot. Złodziej mógł się założyć, że czarny.

– I jeszcze musiał wybrać tę pieprzoną noc. Jakby nie mógł poprzedniej. Albo kolejnej.

– Nie bądź dziecko – odpowiedział Nino ze złośliwym uśmiechem. – I nie martw się tą bronią. Jakoś se poradzę.

W to Petr nie wątpił. Gotów był postawić naprawdę sporo, że Nina można było wysłać na akcję gołego i ze związanymi rękami, a on „jakoś by se poradził”. Złodziej cieszył się, że Perrez był tutaj razem z nim.

Czas zaczął się dłużyć. Petr wyjął z kieszeni czasomierz i sprawdził, która godzina. Do ustalonego terminu pozostała minuta, a w zasięgu wzroku nie mieli żywej duszy. Niech to bładz, gdzie jest ten Karv...

Nagle usłyszał tętent kopyt zwiastujący przyjazd dorożki. Było to o tyle dziwne, że w czasie pełni nikt nie jeździł po mieście. Spojrzał na Nina i bez słów pokiwał głową. Po chwili z jednej z uliczek wyjechał niczym niewyróżniający się czarny powóz o zasłoniętych oknach. Twarz woźnicy zakrywał wysoko postawiony kołnierz płaszcza.

– Wsiadajcie – burknął mężczyzna, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od rozciągającej się przed nim ulicy. Pociągnął ukrytą pod kozłem dźwignię i uruchomił jakiś mechanizm. Drzwiczki powozu otwały się z cichym kliknięciem.

Petr zajrzał do środka i zobaczył, że pojazd jest pusty. Najwidoczniej Karv właśnie zapewnił im transport na docelowe miejsce spotkania. Złodziej zerknął na Nina, który tylko wzruszył ramionami i wgramolił się do środka. Petr zaklął w myślach, ale wiedział, że nie mają wyboru. Musiał spotkać się z Ignacem. Ledwie wsiadł do powozu, drzwiczki się zamknęły także za sprawą ukrytego automatu. Zakołysało i powóz ruszył.

Widać było, że Ignac starannie przygotował się do tego spotkania. Zasłaniający okna czarny materiał przymocowano tak, by nie dało się w żaden sposób podejrzeć, co jest z drugiej strony. Żeby to zrobić, trzeba by było go nieodwracalnie zniszczyć, co zapewne nie spodobałoby się Ignacowi. Dodatkowo, woźnica jechał bardzo szybko i co chwilę skręcał, raz w jedną, raz w drugą stronę. Przez pierwsze kilka minut Petr próbował śledzić trasę przejazdu, lecz po chwili stracił orientację.

Podwójna pełnia, niech to bładź.

Slava siedział i piłował. Na początku jego myśli uciekały do tego, co zrobi, kiedy już się uwolni, ale zaraz przywołał się do porządku. Zasada była jasna i należało się jej trzymać. Jeden problem naraz, nie więcej. Najpierw trzeba oswobodzić ręce. Powoli zaczynały go już boleć zęby, ale nie przestawał. Wyjdzie stąd, choćby miał skończyć szczerbaty.

Żeby zachować spokój, starał się odliczać w głowie sekundy. Doliczył do dwóch tysięcy i przestał. Doszedł do wniosku, że i tak nie uda mu się utrzymać jakiegokolwiek poczucia czasu. Nie wiadomo, ile będą go tu trzymać, a prędzej czy później i tak będzie musiał się przespać, więc cała ta zabawa z liczeniem weźmie w łeb.

Piłował.

Jedyne źródło światła docierało do niego przez szparę pod masywnymi drzwiami, poza tym w pomieszczeniu panowały zupełne ciemności. Wzrok Slavy przyzwyczał się już na tyle, że był w stanie nawet wyodrębnić zarys cegieł na drugim końcu piwnicy.

W końcu więzy puściły. Slava rozmasował nadgarstki i czym prędzej pozbył się sznurów krępujących nogi. Teraz spokojnie, ważne, by nie dać się ponieść euforii. Wstał ostrożnie, cały czas podpierając się o najbliższą ścianę. Jeżeli w czasie walki strzaskano mu kostkę, wołał tego nie pogorszyć. Powoli przenosił ciężar ciała, raz na prawą, raz na lewą nogę. Nie bolało. Odszedł na odległość wyciągniętego ramienia i podskoczył kilka razy w miejscu. Nogi całe, ręce całe. Tylko zębra wciąż bolały jak jasna cholera.

Zaczął się zastanawiać, kto wpakował go w to gówno. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że spośród wszystkich ludzi tylko jeden mógł okazać się jednocześnie tak bezczelny i tak bezmyślny – Simon Divard. Slava wiedział, że będą go szukać. Petr go nie zostawi, będzie węszył wokół Divarda, aż w końcu trafi na jakiś ślad, to tylko kwestia czasu.

Zresztą może już wie, co się stało? Nie raz i nie dwa kazał swoim ludziom chodzić za Slawą...

Kogo ja oszukuję, pomyślał szuler. Przecież gdyby ktokolwiek za mną szedł, to nie pozwoliliby tym idiotom na obijaną w samym środku Gislaku. Wkroczyliby do akcji, zanim przyjechałby ten pieprzony powóz. Niech to wszystko piekło pochłonie...

No i jest jeszcze Profesor. On poruszy niebo i ziemię. No właśnie, czy poruszy?

Nagle Slava poczuł, że został sam. Wiedział, że nigdy wcześniej nie był tak bardzo zdany tylko na siebie. Poczuł, że kurczy mu się żołądek, ale natychmiast przywołał się do porządku. Bez paniki. Jedna rzecz naraz. Wdech, wydech. Fakty. Trzeba ustalić jak najwięcej faktów.

Przeszedł się po celi i zmierzył długość ścian. Wyszło mu jakieś cztery na sześć kroków – ani duża, ani mała. Na tej podstawie trudno było powiedzieć, do której części miasta mogli go wywieźć. Bo tego, że pozostał na terenie Hausenberga, był pewien. Na przedmieściach domy nie mają tak solidnie podmurowanych piwnic.

Podszedł do drzwi i przesunął po nich dłońmi. Wykonano je porządnie, z grubego, masywnego drewna. W kluczowych miejscach zostały też wzmocnione metalowymi sztabami. Słowem, były nierozbijalne i niewyważalne.

Slava powoli zaczynał rozumieć, że ma naprawdę bardzo poważne kłopoty. Ale bez paniki. Fakty, teraz ważne są fakty.

Usiadł i starał się wyłapać jakiś dźwięk. Na granicy słyszalności wyczuwał niejednorodny szum, wytłumiony grubymi ścianami głos ulicy. Mało, za mało, żeby się zorientować, gdzie jest.

Ponownie podszedł do drzwi i położył się płasko. Spróbował przyłożyć ucho do niewielkiej szpary nad podłogą i zamarł w bezruchu. Czekał.

Po jakimś czasie usłyszał stukanie obcasów, regularne kroki znudzonego strażnika, który najwidoczniej łąził pod drzwiami z lewa na prawo. W dziesiątkę.

Mógł już chodzić, odzyskał też wzrok i słuch.

Nadeszła pora, by zastanowić się, co dalej.

Nagle szarpnęło, potrząsnęło i powóz stanął. Wyglądało na to, że jazda dobiegła końca. Zanim Petr zdążył się zastanowić, co dalej, drzwiczki otwarły

się. Tym razem czekało za nimi czterech silnorękich o krzywych mordach. Byli masywni, kwadratowi, a ich głowy wyrastały chyba bezpośrednio z ramion. Stojący najbliżej skinieniem głowy wskazał, żeby wysiadać.

Petr spojrział na Nina, a ten wyszedł z dorożki pierwszy i stanął obok najbliższego giganta, któremu sięgał niewiele powyżej splotu słonecznego. Chociaż był niewysoki, to szerokością dorównywał każdemu z tamtych czterech. Bezcelnym spojrzeniem zmierzył ich wszystkich po kolei, a szczyrzył się przy tym jak mysz do sera. Petrowi wydawało się, że słyszy, jak któryś z ochroniarzy zgrzyta zębami.

Jak na zawodowców to mają słabe nerwy, pomyślał. Co za noc... Pieprzony Ignac Karv i pieprzona podwójna pełnia. No nic, pora zacząć tę sztukę.

Wysiadł z powozu i szybko się rozejrzał. Jego oczom ukazał się spory rynecek, zakopany pewnie gdzieś pomiędzy morzem budynków Salinu. Rozległy plac otoczony był przez bliźniaczo podobne kilkupiętrowe kamienice. W większości wyglądały na opuszczone, lecz do niektórych z nich dobudowano rusztowania przypominające zewnętrzne klatki schodowe. Chociaż bardzo się starał, nie mógł dojrzeć, któredy tu przyjechali. Wszystkie pobliskie uliczki były starannie zamaskowane różnego rodzaju odpadkami – głównie niepasującymi do siebie wielkimi kawałkami metalu, zapewne pochodzącymi z którejś rozebranej na części fabryki.

Sprytne, pomyślał Petr, bardzo sprytne. W ten sposób wszystkie wejścia na ten plac wyglądają jak ślepe uliczki. Pewnie odkrywają je tylko na czas wjazdu powozu. Że też nie wpadłem na to, by wykorzystać ten farmazon w Jarvaku...

Tymczasem wielcy ochroniarze już ustawili Nina pod ścianą i starannie przetrzepywali wszystkie miejsca, w których mógłby ukryć broń. Nino nie przestawał się do nich szczyrzyć, a w pewnym momencie prowokacyjnie poklepał się po kroczu. Nie zareagowali, ale Petr widział, jak jeden z nich zaciska pięści. Gdy skończyli przeszukanie, przyszła kolej na niego.

Kiedy go obmacywali, po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo mu się to wszystko nie podoba. Jednak nie czuł strachu. Strach w niczym nie pomagał, jedynie zmniejszał szanse na przeżycie. Ci, którzy mieli czas na to, by się bać, zwykle wcale czasu nie potrzebowali, bo bardzo szybko odchodzili z tego świata. Przestraszeni.

Usłyszał kroki i się odwrócił. Przez niemal pusty plac spokojnym krokiem szedł w ich stronę elegancko ubrany mężczyzna; nieskazitelnie wypastowane, skórzane buty rytmicznie stukały o bruk. Nosił zaprasowane w kant spodnie

i ekstrawagancki, długi płaszcz z szerokim kołnierzem. Jakby tego było mało, z przebitych płatków nosa wystawały mu cienkie, błyszczące pręty. Podobne nosił też w uszach i brwiach.

– Ignac Karv wita w swoich skromnych progach. – Podeszedł do nich, wyciągając rękę. Wymienił uścisk dłoni, najpierw z Petrem, potem z Ninem. – Jestem Mika. Mam nadzieję, że wybaczycie nam to, ekhm, niefortunne powitanie. Prowadzimy tutaj bardzo, ekhm, delikatną działalność, która wymaga od nas przestrzegania nad wyraz rygorystycznych zasad. Ostrożność to w naszym fachu, ekhm, wymóg pierwszej potrzeby.

Miał w głosie irytującą manierę, a ile razy robił to swoje „ekhm”, Petr musiał się powstrzymać, żeby nie palnąć go w łeb. Kolejny kretyn, który nie mógł się zdecydować, kim chce być, arystokratą czy bandytą. Najchętniej od razu wysłałby go do piachu.

– Oczywiście – odpowiedział Mice, starając się sprawiać chociaż pozory uprzejmości. – Widzę, że nieźle się tutaj urządziliście.

– Prawda? – Elegancik uśmiechnął się, ukazując zęby i jeszcze jeden kolczyk, tym razem umieszczony od wewnętrznej strony, pod górną wargą. – Ale nie marnujemy już czasu, zapraszam do środka, Ignac czeka.

Przeprowadził ich przez plac, kierując się do jednego z budynków. Petr chciał zapamiętać do którego, ale wszystkie wyglądały niemal tak samo. Mika wskazał im schody. Wychodząc na kolejne kondygnacje, złodziej zerknął ukradkiem na Nina. Zabójca wyglądał na zupełnie spokojnego, jakby wybierali się do kogoś na herbatę, chociaż dobrze wiedział, że to nie była taka zwykła sztuka. Od tego numeru zależało bardzo wiele. Złodziej zaczął się zastanawiać, czy w razie kłopotów Nino na pewno da radę ich stąd wyciągnąć. Ochroniarze Karva wyglądali, jakby też byli nie w ciemni bici.

Dotarli na ostatnie piętro. Na widok fircyka z metalem w twarzy kolejny obrośnięty mięśniami gigant odsunął się na bok, otwierając drzwi i stając obok. No pięknie, pomyślał Petr, jak nie pajac, to giganty.

Mika wprowadził ich do niewielkiego przedsionka, w którym czekało jeszcze dwóch karków. Obstawiali następne drzwi, tym razem w połowie przeszklone. Za szybą widać było unoszący się w powietrzu gęsty opar.

– Ekhm... Zapraszam.

Mika spojrzął na Petra, zupełnie ignorując Nina. Najwyraźniej z Ignacem złodziej miał się spotkać sam, eskortę zostawiwszy przed drzwiami. Perreza jednak nie opuszczał dobry humor. Jak gdyby nigdy nic dłubał w zębach i nucił pod nosem jakąś melodię.

Petr wszedł do laboratorium i od razu się rozejrzył. Musiał przyznać, pracownia Ignaca naprawdę robiła wrażenie. Ogromny pokój od podłogi aż po sufit wypełniono alchemiczną aparaturą. Maszyny zbudowane z cieniutkich szklanych rurek i metalowych stelaży oplatały pomieszczenie niczym macki potwora. Monstrum składało się z niezliczonej ilości odnóży, a w dodatku zmieniało kolory; miejscami było zgniłozielone, gdzie indziej niebieskie niczym najczystsze niebo, a przez niektóre ze szklanych kończyn przebijały pochłaniające światło plamy czerni. Potwór bulgotał przy tym, jakby lada moment miał zagotować i wybuchnąć.

Do tej alchemicznej melodii dołączyły po chwili syk wypuszczanej pod ogromnym ciśnieniem pary i stukot ciężkich żelaznych siłowników. Z rogu pomieszczenia wyjechał masywny, metalowy fotel na kółkach, sterowany za pomocą wmontowanych w podłokietniki dźwigni i przycisków. Za sterami tego dziwnego pojazdu, przyczepiony za pomocą skórzanej uprząży, siedział niewielki mężczyzna. W wymiętej koszuli i narzuconej na nią jedwabnej kamizelce wyglądał jak miniaturowa wersja dorosłego. Miał dojrzałe rysy, które wydawały się zniekształcone przez jego karłowatość. Poruszał tylko górną połowę ciała.

Podjechał do Petra i w geście powitania wyciągnął małą rączkę. Złodzieja dosłownie zamurowało. Jednak ulica nauczyła go, by w podobnych sytuacjach zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Przez głupie reakcje można było stracić dobry interes, a czasami nawet życie. Wymienił z karłem mocny, męski uścisk dłoni.

– Ignac Karv, jak mniemam. – zagadnął. – Długo czekałem na to spotkanie. Człowiek z dwóch światów we własnej osobie.

Karzeł się roześmiał. Miał głęboki, basowy głos, co czyniło go jeszcze bardziej groteskowym.

– Uwielbiam tę historię – zadudnił. – A najbardziej fragment, w którym ratuję dziewczynę. Sam przeciwko całej Klice Kruków. To dopiero byłaby walka!

Znowu zagrzmiął tym swoim pięknym basowym śmiechem. Z takim głosem mógłby mieć każdą kobietę. Gdyby tylko nie ta postura cherlawego dziecka i paraliż dolnej połowy ciała.

W oczach Petra Ignac wyglądał bardziej jak cyrkowe kuriozum niż ktoś, kto trzęsie całym miastem. Pomyślał to i natychmiast się skarcił. W końcu do potęgi, jaką obracał ten człowiek, nie dochodziło się ściskaniem rąk i uprzejmymi uśmiechami. Uzyskiwało się ją, idąc po trupach.

– Jestem Petr... – chciał zacząć, ale karzeł nagle mu przerwał.

– Wiem, kim jesteś – rzucił krótko i konkretnie. – Sprawdziłem cię, zanim pozwoliłem, byś wszedł do mojego domu, pierwszy pośród złodziei.

Słyszając przydomek, który sam sobie nadał, Petr poczuł się niespokojnie. Chociaż ciągle tak o sobie myślał, rzadko wypowiadał to głośno. Ignac musiał mieć naprawdę dobre dojścia, jeżeli udało mu się zdobyć taki szczegół.

– Wiem też, że jesteś sprytny i masz silną wolę przetrwania, większą niż niemal każdy w tym mieście – ciągnął karzeł. – Muszę przyznać, że mi zaimponowałeś. Mało komu udaje się mnie znaleźć, a jeszcze nikt nie dokonał tego z poziomu ulicy.

Ignac przez chwilę nad czymś się zastanawiał, trochę pomruczał do siebie, a w końcu wcisnął przycisk, przesunął dźwignię i przejechał w kierunku małego stolika ustawionego w rogu pokoju. Stał przy nim pusty fotel, który gospodarz wskazał Petrowi.

– Starczy uprzejmości – rzucił krótko. – Siadaj, proszę.

Petr przeszedł przez laboratorium i zajął miejsce naprzeciw Karva, zupełnie ignorując Mikę idącego za nim krok w krok. Za to przez cały czas uważnie obserwował gospodarza.

Ignac sprawiał wrażenie piekielnie inteligentnego, uważnego gracza. Chociaż jego ruchy były chaotyczne, to Petr podskórnie wyczuwał w tym człowieku dziwny porządek, który pojawiał się, gdy Ignac zaczynał mówić. Złodziej wiedział, że ma tylko jedną rozmowę na zbudowanie sobie obrazu Ignaca. Co więcej, pod jej koniec będzie musiał to wszystko jeszcze wykorzystać.

Szkoda, że nie ma tu Slavy, pomyślał. Czytanie ludzi to jego brocha.

– Nie lubię marnować czasu – zaczął Karv bez ogródek. – Co cię do mnie sprowadza?

– Krótko i na temat. To mi się podoba – odparł złodziej. – Chciałbym pobrać trochę towaru. Właściwie jestem chętny na regularne dostawy.

Ignac przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią i przez cały ten czas patrzył Petrowi prosto w oczy. Złodziej czuł ciarki na plecach. Wzrok karła świdrował, wwiercał się w człowieka, a to, co znalazł w środku, przewracał na nice. Trudno będzie go okłamać, o ile w ogóle okaże się to możliwe.

– Hmm... No nie wiem – rzekł wreszcie Ignac. – Nie żebym miał coś przeciwko temu, żeby ubić z tobą jakiś interes, ale obawiam się, że tobie może się to zupełnie nie opłacać. Moja umowa z Rekinami jest bardzo prosta: cała dystrybucja ma przechodzić przez nich, a oni wypuszczają produkt

kontrolowanymi kanałami. Krótko mówiąc, sprzedają go bogatym paniczykom i pilnują, by nie dostał go nikt, kto potem mógłby narobić smrodu.

Nic, czego bym nie wiedział, pomyślał Petr. Za to ty nie wiesz, że ta sprawa z prochami to tylko podpucha...

– Zaś z tego, co wiem – ciągnął dalej karzeł – ty jesteś przede wszystkim graczem ulicznym. Nie mieszasz się do spraw Rekinów i nie bywasz na salonach. A gdybyś chciał trochę czegoś dobrego na własny użytek, to nie przychodziłbyś do mnie. Zatem chcesz sprzedawać, tylko komu?

Petr mimowolnie poruszył ramionami. Czuł, że mięśnie ma napięte jak postronki.

Niech to bladź. Spokojnie, tylko spokojnie.

– Powiedzmy, że może chciałbym trochę zamieszać... – odpowiedział, starając się, by brzmiało to jak najbardziej nonszalancko. – Może nadepnąć Rekinom na odcisk i wejść na teren, o którego istnieniu każdy z nich najwyraźniej zapomniał. Wypuścić jakąś partię towaru na ulice. Dać ludziom to, czego chcą.

– Hmm... – Czoło Ignaca przecięła pionowa bruzda. – To bardzo, ale to bardzo ryzykowne. Może nie dla mnie, bo mnie nikt nie ruszy. Ale dla ciebie to wyrok śmierci, zdajesz sobie z tego sprawę?

Czyżby jednak łyknął ten farmazon? Slava wiedziałaby od razu.

– Niejeden wydawał już na mnie wyrok śmierci – odparł złodziej – a jednak jakoś tu z tobą siedzę i rozmawiamy.

Ignac nie odpowiedział. Stukał palcami po przełącznikach fotela, ale żadnego nie przestawiał. Ciekawe, pomyślał Petr, czy zaraz wciśnie coś na tym dziwadle, a zza ściany wyskoczy trzech przywołanych tajnym sygnałem olbrzymów i ukręci mi łeb.

– Wiesz, Petr, może tu jednak wcale nie chodzi o ciebie. Bo zażywki to nie jest taki prosty temat. Tu nie chodzi o chwilowy haj ani o to, że kurwy po nich lepiej smakują. Zażywki to utrata kontroli.

– Może miasto potrzebuje właśnie tego? – zaryzykował Petr. – Utraty kontroli, choćby na chwilę.

– Rekinom się to nie spodoba.

– Jak sam powiedziałaś, ciebie nie ruszą.

Ignac znowu się zamyślił. Petr czekał.

– Chodź – odezwał się w końcu. – Pokażę ci coś.

Pstryknięcie przykrótkich palców przesunęło do przodu jedną z dźwigienek fotela. Żelazna machina podjechała do okna wychodzącego na plac. Petr wstał

i zajął miejsce po prawej stronie Ignaca; po lewej stał już Mika. Przed nimi rozciągał się widok na miejską twierdzę Krava w całej okazałości.

– To wszystko jest moje – powiedział karzeł. – Zarówno to, co nad ziemią, jak i to, co pod nią. Piętra podzielono na laboratoria, oczywiście sporo mniejsze niż to, w którym stoimy, ale wystarczająco dobrze zaopatrzone, żeby odtworzyć w nich dowolną z najpopularniejszych zażywek. To podobny system jak w kompaniach alchemicznych, tylko znacznie skrupulatniej zaplanowany. Mam ludzi od produkcji, mam też ochronę, jakiej nie widział Hausenberg. W piwnicach z kolei mieszka bardzo oddane grono... degustatorów. Dystrybucji nie potrzebuję, tym zajmują się Rekiny. Wszystko zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. I jest absolutnie bezpieczne, bo Rekinów nie interesuje, jak i gdzie powstaje produkt. Oni troszczą się jedynie o to, by za dużo nie zmienił w ich ekonomii.

Fotel karła okręcił się w miejscu i ustawił przodem do Petra, lecz złodziej nie odrywał wzroku od okna.

– Wiesz, dlaczego ci to pokazuję? – zapytał Ignac, ale nie czekał na odpowiedź. – Chcę ci uświadomić, że gdybym tylko chciał, mógłbym zaćpać całe to zasrane miasto.

Złodziej pokiwał głową.

– Możesz, ale nie robisz tego – podsumował – bo Rekiny rzuciłyby się na ciebie?

– W dupie mam Rekiny – prychnął Ignac. – Są za chudzi w uszach, żeby w ogóle próbować do mnie podskoczyć. Poza tym potrzebują mnie.

Żywo gestykulował, jak malutkie dziecko przypięte do wózka, które usilnie próbuje się wyrwać.

– Chodzi o ład – mówił dalej. – O porządek. To jest elementarna zasada rozwoju. Żeby mógł następować progres, wcześniej musi zapanować porządek.

Petr czuł, że pocą mu się ręce. Właśnie działo się coś, nad czym zupełnie nie panował. Wiedział jednak, że będzie musiał się z tym zmierzyć. Jednocześnie nabierał coraz większej pewności, że Ignac jest dokładnie takim człowiekiem, jakiego potrzebuje. Karzeł rozumiał, na czym polega władza. I nie czuł strachu.

Gospodarz znowu wskazał mu fotel. Usiadł i tym razem to on odezwał się pierwszy.

– Jest tylko jeden mały problem – rzucił lekko, jakby wtrącał do rozmowy niewiele znaczący fakt. – Ten porządek już się zawalił, lecz wy tego nie

widzicie.

– My?

– Wy, bezpiecznie grzejący dupska na ostatnich piętrach kamienic. Nie zauważycie, kiedy ulice zaczną płonąć, do czasu aż będzie za późno i poparzy wam pięty. Idzie nowe, Karv. Hausenberg za chwilę znów znajdzie się w stanie wojny, jak wtedy, za czasów Nocy Łowów. Tym razem jednak nie będzie litości. Wszyscy pójdziecie w piach.

Ignac nagle zamarł, a jego twarz stała się śmiertelnie poważna, jakby w czasie jednego mrugnięcia oka ktoś podmienił siedzącego w mechanicznym fotelu karła. Marszczył brwi i przez chwilę pocierał skroń w zamyśleniu. Jego nastroje zmieniały się szybko, niczym w dziwnym kalejdoskopie przerysowanych emocji. Palce przez cały czas bezwiednie błędziły po przyciskach sterujących fotelem.

– Taki jesteś pewny? – zapytał w końcu. – Czy to takie bajanie biednego, małego ulicznika? Naprawdę, Petr? Wojna?

– Wojna – potwierdził złodziej. – I to taka, której nie możesz wygrać. Stoją za mną ulice. Nawet nie przypuszczasz, ilu nas jest.

– No dobrze, dobrze... Założmy, że masz rację. Ale czego w takim razie oczekujesz ode mnie?

Petr czuł, że z nerwów jeżą mu się włosy na przedramionach. Przyszedł czas na najważniejszy ruch.

– Zapomnij o tych prochach, to była podpucha – powiedział. – Chciałem sprawdzić, czy boisz się Rekinów. Ale widzę już, że charakterny z ciebie sukinsyn i że nie przyszedłem tutaj na marne. Powiem krótko: chcę byś na dwa tygodnie zatrzymał transport astralitu do miasta.

Cisza, która zapadła, zaczynała być niezręczna. Petr spodziewał się, że gospodarz jakoś zareaguje: złością, agresją, zdziwieniem, pełnym politowania śmiechem. Tymczasem wysokiego czoła Ignaca nie przecięła nawet pojedyncza zmarszczka. Milczał i długo się nad czymś zastanawiał. W końcu podjął temat.

– Nie sądziłem, że wiesz o transportach astralitu – przyznał szczerze. – Jak udało ci się tego dowiedzieć? Żadna ze spółek nie działa pod moim nazwiskiem.

Tym razem to Petr milczał. Ignac tylko pokiwał głową.

– Na twoim miejscu pewnie też bym nie powiedział... Ale wracając do interesów, co w twojej propozycji jest dla mnie?

– Władza – odparł Petr. – Kiedy miasto wstanie z popiołów, będziemy

budować je razem. Jak równy z równym.

To również było kłamstwo. Złodziej nie miał zamiaru dzielić się z kimkolwiek i mógł z Ignaca zrobić co najwyżej człowieka numer dwa, ale o tym karzeł miał się przekonać w odpowiednim czasie.

– Dwa tygodnie bez astralitu... Zdajesz sobie sprawę, o co prosisz? – Ignac znowu żywo gestykulował. – Dla działających w mieście fabryk to chwilowa śmierć. One pracują na regularnych dostawach. Każda z nich pobiera surowiec mniej więcej co dwa, czasem trzy dni... Nie są w żaden sposób przygotowane na przerwę.

– Wiem.

– W takim razie wiesz też, że dla ludzi tam pracujących będzie to oznaczać katastrofę.

To też wiedział. Hausenberg stał faktoriami alchemicznymi i astralitem. Robotnicy dostawali dniówkę, wszyscy dogadani byli na gębę i rezygnowano z nich, kiedy tylko przestawali być potrzebni. W czasie przestoju mogli przetrwać dwa, może trzy dni. Czasem tydzień. Po dwóch tygodniach nie mieliby za co kupić chleba. Dokładnie o to chodziło Petrowi.

Ignac znowu milczał. Za to odezwał się niewidoczny do tej pory Mika.

– Ekhm – chrząknął niespokojnie. Jego oczy błyszczały jak u gracza, który raz obstawił w rulecie zero i wygrał, a teraz chce tego spróbować jeszcze raz. – Oferujesz nam udział we władzy w mieście tylko za to, że przez krótki czas wstrzymamy transporty? A jeżeli ci nie wyjdzie, to my wracamy do interesu jak gdyby nigdy nic?

– Zgadza się. Jeżeli się mylę, sprawy nie było. Wracacie do gry na starych zasadach, a ja zapewne leżę na dnies rzeki.

Dopiero w tym momencie Petr miał okazję zobaczyć, jak karłowata twarz zamienia się w maskę gniewu. Ignac zaczerwienił się i zacisnął drobne rączki na podłokietnikach fotela. Spojrzał na Mikę wzrokiem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, kto tutaj trzyma władzę. Elegancik umilkł i spuścił wzrok.

– Wiem, że nie jesteś idiotą – odpowiedział złodziejowi Ignac. – I jak zapewne się domyślasz, muszę ci odmówić.

– Przemysł to jeszcze – spróbował, lecz Ignac natychmiast mu przerwał.

– Nie – powiedział. – To niemożliwe. Co więcej, jesteś szaleńcem najgorszego rodzaju, Petr. Jesteś szaleńcem myśli. I jak wszyscy oni, skończysz na zawsze zmasany z kart historii. To, co proponujesz, jest nie tylko niebezpieczne... To jest sen chorego umysłu, który zagraża postępowi i może

skończyć się tylko w jeden sposób, a ja nie pozwolę, byś wziął nas ze sobą do piachu. Żegnam.

Po początkowej serdeczności na twarzy Karła nie pozostał choćby jej cień. Odwrócił fotel tyłem i podjechał do złożonego z dziwnej i pokręconej aparatury stanowiska. Spotkanie dobiegło końca.

Petr wiedział, że nie może stąd wyjść. Był niemal pewien, że nawet jeżeli uda im się z Ninem opuścić miejską twierdzę, to jej gospodarz zadba, by nie odeszli dalej niż zaledwie kilka ulic. Szkoda, pomyślał, po czym odwrócił się w stronę Miki, który już czekał, by wyprowadzić go na zewnątrz.

Nagle poczuł, że chyba widzi wyjście z tej sytuacji. Przeklął się w myślach i postawił wszystko na jedną kartę.

– Kiedy to wszystko się skończy, znajdź mnie – powiedział powoli w stronę Miki, po czym odwrócił się w stronę wyjścia i krzyknął. – Nino! Awantura!

Wtedy rozpętało się piekło.

Zamiast do drzwi Petr podszedł do Ignaca i płynnym ruchem przewrócił na niego stojący na stole stelaż pełen gotujących się chemicznych wywarów. Karzeł zawył, ale Petr nie mógł ryzykować. Na podłodze dojrzał ułamany metalowy pręt. Podniósł go i zważył w dłoni. Jeden zamach później Ignaca nie było już słychać.

Do pomieszczenia wpadło ciało i zawisło na drzwiach, w drobny mak roztrzaskując szybę. Złodziej obejrzał się i z ulgą stwierdził, że to nie Nino – zabójca najwyraźniej też miał pełne ręce roboty.

Petr niespodziewanie zauważył ruch w kącie pokoju i wtedy przypomniał sobie o Mice. Popatrzył w tamtą stronę dokładnie w momencie, gdy elegancik dosłownie wniknął w podłogę, korzystając z ukrytej zapadni.

Ogień z rozbitych chemikaliów ogarniał coraz większą część pomieszczenia i już prawie odciął drogę do wejścia. Dym piekł w oczy, uniemożliwiając dojrzenie czegokolwiek. Trzeba było się spieszyć. Złodziej zrobił krok w stronę drzwi.

Huknęło. Potężna eksplozja cisnęła nim o ścianę, prawie pozbawiając przytomności.

To alchemiczne gównno było naprawdę niebezpieczne. Próbował się podnieść, ale kręciło mu się w głowie. W uszach czuł kleiste ciepło, prawdopodobnie leciała z nich krew. Po stole Ignaca została tylko czarna dziura, a drogę do drzwi zasłaniał ogień. Petr doczołgał się do miejsca, gdzie powinna być zapadnia, przez którą uciekł Mika, ale podłoga była gładka, bez śladu ukrytego mechanizmu. Zdał sobie sprawę, że powoli wraca mu słuch, bo

słyszał, że za drzwiami ochroniarze dopadli już Nina. Chciał krzyknąć, ale tylko zakrztusił się dymem.

Pomyślał jeszcze, że strasznie głupio przyjdzie im umrzeć. Podwójna pełnia, niech to bladź.

Ruszył, gdy tylko usłyszał krzyk.

Zareagował dosłownie ułamek sekundy wcześniej niż siedzący obok niego ochroniarze, ale to wystarczyło. Kiedy uderzał, spod mankietów jego koszuli wysunęły się dwa ostrza – na tyle cienkie, by trudno było je wykryć w czasie przeszukania, ale wystarczająco ostre, by w razie potrzeby przedziurawić tchawicę. Wypchnął do przodu otwarte dłonie. Celował w gardła.

Zanim tamci zdążyli się zorientować, ich martwe ciała już upadały na ziemię.

Mankiety, pomyślał Nino, ci durnie nigdy nie sprawdzają mankietów. Wszyscy klepią po nogawkach, jakby w czasie awantury był czas schylać się do buta po ukryty nóż. Ech, amatorzy.

Odwrócił się w stronę drzwi. Wyleciały z zawiasów, wybite barkiem wpadającego do przedsionka wykidajły. Olbrzym pędził w jego stronę, a Nino ani myślał zatrzymać tę rozpędzoną masę. Kiedy gigant był tuż-tuż, Nino błyskawicznie zszedł na jedno kolano, wybijając spod napastnika nogi. Szarpnięcie rąk dodało jeszcze pędu i lecąca góra mięśni roztrzaskała szybę w drzwiach.

Z Ignacem i jego przydupasem Petr musi se już sam poradzić, pomyślał i się przeciągnął się. Ja mam tu poważniejszą robotę.

Słyszał, jak klatka schodowa dudni od kroków armii olbrzymów. Pora sprawdzić, jak taka masa znosi bieganie po schodach. Dużo mięśni potrzebuje jeszcze więcej tlenu. A tlen w czasie walki jest potrzebny równie bardzo jak pod wodą. No to chodźcie, chłopczyki, zatańczymy.

Pierwszego kopnął z rozbiegu, kiedy tylko zbliżył się do wejścia. Trafiony w klatkę piersiową gigant zawadził o chroniącą przed upadkiem barierkę. Pękła na pół niczym złamana w palcach zapałka, a ogromne cielsko spadło z wysokości trzech pięter, po czym obryzgało krwią brukowany plac. Drugiemu musiał zabrać nóż, którym tamten próbował pchnąć go w brzuch. Zostawił napastnika z przebitą przeponą i wyłamanym nadgarstkiem, z rozpędu podcinając gardło kolejnemu. Czwarty zablokował mu rękę. Gość był wielki niczym góra i Nino czuł, że jego przedramię trzyma chwyt mocny jak

w imadle. Nie siłował się. Czołem wbił olbrzymowi nos do środka głowy.

Potem przestał liczyć.

Byli jak morze. Ilu by nie połamał, pociął i zrzucił na dół, z każdą kolejną falą pojawiali się odrobinę dalej niż poprzednio. W końcu niemal tonął we krwi. Zastłaniała mu oczy, oblepiała ręce, a pod nogami robiło się coraz bardziej ślisko. Udało im się wepchnąć go z powrotem do pomieszczenia. Za plecami miał ogień, dookoła ściany, ale po prawej stronie było jeszcze okno.

Drewniana pałka leciała po łuku, wprost na jego bark. Okręcił się w uniku. Uderzył łokciem znad głowy, natychmiast pozbawiając przeciwnika równowagi. Ten był trochę mniejszy. Widząc, jak chwieje się na nogach, Nino chwycił go za koszulę i z całej siły szarpnął w rzucie przez biodro. Celował w szybę. Wyrzucony przez okno zdążył jeszcze krzyknąć, zanim roztrzaskał się o bruk.

Perrez wziął wdech. Napór jakby zelżał, ale zabójca słyszał, że kolejna fala zbiera się na schodach. Czekali, by uderzyć razem – zaczynało się robić niebezpiecznie. Wystarczyło, że zabraknie trochę szczęścia i koniec, w piach.

Trzeba było wiać. Łapiąc drogocenny tlen, chciał podejść do okna i sprawdzić, czy da się przez nie wyjść.

Pieprznięło, aż zatrzęsł się budynek. Nino poczuł tylko piekący ból, jak po uderzeniu rozrywającym skórę biczem. Kurewsko dużym biczem, bo smagającym całe ciało, od twarzy aż po kolana. Zanim zdążył zarejestrować, co tak właściwie się stało, coś ciężkiego przywaliło mu w bok i odebrało oddech. Nie miał siły choćby stęknąć, pociemniało mu w oczach.

Wybuchło. Nie wiedział co, ale siła eksplozji wyrzuciła go przez ścianę. Nie wiedział przez którą, czuł tylko, że leży cały przykryty gruzem. Przed oczami mu latały mroczki, w uszach dzwoniło. Przynajmniej napór tych skurwysynów jakby zelżał. Eksplozja musiała rozwalić klatkę schodową.

Odrzucił zalegające na piersi resztki cegieł. Chciał się otrząpać z pyłu, ale po kilku próbach zrezygnował – krew sprawiała, że wszystko lepilo się jeszcze bardziej. Wzruszył ramionami i się rozejrzył. Droga z powrotem była niemożliwa. Wybuch musiał przyjść z laboratorium, ogień szalał tam teraz ze zdwojoną siłą. Za chwilę zapewne pożoga obejmie inne budynki, o ile już się tak nie stało. Słyszał krzyki ochrony Ignaca. Dopóki nie wiedzieli, gdzie jest, miał nad nimi przewagę.

Laboratorium, pomyślał nagle.

Kurwa mać, Petr! Natychmiast chciał się rzucić ratować złodzieja, ale się powstrzymał. Biorąc pod uwagę siłę eksplozji, raczej niewiele z niego

zostało... Stał w miejscu i z bezradności tylko zacisnął pięści. Co za główniany pech.

Teraz naprawdę był zły.

Rozejrzał się i doszedł do wniosku, że wybuch musiał jakimś cudem przebić go do budynku obok. W sąsiednim pokoju znalazł jednoosobowe stanowisko, zaimprovizowane zapewne jako laboratorium do wytwarzania zażywek. Ktoś musiał jeszcze niedawno tutaj pracować, bo stół pełen był wciąż dymiącego szkła.

Nagle do pomieszczenia wpadł samotny ochroniarz Ignaca. Kiedy zobaczył Nina – zamarł. Zamiast zaatakować, stanął w miejscu, wybałuszył kaprawe oczy i zrobił wyjątkowo głupią minę. Widocznie chciał tylko sprawdzić, czy wszyscy alchemicy opuścili już budynek, i nie spodziewał się znaleźć tu nikogo innego, a na pewno nie zabójcę pokrytego resztkami ściany.

Nino nie czekał. Szybko skrócił dystans i krótkim sierpem na szczękę ogłuszył silnorękiego. Tamten chciał mu oddać, ale zrobił to powoli i nieporadnie. Nino bez trudu uchylił się od ciosu i pchnął przeciwnika pod żebro jednym z ukrytych w mankiecie ostrzy. Ogromne cielsko zakołysało się, po czym z hukiem zważyło na stół pełen bulgoczących chemikaliów.

Zabójca uśmiechnął się pod nosem. Zawsze mówiłem, że te zażywki to niebezpieczne gówno, pomyślał.

Wyszedł na klatkę schodową, bliźniaczo podobną do poprzedniej, tylko czystą. Szedł na dół, mijając puste pomieszczenia. Tutaj nikt nie zastanawiał się dwa razy – kiedy coś wybuchało, wszyscy uciekali. Dopiero dwa piętra niżej trafił na kolejnego z silnorękich. Nie zatrzymywał się, nie miał czasu. Uderzył w biegu, niedbale miażdżąc tchawicę ochroniarza kantem dłoni. Zamiast krzyku ostrzeżenia gigant zacharczał tylko i padł bez życia na ziemię.

Na samym dole stało jeszcze dwóch. Nie zdążyli nawet unieść rąk do walki. Z pomocą masywnych dłoni Perreza ich głowy odwróciły się w stronę pleców. Chrupot skręcanych karków został zagłuszony przez kolejną eksplozję. Ogień przeskoczył już z pierwszego budynku na kolejne dwa. Znowu coś wybuchało. Niedługo wszystko tu pójdzie z dymem.

Nino nie oglądał się. Był zły. Gdyby jednak spojrzął za siebie, nie byłby w stanie dojrzeć żadnego z dwóch księżyców. Niebo pokrywała gęsta zasłona dymu, który zdawał się oklejać przestrzeń nad Hausenbergiem. Zabójca szedł przez pusty plac, z każdym kolejnym krokiem zostawiając za sobą krwawy odcisk buta.

Zaczęło się.

REZYDENCJA PROFESORA, SZEŚĆ LAT TEMU

Slava ze złości aż uderzył rękami w stół. Leżące na zielonym płótnie sztony podskoczyły, jeden z równo poukładanych stosów przewrócił się.

– Niech to bladź! – wykrzyknął. – Znowu to samo!

– Prosiłem cię tyle razy, dbaj o język. – Profesor zmarszczył brwi i pogroził mu palcem. Nie znosił, kiedy Slava posługiwał się kminą. Uważał, że jest to język pospolitych uliczników, a nie artystów oszustwa. Szybko jednak z powrotem przybrał spokojny, wręcz ciepły ton. – No dobrze... A wiesz chociaż, dlaczego przegrałeś?

Ostatnie kilka godzin spędzili, siedząc w sali klubowej i grając w cesarza i kostuchę oraz przerabiając podstawy dziesięciny. Były to najpopularniejsze z gier hazardowych rozgrywanych w Hausenbergu, a Slava dopiero zaczynał naukę szulerskiej edukacji. Chociaż przez ostatnie lata w domu Profesora wpajano mu podstawy matematyki, teorię hazardu i historię oszustwa, to na część praktyczną czas przyszedł dopiero niedawno. Tym razem stary szuler najwyraźniej uznał, że powinien ewaluować umiejętności swojego ucznia. Zaprosił go do sali klubowej, a później tasowali, rozdawali i grali, po czym znowu tasowali, znowu rozdawali i znowu grali. I tak przez kilka godzin, podczas których Slavie nawet raz nie udało się wygrać.

– Przegrałem, bo miałeś szczęście! – wykrzyczał zdenerwowany chłopak. – I tyle!

– Co miałem?

– Szczęście! Ślepy traf, łut, uśmiech losu – zwał jak zwał. Po prostu przyszły ci lepsze karty.

– Szczęście... – prychnął rozbawiony Profesor. – Szczęście trzeba umieć sobie zorganizować. Myślałem, że dałem ci to do zrozumienia wystarczająco wiele razy.

– Ale... – Slava wbił wzrok w stół i zawahał się. – No bo... Ja przecież oszukiwałem! Tak, jak mi pokazywałeś. Przygotowałem sobie ustawioną rękę, a potem przy tasowaniu liczyłem. Gramy od dziewiątek, czyli w talii są dwadzieścia cztery karty. Jeżeli zaczynamy z pięcioma na ręce i ty wymienisz trzy, a zwykle wymienia się właśnie tyle, to z talii spada trzynaście kart,

a zostaje jedenaście. No to kładłem trzy przygotowane karty na górę talii i potem tasowałem, ściągając z góry. Najpierw trzy, bez zmiany kolejności, na spód. A potem ściągałem dziewięć kart i tak ułożoną talię rozdawałem. Ty pięć, ja pięć. Potem ty wymieniasz trzy, a kiedy ja wymieniam trzy, to biorę te przygotowane.

– Podręcznikowe użycie lotnych trójek. Gratuluję.

– Kpisz ze mnie! Przecież zrobiłem to dobrze!

– Po czym ja przełożyłem – odparł spokojnie Profesor. – Wtedy, po twoim numerze.

– Kobyłka! – wykrzyczał Slava. – Zrobiłem ci kobyłkę. Małą i dyskretną, a ty na to poszedłeś!

Kobyłkę Profesor pokazał mu niedawno. Stosowało się ją podczas podawania kart do przełożenia. Trzeba było podzielić talię na pół, przełożyć samemu (tak żeby przeciwnik nie widział), po czym górną połowę wygiąć lekko w palcach. Większość graczy instynktownie przekładała tam, gdzie znajdowała się nierówność, tym samym przywracając talię do jej pierwotnego, przygotowanego przez tasującego ustawienia.

– Prawie. Bo w tym samym czasie miałem w dłoni kartę i przekładając, dołożyłem ją do talii. Tasowałeś o jedną kartę mniej, dlatego nie wyszły ani twoje lotne trójki, ani kobyłka.

– Oszukiwałeś?! – Chłopiec najpierw zamarł w wyrazie niedowierzania, a później się uspokoił i powtórzył tym razem bardziej stanowczo. – Oszukiwałeś!

– Graliśmy uczciwie – podsumował Profesor. – Ty oszukiwałeś, ja oszukiwałem, wygrał lepszy.

Slava w odpowiedzi tylko mruknął coś pod nosem. Obrażony poskładał rozrzucone na stole karty i zaczął tasować zupełnie bez celu.

– Do dupy ta twoja kobyłka – mruknął w końcu. – A tę kartę to jak mi zabrałeś?

– Podczas wcześniejszego przełożenia – odpowiedział rzeczowo nauczyciel. – To był numer na dwa rozdania. Przy pierwszym przełożeniu schowałem kartę w lekko zgiętej dłoni i trzymałem ją tam całą partię. Podczas następnej partii po prostu ją oddałem. Popatrz, pokażę ci, jak to zrobiłem.

Profesor zebrał rozsypaną talię i położył ją na stole. Przesunął po niej dłonią, tak jakby chciał delikatnie pogłaskać karty. Slava nic nie zauważył aż do momentu, aż jego nauczyciel odwrócił rękę. Na poduszce dłoni leżała lekko zgięta karta.

– Jak wiesz, są różne rodzaje numerów. Mechaniczne, iluzyjne, manipulacje nastrojem... Ten należy do iluzyjnych i nazywa się palmowaniem.

Slava przejął talię i kilka razy spróbował powtórzyć palmowanie. Na razie wychodziło mu to bardzo słabo, ale jeden z ulubionych filozofów Profesora mawiał, że jeżeli coś ma być zrobione dobrze, to trzeba to wpierw przećwiczyć dziesięć tysięcy razy. Dlatego też nad każdym numerem Slava spędzał długie godziny.

Przez jakiś czas siedział i palmował. Profesor patrzył na to i bezwiednie poprawiał okulary.

– A te cztery asy? – zapytał nagle Slava. – W trzeciej partii kostuchy miałeś cztery asy. Jak to zrobiłeś?

– Miałem szczęście.

Gdyby wzrok mógł zabijać, chłopiec właśnie położyłby swojego nauczyciela trupem.

– No dobrze, już dobrze – roześmiał się Profesor. – To był wyciąg.

– Wyciąg?

– Takie znaczenie kart... Popatrz.

Wyjął talię z rąk chłopca i odnalazł w niej cztery asy, po czym położył je na stole rewersem do góry.

– Kiedy spojrzysz na asy, zobaczysz, że są precyzyjnie zeszlifowane w okolicach środka.

– Nic tu nie ma.

– Poczekaj. Daj palce.

Znaczenie było niewidoczne gołym okiem, ale kiedy Slava przesunął opuszką po krawędzi karty, wtedy poczuł, że rzeczywiście, przyjmuje ona postać wklęsłego łuku.

– Tymczasem reszta talii... – Profesor zawiesił głos i podał karty chłopcu. – Sam zobacz.

Slava wyjął pojedynczą kartę i najpierw spojrział na nią pod światło. Później przesunął po niej palcem i zmarszczył brwi.

– Zaraz... – mruknął i przyłożył kartę do asa. Teraz wszystko stało się jasne. – Jest! Reszta talii zeszlifowana jest na rogach.

– Dokładnie tak – przyznał nauczyciel. – Dlatego kiedy delikatnie chwycisz talię, trzymając ją za środek, a później przesuniesz palcami wzdłuż... – Profesor zaprezentował opisywany numer – opuszki zahaczają tylko o asy. I wyciągną je z talii bez najmniejszego problemu, bez względu na to, w którym miejscu te asy będą leżeć.

- A potem wystarczy tylko je odpowiednio potasować. Genialne!
- To dlatego wszyscy wielcy szulerzy dbają o dłonie. Z palcami pełnymi blizn, otarć i zgrubień nie wyczujesz takich subtelności.

Slava siedział jak oczarowany. Przekładał karty z jednej strony na drugą, raz za razem powtarzając po swoim nauczycielu sztuczkę z asami.

- No – powiedział dumny z siebie – teraz przerobię ich wszystkich.
- To wciąż są tylko numery.
- Jak to „tylko”?

– Hazard to nie jest gra w karty. To jest gra w ludzi. Gra kontrolowanego ryzyka, powstrzymywania nerwów i liczenia szans. Wygrywasz nie dlatego, że masz lepsze karty, tylko dlatego, że przez wszystkie partie utrzymujesz taką lub inną przewagę. To jak z ruletą. Dom gry zawsze wychodzi na swoje, bo od czasu do czasu dzieje się najmniej prawdopodobne – wypada zero. Tak samo w kartach: musisz użyć wszystkiego, co umiesz, żeby zmienić statystykę i żeby od czasu do czasu wypadało zero. Na dziś wystarczy.

Po tych słowach Profesor wyszedł z sali klubowej. Slava został przy stole i tasował. Dziesięć tysięcy razy.

HAUSENBERG DZIŚ

Przyszli w nocy, a przynajmniej Slava myślał, że jest noc. Nie słyszał, jak otworzyły się drzwi, akurat spał. Choć ze wszystkich sił starał się nie zasnąć, to jednak zmęczenie i kac wzięły górę. W pewnym momencie zamknął oczy, a kiedy je otworzył, już nad nim stali. Zupełnie zignorowali, że uwolnił się z więzów.

Nagle zauważył, że wokół jest przeraźliwie jasno, ale po chwili zrozumiał, że to tylko jego oczy odzwyczyły się od światła, a kac też dokładał swoje. W celi stał teraz niewielki stolik, na środku którego rozstawiono na wpół przykrytą astralitową lampę o sporej mocy. Świeciła szulerowi prosto w oczy, powodując, że cały czas musiał je mrużyć. Spróbował podnieść się na czworaki i natychmiast zwymiotował resztką alkoholu. Zdawało mu się, że głowa zaraz pęknie mu na pół. Czuł, że ma poobijaną twarz i chyba złamane kolejne zebro.

Niech to piekło pochłonie.

– Wstawaj, szmato – odezwał się stojący nad nim bandzior. – Masz gościa.

Na twarzy zbira widniał świeży siniec. Slava szybko skojarzył go z uderzeniem w trakcie porwania.

Więc to tobie stłukłem mordę, pomyślał z satysfakcją.

Przy stole stały dwa krzesła. Widząc, że ma problemy ze wstaniem, dwóch silnorękich uniosło go i rzuciło na jedno z nich. Stęknął z bólu i skulił się, starając się nie spaść i powstrzymać kolejną falę wymiotów. Świat rozmywał mu się przed oczami, a w ustach miał sucho, jakby ktoś całą noc sypał do nich piach. Kac był nie do wytrzymania.

Nagle, jak na akord, zbiry wyprostowały się. Slava spojrzął w stronę wejścia i przez jaskrawe światło dojrzał, że ktoś wchodzi do celi. Ktoś, kto trzymał się prosto jak struna i roztaczał wokół siebie aurę władzy. To nie mógł być Divard. Po tym, jak Slava go urządził, nie byłby w stanie tak szybko się wybierać. Poza tym Divard był łajzą. A ten ktoś był o wiele grubszą rybą.

Szybko stało się jasne, dlaczego zasłonili połowę lampy. Przybysz trzymał się w cieniu, przez co Slava widział tylko zarys jego okrytej płaszczem sylwetki. Dodatkowo twarz mężczyzny skrywało rondo kapelusza, który nosił nisko opuszczony na czoło.

Ciekawe, pomyślał Slava, co by było, gdybym teraz poderwał się z miejsca i rzucił na niego...

Powstrzymał się przed zerknięciem na stojących po obydwu jego stronach oprychów. Mógł się założyć, że gdyby tylko spróbował się ruszyć, natychmiast usadziliby go z powrotem. Poza tym w tym stanie nie miał szans kogokolwiek zaskoczyć.

Dopiero teraz spojrzął na blat i zobaczył, że na środku leży świeża, nierozpakowana talia kart.

– Witaj, paniczku. Cieszę się, że w końcu przyjąłeś moje zaproszenie – odezwał się nieznajomy. Brzmiał jak wykształcony mężczyzna w sile wieku. Jego głos był dźwięczny, przyjemny, lecz przy tym lekko szeleszczący. Kojarzył się Slavie z czymś gadzim, jakby węzowym. Znaczył go też dziwny, chropowaty akcent. To niespecjalnie zdziwiło szulera. Nikt z Hausenberga nie byłby na tyle głupi, by zdecydować się na taki popis. To mógł zrobić tylko ktoś przyjezdny. – Ostatnim razem byłem bardzo zawiedziony...

Slava przez chwilę się zastanawiał. Jakim, kurwa, ostatnim razem... Przecież... Spowolnione przez alkohol myśli opornie dopasowywały się jedna do drugiej, niczym zębatki nienaoliwionego mechanizmu. W końcu zaskoczyły. No tak, on mówił o Divardzie, a w tym wszystkim wcale nie chodziło o pieniądze ani o zemstę. Od początku chcieli go porwać, a on dał się im przerobić jak dziecko.

– Po twojej minie widzę, że wreszcie zaczynasz rozumieć. – Nieznajomy najwyraźniej się dobrze bawił i wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. – Na szczęście nie jesteś zbyt zaskakującym przypadkiem.

– Wal się.

Słowa wyszły z jego ust szybciej, niż myśl przecięła umysł. Teraz czekał, aż zza jego pleców przyjdzie uderzenie. Nie przyszło. Nie mógł też dojrzeć, czy wywarł jakiegokolwiek wrażenie na swoim rozmówcy. W miejscu twarzy nieznajomego widział tylko plamę cienia. Zakręciło mu się w głowie. Z trudem utrzymywał pion i co jakiś czas któryś z silnoręki musiał mu w tym pomagać. Za każdym razem nieznajomy czekał cierpliwie, aż szuler znowu złapie równowagę.

– Wiem, po co tu przyjechałeś – wychrypiął Slava, starając się, by brzmiało to jak najbardziej nonszalancko. Wyszło trochę żałośnie. – Chcesz się spotkać z Profesorem.

Natychmiast przeklął się w myślach. Źle, kurwa, źle! Profesor tyle razy powtarzał: nigdy nie mów tego, co myślisz. To najlepsza droga, żeby dać się

przerobić. Niech ta pieprzona głowa przestanie tak boleć.

– To chyba oczywiste. Po cóż innego przyjeżdża się do Hausenberga? Wydaje mi się tylko, że do tej pory pukałem do niewłaściwych drzwi...

– Profesor z byle kim nie tasuje. A na pewno nie z taką łajzą jak ty.

Po tych słowach znowu spodziewał się, że któryś ze stojących za nim silnorękich natychmiast mu odwinie. O dziwo, nie odwinął.

– No, odłóżmy na bok te przykrości – odparł spokojnie nieznajomy. – Nie zaprosiłem cię, aby się przekomarzać, lecz po coś znacznie ciekawszego.

– Mówiłem już – przerwał mu szuler – wał się.

Chociaż nie było tego widać, Slavia wydawało się, że tamten się uśmiechnął.

– Myślę, że jednak chętnie wysłuchasz mojej propozycji. Zresztą, nie bardzo chyba masz wybór, hmm?

Szuler zacisnął zęby, aż zgrzytnęło.

– Mam pewien problem... – mówił dalej nieznajomy. – Wydaje mi się, że chociaż wysyłam bardzo jasne wiadomości, to jednak nie niosą one za sobą pewnej... powagi. Myślę, że nie traktuje się mnie tutaj poważnie.

– Mamy w Hausenbergu takie powiedzenie – odpowiedział mu Slava. – Pizda, nawet z wąsem i w kapeluszu, chujem nie zostanie.

Tym razem chyba się udało i z drugiej strony stołu dało się wyczuć wyraźną irytację. Mimo to mężczyzna kontynuował niezrażony:

– Chociaż kilka razy próbowałem dotrzeć do twojego mentora, to żadnej z tych prób nie wziął na serio. Cóż mi w takim razie pozostało innego, jak zwrócić się do kogoś, kto, zdaje się, jest na oczach i ustach wszystkich... Kogoś, kto wstawiłby się za mną i sprawił, że to, co mam do powiedzenia, będzie naprawdę uważnie wysłuchane.

– I naprawdę wydaje ci się, że po tym, jak z nim pogadam, Profesor usiądzie z tobą do kart? A nawet jeśli, to że będziesz w stanie z nim wygrać?

– Do kart? – prychnął nieznajomy z rozbawieniem. – Paniczu, te wasze karcioszki, te hazardowania się, to są tylko i wyłącznie zabawki... Jestem człowiekiem interesu i przyjechałem tutaj po coś o wiele poważniejszego. Powiedz, mówi ci coś taka nazwa: Projekt Pandemonium?

Slava zamarł. Słyszał te słowa kiedyś, dawno, w domu Profesora. Zapytał wtedy o nie Julesa, a ten opowiedział mu historię strasznej broni. Szybszej niż pałka, groźniejszej niż nóż i dostępnej dla każdego. Wymógł też na Slavia przysięgę, że nigdy więcej nie poruszy tego tematu i że z nikim nie podzieli się swoją wiedzą. Projekt Pandemonium był jedną z najpilniej strzeżonych

tajemnic tego miasta.

Slava zaczynał powoli zdawać sobie sprawę, że bardzo grubo się pomylił. Do tej pory myślał, że to jakiś pajac na gościnnych występach. Wydawało mu się, że został złapany, bo tamci mieli trochę szczęścia i przydybali go pijanego. Jednak wszystko wskazywało na to, że to nie był przypadek. Nieznajomy zdawał się dobrze wiedzieć, co dzieje się w Hausenbergu, jakie panują tu zasady, a co znacznie bardziej niepokojące, wydawał się mieć wszystko dokładnie zaplanowane.

– Wyobraź sobie, że ta legendarna broń, która miała być owocem Projektu, rzekomo powstała nie gdzie indziej, tylko tutaj, w tym zapluty kurwidołku zwanym Hausenbergiem – ciągnął dalej nieznajomy. – Dziwnym jednak trafem nie ma tutaj po niej śladu. Nie ma patentów, nie ma szkiców, nie ma nic. Zupełnie jakby jego zniknięcie zostało precyzyjnie zaplanowane. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy kiedyś przy kartach dowiedziałem się, że istnieje jakiś mityczny Profesor, który służy wszystkim szulerom świata za podobnie nieuchwytną legendę, co Pandemonium w kręgach wizjonerów. Coś mnie tknęło i sprawdziłem to. Profesor nie tylko okazał się prawdziwy, ale także wydaje mi się, że był jednym z ludzi, którzy przyczynili się do zniknięcia Projektu...

Slava milczał. Jeżeli to wszystko było prawdą, to siedzący przed nim gość był jednym z najgrubszych graczy, jakich młody szuler spotkał w całym swoim życiu. Łącznie z Rekinami, Julesem i Profesorem.

– No, ale dosyć tych opowieści – powiedział na zakończenie nieznajomy i klasnął w dłonie. Coś w głowie Slavy wybuchło i przywołało go do życia. – Czas, żebyś się dowiedział, po co cię tu zaprosiłem. Jak to się tutaj mówi, potasujmy coś.

Padający na stół snop światła oświetlił wysuniętą dłoń, która zapraszającym gestem wskazywała talię kart. Nieznajomy miał wypielegnowaną skórę, długie palce i zadbane paznokcie. Na serdecznym palcu nosił gruby sygnet, ale Slawie nie udało się dojrzeć, co przedstawia grawer.

– Mamy pewien problem – odpowiedział powoli szuler. – Jestem chwilowo niewypłacalny. – W teatralnym geście wsunął rękę do spodni i wywinął kieszeń na drugą stronę. – Jeżeli więc liczyłeś na grę życia – dodał jeszcze, chwilowo odzyskawszy rezon – to chyba nic z tego nie będzie. Zero, nul, dupa.

Nieznajomy przez krótką chwilę milczał, a Slawie udało się dojrzeć, że pociera ręką podbródek. Światło lampy wciąż raziło w oczy, a głowa nie przestawała boleć. Ledwie trzymał się prosto i zaczynał myśleć, że może

byłoby lepiej, gdyby rzeczywiście po prostu go sprali i zostawili w spokoju.

– Może jakoś uda nam się temu zaradzić – odezwał się wreszcie tamten. – Zagramy na trochę innych zasadach.

– Na zapalki? – prychnął głupio Slava. – Czy na przysługi?

– Potasujemy sobie w dziesięcinę.

Spośród wszystkich zasad, które Profesor wpoił Slawie, zakaz gry w dziesięcinę był jedynym bezwarunkowo szanowanym przez młodego szulera i nigdy nawet nie przyszło mu przez myśl, by próbować go łamać. Dziesięcina była bowiem starą szulerską grą, dawno wycofaną z domów gry. Grywało się w nią tylko podczas ustawionych spotkań i tylko pomiędzy ludźmi, z którymi do kart lepiej było nie siadać. Opierała się na relatywnie prostych regułach – gracze dociągali po cztery karty, a ich zadaniem było wykazać się jak najlepszym układem. Pomiedzy pierwszym rozdaniem a sprawdzeniem następowała jeszcze wymiana i możliwe było dobranie karty zarówno z talii, jak i ze stosu kart odrzuconych. Słowem, reguły były nieskomplikowane, bo i nie w nich tkwił diabeł. Swoją nazwę Dziesięcina zawdzięczała specyficznej zagrywce, która pozwalała graczowi na zmianę stawki w trakcie licytacji. Jeżeli brakowało mu pieniędzy lub z jakiegoś powodu nie chciał dorzucać ich do puli, mógł uderzyć w stół otwartymi dłońmi. Znaczyło to, że wchodzi do gry za jeden z prezentowanych właśnie palców. Jeżeli przegra, wygrany będzie mógł mu ten palec uciąć. Dla wziętego karciarza, ucięcie palca było tym samym, czym utrata słuchu dla muzyka. Niby dalej można było grać, ale stawało się to znacznie trudniejsze.

Biorąc pod uwagę, że Slava nie miał przy sobie choćby jednej monety, jasne było, czego nieznajomy od niego oczekuje. Szuler poczuł na plecach zimny pot. Wiedział, że nie ma wyboru. Mieli go w garści i zrobią z nim, co tylko będą chcieli. Mógł jedynie wyjść z tego mniej lub bardziej honorowo.

– Zrobimy tak... – mówił powoli wężowy głos – rozdajemy trzy razy, czyli wygrywają dwie z trzech. Jeżeli mnie pokonasz, puszcę cię wolno i zanieziesz moją wiadomość do swojego mentora. Chcę Projektu Pandemonium, a czas uprzejmych zaproszeń dobiegł końca. Jeżeli przegrasz... Moja wiadomość powędruje do niego z niewielkim załącznikiem. Jeśli na niego też nie zareaguje, wtedy zostaniesz u mnie w gościnie, a ja odwiedzę cię za jakiś czas i znowu zagramy.

Slava milczał. Żołądek podjechał mu do gardła.

– Rozdajemy na zmianę – zakończył wreszcie nieznajomy. – Zaczynaj.

Trzęsącymi się dłońmi Slava rozpakował talię kart. Chociaż sprawiała

wrażenie nowiutkiej i nieruszonej, to dobrze wiedział, że to nic nie znaczy. Wykonanie na zamówienie dobrej marychy z niewidocznym dla oka, nadrukowanym znaczeniem nie było niczym trudnym. Niestety, nie sądził, by dali mu możliwość dokładnego przyjrzenia się kartom. Musiał radzić sobie w ciemno. Przesunął dłonią po równo dociętym stosie prostokątnych kartoników i na próbę rozłożył je w równy wachlarz. Podzielił talię na dwa równe stosy i szybko przetasował. A potem jeszcze raz. I znowu.

Choć cały się trząsł, to gdy tylko dotknął kart, jego dłonie odzyskały spokój. Niestety, nie można było tego samego powiedzieć o głowie. Rozpaczliwie próbował wpaść na jakiś numer, który mógłby tutaj wprowadzić. Potrzebował czegoś na tyle sprawnego, by szybko uzyskać przewagę, ale też na tyle subtelnego, żeby pozostało niezauważone.

Nic. Pustka.

Wiedział, że nie może tasować w nieskończoność. Zakończył efektownym przrzuceniem kart z ręki do ręki i podał talię nieznanemu. Tamten przełożył. Slava rozdał.

Dostał w miarę mocny układ, który z niewielką pomocą szczęścia mógł mu zapewnić wygraną. Jak mawiał Profesor, szczęściu jednak należy pomagać i rezygnują z tego tylko frajerzy. Zmrużył oczy, usilnie próbując dostrzec coś poza oślepiającym światłem, lecz zakryta płaszczem i kapeluszem sylwetka nawet nie drgnęła.

No to by było na tyle, jeżeli chodzi o czytanie z ruchów przeciwnika i ewentualny bluff na ich podstawie.

Jeszcze raz spojrzął w karty, rozpaczliwie przrzucając w głowie kolejne liczby. Miał dwie możliwości wymiany. Jedną bezpieczną, a drugą bardzo ryzykowną.

– Dwie – odezwał się jego przeciwnik, kładąc na stole dwie karty. – A ty, paniczu?

Starając się wyglądać na zupełnie niewzruszonego, Slava zdecydował się w końcu na bezpieczną opcję.

– Też dwie – odparł.

Dołożył swoje karty do stosu odrzuconych, po czym powoli rozdał wymianę. Wyobrażał sobie, że to gra jak każda inna i że najwyżej wstanie od stołu biedniejszy o parę tysięcy. Wziął wdech i spojrzął w karty.

Udało się.

– No, to szlus – odezwał się i wyłożył na stół jeden z najmocniejszych układów. – Mam stryja.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza. W końcu nieznajomy zacmokał i odłożył swoją rękę na stos kart odrzuconych. Slava miał nadzieję, że popełni przy tym jeden z częstych błędów i pokaże, co miał na ręce. Niestety.

– Gratulacje – odezwał się wężowy głos. – Jeden zero dla ciebie.

Slava spróbował przełknąć ślinę, lecz w gardle miał wielką kulę. Ciekawe, pomyślał, czy naprawdę puści mnie wolno, czy to tylko taka zabawa dla zabicia czasu. Orznię go, a on urznie mi palec... Spokój! Dopóki pula w grze, dopóty wszystko może się zdarzyć. Nawet w sytuacji tak posranej jak ta.

Tym razem to nieznajomy sięgnął po talię. Kiedy tasował, jego dłonie pozostawały na oświetlonej części stołu. Slava musiał przyznać, że gość wie, co robi. Kartoniki migotały w jego rękach z zawrotną prędkością. Szuler pomyślał, że przypominają skrzydła ćmy. Starał się śledzić kolejne przetasowania, ale co chwilę musiał przymykać przekrwione i zmęczone oczy. Już po dwóch przełożeniach zupełnie się pogubił. W końcu talia trafiła do jego dłoni, a on zdecydował, że pora wrócić do gry.

Sięgnął po karty i dokonał skomplikowanego przełożenia, którego kiedyś nauczył go Profesor. Złożył talię w kwadratowy domek, wyciągając część kart ze środka i przerzucając do góry. Jednocześnie zmieniał ustawienie w środku, na górze i na dole talii. Nie było siły, by takie wymieszanie kart przetrwał nawet najlepiej przygotowany numer.

Chociaż tego nie widział, był pewien, że na nieznajomym zrobiło to niemałe wrażenie.

Karty zostały rozdane. Grało się.

Tym razem trafił na zupełnie gówniane rozdanie. Wiedział, że będzie musiał wymienić wszystkie karty. Pozostawała jeszcze decyzja, czy wymieni je na te z góry czy na te z dołu, czyli ze stosu kart odrzuconych. Jednak biorąc pod uwagę, że musiałby dobrać karty, które w poprzedniej grze wyrzucił jego przeciwnik, wolał wziąć świeże.

– Cztery wezmę – powiedział. – Z góry.

Odłożył karty na stół i czekał na nieznajomego. Tamten zastanawiał się przez chwilę. Masywny sygnet stukał o stół.

– Dwie – odezwał się w końcu – Z dołu.

Slava aż zaklął w myślach. Tego nie przewidział, a powinien był. Jego przeciwnik nie tylko dobierał mniej niż on, ale też bardzo dobrze wiedział, co dostanie. Niech to jasny chuj!

Wymienili.

Szuler spojrział w swoje karty i już wiedział, że ta partia spisana jest na straty. Nie miał nic. Bez słowa odłożył karty na stos odrzuconych.

Nieznajomy pokiwał głową.

– Co tu dużo mówić... – powiedział. – Pizda, nawet z wąsem i w kapeluszu, chujem nie zostanie.

Slava zebrał karty i zaczął tasować. Podczas składania talii udało mu się dojrzeć kilka pasujących do siebie kart i zdecydował się, że wprowadzi jeden z najtrudniejszych numerów: hausenberski sznyt. Sztuczka polegała na tym, by przygotowany układ położyć na dole talii, a tasując, zbierać karty z góry i z dołu. Potem ten naprzemiennie ułożony stos trafiał na górę talii. W ten sposób przeciwnik, od którego zawsze zaczynało się rozdawać, dostawał zupełnie losową kombinację, a szuler przygotowany układ. Slava kilka razy przetasował dla niepoznaki, starając się nie zmienić ułożenia kart na spodzie. Później wprowadził sznyt. A potem znów przetasował. W końcu podał karty do przełożenia.

Tamten klasycznie przeciął stos w połowie i oddał talię Slawie.

Przyszedł czas na drugi najważniejszy punkt – wolte. Była to sprytna neutralizacja przełożenia za pomocą niewidocznego ruchu palcami, który przywracał karty do stanu, w jakim były, zanim przeciwnik przeciął talię. Slava miał na to tylko jedną próbę i wiedział, że pomyłka może kosztować go życie.

Grało się.

Poszło, wprowadził numer. I wyglądało na to, że nikt nie zauważył ani sznytu, ani wolty. Slava rozdał karty, spojrział na swoją rękę i zamarł.

– Widzisz, paniczu – odezwał się nieznajomy, a Slawie wydawało się, że jego głos jest bardziej wężowy niż zwykle. – Bardzo ładny sznyt i wspaniała wolta... Szkoda tylko, że nie zauważyłeś, jak podczas przełożenia spalmowałem jedną kartę z góry. Twoja ręka jest u mnie.

Nawet nie próbował się bronić, kiedy masywne dłonie spoczęły na jego ramionach.

Petr niewiele pamiętał z pożaru. Kojarzył tylko, że coś wybuchło. Wszystkie późniejsze wspomnienia stanowiły w jego głowie jedynie trudny do poukładania ciąg obrazów. Za to był pewien jednego – wypełniał je dym. Dużo dymu i dużo bólu.

Najpierw eksplozja cisnęła nim przez pracownię Ignaca. Gdzieś w tle

rozbrzmiewały krzyki i odgłosy awantury. To na pewno Nino walczył z silnorękimi Ignaca. Sam jeden, przeciwko całej armii zakapiorów. Petr nie wiedział, czy zabójcy udało się wyjść z tego cało, ale chciał wierzyć, że tak.

Pamiętał też Mikę, który nagle zapadł się pod ziemię. Wróc – nie zapadł się, tylko skorzystał z ukrytej zapadni. Petr musiał przyznać, że była to pierwszorzędna macherka i że Ignac wraz z Miką byli przygotowani na każdą ewentualność. Zapadnia w podłodze, przy całej tej ochronie... Złodziej przypominał sobie również, że chyba próbował wstać, ale kręciło mu się w głowie i nie mógł utrzymać równowagi, a świat rozmywał mu się przed oczami. Kiedy nim rzuciło, musiał uderzyć o coś głową. Dym dusił, wciskał się do płuc i zabierał oddech, a wszędobylski żar szybko stawał się nie do wytrzymania.

Tutaj obrazy mieszały się na dobre, a ich miejsce wypełniało wspomnienie jedynej emocji, która wtedy kierowała Petrem – woli przetrwania. Wiedział, że gdyby stracił choćby chwilę na zastanawianie się, zginąłby w pożarze. Chyba udało mu się wstać albo chociaż podźwignąć na czworaki. Nie, raczej wstać. Ostatkiem sił rzucił się na nadwątloną wybuchem ścianę. Uderzył barkiem, a resztki taniej zabudowy rozsypały się pod naporem jego ciała. W ten sposób przedostał się do kamienicy obok. Wprawdzie spodziewał się, że niewiele to pomoże, bo będą tam ludzie Ignaca i zamiast zginąć w pożarze, zginie z karkiem skrzyconym przez jednego z tych ogromnych ochroniarzy, lecz było mu to bez różnicy – pragnął chociaż na chwilę uciec od dymu.

Tymczasem za ścianą było pusto. I bardzo głośno. Pracowników króla zażywek ogarnęła panika. Ludzie Ignaca uciekali z laboratoriów, przepychając się w wąskich korytarzach i krzycząc jeden na drugiego. Petr wiedział, że wciąż ma szansę na przetrwanie, bo pożar jeszcze tu nie dotarł. W pierwszym odruchu też chciał popędzić schodami na dół, ale szybko się połapał, że tam od razu go zawiną i tyle będzie z jego ucieczki. Na szczęście laboratoria potrzebują wentylacji – pomimo że wciąż dwoiło mu się w oczach, szybko odnalazł drabinkę prowadzącą na dach. Wyszedł na górę, spodziewając się, że wreszcie zaczerpnie świeżego powietrza. Tymczasem dym był tam równie gęsty co wewnątrz budynku.

Panująca w laboratorium pożoga szybko pochłaniała kolejne kamienice, a granatowe niebo stawało się sine. Przez to noc wydawała się jeszcze ciemniejsza i trudniej było dojrzeć pojedynczą sylwetkę, która kuśtykała z jednego dachu na drugi. Złodziej nie wiedział, gdzie idzie. Miał poparzone plecy, chyba rozbitą głowę i ciężko było mu oddychać. Włókł się noga za

nogą, starając się tak wybierać kierunek, żeby jak najszybciej uciec od ognia. Dym, za dużo dymu.

Po tej na wpół świadomej myśli zatrzymał się, zwymiotował i stracił przytomność.

Po grze w dziesięcinę zostawili go w spokoju. Wynieśli stół, krzesła, a potem po prostu wyszli i zamknęli za sobą drzwi, jak gdyby nigdy nic. Nawet nie zadali sobie kłopotu, by go na powrót związać. Zresztą nie musieli tego robić, bo i tak zupełnie opuściła go jakakolwiek wola walki. Stracił instynkt przetrwania.

Pieprzony palec pieprzonej prawej dłoni. Pieprzony mały palec, równie potrzebny podczas pieprzonego tasowania co pozostałych dziewięć. Urznęli mu palec. Zaraz przy zgięciu, tak że został jeszcze mały kikut.

Kurwa mać!

Przez pierwsze kilkanaście godzin miał gorączkę i dreszcze; trzepało nim jak opętany. Leżał skulony w rogu i czuł, że jego ciało rytmicznie uderza o podłogę. Wydawało mu się, iż trwa to wieczność i już zawsze będzie leżał w śmierdzącej celi, aż zdechnie z bólu i gorączki. Potem zaczął majaczyć. Wydawało mu się, że widzi Petra, Profesora, Camillę... Próbował z nimi rozmawiać, lecz oni wydawali się go ignorować. W końcu z powrotem zamienili się w kamienne, nieme ściany.

Wreszcie doszedł do siebie. Gorączka i majaki zniknęły, dreszcze właściwie też, lecz wcale nie czuł się lepiej. Ręka bolała. Bolała tak, że przez chwilę myślał, że zaraz znowu oszaleje. Chociaż trzeba przyznać, załatwili sprawę profesjonalnie. Jedno szybkie uderzenie tasaka. Szlus. Żeby się nie wykrwawił, ranę później przypalili. Wtedy nie bolało. Chyba był w szoku, bo nie pamiętał, co stało się zaraz po uderzeniu. We wspomnieniach zostały tylko strzał tasaka, a potem pieczenie. Zdaje się, że go trzymali, kiedy jeden z nich przypalał okrwawiony kikut. Krzyczał? Nie krzyczał? Nie pamiętał.

Prawdziwy ból zaczął się później. I powoli przejmował nad Slawą kontrolę.

Wydawało mu się, że cały czas czuje palec, którego już nie było. Piekł, rwał, pulsował bólem. Slava z niedowierzaniem macał zmasakrowany kikut, próbował owijać go koszulą, chował rękę pod pachę. Czasem pomagało. Czasem nie.

Jego oprawcy przychodzili równie regularnie co ból. Przynosili jedzenie i picie, zawsze sprawdzając, czy zjadł poprzednią porcję. Szuler nie buntował

się. Jadł, bo jeść trzeba, pił, bo pić trzeba, ale robił to odruchowo. Jak zwierzę, w które powoli się zamieniał.

Większość czasu spędzał, siedząc na ziemi, z głową wtuloną w ramiona. Nie krzyczał, nie wył i nie kopał ze złości.

Czasami myślał o Camilli, lecz w gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę, że został całkiem sam. Gdyby mieli go uratować, zrobiliby to już dawno. Tajemniczy nieznajomy na pewno nie czekał na żadną specjalną okazję i natychmiast wysłał jego palec do Profesora, więc stary szuler wiedział już, o co toczy się gra. Wiedział i go zostawił.

Petr był z kolei tylko zwykłym ulicznikiem. Dobrym, jednym z lepszych, ale interesowały go przede wszystkim własne interesy. Przez ostatnie tygodnie kręcił coś bardzo grubego. Obiecywał Slavie, że jak przyjdzie czas, to go wtajemniczy. Szuler nie był pewny, czy Petr zdecydował tak, bo uważał go za bliskiego przyjaciela, czy dlatego, że bez niego nigdy nie dowiedziałyby się o Ignacu ani nie nawiązałyby z nim kontaktu. A teraz miał już Ignaca i nie potrzebował nikogo innego. Slava zaraz jednak skarcił się za takie myśli. Petr nigdy go nie zawiódł i jeżeli tylko będzie mógł, znajdzie tych skurwysynów, a potem go stąd wyciągnie. Jeżeli na kogoś mógł liczyć, to tylko na Petra.

No i Camilla. O niej myślał najczęściej. Wyobrażał sobie, jak tańczy na próbach, a później wraca do swojego pięknego mieszkania, gdzie pije wino z jakimś młodym artystą. Robi tak? A może nie robi? Za nic nie mógł jej winić, bo oficjalnie nie byli razem. Często był potem na siebie zły za te myśli, bo wiedział, że jest to jego słabość. Bo śmiał się z ludzi, którzy marnowali życie na zastanawianie się, czy kobieta ich kocha czy nie kocha. Zbyt wielu mężczyzn zgubiły takie rozważania. Ganił się, a potem znów o niej myślał. Bał się, że będzie się z niego śmiać, z tego, że dał się złapać jakimś frajerom, którzy bezkarnie urznęli mu palec, i nienawidził jej za to. A zaraz później żałował, że nie pójdzie na premierę i nie będzie mógł zobaczyć jej występu. A może premiera już była? Zupełnie stracił poczucie czasu.

Tak minęło kilka dni i nocy.

Slava siedział.

Nikodemus Provost przez ostatnie tygodnie czuł się wyśmianicie. Upłynnienie fortuny Rekinów było bowiem zadaniem żmudnym, lecz jednocześnie dającym wiele satysfakcji. Musiał wynajdywać metody na tyle wydajne, by móc za jednym razem wpakować w dane przedsięwzięcie duże sumy pieniędzy, lecz

jednocześnie niebudzące podejrzeń. Zaczął od spekulowania walutą, bo był pewien, że jeżeli w Hausenbergu rzeczywiście wybuchną rozruchy, to korona szybko straci na wartości. Dlatego jak najszybciej nawiązał kontakt ze swoimi partnerami na wschodzie i zaproponował im szybką wymianę po bardzo korzystnym kursie. Wydawało im się zapewne, że robią świetny interes, ale Niko wiedział, że na tym manewrze wyjdzie co najmniej na zero.

Równolegle inwestował jak szalony. Wszyscy zawsze mówili, że w czasie wojny najlepiej kupować złoto, bo ono nigdy nie straci na wartości, lecz Niko twierdził, że jest to planowanie bardzo krótkowzroczne. Złoto miało to do siebie, że przede wszystkim łatwo było je niepostrzeżenie ukraść albo zabrać siłą. Zdaniem Provosta w obecnej sytuacji trzeba było połączyć dwie metody. Po pierwsze, inwestować długoterminowo i stabilnie, bo jakiegokolwiek szybkie inwestycje z wysoką stopą zwrotu mogły wywalić się na pysk, gdy tylko zrobi się niespokojnie. Po drugie, wybrać coś zupełnie niezależnego od pieniędzy i drogich kruszców. Wybrał patenty.

Siedział w auli domu aukcyjnego należącego do Królewskiego Inspektoratu Rozwoju Nauki i wyszukiwał w katalogu co ciekawsze rarytasy. Inspektorat co jakiś czas ogłaszał otwartą aukcję, na której sprzedawano zestawy niezrealizowanych patentów, przekazanych do KIRN-u przez bankrutujących wynalazców i naukowców. Drugim źródłem patentów były majątki zmarłych i na dokumenty właśnie z tego źródła Provost teraz czekał.

Zakończono kolejną finansową potyczkę. Wąsaty aukcjoner uderzeniem młotka ogłosił finał licytacji i pogratulował wygranemu. Miał na sobie staromodny garnitur w kratę i sprawiał wrażenie jakby oprószonego kurzem. Ilekroć się poruszał, Provost tylko czekał, aż wokół mężczyzny wzbije się szarawa chmura. Dziwił się też za każdym razem, kiedy to się nie działo.

– Szanowni państwo – zadudnił prowadzący z podwyższenia. – Ogłaszam początek aukcji numer 4853B, w skład której wchodzi wydzielona część majątku inżyniera Heinricha Gottenhoffa. Szczegółowe informacje znajdują państwo w katalogu na stronie piątej, pod punktem trzynastym. Licytację uważam za otwartą i słucham uważnie. Cena wywoławcza to pięć tysięcy marek.

Aukcjoner omiół salę czujnym spojrzeniem, wyczekując pierwszej oferty.

Dokładnie na tę aukcję Nikodemus czekał. Kilka dni temu dostał cynk, że pozornie bezwartościowy zbiór patentów nie jest tym, na co wygląda. Zwykle ignorował takie wiadomości, jednak ta przyszła z bardzo pewnego źródła. Aukcja 4853B miała być warta majątek, a wiadomość mówiła jasno – musisz

to wygrać. Wiedział, że trzeba działać ostrożnie. Gdyby wyrwał się zbyt szybko, byłby to znak dla innych inwestorów, że być może przeoczyli jakiś cenny kasek. Licytacja patentów zawsze przypominała mu tę przeprowadzaną przy karcianym stoliku, ale uważał ją za zdecydowanie ciekawszą. Paradoksalnie, tutaj grało się o znacznie wyższe stawki. Uśmiechnął się do tej myśli.

Zanim prowadzący zdążył po raz pierwszy ponaglić potencjalnych nabywców, na lewo od Provosta uniosła się tabliczka z numerem licytującego.

– Mam pięć tysięcy, pan z numerem dwudziestym – ogłosił wążacz. – Czy ktoś z państwa da dziesięć tysięcy?

Przyszła pora, by działać. Niko odliczył w myślach od dziesięciu w dół, a gdy skończył, uniósł tabliczkę.

– Pan numer dwa – rozległ się tubalny głos. – Dziesięć tysięcy.

Wychwycił niewielki szmer, gdzieś na granicy słyszalności. Był tu numerem dwa. Pierwsze pięć oznaczeń zostało przydzielonych najaktywniejszym i obracającym największymi sumami inwestorom – od wielu lat tym samym. Kiedy ktoś z nich wchodził do gry, ludzie na sali patrzyli uważniej.

– Piętnaście tysięcy – zaskrzeczała dwudziestka pod postacią zgarbionego brzydala o żółtej cerze. – Daję piętnaście.

– Piętnaście tysięcy, pan numer dwadzieścia.

Provost potarł policzek, zwalniając tempo i ukradkiem zerkając na konkurenta. Tamten nie wyglądał na finansistę, raczej zakrawał na kogoś z plebsu. Może to jakiś daleki krewny, któremu nie udało się załapać do testamentu, a któremu zależało na majątku Gottenhoffa? Wynalazki Heinricha, chociaż całkiem interesujące, nie były przecież szczególnie przełomowe. Zwykle do realizacji większości z nich brakowało czegoś, co dopiero czekało na odkrycie. Niemożliwe było wyciągnięcie z nich natychmiastowego zysku, a ktoś z niewielkimi środkami raczej nie miał ochoty czekać kolejne dziesięć lat, aż będzie mógł czerpać profity z poczynionej inwestycji.

– Dwadzieścia tysięcy – ogłosił nagle aukcjoner. – Pan z numerem osiemnaście.

Do tej pory Nikodemus był zaintrygowany, ale teraz poczuł się szczerze zaskoczony. Spadek po Gottenhoffie najwyraźniej cieszył się całkiem sporym zainteresowaniem.

Uniósł tabliczkę.

– Dwadzieścia pięć tysięcy, dziękuję. Numer dwa.

Tym razem przebicie nadeszło niemal natychmiast.

– Trzydzieści tysięcy, pan numer osiemnaście. Kto da więcej?

Licytujący z numerem osiemnastym siedział w tym samym rzędzie, kilkanaście miejsc dalej, po prawej stronie. Provost pochylił się, usiłując dojrzeć, kim jest ten niespodziewany rywal, i zdziwił się jeszcze bardziej.

Interesy wymagały tego samego co przygotowanie „sztuki”, jak mówili na to miejscowi artyści oszustwa. Wymagały zebrania informacji, przemyślenia, przygotowania. Dlatego też Provost przez cały czas czuwał nad tym, co działo się w Hausenbergu. Nie umknęło jego uwadze także przybycie gościa z numerem osiemnaście, który nazywał się Silas Faugen. O ile Provostowi udało się wywnioskować z krótkiego pobytu Faugena w Hausenbergu, on także postępował bardzo metodycznie. Był rozważnym graczem, nie rzucał się na byle co, ale już zaznaczył swoją obecność w świecie pieniądza. Wydawało się, że dobrze wie, co robi.

– Trzydzieści tysięcy po raz drugi. – Głos prowadzącego wyrwał go z zamyślenia. – Czy ktoś z państwa da więcej?

Niko dyskretnie skinął na aukcjonera.

– Pięćdziesiąt tysięcy, numer dwa.

Na wpół w wyobraźni usłyszał, jak wszyscy wokół biorą wdech. Kątem oka dojrzał ruch po swojej prawej. Tym razem to Silas nachylał się, by zerknąć na niego. Tego się pan nie spodziewał, panie Faugen?

Skinął rywalowi w kulturalnym geście. Tamten odpowiedział uśmiechem. Wyglądał przy tym jak drapieźnik, który obserwuje, jak ofiara sama wchodzi w pułapkę. Faugen uniósł tabliczkę.

– Mamy siedemdziesiąt pięć tysięcy – ogłosił aukcjoner, po czym spojrzał na Provosta. – Czy usłyszę więcej?

Brzydki człowieczek, który rozpoczął tę licytację, nie liczył się już zupełnie. Teraz rozgrywka toczyła się pomiędzy nimi dwoma. Głowy obserwujących ten pojedynek przekreślały się jak na komendę, to w lewą, to w prawą stronę.

Tabliczka z numerem dwa powędrowała w górę.

– Sto tysięcy, numer dwa. Dziękuję i słucham uważnie.

Głowy podążyły na prawo.

Silas Faugen, nawet na chwilę nie rezygnując z niepokojącego uśmiechu, pokręcił głową i uniósł dłoń na znak, że wycofuje się z dalszej licytacji.

– Sto tysięcy po raz pierwszy...

Provost odetchnął głęboko. Wbrew pozorom kontrolował sytuację. Nie była to suma, która diametralnie zmieniałaby jego pozycję finansową, ale właśnie oddawał całkiem spory majątek za garść na pozór bezużytecznych patentów.

Będzie musiał bardzo dokładnie się im przyjrzeć...

– Sto tysięcy po raz drugi...

Aukcjoner ostatni raz zerknął na biorących udział w licytacji i ogłosił wynik.

– Sto tysięcy po raz trzeci! Wygrywa numer dwa. Gratuluję serdecznie i zapraszam na chwilę przerwy. A już po niej rozpocznie się licytacja przedmiotów oznaczonych w katalogu literą C.

Nie wiedział, ile minęło dni, zanim zaczął wracać do siebie. W pewnym momencie po prostu poczuł, że coś w nim pęka.

Najpierw umarły w nim myśli o bliskich. Przestał się zastanawiać nad Profesorem, nad Petrem, nawet nad Camillą. Przez pewien czas po prostu siedział, a pieprzone cztery na sześć kroków, które go otaczały, stawały się coraz mniejsze i mniejsze, były niczym dziwna kamienna prasa, mająca go niebawem zmiażdżyć. W pewnym momencie wydawało mu się, że dokładnie tak będzie. A kiedy znalazł się już na granicy, przy samym końcu świadomości, coś pękło.

Znowu zaczął chodzić po celi. Jedno okrążenie, dwa, trzy. Chodził i macał ściany, szukał słabych punktów, lecz w dalszym ciągu nie myślał o niczym konkretnym. Robił to instynktownie, jak zwierzę. Zupełnie zniknął w nim strach przed tym, że zrobią mu krzywdę. Już zrobili. A jeżeli zrobią większą? To zrobią. Teraz jego jedynym zmartwieniem było im na to nie pozwolić.

Uleciało z niego poczucie, że jest bezradny. Dopóki jeszcze był w stanie się poruszać i dopóki był w stanie myśleć, dopóty jeszcze z nim nie wygrali. Porażka rodzi się najpierw w świadomości, dopiero później jej projekcja przechodzi do rzeczywistości. Była to jedna z rzeczy, których uczył go Profesor, ale przestał już zastanawiać się nad tym, skąd przyszła ta czy inna myśl. Dokonywał prostej selekcji – jeżeli coś było potrzebne mu do przetrwania, zostawiał to w głowie. Wszystko inne odrzucał. Teraz liczyło się tylko, żeby przeżyć.

Wiedział, że musi poznać swoich przeciwników. Dlatego regularnie kładł się pod drzwiami i nasłuchiwał. Chciał rozpracować ich plan dnia, nauczyć się go na pamięć. Okazało się to całkiem proste. Strażników było tylko dwóch, zawsze tych samych, a ich szef praktycznie więcej się nie pojawiał. Kilka razy Slavie udało się usłyszeć urywek jakiejś rozmowy, chociaż były to zwykłe krótkie wymiany dwóch–trzech zdań. Jeden silnoręki pytał drugiego, czy chce,

żeby przynieść mu coś do jedzenia albo picia. Czasem któryś wychodził przypalić skręta. Przez cały czas się jednak pilnowali i nie zdradzili żadnej cennej informacji. Czyli albo nie byli takimi zupełnymi amatorami, albo po prostu gówno wiedzieli.

Ręka wciąż bolała, ale to ignorował. Wiedział, że jeżeli znowu popadnie w to, co opanowało go zaraz po grze, zginie.

Chodził, kładł się pod drzwiami, a kiedy nieśli posiłek, z powrotem siadał w kącie. Nie chciał, żeby znów go związali. Wciąż miał przy sobie ostrze, którym rozciął więzy. Schował je przy ścianie i czekał, aż przyjdzie właściwy moment, żeby użyć go ponownie.

Za którymś razem usłyszał rozmowę:

– Jak myślisz – spytał jeden ze strażników, ten, który śmiesznie przeciągał głoski – długo będziemy tu z nim kiblować?

– Pewnie jeszcze kilka dni – odparł ten drugi. – Na pewno aż do bankietu, bo szef planuje się tam pojawić. A potem wał jeden wie...

Bankiet... Zatem premiera jeszcze się nie odbyła! Slava powstrzymał się, żeby nie podskoczyć z radości. W dodatku jeżeli stąd wyjdzie, to będzie wiedział, gdzie znaleźć tego skurwysyna.

Wtedy rozległy się kroki.

– To ty? – warknął nagle pierwszy strażnik. – Co tu robisz?

– Proszę, proszę. – Ten głos był nowy. Naznaczony paskudną chrypą, skrzeczący i bardzo nieprzyjemny. – Kogo widzą moje kaprawe oczęta... I to tutaj, w jakiejś zapuszczonej ruderze na uboczu Gislaku.

Gislak. Znowu konkretna informacja. A więc nie wywieźli go daleko. Pokrążyli trochę po mieście i wrzucili do piwnicy w jednej z kamienic. A skoro wybrali Gislak, to ich zlecniodawca musiał mieć trochę pieniędzy, bo sporo taniej można było znaleźć coś w Salinie. Jednak tam było też znacznie więcej ludzi.

– To nie twoja sprawa – odpowiedział przybyszowi drugi strażnik. – Zmiataj stąd, Anton.

– I to szybko – dodał pierwszy – dopóki jeszcze możesz.

– Coście tacy nerwowi? – ciągnął niewzruszony Anton. – Zapomniałem wam podziękować za wspaniałą partię kilka dni temu. Uciekliście wtedy bez pożegnania.

Slava wyteżał słuch ze wszystkich sił – z głosu też dało się naprawdę wiele wyczytać. Zdecydowanie nie była to przyjacielska pogawędka. Chociaż strażników było dwóch, a Anton najwyraźniej przyszedł sam, to wcale się ich

nie bał. Za to oni brzmiali tak, jakby bardzo się denerwowali. Głosy im drżały.

– Nieładnie tak witać starego kumpla... – Kroki Antona słysząc było coraz wyraźniej. Musiał zbliżyć się w stronę celi. – Jeszcze trochę i pomyślę, że jednak nie jesteśmy przyjaciółmi.

Krok, krok, krok. Miarowe, spokojne i miękkie, jakby w każdej chwili gotowe do zmiany tempa. Był bliżej, coraz bliżej. Tamtych dwóch już nie odpowiadało. Slava czuł, że w powietrzu wisi ten morderczy rodzaj ciszy, który poprzedza wybuch.

Wiedział, że taka okazja już się nie powtórzy. Podjął decyzję. Wstał i odsunął się najdalej, jak tylko mógł. Teraz albo nigdy.

Wziął rozpęd i z całej siły przywalił ciałem w zamknięte drzwi. Zadudniło i natychmiast poczuł, jak bark prawie wyskakuje mu ze stawu. Z bólu zwałił się na podłogę.

– Tutaj! – krzyknął ile sił w płucach. – Pomocy!

– Co do...?! – usłyszał jeszcze jednego ze strażników. – Bierz go, kurwa!

Rozpoczęła się szamotanina. Krok, krok, krzyk. Coś po drugiej stronie wydało głuche stuknięcie, jak uderzająca w żebra pałka. A potem jeszcze jedno.

– Nie...!

Ktoś zakwilił. Znowu stuknięcie. Kroki, szybkie, nerwowe, krótkie. I znowu stuknięcie. Cichy jęk mężczyzny, który ledwie łapie oddech. Stuknięcie. Trzask łamanej kości. Cisza.

Slava usłyszał pobrzękiwanie kluczy i klekot zapadki, kiedy ktoś najwyraźniej odpinał kłódkę z jego celi. Wspierając się na obolałym barku, jak najszybciej odtoczył się do ściany i odnalazł ukryte tam ostrze. Podźwignął się na nogi, mocno ściskając broń w ręce.

No, chodź, pomyślał.

Trzasnęła zasuwka, po czym drzwi bardzo powoli się otwarły. Szuler zamrugał szybko, kiedy w oczy uderzył go wpuszczony do środka snop światła.

Chodź, no chodź.

– Przychodzę w pokoju – zaskrzeczał Anton. Ton miał spokojny i bardzo rzeczowy. – Czekam na zewnątrz.

Slava się zawahał. To mogła być pułapka. Mogli go tylko wystawiać. On wyjdzie, a oni znowu dadzą mu w łeb, a potem zabiorą nóż. Gdyby ten cały Anton przyszedł od Profesora, na pewno znalazłby hasło. Znalby inne, gdyby przychodził od Petra. Ale na pewno jakieś by znał.

Nie ma Profesora. Nie ma Petra. No, to szlus.

Powoli wyjrzał za róg. Naprzeciw niego w pełnym świetle stał mężczyzna z blizną. Ten sam, któremu kilka dni temu powiedział U Louisa, że jest przerabiany na lotne trójki. U jego stóp leżały ciała strażników – rozpoznał w nich tych cwaniaków, którzy wtedy ogrywali Antona w karty. Że też nie zorientował się wcześniej...

– Proszę, proszę – wychrypiał Anton, szczerząc się przy tym w paskudnym uśmiechu. – Spodziewałem się znaleźć tutaj różne rzeczy, ale na pewno nie delikwenta, którego od kilku nocy szuka połowa miasta.

Slava milczał. Patrzył Antonowi prosto w oczy, jedno szeroko otwarte, a drugie makabrycznie przymknięte, przecięte ogromną szramą.

– Szuka cię wielu ludzi – powtórzył człowiek z blizną. – Bardzo wielu.

– I pewnie dobrze płacą za informację, co? – odpowiedział szuler. – Albo za dostarczenie zguby na miejsce.

– Ano, płacą – potwierdził Anton. – Ale ja nie pracuję dla żadnego z nich. Nie przyszedłem po ciebie, tylko po tych dwóch. A tak poza tym to jestem ci winien przysługę, za wtedy, tam, w knajpie.

Slava pokiwał głową. Podszedł do Antona i wyciągnął do niego rękę. Widział, jak zbir patrzy na jego świeże kalectwo. Czuł, że się waha.

– Jesteśmy kwita? – zapytał tonem, który nie pozostawiał miejsca na niedopowiedzenia. – Przybłatowane?

Cisza się przedłużała. W końcu Anton powiedział:

– Przybłatowane.

Wymienili uścisk dłoni. A potem rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Provost wracał do domu z poczuciem świetnie wykonanej roboty. Dawno się tak nie napracował i powoli dochodził do wniosku, że chyba należy mu się mała nagroda. Wracał pieszo, swoją ulubioną trasą prowadzącą wzdłuż rzeki i ciągnącą się przez cały Gislak, aż do miejsca, gdzie zaczynała się Valoria. Tam też czekał na niego wynajęty i zawsze czyściutki pokój hotelowy, ze świeżo wypranymi ręcznikami, puchatą pościelą, a także fenomenalnie dyskretną obsługą. Właśnie tego potrzebował dzisiejszej nocy – dyskretnej obsługi, która szybko pośle pacholka we właściwe miejsce i sprowadzi mu na noc jakąś przyjemną towarzyszkę. Nie był wprawdzie szczególnym zwolennikiem płacenia za miłość, ale od czasu do czasu lubił zamówić sobie kurwę. Cenił w nich pewnego rodzaju bezpretensjonalność, która polegała na tym, że klient dostawał dokładnie to, za co płacił. W przeciwieństwie do

cichodajek z dobrych domów, przy których człowiek płacił, płacił i płacił i wcale nic nie dostawał.

Poza tym ostatnimi czasy nie tylko zyskał pewność, że Rekiny nic nie podejrzewają, ale też doszedł do punktu, w którym zabezpieczył już większość z ich pieniędzy, a dzisiejsza aukcja okazała się jedną wielką wisienką na torcie. Teraz pozostawało tylko czekać na ruch Petra. Niko przez cały czas zastanawiał się, jaki konkretnie jest plan złodzieja. Przeszło mu nawet przez myśl, że może po prostu dał się wykiwać. Petr nastraszył go w Kucharzynie jak pierwszego lepszego pajaca, a tak naprawdę ta jego wojna to jedna wielka blaga. Na początku chciał być przezorny i chwilę przeczekać, może nawet wysłać kogoś, żeby dyskretnie sprawdził, co dzieje się na ulicy. Rozważał, czy jednak nie iść na przykład do Natana i nie sprzedać sprawy. Szybko wybili mu to z głowy.

Już pierwszej nocy po spotkaniu w restauracji, kiedy tylko Niko wrócił do Ekscelencji, na swojej poduszce znalazł przedarty na pół banknot. Nie miał wątpliwości, kto go tam zostawił i jaką wiadomość chciał przekazać. W pierwszym odruchu rzucił się do drzwi, by jak najszybciej wyprowadzić się z hotelu i przenieść w inne, bezpieczniejsze miejsce, doszedł jednak do wniosku, że byłoby to bezcelowe. Jeżeli ludzie Petra znaleźli go tutaj, w Ekscelencji, to będą w stanie znaleźć go wszędzie. Wtedy też Niko dokonał szybkiego bilansu potencjalnych strat i zysków, a jego wynik był jasny. Na razie najbardziej opłacało mu się trzymać stronę złodzieja.

Przystanął, opierając łokcie o barierkę wąskiego mostka, jednego z tych, które wisiały tutaj co kilkaset metrów, każdy wykończony w troszeczkę innym stylu. Provost lubił w Gislaku ten barwny bałagan – liczne knajpy, ulicznych grajków, popisujących się szczudlarzy i całą resztę artystycznego autoramentu; lubił się przechadzać po zadbanych chodnikach i gęsto rozmieszczonych mostkach, zwłaszcza po zachodzie słońca, gdy światło astralitowych latarni odbijało się od powierzchni wody. Wieczór był ciepły i parny, a powietrze wydawało się gęste. Gdzieś w oddali rozbrzmiewała grana na gitarze melodia, pochodząca zapewne z kawiarnianego ogródka.

Niko spojrzął w atramentowe niebo i uśmiechnął się zadowolony. Nie bał się. Przeżył już jedną wojnę, lata temu, kiedy Stary Hausenberg umierał podczas Nocy Łowów. Wtedy zmieniło się prawie wszystko, po starym porządku zostało najwyżej kilku Rekinów, rozsianych po mieście w wielkich domach, którzy nie za wiele mogli już zrobić. Jeżeli czegoś się wtedy nauczył, to przede wszystkim tego, by bez względu na okoliczności ufać intuicji. A tym

razem intuicja podpowiadała mu, że stając po stronie Petra, postąpił właściwie.

Interesy zostały ubite, dokumenty zabezpieczone, a noc była jeszcze młoda. Niko aż zatarł ręce z radości i tanecznym krokiem ruszył dalej przez Gislak. Pogwizdywał wesoło, starając się odtworzyć melodię niktącej w oddali gitary. Minął chodzącego na szrudłach artystę i uśmiechnął się do siedzącej samotnie w ogródku młodej damy. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie przysiąc się do niej i nie spróbować zaprosić do siebie, ale zdecydował, że kosztowałoby to go za dużo zachodu. Dzisiejszej nocy sprawi sobie profesjonalistkę.

Doszedł do Ekscelencji i skręcił w niewielki zaułek, by skorzystać ze swojego ulubionego, dyskretnego wejścia z tyłu hotelu. Przy całym swym uwielbieniu dla przepychu żywił przekonanie, że należy cenić sobie prywatność, zwłaszcza jeżeli obraca się pieniędzmi naprawdę niebezpiecznych ludzi. Dlatego też podczas tych długich tygodni spędzanych w hotelu Niko zawsze wchodził i wychodził tym samym, schowanym w zaułku wejściem, z którego zwykle korzystali pomocnicy kuchenni i posłańcy.

Boczna uliczka była nieoświetlona, więc przez chwilę musiał przyzwyczajać wzrok do ciemności, lecz szedł na pamięć i nie zwalniał. Dopiero po kilku krokach zobaczył, że ktoś stoi na drugim końcu ulicy. Był to elegancko ubrany mężczyzna, z długim płaszczem narzuconym na garnitur. Jego twarzy Provost nie widział, zakrywało ją rondo opuszczonego nisko kapelusza. Za to w lewej ręce nieznajomego dostrzegł podłużny przedmiot, coś jakby laseczkę.

Zaraz, to przecież...

Nie dokończył tej myśli. Huknęło, a Niko dojrzał tylko błysk. Trzy błyski, bo huknęło trzy razy.

Pierwszy pocisk trafił go w środek klatki piersiowej, zatrzymując w miejscu. Provost nie zdążył jeszcze poczuć bólu, kiedy dostał po raz drugi, w szyję. Trzeci strzał był właściwie niepotrzebny, tylko poprawił po pozostałych dwóch. Zaskoczone w pół ruchu ciało postawiło jeszcze jeden krok, po czym osunęło się na ziemię.

Chociaż Nikodemus Provost nie mógł tego wiedzieć, kilka godzin wcześniej podpisał na siebie wyrok. On – cwaniak, który nie tylko przeżył Noce Łowów i upadek Starego Hausenberga, ale i zbił na tym majątek. Zdrajca, któremu do samego końca udało się utrzymać tę zdradę w tajemnicy. Człowiek, którego próbowano zabić tyle razy, że po piętnastym przestał liczyć. Umarł zabity

w bocznej uliczce, z najdziwniejszego powodu na świecie. Umarł, bo wygrał na aukcji kilka na pozór bezużytecznych patentów. Umarł, bo miał więcej pieniędzy niż Silas Faugen.

Zabójca podszedł do zwłok. Szybko i sprawnie przetrzepał martwemu kieszenie, zabierając z nich portfel, dokumenty i, co najważniejsze, klucz do pokoju. Wzruszył ramionami i jak gdyby nigdy nic ruszył w stronę głównego wejścia do Ekscelencji.

Znalazł go Lejba. Półżywego, poparzonego i próbującego wyrzygać z siebie nieistniejące resztki dymu. Doliniarz wziął Petra na plecy i bez żadnych pytań zaniósł do Kamienicy. Pierwszy pomiędzy złodziejami leżał bez przytomności kilka dni. Kiedy po tym czasie wciąż nie przestawał majaczyć, jego ludzie w końcu posłali po konowala. Gdy doktor pojawił się na miejscu, powiedzieli mu, że albo postawi Petra na nogi albo zostanie obity tak, że jego samego nikt nigdy na nogi nie postawi. Cyrulik zrobił się blady ze strachu, coś tam pomieszał, coś tam pomruczał i wlał w złodzieja jakąś dziwną mieszankę leków i alkoholu. Pomogło.

Gdy tylko Petr doszedł do siebie, natychmiast spytał o wieści w sprawie Nina, ale nikt nie wiedział, czy zabójca przeżył awanturę u Ignaca. Złodziej nie dopuszczał do siebie myśli, że może być inaczej. Nino był nie do zdarcia. Pewnie po prostu zszedł nisko, na wypadek gdyby ich szukali, chociaż Petr był przekonany, że w tym wypadku nic im nie grozi. Przynajmniej nie ze strony Ignaca. Jeżeli jednak Nino nie chciał, by go znaleźć, to pewne było, że nie uda się to absolutnie nikomu. Złodziej zaczął się godzić z myślą, że będzie musiał zacząć sam.

Wtedy przyszła wiadomość od Miki: „Dostawy astralitu zostały wstrzymane. Masz swoje dwa tygodnie. Do zobaczenia niebawem”.

Petr siedział w Kamienicy i spoglądał na plan Hausenberga. Nagle zdał sobie sprawę, jak wiele rzeczy poszło w ruch. Szykował ten geszeft kilka lat i wreszcie przyszedł czas na wielki finał. Dwa tygodnie, z których ważna była każda godzina. A kiedy wszystko się skończy, ten plan miasta nie będzie już mu potrzebny. Nastanie nowy porządek.

Wezwał swoich najwierniejszych ludzi. Byli wśród nich Flik i Lejba.

– Dzisiejszej nocy oddaję miasto w wasze ręce – powiedział im. – Już czas. Idźcie i przywróćcie ulicy należny jej szacunek.

Rozeszli się bez pytań. Wiedzieli, co robić. W Hausenbergu zaczęła się

wojna.

Rzadko brał takie numery.

Cholernie rzadko, pomyślał, układając ciało przy kracie. Nie był do tej roboty specjalnie chętny, ale jeden z jego stałych zleceniodawców przekazał mu bardzo jasną wiadomość. Nino nie pracował dla byle kogo, jedynie dla kilku osób, którym z reguły nie odmawiał. Temu człowiekowi nigdy nie powiedział „nie”.

Zostawił ciało w wąskim zaułku, ułożone pod ogrodzeniem otaczającym posiadłość. Pechowy strażnik leżał przebity własną kosą i wyglądał, jakby zabił się sam. Nino ostatni raz obejrzał ciało i zachichotał do tej myśli. Zanim znajdzie trupa, minie co najmniej godzina albo i więcej. Poza okazijnymi patrolami straży miejskiej Valoria o tej porze była pusta, a cień zasłaniał ciało tak, że nie było go widać z głównej ulicy. Przy odrobinie szczęścia zorientują się dopiero o świcie.

Sprawdził, czy pałka dobrze siedzi w przymocowanym do paska temblaku, i zaczął się wspinać po ogrodzeniu. Jeszcze raz powtórzył w głowie przygotowany wcześniej plan. Kiedy przeskoczy przez kratę, powinien wylądować w ogrodzie. Ten nie był duży, wystarczy kilka sekund, by dotrzeć pod ścianę posiadłości. Na szczęście nie było tam też żadnych psów, bo to mogłoby sprawić trochę kłopotu. Z tyłu znajdowały się drzwi dla służby, ale postanowił wejść od frontu – półśrodkami to nie jego bajka. Za drzwiami czekają go dwie kondygnacje bogato urządzonej wewnątrz. A w jednym z nich jego dzisiejszy cel.

Tyle starczyło. Był zwolennikiem teorii, że dokładniejsze plany się nie sprawdzają, bo w czasie numeru i tak wszystko dzieje się po swojemu. Nie myślał, działał.

Zeskoczył po drugiej stronie ogrodzenia i z cichym tąpnięciem spadł na przystrzyżoną trawę. Wypatrując kolejnych silnorękich, szybko przesunął się pod ścianę willi. Rezydencja była spora, bo i jej właściciel do biednych nie należał. Aż dziwne, że przy takich pieniądzech obstawiał się dosyć podłą ochroną. Cóż, głupota zostanie ukarana.

Przy drzwiach także nie napotkał żadnego oporu. Spodziewał się chociaż zasuniętego rygla, ale naciśnięta klamka otworzyła drogę wprost do przepastnego przedpokoju. Dziwne, bardzo dziwne. Pobieźnie sprawdził pomieszczenia na parterze. Skręcił na lewo od wejścia i ruszył wzdłuż korytarza.

Zatrzymał się przy jednym z pokoi. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nie doszedł go choćby szmer. Coś tutaj bardzo nie grało...

Nacisnął klamkę i powoli uchylił drzwi. Za nimi znajdowało się pomieszczenie mieszkalne służby – starannie zasłane łóżko, obok niewielki sekretarzyk, w rogu poobijana balia. Dwa kroki dalej mieścił się drugi, niemal bliźniaczy pokój, z tą różnicą, że zamiast drewnianego pulpitu ustawiono tam skromną toaletkę.

Pusto.

Na końcu korytarza natrafił na całkiem sporą kuchnię, lecz nie było w niej ani śladu służby. Wokół zgaszonych pieców stały porozkładane garnki, na środku podłogi leżała upaprana, upuszczona chochła. Dla porządku zajrzał też do spiżarni, ale znalazł w niej tylko wypełnione jedzeniem półki i kilka beczek pod ścianami. Wychodząc z kuchni, jeszcze raz minął schody, po czym skierował się na prawo od drzwi frontowych, do olbrzymiego salonu. Pusto. Jedyne, co rzuciło mu się w oczy, to masywne skórzane fotele, bogato zdobiony stół i wystawny barek, wszystko to oświetlone mdłym światłem astralitowych żyrandoli.

Już wracał w kierunku schodów, kiedy nagle coś zachrobotać. Kątem oka dojrzał ruch. Natychmiast się odwrócił, cofając jedną z nóg i uginając kolana. Zanim skończył krótki półobrót, jego dłoń zacisnęła się na spoczywającej w temblaku pałce. Spod jednej ze ścian bezczelnie spoglądał na niego przeciągający się kot. Szary i bardzo puchaty, nabhalański radża kocięj arystokracji. Wyciągał grzbiet, nic sobie nie robiąc z chodzącego po domu zabójcy. W końcu prychnął tylko i pomaszerował w kierunku jednego z foteli.

Nino wyszedł z części bawialnej. Tym razem zmierzał już prosto do celu. Trzeba było kończyć robotę i zniknąć.

Powoli wyszedł na górę, rezygnując z trzymania się blisko ścian. Uznał, że gdyby miał trafić na jakąś ochronę, to już by trafił. Powoli zaczynał rozumieć, co się tu dzieje, i mógł się założyć o duże pieniądze, że się nie myli. Właściciel rezydencji powinien o tej porze siedzieć w gabinecie. O ile informacje Nina były trafne, a rzadko zdarzało się inaczej, prowadziły tam drzwi zaraz na prawo od schodów. Po lewej stronie powinna się z kolei znajdować sypialnia gospodarza, zapewne z ogromnym, przykrytym baldachimem łóżem, a za nią niewiele mniejsza garderoba. Kolejne pomieszczenie miało mieścić sypialnię gościnną, natomiast na wprost przed sobą zabójca miał otwarte wejście do biblioteki.

Myślałby kto, że oni wszyscy tyle czytają, pomyślał Perrez, rezygnując ze

sprawdzenia, czy ktoś poza nim znajduje się na piętrze. Bez wahania skierował się na prawo.

Tak jak przewidywał, swój cel znalazł przy biurku w gabinecie. Martwy, a konkretnie z poderżniętym gardłem. Cięcie było czyste i najwidoczniej niespodziewane, bo ciało leżało oparte czołem o blat, krwawiąc obficie z przeciętej tętnicy. Jucha oblepiała biurko i spływała po nim na podłogę, ale ściany i dywan były czyste. Z jednym wyjątkiem.

Dopiero po chwili Nino dojrzał ochroniarza. On z kolei wyglądał, jakby dorwała go wataha wściekłych psów. Zwłoki były poszarpane, pocięte i potłuczone, niemal rozsmarowane na ścianach w rogu pomieszczenia.

Rekin, na którego Perrez miał zlecenie, Natan Blindt, nie obudzi się jutrzejszego poranka. Zapłata za jego życie nie będzie jednak należeć do Nina. Zabójca nie był tym zirytowany, ale czuł niepokojącą ciekawość. To nie był zwyczajny numer. W Hausenbergu właśnie rozpoczynała się bardzo niebezpieczna gra. Kto ją przegra, może już nigdy nie zagrać.

KILKA GODZIN WCZEŚNIEJ

– Niech nikt się nie rusza, on oszalał! – krzyczał Natan Blindt – To wariat!

Petr zaciskał dłoń na rękojeści noża wymierzonego w gardło mężczyzny siedzącego po drugiej stronie biurka. Złodziej stał w zasięgu pchnięcia, drugą rękę trzymając opuszczoną wzdłuż ciała, a wokół siebie miał już co najmniej kilkunastu zakapiorów. Nawet nie próbował ich liczyć, bo najmniejsze rozproszenie uwagi mogło kosztować go życie. Za to zastanawiał się, czy wiedzą, że w drugiej ręce także trzyma broń.

– Idiota! – pinił się dalej Blindt. – I co, zadźgasz mnie teraz? W moim domu, przy moim własnym, kurwa, biurku? Już jesteś trupem, słyszysz?! Trupem!

Krzyczał głośno, ale nawet przy tym nie drgnął. Jego wzrok utkwiony był w czubku liczącego dobre pięć cali ostrza, będącego obecnie przedłużeniem ręki Petra. Blindt dobrze wiedział, że najmniejszy ruch będzie kosztować go życie.

Ochroniarze także patrzyli na nóż. Na razie żaden z nich nie zdecydował się działać.

Dobrze, pomyślał złodziej, za chwilę się okaże, ilu z nich potrafi myśleć, a ilu skończy w piachu, tam, gdzie miejsce nierozumnych.

– Milcz, Blindt – przerwał, po czym odezwał się do silnorękich. – Panowie, sprawa jest nagląca, dlatego będę mówił krótko i konkretnie...

– Łajzo! Skurwysynu! – darł się Blindt. – Wypatroszę cię, kurwa! Nie przeżyjesz tygodnia.

– Znacie mnie – ciągnął niezrażony Petr – a przynajmniej większość z was mnie zna. Wiecie, kim jestem. Wiecie też, że swoją robotę traktuję śmiertelnie poważnie. Przyszedłem tu dzisiaj, żeby wyciągnąć do waszego szefa rękę. Odrącił ją, a później groził mi śmiercią. Pokazał, że nie jest godny ani mojego zaufania, ani szacunku.

Dosłyszał kilka niepewnych, ale coraz wyraźniejszych pomruków. Wiedział, że trafił w dziesiątkę.

– Skoro nie szanuje mnie, nie szanuje również was. Nie wiem jak wy, ale ja mam tego dosyć. Dostyc gówna, które rozpanoszyło się na ulicach i zajęło miejsce bandytierki. Wszystkie poważniejsze sztuki blokuje Valoria razem

z pozostałościami Starego Hausenberga. Siedzą na swoim i rzucają nam jakieś marne ochłapy. A co najważniejsze, oni nas nie szanują.

Jeszcze więcej pomruków.

– Ma rację...

– ...rację...

– Dzisiejszej nocy mówię temu koniec. Kto pójdzie ze mną, nie będzie żałować. Wyciągam do was rękę, którą wystarczy tylko uścisnąć. Wybierajcie.

Teraz zaszumieli wszyscy. Poczekał kilka oddechów, aż ponownie zapadła cisza. Wiedział, że nadszedł jego moment. Wtedy znowu się odezwał:

– Nadszedł czas panowania noży. Przyszedłem oddać wam ulicę.

Skończył mówić i jednym ruchem podciął gardło Blindtowi. Rekin nawet nie zdążył złapać się za rozciętą tętnicę, uderzył tylko czołem w sam środek biurka.

Jedynym, który zerwał się, by bronić swojego pana, był stojący zaraz za nim ochroniarz. Petr go znał, był to najwyższej klasy nóż do wynajęcia. Do wynajęcia, ale lojalny do śmierci. Złodziej mógł odbić nadchodzący atak i zlikwidować także najemnego goryla. Wiedział jednak, że o wiele bardziej przyda mu się ofiara. Symbol. Zamiast skontrować cios, zrobił krok do tyłu.

– Zabić go – rzucił krótko, cofając się pomiędzy ochroniarzy. – Żadnej litości.

Niczym wściekła wataha wilków, zbiry rzuciły się na niedawnego towarzysza. Krzyknął tylko raz, a potem słychać było jedynie odgłos ciosów i łamania kości. Nie przestawali go bić nawet wtedy, gdy Petr wychodził z pokoju. Zaczęło się.

STARY HAUSENBERG, PÓŻNY WIECZÓR

Nie spodziewał się, że naprawdę to zrobią. Do końca wierzył w nieokreśloną, nieznaną drogę ucieczki, którą w ostatniej chwili uda mu się dostrzec i która pomoże mu ocalić życie. Kiedy jednak Baudleir na krótki moment znalazł się za jego plecami, w głowie mężczyzny błysnęła myśl, że to jednak koniec. Zabiją go.

Nie zdążył porządnie zmartwić się swoim losem. Linka zaciągniętej na gardle garoty odcina myśli równie szybko jak tlen. Mało kto zdaje sobie z tego sprawę, ale kiedy cienki niczym włos drut wbija się w tchawicę, jest już za późno, żeby myśleć. Umysł nagle ogarnia stan niepoohamowanej i niemożliwej do powstrzymania paniki. Kontrolę przejmuje instynkt – sięga wówczas po najsilniejszą i najbardziej pierwotną cechę, której nie da się nauczyć, można jedynie się z nią urodzić: po wolę przetrwania.

Mężczyzna za wszelką cenę nie chciał odpuścić, nie godził się na śmierć. Jego zdolność do ratowania się w dosłownie ostatnim momencie stała się już legendą. Kiedy wszyscy odpuszczali, on rzucał się na jeszcze jedną próbę. A potem jeszcze jedną. Był szaleńcem ogarniętym szalem życia.

Na nic jednak zdaje się to wszystko, kiedy za kimś stoi Robert Baudleir, nikomu nieznany zabójca, który gdyby chciał, mógłby stać się najbardziej pożądanym najemnikiem świata. Wynajmowano by go do zabijania królów, do likwidacji imperiów, do cichego i natychmiastowego kończenia lub wywoływania wojen. Jego ostrze odmieniałoby losy narodów. Byłby człowiekiem zdolnym przeważać szalę zwycięstwa w czasie, gdy zawodzą armie.

Jego jednak nikt nie znał. Nikt też, z nim samym włącznie, nie podejrzewał, że swoich umiejętności użyje przeciwko osobie, która przez kilka ostatnich lat zaliczała się do jego najbliższych przyjaciół. Przeciwno komuś droższemu niż rodzina.

Długo rozważał wybór narzędzia, zanim w końcu zdecydował się na garotę. Uważał ją za najbardziej osobisty ze wszystkich sposobów zadawania śmierci. Nóż zabijał szybko, wystarczyło przeciąć tętnicę i ofiara pogrążała się w ciepłym, lepkim śnie. Dobrze wymierzone cięcie odbierało siły tak prędko, że zabijanemu wydawało się, iż zasypia. Pałka z kolei była brudna i wymagała

przede wszystkim brutalnej siły. Za to żeby udusić kogoś garotą, potrzebny był charakter. Mało kto jest w stanie wytrzymać to uczucie, kiedy wijące się przed nim ciało zaczyna powoli słabnąć, miotając się przy tym w nadziei na jeszcze jeden, ratujący życie wdech. W końcu ofiara wiotczeje. Wie, że ratunek nie nadejdzie. A kiedy już do końca opadnie z sił, trzeba przetrzymać jeszcze chwilę, aż ogarną ją towarzyszące śmierci drgawki. Mało kto jest w stanie doprowadzić tę sprawę do końca. Zwłaszcza kiedy morduje się kogoś, kogo bardzo się kocha. Mordercy na całym świecie wybierają garotę jako broń zemsty. Chcą czuć i smakować każdy, najdrobniejszy moment odbierania życia drugiemu człowiekowi. Chcą to przeżyć. Z tych samych powodów Baudleir zdecydował się na garotę, traktując ją jednak nie jako przedmiot zemsty, ale pokuty. Z szacunku do przyjaciela, musiał przeżyć jego ból. I wiedział, że nie może odpuścić.

Kiedy ciało opadło na ziemię, Baudleir wciąż z całej siły zaciskał pięści. Był blady, a jego twarz zamieniła się w maskę żalu. Skinął niewysokiemu towarzyszowi i przeszedł w stronę kuchni, jednocześnie sięgając po schowany z tyłu na pasku nóż. Ta druga śmierć nie była tak osobista, na kobietę czekało ścięte z obydwu stron trójkątne ostrze – dobre by przebić gardło, ale też serce, a nawet obficie krwawiącą tętnicę z tyłu uda. To było o wiele mniej bolesne, zarówno dla ofiary, jak i dla zabójcy.

Spoglądający na wszystko z kąta pokoju niewysoki mężczyzna wydobył z kieszeni okulary w drucianych oprawkach i ponownie je przetaił. Po raz pierwszy i ostatni w życiu trzęsły mu się dłonie. Płakał.

CZĘŚĆ III. SPRAWDZENIE



HAUSENBERG WSPÓŁCZEŚNIE, DWA TYGODNIE PO POŻARZE

Wystarczyło kilka dni, by wypracowany na przestrzeni lat porządek panujący w Hausenbergu rozpadł się jak domek z kart. Strach opanował ulice i kiedy zapadał zmrok, ludzie zamykali drzwi i bali się opuszczać domy, a gdy tylko nastawał poranek, strażnicy miejscy mieli pełne ręce roboty. Nie było dnia, żeby nie musieli wywieźć przynajmniej kilku ciał. Czasami było ich dziesięć, czasami piętnaście, a czasami sporo więcej. Bandyterka wyciągnęła wnioski z rzezi Starego Hausenberga i biła się tylko w nocy. Powoli zaczynał być to stały rytm miasta. W nocy mordowano, w dzień sprzątano.

Samotny mężczyzna zmierzał z Valorii wprost na ulice Salinu. Zawsze kiedy szedł od tej strony, odczuwał poważny dysonans. Dosłownie dwie przecznice dzieliły piękne kamieniczki i rudery otoczone suszącym się w co drugim zaułku praniem. Wystarczyło kilkanaście kroków, by w powietrzu dało się wyczuć, że mieszkają tu ludzie, dużo ludzi. Odór nieczystości mieszał się z zapachami potu, gotowanej kapusty i spalenizny. Ten ostatni niósł się ze stojącego na rogu straganu, przy którym jednoręki mężczyzna z paskudnym kikutem wystającym spod brudnego fartucha przekładał nad ogniem poskręcane mięso podejrzanego pochodzenia. Pewnie jakiegoś psa albo, co w sumie bardziej prawdopodobne, szczura. Zaraz obok paleniska stał drugi nieprzyjemnie wyglądający typ i obracał w palcach monetę, łypiąc spode łba w kierunku odrapanej ściany. Przy niej z kolei stał rząd ekwocacyjnie odzianych kobiet. Nie cieszyły się zbyt dużym powodzeniem, nie będąc ani szczególnie urodziwe ani nawet szczególnie czyste. A wszędzie wokół siedzieli robotnicy. Mężczyźni o zniszczonych, spracowanych dłoniach, które dotychczas pomnażały alchemiczne bogactwo. Teraz pracy nie było, astralit się skończył, a robotnicze dłonie tylko czekały, by zacisnąć się w pięści.

Wybrał tego przy palenisku, kalekę bez ręki. Poprawił opuszczony nisko na czoło kapelusz o szerokim rondzie i podszedł do straganu.

– Jest tam coś dobrego? – zapytał, nawet nie zerkając na spalone ochłapy. – Zgłodniałem trochę.

– Ba, dobrodzieju uprzejmy – odpowiedział kaleka. – Same dobroci tu mam, same dobroci, kiełbaski jak ta lala, skowyrne. Sam nie jem nic innego,

takie dobre one są.

Ciekawe, pomyślał mężczyzna, czy w takim razie zgniją mi po nich zęby i odpadną ręce.

– To jak, podać? – zagadnął handlarz.

– Podaj – odparł. – Tylko ładną.

Kaleka wprawnym ruchem zdrowej ręki nabił jedną z kiełbasek na szpikulec, po czym zręcznie zsunął ją do bułki zawiniętej w gazetę i podał ją klientowi. Tym samym ruchem odebrał od niego banknot.

– I jak – zapytał sprzedawca. – Dobra?

– Wyśmienita – skłamał, przegryzając przypalone mięso. – Aż chyba zostanę stałym klientem.

– Polecam się! Tylko bies jeden wie, czy ja tu dalej będę stał po tym, jak się to wszystko zesrało.

– To prawda, co mówią? Że to jest jakaś uliczna wojna?

– A bo ja to wiem, panie szanowny, bo ja to wiem... – wybełkotał kaleka, jakby powtarzał wyuczoną formułkę. – Jak pan płaci, to może w tych kiełbaskach i jaka historia się znajdzie?

Klient zrozumiał aluzję. Podał mężczyźnie zwinięty banknot, tym razem o większym nominale. Spod pazuchy sprzedawcy natychmiast wyskoczyła zdrowa ręka i porwała pieniądze. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, a fałszywy kaleka dalej piekł swoje kiełbaski. Trzeba było przyznać, protezę kikuta miał pierwsza klasa. Pewnie trzepał ludziom kieszenie nie gorzej, niż obracał ruszt.

– Teraz to inna rozmowa! – zarechotał. – Jest co opowiadać, bo leją się grubo. Najpierw był ten dziwny pożar, co to nikt nie wie, skąd się wziął, co się paliło i dlaczego nikt nie gasił. Fajczyło się po całości. A zaraz potem odwalili Bola...

– Powoli – przerwał klient, odgryzając kolejny kęs bułki z kiełbaską. – Kogo odwalili?

– Nazywał się Bolo Zajc. To od niego podobno się wszystko zaczęło. Tam, w Gislaku...

Bolo Zajc opuścił przyjęcie jako jeden z pierwszych. Nie przepadał za tymi wszystkimi bubkami z wyższych sfer i nigdy tego nie ukrywał, a nawet sam nazywał siebie „ambitnym prostakiem”, który przede wszystkim lubi dobrze zjeść, dobrze wypić, a potem dobrze podupczyć. Tej nocy popił trochę

szampana, podjadł pieczonego prosiaka i poklepał po płaskim tyłku znaną poetkę. Ona w odwecie zwyzywała go tak paskudnie, że nie powstydziliby się tego doświadczona ulicznica. Bolo wybuchł śmiechem i strzelił ją w tyłek jeszcze raz. Poza tym spotkał paru znajomych, rozdał kilka towarzyskich złośliwości i nawiązał jeden cenny kontakt z właścicielem dużej faktorii alchemicznej. Słowem, wieczór uważał za udany. Dobrze zjadł i całkiem nieźle popił, pozostawało mu więc już tylko jedno. Spojrzał na dekolt swojej pięknej, młodej żony i kazał wezwać powóz.

Trafiła mu się ta Sofia, oj trafiła... Znalazł ją daleko stąd, kiedy jedno ze zleceń zawiodło go na wschód. Bolo był bowiem płatnym mordercą i szukał tam wtedy jednego delikwenta. Zamiast swojego celu znalazł niewielki zakład szewski, a w nim prawdziwego specja od butów i jego przepiękną córkę. Gdy tylko ją zobaczył, od razu wiedział, że musi ją mieć. Była to jedna z rzeczy, którymi się szczycił. Życie nic nie da ci za darmo, mawiał, musisz umieć to sobie wziąć. Gdy to zrozumiesz, to szybko pojmiesz też, że możesz mieć wszystko, czego tylko zapragniesz.

Bolo przez dwa tygodnie codziennie odwiedzał zakład starego szewca i za każdym razem zamawiał przynajmniej jedną parę bardzo drogich butów. Kiedy już się upewnił, że odpowiednio się zaprezentował, poprosił starego rzemieślnika o rękę jego córki. Sofii oczywiście nikt o zdanie nie pytał.

Niezupełnym zbiegiem okoliczności wydarzyło się to zaraz po tym, jak jego cel został odnaleziony dwie ulice dalej z roztrzaskaną czaszką. Bolo wiedział, że miejscowi szybko skojarzą, że było tutaj tylko dwóch obcych, z czego jeden już nie żyje, a drugi ma bardzo dużo pieniędzy.

Szewc nie tylko zgodził się na małżeństwo, ale też podarował mu jeszcze jedną parę butów. Zabójca znał się na ludziach i nawet przez chwilę nie wątpił, że będzie inaczej. Nazajutrz oznajmił Sofii dobrą nowinę i zabrał ją do Hausenberga. Na początku szło trochę opornie, ale już trzeciej nocy przestała oponować.

Taki właśnie był Bolo Zajc. Zawsze brał to, na co miał ochotę.

Wracał do domu z poczuciem, że znowu pokazał tym bogatym bubkom, kto naprawdę rządzi w Hausenbergu. Wszak Rekinem było się nie od parady, a frajerzy powinni znać swoje miejsce. Dorożka jechała powoli, dokładnie tak, jak Bolo kazał woźnicy. Nie lubił, kiedy trzęsło, zwłaszcza jeżeli wcześniej popił. Na szczęście podróż odbywała się tak spokojnie, że może nawet ten siedzący na kozle ancymon dostanie za to jakiś napiwek.

Ledwie Bolo zdążył to pomyśleć, dorożka ostro stanęła w miejscu, a on aż

poleciał do przodu, wpadając na Sofię.

– Co on tam odpierdala?! – zaklął i z całej siły walnął w dach. – Ty, kaprawy ryju! Mam się tam do ciebie przejść? Ostrożniej, kurwa twoja mać!

Odpowiedziała mu cisza. Powóz dalej stał, a woźnica milczał. Nic, ani słowa przeprosin. Bolo poczuł, że krew się w nim gotuje.

– Zaraz nauczę tego skurwysyna moresu – powiedział do Sofii, jednocześnie chwytając za klamkę. – Poczekaj tutaj...

Nie dokończył. Zdążył tylko pchnąć drzwiczki i wyrzucić na zewnątrz. Gdyby nie wyrobione przez lata odruchy, umarłby z chwilą otwarcia powozu. Czekający po drugiej stronie zabójca rzucił się na niego z nożem, licząc pewnie, że wystarczy moment zaskoczenia i będzie po sprawie. Byłoby, gdyby w środku nie siedział Bolo Zajc.

Uchylił się od ciosu i natychmiast wyprowadził kontrę. Ciężka, dodatkowo ozdobiona sygnetami dłoń trafiła w szczękę, od razu pozbawiając atakującego przytomności. Bolo uśmiechnął się do siebie. Nie było jeszcze kozaka, który przyjąłby od niego strzał i dalej stał na nogach. Kiedy bandyta upadł, Rekin wyskoczył z powozu, od razu szykując się do walki. Tamten idiota na pewno nie działał w pojedynkę. Zebrało się kilku pajaców i połasnili się na łatwy łup wracający z przyjęcia.

Kiedy wyskakiwał, w locie trzasnął jeszcze jednego, który natychmiast upadł na ziemię. Gdy tylko Bolo wylądował, podbiegł do leżącego i z rozpędu kopnął go w głowę.

Zaraz tu ich, kurwa, poustawiam, pomyślał i się odwrócił. A właściwie tylko spróbował.

Nie wiedział, co go trafiło. Może była to pałka, może nóż. Może jedno i drugie.

Uznając, że to zwykły napad, Bolo Zajc śmiertelnie się pomylił. Ludzie, którzy na niego czekali, nie chcieli jego pieniędzy. Przyszli po jego życie. Było ich wielu, zbyt wielu. Stali nad nim i go kopali. Pękło żebro, zaraz potem drugie. Kiedy pękło trzecie, chyba przebiło też płuca. Ból stał się nie do zniesienia. Ostatnim, co Rekin zobaczył, spoglądając pomiędzy nogami swych oprawców, był wyraz twarzy woźnicy, który czekał z założonymi rękami i pogryzał wykałaczkę.

Coś w Hausenbergu właśnie się kończyło.

– Ciekawe... – podsumował klient, odgryzając ostatni już kęs kiełbaski. –

Czyli tak to wszystko się zaczęło...

– Może tak, a może inaczej. – Kaleka wzruszył ramionami. – Taka natura tych miejskich legend, a nie on jeden poszedł tamtej nocy do piachu. To podobno był jakiś szeroko zakrojony geszeft. Oberwało parę naprawdę grubych ryb. Fabian Sachs, Natan Blidt, Łysy Eliasz... Znaleźli ich rano. Podziurawionych przez noże, potłuczonych pałkami, uduszonych. Kogo nie spytacie, mówi co innego... Jedno jest pewne: tej nocy noże nie znały litości. Zupełnie jakby ktoś to zaplanował!

Kaleka umilkł i na powrót skupił uwagę na obracanych na ruszcie kiełbaskach.

– Którą szanowny pan życzy...?

Mężczyzna nie wahał się. Natychmiast sięgnął do kieszeni i wygrzebał kolejny banknot.

– Ta z lewej niech będzie. O ile jest w niej jakaś dobra opowieść...

Chwilę później trzymał już w ręce zawinięty w gazetę kawałek spalenizny. Odgryzł kęs, zwalczył w sobie odruch, żeby się nie skrzywić, a nawet się uśmiechnął.

– Pycha – powiedział z pełnymi ustami. – Szkoda by było, żeby taki dobry stragan zniknął z ulicy.

– Co poradzić, dobrodzieju, co poradzić... Ale ja to jeszcze mam dobrze, gorzej z nimi.

Sprzedawca kiwnął głową w kierunku najbliższego budynku. Ludzie oblepiali go jak muchy łązące po nadgnitym ochłapie mięsa. W Salinie niemal wszyscy robotnicy mieszkali w kwaterach pracowniczych, czyli wiecznie przeludnionych ruderach, gdzie w kilku pokojach kłębiło się po kilkanaście osób, a od potu i duchoty nie dało się wytrzymać. Dlatego wychodzili na zewnątrz i przesiadywali na prowadzących do mieszkań schodach, opierali się o ściany, zajmowali też parapety.

– Normalnie dopiero by kończyli robotę – podsumował kaleka. – A potem wracaliby do domu, gdzie czekałby na nich skromny, ciężko wyharowany obiad. A tu dupa, fabryki stoją, astralitu ni ma. A jak astralitu ni ma, to ni ma też wypłaty. I obiadu...

– To może trzeba się ruszyć, a nie siedzieć tak beczynnie – mruknął klient, dbając o to, by nikt poza kaleką go nie usłyszał. – Bezczynność nic nie da.

– Oni nie siedzą beczynnie. Oni czekają.

– Czekają? Na co?

– Czekają, aż przyjdzie.

– Ale jesteś pewny? – zapytał zdenerwowany Noma Flaps. – Jesteś pewny, że to dzisiaj?

Siedzący na parapecie obok niego Bino Szulc wyglądał na spokojnego i jak gdyby nigdy nic dalej przygryzał wykałaczkę.

– Przyjdzie, dzisiaj – odparł. – To pewne. Siedź i czekaj spokojnie.

Noma coś odburknął i sięgnął po stojącą pomiędzy nimi butelkę z samogonem. Chciał pociągnąć solidny łyk, lecz się zakrztusił.

– No, nie nerwowo! – klepnął go w plecy Bino. – Poszło nie w tę dziurkę, co?

Zabrał od Nomy butelkę, upił łyk i ją zakorkował.

– Koniec picia – oznajmił. – Jeżeli ma nas wybrać, musimy być w formie. Łyczek dla kurażu, może dwa, żeby wyglądać na harpaganów nie od parady. Ale nie więcej, bo weźmie nas za jakieś wstawione łajzy. Jasne?

Noma pokiwał głową.

Czekali dalej. Siedzieli na parapecie, wdychając smród kapusty, pomiędzy suszącym się praniem i morzem niemających nic do roboty ludzi. Byli w tej samej sytuacji – z dnia na dzień praktycznie wszyscy w Salinie stracili pracę. Najpierw myśleli, że to zwyczajowy jednodniowy przestój. Po tygodniu zaczęli się martwić. Po dwóch byli zdesperowani. Teraz doszli do punktu, w którym łapali się każdej możliwej pracy, a wszyscy wiedzieli, że najlepszą robotę w mieście daje Petr.

Znali go tutaj dobrze, ale dopiero niedawno stał się w ich oczach kimś ważnym. Stał się tym, który pojawia się niezapowiedziany, lecz nigdy nie przychodzi bez powodu. Przychodzi i daje ludziom to, czego najbardziej potrzebują: daje pracę. Kiedy przyjdzie, trzeba bez słowa iść za nim i robić to, co każe. Wraca się zwykle rano albo na drugi dzień. Wraca się i stara się zapomnieć, co robiło się w nocy. Za to znowu przez kilka dni jest za co żyć.

– Myślisz, że nas weźmie? – zapytał znowu Noma, po raz chyba setny tego dnia. – O ile przyjdzie...

– Zaufaj mi, przyjdzie – odpowiedział mu niezmiennie spokojny Bino. – Pamiętaj tylko, co ci mówiłem. Kiedy się tu pojawi, staraj się wyglądać na prawidłowego. Nie wrywaj się, ale też go nie olewaj. Stój i czekaj, a co najważniejsze, nie zadawaj żadnych pytań. Jeżeli zobaczy, że się wahasz, od razu weźmie kogoś innego. Jasne?

Noma pokiwał głową. Po raz kolejny powtórzył sobie to wszystko

w myślach. Żadnych pytań. Miał stać i wyglądać na prawidłowego. Jasne.

– A w ogóle... Skąd wiesz, że to na pewno dzisiaj?

– Dostałem cynk – odparł dumnie Bino. Zadowolony z siebie wyciągnął z ust wykałaczkę i pstryknął w nią palcami. – Wczoraj pod Stańczykiem była awantura. Dziesięciu ludzi poszło w piach, w tym większość od Petra. Będzie potrzebował nowych, dlatego wiem, że to dzisiaj.

Zapadał zmrok, siedzieli, czekali. Noma się wiercił, Bino żuł kolejną wykałaczkę.

Kiedy ściemniło się już na dobre, przed ich kamienicę zajechały dwie dorożki.

– Mówiłem? – Bino się poderwał. – Są. Chodź ze mną i pamiętaj, co ci powiedziałem. Prawilny. Spokojny. Żadnych pytań.

Zeskoczył z parapetu i nonszalanckim krokiem wszedł na rozciągający się przed kamienicą placyk. Noma ruszył za nim, zupełnie nie starając się wyglądać prawidłowo. Noma był prosty. Umiał nosić, umiał sortować i umiał pilnować. Szybko się uczył, a kiedyś w obronie własnej złamał bandycie nogę. Wiedział, że to, do czego weźmie ich Petr, będzie przypominać właśnie to łamanie nogi. Nie bał się. Był głodny. Jeżeli to jego wezmą na robotę, to wróci z pieniędzmi i głodnym być przestanie. A do tego nakarmi też matkę i ojca. Nie obchodziło go nic więcej.

Drzwiczki dorożki otwarły się i wysiadł z niej on, pierwszy pomiędzy równymi, tak go nazywali. Dzisiejszego wieczoru dobrych trzydziestu chłopów zebrało się z nadzieją, że wybierze kogoś z nich. Bino stał pomiędzy nimi, cały czas żując wykałaczkę. Noma trzymał się z boku, bardzo nieprawidłowo.

Petr przeszedł wzdłuż tłumu, co kilka sekund pokazując kogoś palcem.

– Ty... Ty, ty... Ty też. Ty.

Wskazani przez niego uśmiechali się pod nosem i wsiadali do powozów. Jeden, drugi, czwarty, siódmy. Wybrał dziesięciu.

Bino wciąż czekał, pocąc się z nerwów, a może też od wypitego alkoholu.

Petr w końcu podszedł do Nomy i wtedy ich spojrzenia się spotkały. Noma uznał, że złodziej ma oczy jak każdy inny – ani mądre, ani szczególnie groźne. Oczy jak oczy, bo i facet jak każdy inny. Tyle tylko, że jeżeli uznał go za godnego pracy, mógł uratować życie jego rodzinie.

– Imię?

Zapytany Noma aż drgnął zaskoczony.

– Co? – wydukał.

– Jak masz na imię? – powtórzył złodziej powoli.

– Noma.

– Jestem Petr. – Wymienili uścisk dłoni. – Masz rodzinę, Noma?

– Ojca i matkę.

– Boisz się?

– Boję. Bo jak mnie nie wybierzesz, to zdechniemy z głodu.

– I tylko tego się boisz?

Petr zmierzył go uważnym spojrzeniem. Noma wzruszył ramionami.

– Robota jak każda inna – odparł.

– To prawda. – Złodziej pokiwał głową. – Powóz będzie tu za godzinę. Spakuj się i bądź gotowy. Już tu nie wracasz.

Po tych słowach okręcił się i skierował w stronę dorożki.

– Poczekaj! – krzyknął za nim Noma. – Dlaczego ja?

Zobaczył, że stojący pod ścianą Bino blednie, i wtedy sobie przypomniał: żadnych pytań.

Złodziej zatrzymał się w pół kroku.

– Bo przyszedłeś tu do pracy, a nie wybijać zęby i łamać ręce – odpowiedział, stojąc tyłem. – Czy to wystarczy?

– Nie – odparł twardo Noma. – Jeszcze on.

Dopiero teraz złodziej się odwrócił. Zobaczył, że Noma wskazuje jednego z pozostawionych przez niego mężczyzn.

– On? – zapytał.

– Weź go. – Noma był nieugięty. – Nazywa się Bino.

Bino wyglądał, jakby zaraz miał paść trupem. Był blady i brakowało mu powietrza. Noma nie spuszczał wzroku z Petra.

– Bino... – powtórzył złodziej, po czym dodał głośniejszym głosem: – Pierwszy powóz, jedziesz z resztą. A ty bądź gotowy. Za godzinę i ani minuty dłużej.

Klient nie przerywał. Czekał cierpliwie na koniec opowieści i odezwał się dopiero wtedy, kiedy fałszywy kaleka skończył. Akurat przełykał ostatni kęs kiełbaski.

– I co? – zagadnął cwaniaka. – Dzisiaj też ma się pojawić?

Sprzedawca wzruszył ramionami i zrobił gest przypominający połowę rozłożenia rąk; ruszył jedynie tą trzymającą rożen, druga tymczasem ani drgnęła, posłusznie schowana pod protezę. Widać było, że ma naprawdę sporą wprawę w odgrywaniu kaleki.

– Może tak, może nie... Kto to wie...

– Dla kogo on teraz biega?

– Dla nikogo. Gra sam dla siebie – odrzekł hardo tamten, zaraz potem jednak zmienił temat. – To którą kiełbasę teraz podać?

Cwaniak szturchnął kawałek spalonego mięsa. Przypominał czarny kamień.

– No nie wiem... – zawahał się klient. – Która tu jest ładna...?

– A bo ja wiem? Wszystkie są takie gustowne... – Kaleka wyszczerzył zgniłozółte resztki zębów. – No, która? Bo stygną.

Mężczyzna w panice przerzucał wzrok od jednego spalonego ogryzka do drugiego. W końcu znalazł taki, który w chociaż najdrobniejszym stopniu jeszcze przypominał mięso. Podał kalece banknot o nominale jeszcze wyższym od poprzedniego.

– O, ta tu. Co w niej jest dobrego?

– Zależy, co byście chcieli w niej znaleźć...

– Petra – odparł tamten bez ogródek. – Bo nawet jeżeli nie przyjdzie, to ktoś taki jak ty powinien wiedzieć, jak do niego trafić.

– No, no, dobrodzieju... Widzę, że nie ma miętkiej gry. Nie pytam nawet, dla kogo biegasz, bo i tak mi nie powiesz albo skłamiesz.

– To jak będzie? Da się go tam znaleźć, w tej kiełbasce?

– Jego trudno teraz znaleźć, dobrodzieju, trudno jak fiks... Ludzie gadają.

– Co gadają?

– Po co pytasz? Skoro go szukasz, to na pewno wiesz.

– Może wiem, nie na pewno. Mów.

Sprzedawca zawahał się, nerwowo przykurczył ramiona, po czym podrapał się za uchem ręką spod sztucznego kikuta. Jak widać, nie wszystkie odruchy potrafił kontrolować.

– Mówią, że to jest jego wojna.

Słyszając to, klient aż unióśł brwi i uśmiechnął się złośliwie.

– No proszę, a jeszcze dwie kiełbaski temu mówiłeś, że nie wiadomo, czy wojna.

– Wał tam, nie wiadomo... Wiadomo! No pewnie, że wojna, co ma być? Ale to jest informacja dla stałych klientów, a nie dla pierwszego lepszego gołodupca. Mówią, że on to wszystko zaczął i podziurawił tych Rekinów, że idą zmiany i nie trzeba będzie już kutasić po kątach. To jego wojna, a toczy się o nowy ład.

Klient w odpowiedzi jedynie kiwał głową.

– I jak pewnie się domyślasz, skoro dotarło to do takich szaraków jak my, to dotarło też do tych tam, na górze. A oni nie zostawiają takich spraw

niezałatwionych...

Menachem Hornitz, zwany w mieście Brzytwą, uważał się za zawodowca z górnej półki. Nie brał roboty nie do wykonania, mówiąc, że „się zrobi”, albo takiej, która groziła śmiercią jego lub jego ludzi. Był na to za mądry. Nawet płatni mordercy muszą kalkulować zyski i straty, zwłaszcza że w ich zawodzie walutą jest ludzkie życie. Kiedy przyszło zlecenie, które właśnie przerabiał, zastanowił się bardzo dokładnie, zanim się zgodził. Jeszcze kilka tygodni temu nie wzięłby tej roboty, bo była zbyt ryzykowna. Jednak ostatnio w mieście sporo się zmieniło i wszystko wskazywało na to, że zmieni się jeszcze więcej. Trzeba było nagiąć zasady. Teraz, siedząc ukryty w bramie jednej z kamienic Jarvaku, Brzytwa miał już pewność, że wybrał dobrze. Widział, jak jego cel znika w uliczce pomiędzy budynkami.

Mieli go.

Brzytwa dał sygnał stojącemu na pobliskim dachu Akrobacie, swojemu zwiadowcy. Do tej roboty wzięł najlepszych, chociaż teraz zastanawiał się, czy nie przecenił Petra. Namierzyli złodzieja bez najmniejszego problemu i śledzili go od dobrej godziny. Nie sprawdzał się, nie mylił tropów, chociaż jego reputacja wskazywała, że będzie o wiele trudniejszym przeciwnikiem. Cóż, Brzytwy to nie martwiło, dla niego i jego ludzi oznaczało to jedynie łatwiejszy i bezpieczniejszy zysk. Bał się tylko, by złodziej im nie uciekł, ale dojrzał niewyraźne poruszenie w cieniach nad sobą i wiedział, że Akrobata jest w drodze. Gdy tylko zlokalizuje cel, o jakiegokolwiek ucieczce nie będzie mowy.

Brzytwa z uznaniem pokiwał głową i dwoma palcami wskazał uliczkę, w którą wszedł Petr.

Jante i Bronson natychmiast ruszyli w tamtą stronę. Obstawią wyjście, a gdy tylko zacznie się na ostro, wkroczą do akcji. Byli niezawodni. Brzytwa nigdy nie widział, by ich walka trwała dłużej niż dwa–trzy uderzenia, po których cel nieodmiennie padał trupem. Nikt nie miał z nimi szans.

Po raz kolejny sprawdził, czy maczety siedzą w pochwach przypiętych do bioder. Nosił je ułożone w taki sposób, by wyjmując ostrze, móc od razu siec przeciwnika. Brzytwa był wielki i silny, przez co zwykle wystarczył jeden cios i odcięta głowa odrywała się od tułowia. Noże były na miejscu. Czas włączyć się do akcji.

Ruszył w ciemną noc, raz jeszcze zadzierając głowę ku niebu. Księżycy oraz

gwiazdy zostały zasłonięte przez gęste chmury, co powodowało, że w ciasnych zaułkach Jarvaku widać było jeszcze mniej niż zwykle. To była idealna noc, by pozbawić kogoś życia. Brzytwa szedł szybko na ugiętych nogach i uważnie nasłuchiwał. Jedną, może dwie przecznice dalej nieprzerwanie słyszał kroki. Złodziej szedł równolegle do niego, po drugiej stronie zrujnowanego muru. Musieli przyjść za nim aż do Jarvaku, lecz za tę cenę było warto. Zresztą poza pieniędzmi do wygrania był jeszcze szacunek. O tej robocie w mieście się będzie mówić długo i głośno.

Dobrze. Niech mówią, niech wiedzą, kto jest najlepszy.

Zerknął w stronę dachów, wypatrując jakiegoś znaku od Akrobaty. Cisza.

Przyspieszył kroku, chcąc wyprzedzić złodzieja i zablokować mu wyjście przy wylocie uliczki. Przed sobą widział skrzyżowanie. Tam go dopadną. Nie miał jak sprawdzić, lecz wiedział, że Jante i Bronson już są na swoich miejscach. Czekają z drugiej strony, gotowi, by wyskoczyć i odciąć Petrowi jedyną drogę ucieczki.

Nagle kroki ucichły.

Idący za murem złodziej musiał się zatrzymać. Tylko po co? W pobliżu nie było żadnego miejsca, w którym mógłby się schować. Zresztą nawet gdyby skreślił w jakąś nieznaną im odnogę, Akrobata zaraz go namierzy i da znać.

Kolejny raz Menachem spojrzał ku górze. Nic, pusto. Pusto i cicho. Coś było bardzo nie w porządku.

Stojąc już przy skrzyżowaniu, przywarł do muru i wyjrzał zza węgła. Przed sobą zobaczył tylko długą, ciemną uliczkę. Gdzieś na drugim jej końcu połyskiwała astralitowa latarnia. Już miał wejść pomiędzy budynki, ale coś w ostatniej chwili go powstrzymało, jakieś dziwne, nieokreślone przecucie. Przypomniał sobie, że wybrali to miejsce nieprzypadkowo, jako najlepsze do zastawienia pułapki. Jeżeli coś pójdzie nie tak, sam znajdzie się w potrzasku. Przystanął i jeszcze raz rozważył swoje opcje.

Nagle, zaraz po swojej prawej, usłyszał wyraźny szmer. Odskoczył od ściany, jednocześnie łapiąc jeden z noży i tnąc na odlew w kierunku dźwięku. Ostrze ze świstem przecięło powietrze.

– Wyłaż, już – warknął, odwracając nóż w dłoni i układając go wzdłuż przedramienia. Dzięki temu ktokolwiek krył się w ciemnościach, nie będzie mógł dojrzeć jego broni. – Wyłaż!

Odpowiedział mu cichy jęk. Sekundę później znalazł skulonego, opierającego się o ścianę Bronsona. Twarz zbira wykrzywił grymas bólu, mężczyzna trzymał się za brzuch.

– Bronson, co jest? – Podszedł do ogromnego rębajły i chwycił go za ramię. Chciał nim potrząsnąć, lecz pod wpływem dotyku Bronson posłał mu spojrzenie pełne cierpienia. Brzytwa krzyczał. – Co się stało?! Gdzie jest Jonte? Bronson, słyszysz mnie...?

Bronson chciał coś powiedzieć, lecz zanim zdążył to zrobić, życie w jego oczach zgasło.

Brzytwa zaklął. Puścił ciało i poczuł na dłoniach kleiste ciepło. Krew, dużo krwi. Ktoś wypatroszył Bronsona jak świnie. Bardzo, kurwa, niedobrze.

Natychmiast schował się z powrotem za róg, czując, że musi uspokoić oszalały oddech. Nie stój, powtarzał w myślach, działaj. Stoją tylko ofiary, czekając, aż ktoś je skosi.

Zagwizdał w umówionym sygnale, przywołując Akrobatę i domagając się raportu. Cofnął się kilka kroków w głąb zaułka, z którego przed chwilą wyszedł. Jasna cholera, gdzie jest Jonte?

Wiedziony nagłym przecuciem spojrział w górę i tylko to go uratowało. W ostatniej chwili uskoczył na bok, a na miejsce, gdzie stał, spadło ciało Akrobaty. Zwiadowca miał skręcony kark i wykrzywioną pod dziwnym kątem rękę, zapewne ciężko połamaną jeszcze przed upadkiem.

Brzytwa zaklął najsoczyściej, jak tylko umiał.

Zapłacą mu za to. Nikt nie był w stanie zlikwidować dwóch ludzi z jego oddziału i wyjść z tego bez szwanku. Bronson ważył tyle co dorodny młody byk, a ręce w bójkach łamał jak patyki. Akrobata też nie był byle kim. Niewidoczny, szybki, skuteczny, dobry w nożu i na pięści. Ktokolwiek ich zdjął, sam musiał nieźle oberwać. Pewnie teraz zaszył się gdzieś i liże rany. Brzytwa dorwie gnoja i skończy robotę.

Tylko jak ten sukinsyn to zrobił? Najpierw dorwał Bronsona. Musiał go wziąć z zaskoczenia, ale niemożliwe, żeby załatwił giganta jednym cięciem. Na niego trzeba było sporo więcej. Hornitz nieraz widział, jak Bronson obrywał tak, że nie miał prawa wciąż stać o własnych siłach, i oddawał dwa razy mocniej.

A potem ten gnój musiał jakoś dopaść Akrobatę. Jak to zrobił, zwłaszcza obserwowany? I gdzie, do wszystkich piekieł, jest Jonte?

Nie nasłuchiwał już. Za bardzo szumiało mu w uszach od adrenaliny. Szedł na wycucie przez Jarvak, rozglądając się uważnie i trzymając noże na wierzchu. Cel już i tak wiedział, że po niego przyszli. Teraz trzeba było tylko go znaleźć i dokończyć robotę.

Przez lata mordowania na zlecenie Brzytwa stoczył niejedną walkę. Jego

przedramiona były pokryte bliznami, a twarz znaczyły głębokie bruzdy. Wielokrotnie miał połamane ręce i nogi. Jednak wciąż żył, czego nie można było powiedzieć o jego ofiarach. Nie bał się, bo dobrze wiedział, że mało jest na świecie wirażków, którzy są w stanie wygrać z nim pojedynek jeden na jednego, nawet mając przewagę zaskoczenia. Niewielu na świecie, a w tym mieście raczej żadnego. Z tą myślą odwrócił się, za swoimi plecami słysząc cichy skowyt. Jonte, przybity do ściany swoim własnym sztyletem, bezgłośnie płakał.

Wtedy Menachem Hornitz zrozumiał, że się pomylił. Był w tym mieście ktoś znacznie od niego lepszy. Trzymał teraz wbity w plecy Brzytwy nóż, którego czubek wystawał z jego piersi. Zabójca bez żalu zamknął oczy.

Tę historię fałszywy kaleka opowiadał inaczej niż poprzednie. Nie kontrolował się i żywo gestykułował. Jakby nie było, wreszcie nie chodziło o legendę kolejnego z niedotykalnych, mitycznych baronów podziemia. Tym razem opowiadał o człowieku z ulicy, jednym ze swoich. W jego ustach Petr był bohaterem.

– Zabił ich wszystkich – zakończył. – Co do jednego.

– Zaraz, zaraz... – podjął rozmowę klient. – Chcesz mi powiedzieć, że Petr sam jeden wystąpił przeciwko potędze Hausenberga? Ktoś jeszcze musi być po jego stronie.

– Jest ulica. Są ludzie. – Sprzedawca skinął głową w kierunku tłumu czekających robotników. – Oni nie mają nic do stracenia. Jeżeli nic się nie zmieni, pomrą tu z głodu. A poza tym...

Umilkł nagle, jakby złapał się na tym, że powiedział jedno słowo za dużo.

– Gadaj. Stałemu klientowi nie opowiesz?

Sięgnął do portfela, jednak tamten pokręcił głową.

– Starczy, dobrodzieju, co za dużo, to niezdrowo. Stałemu klientowi powiem w ramach gratisu i w ramach pożegnania. On jest sam i nie sam, bo ma za sobą ulice, to jedno. Wziął ich z zaskoczenia i zanim się dowiedzieli, że to on, spora część z nich poszła już w piach. Ale poza tym coś się podobno stało... Coś grubego, co na poziom ulicy już nie dociera... Może pomógł mu los, a może pomógł ktoś inny.

– Podobno miał w tym mieście wysoko postawionych przyjaciół.

– Miał, to bardzo dobre słowo... – Kaleka zasepił się, tym razem bardzo poważnie. – Faktycznie, jeżeli to oni, to bies jeden wie, co teraz będzie...

Klient milczał. Czekał, aż tamten skończy myśl.

– Nie wiesz? Nie wiesz. Jakbyś wiedział, tobyś tak nie patrzył. Podobno to stało się wczoraj w nocy...

– Co? – zapytał w końcu. – Co się stało?

– Na pewno będzie zawieszenie broni... Nawet oni nie poważą się na złamanie starych zasad. A potem? Potem bies jeden wie...

– O czym ty mówisz?

Sprzedawca zamilkł, spojrzawszy swojemu rozmówcy prosto w oczy.

– Uczeń Profesora nie żyje. Odwalili go kilka dni temu, pod Alchemikiem.

Klient odwrócił się i bez pożegnania ruszył w stronę, z której jakiś czas temu przyszedł. Szedł powoli i nie oglądał się za siebie. Wiedział, że patrzą na niego wszyscy – fałszywy kaleka, stojące pod murem kurwy, ich alfons, a nawet siedzący w oknach robotnicy. Pomimo to szedł jak gdyby nigdy nic, jakby w ogóle go tu nie było. Wszyscy patrzyli, nikt nie widział. Poprawił kapelusz z szerokim rondem i uśmiechnął się spod przyklejonych do twarzy sztucznych wąsów.

Grało się.

Petr nawet przez chwilę się nie spodziewał, że ten geszeft pójdzie łatwo. Jakby nie było, w duchu powtarzał sobie nawet, że jeżeli nie będzie miał innego wyjścia, to gotów jest zrównać to miasto z ziemią, a potem odbudować je po swojemu. Kiedy jednak ruszyło na grubo, sytuacja zaczęła go przerastać. Nie chodziło o to, że ludzie umierali, nie przejął się nawet kiedy stracił Flika; śmierć była w kalkulowanym w wojnę ryzykiem. Nie chodziło o to, że stał się najbardziej poszukiwanym złodziejem w mieście – spodziewał się tego i był na to przygotowany. Nie chodziło nawet o to, że Jarvak zamienił się w strefę wojny totalnej – Petr wiedział, że jego ludzie sobie z tym poradzą; znali tę dzielnicę jak nikt inny, była ich domem od miesięcy. Chodziło o to, czego absolutnie nie przewidział.

Plan Petra był dosyć prosty. Chciał zrównać potęgę Rekinów do poziomu ulicy, a najprostszym na to sposobem było odwalenie tych, którzy najbardziej mu bruździli. Ta część weszła w życie gładko niczym nóż pod zebra. Przez pierwsze dwie noce miał przewagę zaskoczenia, a totalnie zdezorientowane atakiem Rekiny szły w piach jeden za drugim. Dopiero trzeciej nocy udało im się połapać, co jest trąfem, i zaczęły organizować kontrę. Oczywiście złodziej nawet przez chwilę się nie łudził, że będzie inaczej. Niczym w ulicznej

obijanie zaczęli wymieniać cios za cios. Raz Petr dorwał jakiegoś Rekina, który nieopatrznie zaplątał się w okolicach Jarvaku, raz to Rekiny sprzątnęły trzech z jego silnoręcznych. Szło mniej więcej równo. Złodziej nie był głupi, nie miał zamiaru prowadzić tej wojny w nieskończoność i nawet nie liczył na to, że jakimś fartownym uderzeniem uda mu się powalić potęgę Hausenberga. Chciał ich tylko zmęczyć na tyle, by wojna przestała się im opłacać.

W tej kwestii również się nie pomylił. Po paru tygodniach przyszła propozycja rozmów, a przyniósł ją nikt inny jak Mika. Okazało się, że ten jęczący elegancik umiał się dobrze ustawić i nieprzypadkowo przez lata był prawą ręką Ignaca. Najpierw przejął astralitowy interes i zablokował transport surowca do Hausenberga, potem zaś przytulił się czule do piersi Rekinów i tylko czekał, aż pojawi się możliwość skorzystania na obydwu tych układach. Gdy tylko nadarzyła się okazja, skontaktował się z Petrem i przekazał mu wiadomość od Rekinów. Chcieli rozejmu, lecz miało to pewną cenę. Złodziej musiał im oddać pieniądze ukryte przez Provosta na jego polecenie.

To był moment, w którym stało się to, czego absolutnie nie przewidział. Ktoś odwalił Provosta, a to rodziło kilka bardzo poważnych problemów. Po pierwsze, Petrowi nie udało się namierzyć, kto sprzedał bankierowi czapę i czy zrobił to dlatego, że dowiedział się o ich układzie. Po drugie, Provost zginął w identyczny sposób, w jaki kilka tygodni temu sprzątnięto Wirkę – w ciele bankiera również znaleziono dziwne, astralitowe stożki, które przebiły jego klatkę piersiową i zgruchotały serce. Po trzecie i najważniejsze, Petr nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie Provost schował pobrane z kont Rekinów środki. A to przekreślało jakiejkolwiek szanse na rozejm.

Jakby tego było mało, wciąż nie udało mu się znaleźć Slavy. Chociaż w poszukiwaniu go dosłownie przekopał całe miasto, chłopak przepadł bez wieści. Po ostatnim wybryku w Błaźnie nikt go nie widział. Zero. Nul. Zniknął jak ciało wrzucone do rzeki z uwiązaniem do szyi workiem kamieni. W końcu wiadomość przyszła z najmniej oczekiwanej strony. Pewnego dnia o spotkanie poprosił go Jules, totumfacki Profesora. Z jednej strony mogła to być pułapka, z drugiej jednak Petr miał bardzo wiarygodne informacje, że stary już się wycofał, więc złodziej nie spodziewał się, by zamierzał mu przeszkadzać. Poza tym, chociaż głośno by tego nie przyznał, Profesor wciąż był człowiekiem, któremu wolał nie odmawiać.

Spotkali się na obrzeżach Jarvaku. Mimo że Petr czuł się tam absolutnie bezpiecznie, to i tak wcześniej dokładnie sprawdził okolicę. Wszystko

wydawało się w porządku i sprawa nie wyglądała na wypuchę. W umówionym miejscu czekał na niego samotny mężczyzna. Złodziej wręcz osłupiał, kiedy zobaczył, że jest to Jules we własnej osobie.

– Slava nie żyje – zakomunikował doradca Profesora. – Pogrzeb za dwa dni. Możesz przyjść, to będzie Noc Pardonu.

Noc Pardonu była starym ulicznym zwyczajem, którego nikt tutaj nie ośmieliłby się złamać. Ogłaszano ją po tragicznej śmierci kogoś wielkiego. W wypadku Slavy najwidoczniej zrobiono wyjątek, gdyż miasto chciało uszanować żałobę starego szulera. W czasie Nocy zawieszano wszystkie konflikty bez względu na ich skalę, by każdy mógł przyjść i pożegnać zmarłego.

– Ale... – zawahał się złodziej. – Jesteście pewni? Może to...

– Camilla znalazła ciało, ona raczej by się nie pomyliła – odparł Jules tonem, który nie zdradzał żadnych emocji. Albo były to lata praktyki i wyrobił już w sobie odpowiednią znieczulicę, albo śmierć chłopaka grubo go kopnęła i wolał nie pokazać za dużo. – Za dwa dni, pamiętaj. A potem wrócisz do swojej wojny.

Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i odszedł w noc, zostawiając złodzieja samego.

Po rozmowie z fałszywym kaleką wrócił do Valorii, ostatniego miejsca, gdzie w mieście trwał jeszcze względny spokój. Względny, bo nocne walki zaczynały docierać też tutaj.

Przez krótką chwilę kluczył pomiędzy malowniczymi kamieniczkami – Valoria była dobra, żeby zgubić potencjalny ogon. Co jakiś czas przystawał przed witryną i sprawdzał się; raz celowo coś upuścił, raz udawał, że ogląda arcydrogie kapelusze, raz zatrzymał się, by kupić tytoń, którego i tak nie palił. Kiedy już się upewnił, że nikt za nim nie idzie, machnął na przejeżdżającą dorożkę. Wsiadł i kazał jechać na drugi koniec miasta, do Gislaku. W połowie drogi zastukał w dach i krzyknął, że się rozmyślił, po czym zmienił cel podróży. Zapłacił, dając przy tym niewielki napiwek. Niewielki, bo to zmniejszało szanse na bycie zapamiętanym. Z doświadczenia wiedział, że powożący zwracali zwykle uwagę tylko na dwie grupy klientów: tych, którzy nie dawali nic, i tych, którzy dawali bardzo dużo.

Celowo wysiadł w odległości kilku ulic od miejsca przeznaczenia, bo dzięki temu, gdyby ktoś jakimś cudem namierzył i przesłuchał woźnicę, to i tak

na niewiele by się to zdało. Teraz czekał go krótki spacer nad brzegiem rzeki. W Gislaku jeszcze dwa razy przystawał i sprawdzał się bardziej z przyzwyczajenia niż realnej konieczności. Z drugiej strony, to właśnie najczęściej gubiło ludzi – głupie przypadki, które nie mają prawa się wydarzyć. Dlatego pewne rzeczy muszą wejść w nawyk, nawet wtedy, gdy nie do końca wydają się konieczne.

W końcu dotarł na miejsce. Skierował się do bramy jednej ze stojących nad rzeką, bliźniaczo podobnych do siebie kamieniczek. Pokonał pusty, lekko ciągnący stęchlizną korytarz i bez pukania wszedł do jednego z mieszkań. Za drzwiami czekało na niego zadbane, przytulne wnętrze, które dopiero zaczynało obrastać w te drobne, szczególne znaki, świadczące o tym, że ktoś tu w ogóle mieszka.

Odwiesił płaszcz na stojący w sieni wieszak, zaraz potem dołożył do niego kapelusz.

– I jak? – Kiedy zdejmował buty, przywitał go przyjemny, kobiecy głos. – Wszystko w porządku?

Uśmiechnął się i przeszedł przez salon, idąc wprost do sypialni.

– W jak najlepszym – odparł. – Łyknęli to.

Camilla leżała wyciągnięta na łóżku i czytała jakieś opasłe tomiszcze. Slawie udało się dostrzec tytuł: Wielka historia Hausenberga.

No tak, pomyślał, ona przecież nie trawi fikcji. Aż dziw, że tak dobrze odnajduje się w tych wszystkich sztukach.

Usiadł przy ustawionej w kącie toaletce i zaczął zmywać z twarzy skrupulatnie przygotowaną charakteryzację. Widząc, że tylko coraz bardziej ją rozmazuje, tancerka parsknęła śmiechem.

– Daj. – Wstała z łóżka i podeszła, sięgając do kufierka z przyborami. – Pomogę ci.

Aż syknął, kiedy odklejała bokobrody.

– Możesz delikatniej? – zapytał z wyrzutem.

– Delikatniej? Zobaczysz, jak zaboli, kiedy zacznę zdejmować sztuczne zmarszczki... – Przerwała na chwilę i spojrzała na niego, lekko mrużąc oczy. – A może ci je zostawię? Zawsze lubiłam starszych mężczyzn...

Po tym, jak wyszedł z tej pieprzonej celi, szybko zdał sobie sprawę z faktu, że jego kłopoty wcale się nie skończyły. Stał w deszczu, gdzieś pośrodku Gislaku, i zastanawiał się, co powinien ze sobą zrobić. Do Profesora iść nie chciał, chociaż to by pewnie załatwiło sprawę. Stary szuler szybko by po nim posprzątał, a Slava już na dobre stałby się tylko „synkiem”, który z każdym

problemem biegnie do swojego mentora. Byłby spalony. Drugą i najbardziej oczywistą opcją był Petr. Mieli razem ze Slavą kilka stałych miejsc, w których zawsze zostawiali sobie wiadomości, kiedy nie mogli się porozumieć w bardziej bezpośredni sposób. Szybko jednak okazało się, że większość z nich przestała być bezpieczna, od kiedy miasto znalazło się w stanie nieoficjalnej wojny. Z tego samego powodu szuler chciał też omijać Jarvak. Zwykle bezpieczne terytorium Petra zamieniło się teraz w strefę walki i pójście tam byłoby jednym z najgorszych pomysłów, na które Slava mógłby wpaść. Dlatego wybrał najmniej rozsądną z możliwych opcji – Camillę.

Dokładnie na wypadek sytuacji jak ta jakiś czas temu zorganizował sobie w Gislaku awaryjne lokum. Przez długi czas stało puste, a Slava pojawiał się w nim jedynie raz na jakiś czas, by się upewnić, że nie zarosło grzybem albo jakimś innym gównem. Utrzymywał je w absolutnej tajemnicy, aż do teraz, kiedy sprowadził do niego Camillę.

– A tobie jak poszło? – zapytał tancerkę. – Udało ci się to załatwić...?

– Byłam u Daufrego – odparła. – Ledwo zdążyłam, bo na dzisiejszej próbie pojawił się wicekról z grupą pozapinanych po szyję waśniaków. To podobno jakieś bankowe szuchy, które obracają pieniędzmi połowy dworu. Rzadko są w mieście, a akurat przyjechali na premierę i chcieli zobaczyć teatr...

– Ale udało ci się? – przerwał jej. – Załatwiłaś?

– Jak zwykle, żadnej gry wstępnej, tylko od razu konkrety, konkrety... – Zacmokała z dezaprobatą i pokręciła głową. – Daufre był przemiły i chyba nawet kupił tę bajkę z frakiem na premierę. Powiedziałam, że chociaż nigdy nie uda ci się na nią pójść, to mnie zawsze będzie przypominał pewnego nierozważnego chłopca... Powiesiłam go w szafie, jest naprawdę ładny.

Slava zacisnął usta i miał nadzieję, że Camilla tego nie widzi. Do tej pory nie miał odwagi jej zapytać, co pomyślała, kiedy słuch po nim zaginął. Czy się martwiła, czy go szukała, czy o niego pytała... Z nerwów aż zacisnął prawą dłoń i wtedy poczuł znajome miejsce. Pustą przestrzeń po odciętym palcu.

Przestań się mazać, skarcił się w myślach, masz sztukę do przygotowania.

Uśmiechnął się trochę na pokaz i zapytał.

– A ten drugi, który miał uszyć na pogrzeb? Widziałaś go?

Drgnęła. A może nie drgnęła? Wydawało mu się, że przez krótką chwilę widział w jej oczach ukłucie bólu. Zniknęło jednak równie szybko, jak się pojawiło.

– Cały ty, książkę Hausenberga... – mruknęła ironicznie. – Nawet mając pogrzeb z zamkniętą trumną, musisz mieć na sobie kreację od Daufrego... Tak

jakby wszyscy mieli patrzeć.

– Będą patrzeć, ale nikt nie zobaczy. – Tym razem uśmiechnął się bardzo szczerze, a szare oczy zaiskrzyły niebezpiecznie. – To będzie moja sztuka życia.

Jeszcze zanim skontaktował się z Camillą, usiadł w pustym mieszkaniu i zastanawiał się, co właściwie teraz powinien zrobić. Szybko doszedł do wniosku, że byle zemsta tutaj nie pomoże, bo w oczach wszystkich był tylko pionkiem, uczniem swojego mistrza. Nawet jeżeli udałoby mu się przerobić tego skurwysyna od dziesięciny, to w opinii miasta wciąż pozostanie pionkiem. Chyba że uda mu się zbudować własną legendę, że robi coś, co przyćmi wszystkie dotychczasowe numery. Coś, o czym w Hausenbergu będzie się mówić jeszcze długo, a każda z tych opowieści warta będzie co najmniej piwo postawione w knajpie. Zrozumiał, że aby się to stało, musi umrzeć.

Natychmiast zabrał się do roboty. Najpierw potrzebne było ciało, lecz to nie stanowiło większego problemu. Na ulicach szalała wojna, nietrudno więc było wykraść trupa, nawet o bardzo konkretnych proporcjach, chociaż Slava na szczęście miał dosyć przeciętną budowę. Wystarczyło dobrać nieboszczyka o podobnym wzroście i wadze, a potem w brutalny sposób pozbawić twarzy. Tyle wystarczyło, bo w końcu nikt nie wiedział, w jakich warunkach był przetrzymywany i czy przypadkiem nie skatowali go tak, że stał się nie do poznania. Ciało wykradł z kostnicy, przebrał w te same rzeczy, w których wszyscy widzieli go w Błaźnie, a potem wziął pałkę i zgniótł twarz nieboszczyka na miazgę. Pozostawał jeszcze jeden, kluczowy element planu: ciało musiała znaleźć Camilla. To gwarantowało, że nikt więcej nie będzie sprawdzał, czy na pewno zgadzają się wszystkie znaki szczególne. Poszła wprost do rezydencji Profesora, zapłakana i z podkrążonymi oczami, jakby nie spała trzy doby. Łyknęli to.

Kiedy już umarł, mógł zabrać się za tego skurwysyna, któremu zawdzięczał utratę palca. Profesor nauczył kiedyś Slave pewnej metody, którą nazywał wsteczną inżynierią wydarzeń. Polegała ona na zdobywaniu informacji poprzez rozkładanie zagadnienia od końca i była skuteczna szczególnie wtedy, gdy wiadomo było, jak sprawa się skończy, ale nie miało się danych na temat jej dotychczasowego przebiegu. Dlatego też Slava zaczął od jedynej informacji, której był absolutnie pewien – jego cel na pewno miał się pojawić na bankiecie.

Wysłał Camillę w miejsce, w które udawał się każdy, kto zamierzał być na premierze i zrobić tam wrażenie – do pracowni krawieckiej mistrza Daufrego.

Daufre był jednym z ukrytych skarbów tego miasta, garnitur od niego wystarczał człowiekowi nie tylko za wizytówkę, ale też za pewnego rodzaju deklarację. Mistrz ubierał artystów, ubierał arystokratów, ubierał samego wicekróla. Poza tym należał do niewielkiej grupy ludzi, o których mówiło się, że Profesor wymienia z nimi uścisk dłoni. Wszyscy w Hausenbergu wiedzieli, że do starego szulera nie wyciąga się ręki i że to on musi podać ją jako pierwszy. Ci ludzie, którzy dostąpili tego zaszczytu, w Hausenbergu uznawani byli za osobną kategorię Rekinów. Naprawdę rzadko zdarzało się zaś, by zaufaniem Profesora obdarowany został ktoś spoza Ludzi Nocy. Stawał się wtedy absolutnie nietykalny. Jak Daufre.

Slava był pewien, że jego przeciwnik na pewno będzie chciał wysłać miastu wiadomość. A niewiele było na to lepszych sposobów niż garnitur uszyty przez Daufrego.

– Ale... wciąż mi nie powiedziałaś. Udało ci się? – zapytał Camillę. – No, mów.

– Gdybym tak rozmawiała z Daufrem, na pewno nie zdołałabym wyprosić od niego choćby skrawka informacji...

– Królowo...

– No dobrze, już dobrze... Powiedział. Gość, którego szukasz, nazywa się Silas Faugen. Siedzi już chwilę w mieście, przyjechał ponad miesiąc temu, a przynajmniej wtedy przyszedł do pracowni. Zamówił smoking, bardzo klasyczny i bardzo, bardzo drogi.

Miał go. Jasny chuj, miał go. Silas Faugen. Grało się.

– Jesteś nieoceniona! – wykrzyknął zadowolony i aż wstał z miejsca. – Jak to zrobiłaś?

– Zawsze powtarzasz, że najlepiej jest kłamać, jednocześnie mówiąc prawdę... Powiedziałam, że pani Caterina bardzo, ale to bardzo nie lubi niespodzianek i chce wcześniej sprawdzić każdą grubą rybę, która pojawi się na premierze. Prawda jest taka, że ona wręcz nienawidzi niespodzianek. Tego, że wcale nie prosiła mnie o pomoc, Daufre nie musiał już wiedzieć...

Tancerka uśmiechała się do siebie. Widział, że to nie jest zwykła duma, że w kącikach jej ust czai się coś jeszcze.

– No, mów. Za dobrze cię znam. Co jeszcze ugrałaś?

– Po tym, jak już mi to wyjawiał... poprosiłam go o spinki do mankietów. Wiesz, te same, które zamawia u niego Profesor. Wiedziałam, że w tych okolicznościach nie może mi odmówić. Musiał iść po nie na zaplecze... – Tancerka posłała Slavie przebiegłe spojrzenie. – I zostawił na wierzchu

księgę zamówień. Zajrzałam do niej. Ten twój Faugen to naprawdę nie byle kto. Zajmuje przedostatnie piętro w Ekscelencji. Całe.

Teraz szulera замуrowało. Nie tylko poznała jego nazwisko, ale też dowiedziała się, gdzie go można znaleźć. Tego już nie wytrzymał, porwał Camillę w ramiona i zakręcił nią w miejscu.

– Jesteś wspaniała! Wspaniała! Dziękuję, królowo, dziękuję!

– Au! Delikatniej, bo połamiesz mi przybory do makijażu! W teatrze mnie zabijają!

– Pieprzyć te twoje pędzle! Mamy go! Mamy...!

Grało się.

REZYDENCJA PROFESORA, OSIEM LAT TEMU

Trzynastoletni Slava zajmował miejsce przy niewielkim pulpicie, umieszczonym w bibliotece Profesora specjalnie dla niego. Studiował właśnie jedną ze świętych ksiąg kalifatu Nabhalu, opasłe tomisko wypełnione od deski do deski prawdami objawionymi. Czytał i za cholerę nie kupował tego, co próbowano mu sprzedać.

Koncepcja boga wydawała się chłopcu naiwna, śliska i przede wszystkim naciągana. Nie wierzył, że może istnieć jakiś wielki, wszechpotężny byt, który z jakiegoś nieokreślonego powodu w ogóle ze swojej potęgi nie korzysta. Który na koniec życia dokona oceny duszy na podstawie moralnych wartości wymyślonych przecież przez człowieka i służących przede wszystkim do tego, by umożliwić rozwój cywilizacji. Zwłaszcza że akurat religia Nabhalu pełna była wewnętrznych sprzeczności. Nakazywała swoim wiernym jednocześnie być dobrymi, cnotliwymi ludźmi i gromadzić ku swej chwale bogactwa, a z drugiej wzajemnie wyłupiać sobie oczy, odcinać kończyny i palić żywym ogniem. Jednak w tym całym szaleństwie jedna rzecz jeszcze bardziej nie dawała chłopcu spokoju – ludzie naprawdę wierzyli w te brednie.

Nie bez powodu zresztą Profesor nalegał, by Slava poznał wszystkie ważniejsze religie świata. Stary szuler zawsze powtarzał, że najlepszym sposobem sprawowania kontroli nad drugim człowiekiem jest doprowadzenie do tego, by w coś wierzył. Człowiek zawsze na pierwszym miejscu wierzy, dopiero potem wie lub pragnie. Dlatego też wiedza o religii była tak naprawdę wiedzą o tym, jak manipulować ludźmi.

Slava zerknął ukradkiem na siedzącego obok Profesora. Stary szuler, wygodnie rozparty w przepastnym fotelu, obracał w palcach złożone okulary i patrzył w przestrzeń, jakby się nad czymś zastanawiał. Chłopak uważnie przyjrzał się temu gestowi. Profesor nosił okrągłe szkła w cienkich drucianych oprawkach, chociaż nie do końca było wiadomo, czy są mu potrzebne czy to tylko kaprys wysmakowanej elegancji. Slava zdążył zauważyć, że jego nauczyciel równie dobrze czyta w okularach, jak wtedy, kiedy nie ma ich na nosie. Zastanawiał się, czy nie powinien sprawić sobie podobnej zasłony dymnej, kiedy nagle Profesor się odezwał:

– Starczy już tej historii. Chciałbym z tobą trochę porozumować.

Porozumować. Tak Profesor nazywał ciągnące się nawet godzinami rozmowy, które w rzeczywistości były retorycznymi bataliami prowadzonymi zawsze w cztery oczy. Kluczową rolę odgrywały w nich spryt i zdolność szybkiego kojarzenia faktów oraz odpowiedniego dobierania słów. Slava wiedział, że stary szuler tak samo nazywa wszystkie te rozmowy, w których próbuje kogoś do czegoś przekonać, a nawet zmusić. Profesor nie groził, Profesor rozumował.

– Przyjmijmy taką sytuację... – ciągnął głos z fotela. – Przychodzi czas, w którym wiesz, że jesteś gotowy do rozegrania naprawdę dużej partii. Masz przygotowane zaplecze, ludzi zdecydowanych podać ci rękę w potrzebie albo odciąć tę podniesioną przeciwko tobie. Jednak nie mniej ważny niż szybkie noże, sprawne umysły i uważne oczy jest sposób ich wykorzystania. Sposób wyreżyserowania sztuki... Lecz i to jeszcze nie wszystko. Potrzebna ci będzie bowiem także rzecz najważniejsza: odpowiedni cel. Masz na to jakiś pomysł?

– Hmm – zastanowił się Slava. – Chciałbym, żeby ten numer był gruby. Naprawdę gruby. Coś jak bank. Poza tym wtedy ochroniłbym się przed jakimkolwiek odwetem, bo zaraz po przekazaniu pieniędzy do banku stają się one niczyje.

– Drogi chłopcze – odparł Profesor, marszcząc brwi i przyjmując protekcyjny ton. Mówił tak zawsze wtedy, kiedy Slava popełniał jakiś kardynalny błąd, i chociaż chłopak szczerze nienawidził tego tonu, to bardzo uważał na wszystko, co zostawało nim wypowiedziane. – Pieniądze w bankach nie są bynajmniej niczyje. One są wspólne i we wspólnym interesie jest, by nikt ich nigdy nie ruszał. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyś nagle pozbawił majątku nie jedną, ale pięć niebezpiecznych osób?

Slava pokiwał głową ze zrozumieniem.

– No tak – dodał po chwili. – W ten sposób można by było uderzyć nawet w ciebie.

– Akurat dla ludzi takich jak my jest jeszcze inna alternatywa, znacznie bezpieczniejsza niż te banki, do których możesz wejść z ulicy.

– Mówisz o tym starym bankierze? Zaraz... Provost! On się nazywa Nikodemus Provost.

Na twarzy starego szulera zagościł serdeczny uśmiech. Slava nie mógł tego wiedzieć, ale Profesor zawsze był z niego bardzo dumny, kiedy chłopak kojarzył fakty z ludźmi widywanymi w rezydencji.

– To prawda, stary Niko jest jedną z opcji. Jednak zapamiętaj sobie, że on

też jest tylko jednym z ogniw łańcucha, i jak na mój gust trzeba sięgać jeszcze trochę wyżej. Najbezpieczniej trzymać pieniądze blisko władzy. Myślę, że Niko też to wie. Zostawmy już jednak ten temat celu, to sobie omówimy innym razem. Załóżmy, że go wybrałeś, potem zdobyłeś niezbędne informacje – wiesz, kim jest, czym się zajmuje i tak dalej. Jednak on wciąż sam do ciebie nie przyjdzie, a ty nie możesz po prostu wejść do jego domu i jak gdyby nigdy nic rzucić od progu: „Siadaj pan ze mną do kart, będzie rżnięte w cesarza”. Jak skłonisz go, żeby z tobą zagrał?

Chłopak się zamyslił. To był właśnie moment, którego wcześniej nie brał pod uwagę. Obracć cel, ocenić, przerobić. No właśnie, przerobić, tylko jak...

– No właśnie... – mruknął pod nosem. – Jak?

– Musisz mieć coś, co wyprowadzi twój cel z równowagi, odwróci uwagę od sprawy i spowoduje, że do gry wejdą emocje. Rozumiesz?

– Hmm...

– To może być wszystko. Ogromne pieniądze, bo kiedy jest ich odpowiednio dużo, każdy wyciągnie po nie rękę. Rodzina, bo po jej utracie trudno zdobyć następną. Kobieta, bo chociaż po jej utracie od razu można zdobyć następną, to nigdy to nie będzie to samo. Musisz mieć coś, co da ci nad twoim celem kontrolę, i wprowadzić to do gry. Żebyś mógł sprawić, że kiedy ty będziesz grać w karty, ten ktoś zagra w emocje. Wtedy gra przestaje być równa, a twoje szanse rosną... Powiedz mi, co przed chwilą czytałeś?

– Szandalan – odparł chłopak. – Świętą księgę kalifatu.

– A wiesz, dlaczego chciałem, żebyś się z nią zapoznał?

– Bo religia to jeden z kluczy do ludzkich umysłów. Dzięki niej można zrozumieć, dlaczego czasami ludzie postępują zupełnie wbrew logice.

Profesor nieznacznie skinął głową.

– Tak – powiedział. – Jest to pewien wycinek tego zagadnienia. Wiesz, które religie mają najbardziej oddanych wyznawców?

Stary szuler zamilkł, założył okulary i wbił w Slavę przenikliwe spojrzenie, lecz chłopiec milczał. Po chwili spuścił wzrok i wzruszył ramionami. Wiedział, że lepiej było się przyznawać, niż strzelać na ślepo.

– No... nie do końca – wydukał.

– Powiem ci. Te, które są jak najbardziej kompletne i zamykają umysł tak szczelnie, że nie pozostawiają mu miejsca na zadawanie jakichkolwiek pytań. Im mniej wolności, tym większe oddanie. Oszukiwanemu trzeba stworzyć rzeczywistość tak spójną, by uwierzył, że jest prawdziwa. Wtedy nie tylko łyknie każdy farmazon, ale jeszcze będzie się z niego cieszył jak dziecko...

– Ro-rozumiem – odparł Slava niepewnie – ale jak to się ma do planowania sztuki?

– To jest przecież to samo! – Profesor aż klepnął ręką w podłokietnik. Jak na niego był to niezwykle wręcz przejaw emocji. – Jako oszust musisz działać dokładnie w taki sposób: stworzyć przed swoim celem spektakl tak prawdziwy, by każdy kolejny numer łykał niczym pisklę pokarm z dzioba matki! Pamiętaj, artysta oszustwa nie kradnie, lecz sprawia, że ofiara sama daje mu pieniądze i jeszcze jest wdzięczna za tę możliwość.

Chłopak zamyślił się nad odpowiedzią.

– Zaraz – odezwał się po chwili. – Skoro wszystkie numery mają być przygotowane tak, by przerabiany się nie zorientował, to dlaczego wszyscy wiedzą, że to ty jesteś najlepszy?

– Nigdy nie mówiłem, że jestem najlepszy. Dobrze wiesz, że zawsze przedstawiam się jako skromny kolekcjoner sztuki.

– Skromny kolekcjoner, do którego tasować przyjeżdżają najwięksi kozacy z całego świata! Czyli albo gdzieś popełniłeś błąd i ktoś cię przejrzał... Albo nie mówisz mi całej prawdy.

– Co masz na myśli?

– Może wcale nie powinienem cziąć się po kątach i zamiast tego pokazać im wszystkim, kto tu jest najlepszy! Odwalić numer na oczach wszystkich. Zrobić tak, żeby wszyscy patrzyli, ale żeby nikt nie widział.

Szare oczy chłopca zaiskrzyły i uśmiechnął się w ten sam sposób, w który uśmiechać miał się jeszcze wiele razy, podczas każdego większego numeru.

– A kiedy kurz już opadnie – dokończył – oni będą wiedzieć, że to ja ich przerobiłem. Będą wiedzieć i będą mówić.

Na moment w bibliotece zrobiło się bardzo cicho. Dopiero po chwili chłopak uświadomił sobie, że tym, co właśnie powiedział, złamał bardzo wiele zasad sztuki. Zdawał sobie sprawę, że przesadził.

– Dobrze. – Profesor jednak zdawał się nieporuszony. Patrzył na niego beznamiętnie, wręcz okrutnie. – A co z zemstą? Co będzie, kiedy po wszystkim przyjdą połamać ci palce? A potem ręce i kolana? Co zrobisz, kiedy ktoś założy ci na głowę worek, a potem będzie bił w niego pałką, aż w środku zostanie tylko płynna miazga? Pomyślałeś o tym?

Slava się nie odzywał. Przyłożył opuszki do skroni i zastanawiał się. Dobrze wiedział, jakie są reguły tej gry. Ofiarę trzeba oszukać, ale nie wolno jej zabić. Każdy bandyta potrafi okraść człowieka, to nie jest szczególnie skomplikowane. Wystarczy bezczelny i ordynarny rozbój, zakończony szybkim

pchnięciem noża pod żebro albo roztrzaskaniem głowy twardą pałką. Jednakże tak działali bandyci, a on nie miał być bandytą. Miał zostać artystą oszustwa, który przerobi swój cel tak, by tamten nie miał pojęcia, co go rąbnęło, a nawet jeżeli się domyśli, to by po prostu nie mógł się zemścić.

Chłopak wciąż milczał, za to odezwał się Profesor.

– Jeżeli się zastanawiasz, jak skończyłaby się twoja pierwsza robota, to rozwiążę tę zagadkę za ciebie – powiedział. – Najprawdopodobniej skończyła się śmiercią. Na dziś wystarczy.

Po tych słowach stary szuler wstał i wyszedł z biblioteki. Slava został na swoim miejscu, ale już nie czytał. Myślał intensywnie, podpierając skroń ręką wciąż pozostawała na swoim miejscu, a opuszka kciuka postukiwała rytmicznie.

HAUSENBERG DZIŚ

To był jeden z tych bardzo rzadkich dni, które w Hausenbergu zdarzają się raz na kilkanaście lat i niemal natychmiast przechodzą do legendy. Już w trakcie jego trwania było jasne, że zarówno o nim, jak i o nadchodzącej nocy będzie się mówić długo i zawsze przyciszonym głosem. Był to dzień, w którym miasto przyszło pożegnać ucznia samego Profesora.

Orszak pogrzebowy wyruszył spod rezydencji starego szulera, a stało się to późnym popołudniem, chociaż niebo niemal kompletnie zakrywały chmury tak ciemne i nieprzyjazne, że mógł to być równie dobrze wieczór. Poza tym od rana nieprzerwanie siąpiło. Później o tej mżawce będzie się mówić, że miasto płakało, kiedy odchodził jeden z jego synów. Masywną trumnę, w której Slava miał spocząć na wieki, wykonano z egzotycznego gatunku drewna barwy tak czarnej, że zdawała się wręcz pochłaniać światło z najbliższego otoczenia. Bryła prezentowała prostą, wręcz minimalistyczną formę, a oszlifowano ją tak, by przypominała gładki, lekko połyskujący monolit z doczepionymi po bokach srebrnymi uchwyty. Z racji tego, że nieboszczyk nie był zdeklarowanym wyznawcą żadnej z religii, zrezygnowano nawet z grawerowania na niej jakichkolwiek świętych symboli.

Orszak żałobny również ograniczono do niezbędnego minimum – liczył zaledwie kilkanaście osób. Jako pierwszy szedł oczywiście sam Profesor, z twarzą szczelnie owiniętą eleganckim szalikiem; kroczył powoli, lecz pewnie, nieco przygarbiony, jakby musiał dźwigać ciężar tej śmierci. Krok za nim trzymał się Jules, dla kontrastu wyciągnięty jak struna, z twarzą niezdradzającą choćby jednej emocji. Za to oczy miał błyszczące i bezwzględne, jakby wewnątrz jego źrenic zapisywała się właśnie obietnica zemsty. Być może wiedział, że on jeden nie może sobie pozwolić na zupełną żałobę, bo gdy tylko jej czas się skończy, stary szuler będzie domagał się krwawego zadośćuczynienia. Przyjdzie wtedy do Julesa, a on będzie gotowy. Jako trzecia szła Camilla, w zakrywających ją od stóp do czubka głowy żałobnych jedwabiach. Stąpała ciężko i bez siły, co chwilę potykając się i ocierając łzy, i tylko wymykający się spod czarnej koronki kosmyk złotych włosów zdradzał postronnym, że to ona, primabalerina Wielkiego Teatru Hausenberga. Byli oczywiście i inni: jak zawsze cichy mistrz krawiecki

Daufre, do którego Slava w dzieciństwie mówił „wujek od guzików”, był stary Viktor Rabald, o którym szeptano, że grał w karty już wtedy, kiedy niebo i gwiazdy były jeszcze młode, była Olga Stassin, pierwsza dama hausenberskich domów gry, jedyna kobieta na szulerskich salonach. Trumnę z kolei pomagali nieść starzy przyjaciele, Louis i Ósemka, u których Slava opijał każdą odwaloną sztukę.

Niebo płakało, Camilla płakała, a orszak powoli przesuwiał się pod szarym niebem po niemal pustych ulicach. Od czasu do czasu żałobnicy spotykali jedynie miejscowych handlarzy, stojących na swoich zwyczajowych miejscach. Tym razem jednak ich stragany zostały zamknięte, a oni stali ze spuszczonej głowami, mnąc w rękach zdjęte na znak szacunku czapki i kapelusze. Wszyscy wiedzieli, kogo niosą. Nikt nie śmiał się odezwać. Orszak wędrował przez Gislak, w którym tego dnia żaden uliczny grajek nie ośmielił się wydobyć ze swojego instrumentu choćby nuty.

W końcu dotarli do cmentarza, gdzie czekało na nich morze ludzi. Przyszli tutaj, by oddać szacunek człowiekowi będącemu największą legendą miasta, teraz żegnającemu swojego ucznia. Gdy tylko orszak wyłonił się zza zakrętu, morze rozstało się, tworząc szeroki szpaler, ostatnie przejście dla młodego szulera. Żałobnicy wkroczyli pomiędzy kanciaste groby, które wyglądały jak szereg wystających spod ziemi noży. Orszak mijał ich krojące ziemię w regularnych odstępach ostrza, aż dotarł do miejsca, w którym ziała świeżo wykopana, głęboka dziura. To tam, gdzie spocząć miał ten, którego wszyscy przyszli dziś pożegnać. Kiedy Louis wraz z Ósemką sięgnęli po liny i z pomocą jeszcze dwóch ludzi zaczęli opuszczać trumnę, Camilla nagle przestała płakać. Zaczęła nucić rzewną pieśń autorstwa Baudleira, bliskiego przyjaciela Profesora i ulubionego poety Slavy. Chwilę później tłum podchwycił jej słowa, a para starych zabójców chwyciła za łopaty i zaczęła zasypywać dół. Na koniec położono nagrobek, równie surowy i czarny co spoczywająca pod nim trumna. Pieśń ucichła.

Profesor stanął naprzeciw grobu i pogrążył się w milczeniu. Niebo płakało, Camilla już nie, a on stał i stał. Rozciągające się za nim ludzkie morze powoli wysychało, aż w końcu zostali tylko on, Jules i Camilla. Dochodził już wieczór. Wreszcie odwrócili się i bez słowa wyszli z cmentarza.

Kiedy zmrok na dobre zapanował już nad szarością nieba, na cmentarzu pojawiła się samotna sylwetka. Niewysoki, barczysty mężczyzna podszedł do nagrobka i sięgnął za pazuchę. Odkorkował nietkniętą do tej pory butelkę i pociągnął z niej spory łyk. Mniej więcej tyle samo płynu wylał na grób. Stał

w milczeniu i od czasu do czasu powtarzał swój rytuał.

Minęło pół butelki, a przy bramie cmentarza pojawił się drugi mężczyzna. Stanął obok tego pierwszego; był od niego wyższy, chociaż niemal o połowę węższy. Tamten bez słowa podał mu butelkę.

– Świat chce być oszukiwany – zaczął Petr.

– Więc niech będzie – dokończył Nino. Gdy wypili, dodał: – Ale się zesrało, co nie?

Złodziej tylko pokiwał głową i odlał kolejny łyk na grób Slavy.

– To jest najbardziej bzdurny i pretensjonalny toast na świecie. Zawsze mu to mówiłem. A teraz wyryli mu go na nagrobku.

Stali i milczeli. Pili. Butelka szybko zrobiła się pusta.

– Pamiętasz? – odezwał się Petr, niemal natychmiast wyciągając drugą, pełną. – Wtedy w Hrabinie? Młody pokazał klasę... Miał być od nich wszystkich lepszy. I byłby. Gdyby tylko nie ten jego pieprzony charakter...

– Mówiłem ci już, to właśnie dzięki niemu był taki dobry – odparł Nino. – Miał po prostu pecha i tyle.

– Pecha...

Wypili.

Stali tak pewnie dobrą godzinę. Najpierw skończył się alkohol, potem deszcz przestał padać, a na końcu zrobiło się już tak ciemno, że nie było widać nawet zarysu pobliskich grobów.

– To co? – odezwał się w końcu Nino. – Chyba już czas.

– Tak – odparł smutno Petr. – Już czas.

Mieli ruszać, kiedy nagle w ciemności odezwał się dobrze znany im głos.

– Nie tak prędko.

Stanęli jak zamurowani i zerknęli po sobie w niemym zdumieniu. Zapewne pomyśleli to samo – że wypity trunek pomieszany z żalem rzucił im się na głowę. Żaden z nich nawet nie drgnął, kiedy z ciemności wyłonił się Slava.

– Oż ty skurwysynu... – Nino aż złapał się za głowę. – Jak...

– Zawsze chciałem przyjść na własny pogrzeb. Nie sądziłem tylko, że to będzie aż tak gruba impreza.

Petr wybuchnął śmiechem. Śmiał się jak nigdy w życiu, długo, głośno, do łez. Podszedł do Slavy i uściskał go z całych sił. Nino skakał wokół nich, wciąż trzymając się za głowę.

– Szacunek, dzieciaku – powiedział Petr, poklepując Slavę po plecach. – Zrobiłeś nas wszystkich w wała. As jesteś.

– Zbierajmy się – odparł Slava. – Mamy sztukę do odegrania.

We trzech ruszyli w stronę wyjścia z cmentarza.
Grało się.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ, DZIEŃ PREMIERY BAJARZA

Na widowni znaleźć wolne miejsce było niemożliwe. Chociaż za cenę biletu na premierę nowej sztuki można było wyposażyć niewielką fabrykę, nie grało to tutaj najmniejszej roli. Każdy, kto liczył się w mieście, pojawiał się w Wielkim Teatrze Hausenberga. Nawet jeżeli nie lubił baletu.

Miejsca przed sceną, na samym dole, zajmowali przede wszystkim błękitnokrwieści hrabiowie wraz z najbliższymi znajomymi, chciwie czerpiącymi ze splendoru lepiej urodzonych przyjaciół. Tam też dojrzeć można było klasyczne, starannie skrojone fraki, gustowne suknie i widoczne w każdym geście lata przemijającej tradycji.

Po obu stronach arystokratycznego centrum zasiedli alchemiczni potentaci. Granicę pomiędzy nimi a szlachetnie urodzonymi mieszkańcami miasta wyznaczał nie tylko styl ubioru – bardziej ekstrawagancki i noszony jakby z większą nonszalancją – ale także kwaśne miny w miejscu, gdzie pieniądź spotykał się z błękitną krwią. Nagle zarobione fortuny były bowiem solą w oku wszystkich wysoko urodzonych, którzy od niedawna musieli zacząć bratać się z plebsem. Właściwie solą w oku byli konkretnie ich posiadacze, bo fortunami nikt w Hausenbergu nie gardził.

Powyżej, w ozdobnych, ukrytych przed wzrokiem wścibskimi lożach, zasiadali najważniejsi. W walce o miejsce pomiędzy nimi bronią nie były pieniądze ani urodzenie, lecz zupełnie inna waluta – władza. W lożach najwięcej było polityków, zwykle obecnych dlatego, że znajdowali się w otoczeniu wicekróla. Oprócz nich nad tłumem górowali magnaci przemysłu alchemicznego, o majątkach tak wielkich, że nie nazywano ich już fabrykantami, lecz mecenasami sztuki. Tym zwykle towarzyszyły zjawiskowo piękne kobiety, w sukniach uszytych według najnowszych mód i obwieszone biżuterią, której wartość czasami przewyższała bogactwa królewskiego skarbcza. W lożach siedziały też Rekiny, lecz one wymykały się jakimkolwiek kategoriom. Każdy z nich inaczej zdobył swoją potęgę i każdy wykorzystywał ją do czegoś innego, jednak dla wszystkich liczyło się to samo – rzeczona władza.

Na samej górze siedział również Slava. Zadbał o to, by znaleźć się w loży

zupełnie niewidocznej, umieszczonej z boku i szczelnie zasłoniętej. Podpierał brodę zaciśniętą pięścią, a odsłonięty jedwabny mankiet zdobiła złota spinka w kształcie znaku zapytania. Jego wart co najmniej pół kamienicy w Gislaku frak, prawdziwe arcydzieło pracowni Daufrego, był i dopasowany niczym druga skóra. Chłopak przyjmował jednak taką pozę, że ubranie zdawało się na nim łobuzersko wisieć. Spojrzenie szulera nieprzerwanie utkwione było w centralnym punkcie sceny. Nie interesował go ani siedzący po jego lewej kanclerz, który przyjechał specjalnie na premierę, ani zajmująca miejsce zaraz przed nim pierwsza kochanka wicekróla, rzekomo jedna z najpiękniejszych kobiet współczesnego świata. Nudził go trwający od kilkunastu minut spektakl – biegające tancerki wciśnięte w obcisłe baletowe stroje i wychodzący co jakiś czas na scenę mężczyźni o szerokich barkach byli mu w równym stopniu obojętni. Czekał na Camillę.

Z rosnącą irytacją sięgnął po libretto i niecierpliwie przerzucił kilka pierwszych stron. Balet opowiadał historię wielkiego barda, który parę wieków temu służył na królewskim dworze. Na scenie rozgrywał się dopiero początek historii, podczas którego złotousty bohater zjednywał sobie potężnego władcę. W dalszej części przedstawienia Bajarz uwiedzie królowi najpiękniejszą z jego nałożnic, za co zostanie wtrącony do lochu. Potem zaś nie dość, że wyłga się prostackim kłamstwem, to jeszcze porwie królowi ulubioną kochankę i zniknie bez śladu.

Slava odłożył libretto i rozejrzał się wokół siebie. Jego wzrok padł trochę niżej, gdzie lekko po prawej znajdowała się jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic dzisiejszej premiery. Była to owa ulubiona kochanka wicekróla. Akurat w momencie, w którym szuler się odwrócił, kobieta na krótki moment wstała, przez co udało mu się dojrzeć, jak wygląda. Jej hebanowa skóra o odcieniu niespotykanym w królestwie wspaniale współgrała z kruczoczarnymi włosami upiętymi w fantazyjny kok. Pojedyncze kosmyki wymykały się zeń, podkreślając linię smukłej szyi, i opadały na odsłonięte ramiona. Musiał przyznać, bardzo zgrabne ramiona. Niestety, ze swojego miejsca nie był w stanie dostrzec wiele więcej, ale to, co widział, starczyło, by kobietę nazwać zjawiskowo piękną. Równie dobrze mogłaby być i kochanką samego władcy, gdyby tylko Najjaśniejszy Pan nie słynął z ascezy w kwestiach cielesnych. Od śmierci królowej żadna kobieta nie pojawiła się w królewskiej pościeli i nic nie wskazywało na to, by miało się to zmienić. W każdym razie wicekról do dnia dzisiejszego trzymał tę egzotyczną piękność w tajemnicy przed światem, lecz ona podobno uwielbiała balet, a przy każdej

kolejnej sztuce próbowała przekonać wicekróla, by wybrał się z nią na premierę. Na taki poziom skandalu drugi najważniejszy mężczyzna w królestwie nie mógł sobie pozwolić. W końcu jednak uległ i zgodził się w takim stopniu, w jakim pozwalał mu protokół dyplomatyczny. Przysłał kochankę na spektakl, wyznaczając ją na królewskiego ambasadora sztuki. Żeby jednak uciąć plotki, sam pozostał w stolicy. Na premierze odbywał się jej towarzyski debiut.

Slava uśmiechnął się do tej myśli i podniósł wzrok z powrotem na scenę. Sztuka, na którą tyle czekał, właśnie się zaczynała.

Nawet w tym mieście czasami zdarzały się cuda.

Chociaż zwykle omijały Hausenberg, pojawiając się tu jakoś mniej chętnie i bardziej nieśmiało niż gdzie indziej, to jednak się zdarzały. Jeden z nich właśnie rozgrywał się na deskach Wielkiego Teatru. Kiedy tylko Camilla weszła na scenę, czas stanął w miejscu. Tak jak serce wyznacza tempo życia, tak kroki Camilli wyznaczały upływ czasu w teatrze.

Kroczyła powoli, spod przymrużonych powiek zerkając na tańczącego naprzeciw niej Bajarza. Ten wykonywał skomplikowany układ solowy, który zapewne w każdej innej konstelacji przeszedłby do historii. Tancerz był znakomity, a jego technika mogła służyć za prawdziwe studium kanonu tańca klasycznego. Tańczył tak, jakby jego ciało nie znało kształtów innych niż figury baletowe. I nikogo nie obchodził.

Camilla szła. Świat patrzył.

Krok. Palce, pięta, palce, pięta. Stop.

Wdech.

Palce nienaturalnie odkręconej stopy dotknęły desek sceny. Camilla przyjęła pozycję.

Siedzący na widowni Slava poczuł, że jeżą mu się włosy na karku, a dreszcz spływa w dół pleców.

Była zniewalająca.

Orkiestra na krótką chwilę umilkła, po czym zaczęła wygrywać smutną melodię na skrzypcach.

Camilla poruszyła się wraz z pierwszym zetknięciem smyczka i strun. Zawirowała w nagłym obrocie, okręcając się wokół Bajarza. Jej ruch tworzył przepiękne, wyciągnięte linie. Był niczym dotyk, na który czeka się z utęsknieniem, a który ma nigdy nie nadejść. Wywoływał pragnienie, tęsknotę,

unosił duszę.

Slava patrzył jak zaczarowany, gdzieś w duchu ciesząc się, że nikt go teraz nie widzi. Przeżywał jeden z tych bardzo rzadkich momentów, w których był naprawdę bezbronny. Taniec Camilli odbierał jako piękną, nieuchwytną wolność, którą dobrze znał, lecz nie był w stanie jej dotknąć, a tym bardziej złapać. To uczucie nie dawało mu spokoju. Dręczyło go.

...obrót, krok, zmiana kierunku. Piruet. Płynny i delikatny, jak biały tiul. Trwający może sekundę przeskok, a po nim następny i jeszcze jeden. Nagłe, mocniejsze wybicie w górę i wtem czas staje w miejscu, a kobieca sylwetka wydaje się wisieć w powietrzu...

Nie przyznawał się do tego przed nikim, ale bardzo czekał na jej występ. Kiedy premiera była już naprawdę blisko, zaczął liczyć dni, zaś od dzisiejszego ranka liczył godziny. Kiedy już zasiadł w łoży teatru, niecierpliwie odliczał minuty. Chociaż nigdy jej tego nie powiedział, uwielbiał, gdy tańczyła. Miał wrażenie, że moment, w którym Camilla wychodzi na scenę, jest jedynym, kiedy czuje się naprawdę żywa. Tak jak wtedy, gdy on po trwającej kilka godzin partii rzucał karty na środek stołu i wiedział, że jest niepokonany. To był moment, w którym stoi się na szczycie świata.

...baletnica opada, a jej nogi w ułamku sekundy powracają z rozciągniętego w locie szpagatu do niemal perfekcyjnej postawy baletowej. Niemal, bo nie jest idealna. Jest o jeden krok za perfekcją.

Slava wiedział, że tancerka właśnie wygrywa. I gdzieś pod skórą czuł, że wygrywa znacznie więcej, niż on kiedykolwiek będzie w stanie.

Noc była chłodna i wilgotna. Powietrze wydawało się gęste i cholernie nieprzyjazne, a na dodatek przez cały czas padało.

Petr parł niestrudzenie naprzód, a krople siekły go w każdą odsłoniętą część ciała. Chciał zakryć się szczelniej, ale niewiele to już pomagało. Był cały mokry. Spróbował otrzepać rękawy płaszcza z lodowatej mgiełki – bezskutecznie. Zadrzał od chłodu i po raz nie wiadomo który tego wieczoru zaklął w myślach. To była nie tylko zimna, ale też złowieszczo ciemna noc. Brudne chmury przesłoniły obydwie księżycy, a pojawiająca się powoli mgła zaczynała przyćmiewać światło latarni. Idąc skrajem rzeki, złodziej miał wrażenie, że przeciska się przez lepłą szarozielonkawą galaretę, w której niebezpieczeństwo mogło czyhać na każdym kroku.

Powstrzymał się przed sięgnięciem po nóż i skarcił się w myślach. Histeria jeszcze nic dobrego nikomu nie przyniosła. Nóż się wyciąga, kiedy naprawdę jest potrzeba, a nie kiedy jest ciemno i pada. Ruszył dalej, chcąc jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Szedł szybko, a stukot jego obcasów mieszał się z pluskaniem kałuży.

Ale się zesrało, pomyślał. Najwyższy czas skierować sprawy z powrotem na właściwe tory.

Po lewej stronie dostrzegł majaczącą w oddali bramę, postawioną w miejscu, w którym Gislak łączył się z Valorią. Chociaż teraz nie mógł tego dostrzec, wiedział, że przypomina ona zbudowaną z włóczni barykadę, najeżoną kolcami i pilnowaną od rana do nocy. Zaimprovizowane na czas wojny getto dla bogaczy. Uważnym spojrzeniem omiótł okna i dachy pobliskich kamienic.

Pusto, a poza tym gównem widać.

Dobrze wiedział, że i tak tam są. Patrzą. Czują na sobie nieznające litości oczy tych, którzy w ostatnich tygodniach opanowali miasto. Ludzi ulicy. Wiedział, że czas to skończyć i że tylko on może to zrobić. Tylko on może dać im pokój.

Przeszedł przez niewielki mostek, wchodząc głębiej na teren Gislaku. Mgła nie ustępowała ani na chwilę, lecz mimo to w pobliskim zaułku udało mu się dostrzec sylwetkę opartego o ścianę mężczyzny. Nieznajomy oszczędnym gestem wylegitymował się jako jeden z ludzi Kamienicy. Dodał jeszcze dwa kolejne, które oznaczały, że teren jest czysty i że złodziej może spokojnie iść dalej.

Najpierw zauważył tylko jednego, ale zaraz potem z najbliższej bramy wylazł następny. I następny. I następny. Porozstawiani w strategicznych miejscach obstawiali całą okolicę. A ta okolica należała do Petra.

Kiedy gdzieś w oddali zamajaczyły mu strzeliste dachy Wielkiego Teatru Hausenberga, złodziej przystanął i zerknął na wydobyty z kieszeni czasomierz. Kwadrans do północy – czyli bankiet zapewne już się rozpoczął. A gdzieś na tymże bankiecie Slava kręcił swój numer.

Petr poczuł, że włosy jeżą mu się na przedramionach, lecz tym razem wcale nie z zimna. Jeszcze raz pomyślał o tej sztuce, którą wykańczali przez ostatni tydzień, a która zaczęła się wraz z upozorowaniem własnej śmierci przez młodego szulera. Złodziej wciąż nie mógł uwierzyć, że Slava się na to zdecydował. To był geszeft tak gruby, że nawet jeśli się uda, to jego konsekwencje będą się ciągnąć miesiącami. Diabli tam, miesiącami – będą

szły krok w krok za Slavą do końca jego dni. Z drugiej strony, dzieciak chyba właśnie tego chciał.

Niech to piekło pochłonie, pomyślał i ruszył dalej. Miał tylko piętnaście minut do ustalonego spotkania z Miką.

Skręcił za róg i zobaczył, jak dwóch silnorękich wciąga do piwnicy ciało. Głowa martwego zjeżdżała po schodach, rytmicznie odbijając się od kolejnych stopni i zostawiając za sobą rdzawoczerwony, kleisty ślad. Żaden z mięśniaków nie pomyślał nawet, by go zetrzeć – brudną robotę zostawiali dla deszczu, który jednak także za bardzo się do tego nie garnał. Jeden z mężczyzn uniósł głowę, zmierzył Petra nieprzyjemnym spojrzeniem, po czym wrócił do targania zwłok.

Złodziej nie zareagował i ruszył dalej. Bardziej niż dotąd czuł, że ta wojna wymknęła mu się spod kontroli. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby nie cud. Bo to, co wydarzyło się w ciągu ostatniego tygodnia, trudno było określić inaczej.

Zaraz po tym lipnym pogrzebie Slava zawiązał ich razem z Ninem na swoją nową metę. Kto by pomyślał, że ten dzieciak będzie na tyle zapobiegawczy, by w tajemnicy przed wszystkimi zorganizować awaryjną metę? Usiedli przy kolejnej flaszcze i wszystko sobie wyjaśnili. Szuler opowiedział im, jak go porwali i jak pod pretekstem wygranej w dziesięcinę pieprzony Silas Faugen odciął mu palec. Potem przyszła kolej na Nina, który, jak to miał w zwyczaju, nie rozwodził się zbyt długo. Wspomniał tylko, że po pożarze, jakoś se poradził. Najdłużej mówił Petr. Musiał w końcu streścić kompanom, jak rozpętał w Hasuenbergu wojnę, a potem jak zupełnie wymknęła mu się spod kontroli. Nie ukrywał, że sytuacja go przerasta. Stracił już bardzo wielu ludzi, którzy byli z nim od czasów Kamienicy, a świeżo zwerbowani robotnicy coraz słabiej palili się do walki. Każdy dzień mógł być dla złodzieja ostatnim, dlatego musiał skończyć tę awanturę jak najszybciej.

– No i tak to wygląda – podsumował. – Rekiny może by się ze mną i ułożyły, ale tylko w zamian za zwrócenie im tego, co zakitral Provost. Myślą pewnie, że uda im się w ten sposób odbudować część dawnej potęgi. W każdym razie domyśliły się, że ja to zleciłem, i teraz chcą zwrotu.

– To czemu po prostu nie oddasz im tej mamony? – zapytał Nino, wychylając dwie banie naraz. – Może lepiej nie ryzykować?

– Przy tym, ile Rekinów udało mi się posłać do piachu, rozejm jest rzeczywiście najlepszą opcją – odparł Petr. – Bo nawet jak dostaną te pieniądze, szanse będą teraz bardzo równe... A może nawet równiejsze. Jest

tylko jeden tygi problem: odwalili Provosta, a nikt nie wie, gdzie pieprzony Niko trzymał te swoje papiery. W bankach pieniędzy już nie ma, bo wszystko powyciągał i poprzekładał chuj wie gdzie.

– Zaraz, kto go odwalił i dlaczego?

– No i to jest ten drugi problem. Nie wiem kto, chociaż wiem jak.

– Nie nadążam. – Nino pokręcił głową. – Jak to?

– Pamiętasz, jak znaleźliśmy ciało starego Wirki? – przypomniał Petr. – Provosta spotkało to samo.

– Jego też podziurawili astralitem?

– Dostał w serce i szyję, dorwali go przy bocznym wejściu do Ekscelencji. Pytałem, ale oczywiście nikt nic nie widział...

Gdy Petr snuł opowieść, Slava siedział cicho i tylko postukiwał palcami w skroń. Nagle podekscytowany poderwał się z miejsca.

– Wiem! – wykrzyknął. – Jasny chuj i stu oszustów, wiem!

– Co wiesz? – zapytał go złodziej. – No, mów.

– Wiem, gdzie Provost trzymał papiery. – Widząc zdezorientowanie towarzyszy, przeszedł do rzeczy: – Dawno temu rozmawiałem z Profesorem o bankach... Powiedziałem wtedy coś o Provoście, że pewnie trzyma pieniądze starego. Profesor rzucił wtedy, że zarówno on, jak i Niko mają na to lepsze miejsce. Jak on to powiedział... Blisko władzy. Powiedział, że to jest blisko władzy.

– To rzeczywiście, dużo nam daje... – mruknął z przekąsem Petr. – Dzięki, Slava.

– Daj mi skończyć, to może zrozumiesz – odgryzł się szuler. – Kilka dni temu Camilla wspomniała, że do teatru przyjechał wicekról i przywiózł ze sobą jakichś grubych klientów. Bankierów, którzy obracają pieniędzmi dworu.

– I myślisz...

– ...że to właśnie ci goście mają teraz majątek zgromadzony przez Provosta. Dokładnie tak myślę.

Slava rzeczywiście miał rację, a Petr nie mógł w to uwierzyć. Całe życie powtarzał, że zbiegi okoliczności to wymówka tych, którzy nie potrafią planować. Dlatego zamiast przypadkiem, wolał nazwać to cudem. Chociaż nie wiedział, że prawdziwy cud miał się dopiero wydarzyć.

Dyskretnie popytali i okazało się, że Hausenberg odwiedziła wysoko postawiona rodzina prowadząca jeden z najpotężniejszych banków na świecie. Żeby założyć w nim konto, trzeba było dysponować naprawdę grubym majątkiem, znacznie przekraczającym to, czym obracali nawet najwięksi

spośród Rekinów. W Hausenbergu prawdopodobnie mieli tylko dwóch klientów: Provosta i Profesora. Pomimo tej niemałej przeszkody udało im się ustawić spotkanie, chociaż nie odbyłoby się to bez znaczącej pomocy Camilli.

– Mamy tylko tę jedną szansę – powiedział Petrowi Slava. – Musisz tam iść tak, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, i zadeklarować zamknięcie rachunku. Powiedz, że Provost dał ci pełnomocnictwo.

Ten numer nie miał prawa się udać. Petr nawet nie wiedział, na co Slava liczył – czy na pomyłkę czy na to, że na tak wysokim poziomie pewne rzeczy załatwia się po prostu na gębę.

I wtedy właśnie zdarzył się cud.

Okazało się, że zanim odwalili Provosta, stary bankier zrobił jedną jedyną rzecz, której Petr za cholere się po nim nie spodziewał: naprawdę udzielił mu pełnomocnictwa. Zawartość depozytu dotarła do nich na drugi dzień, a wartość posiadanych przez Provosta akcji, dzieł sztuki i patentów przerosła najszczersze oczekiwania Petra. Przejrzeli je i zdecydowali, że nie oddadzą Rekinom wszystkiego. Dokładne warunki złodziej miał ustalić z Miką, jednak bez względu na wszystko, udało się – odzyskali majątek Rekinów.

I tylko przez ten głupi cud Petr szedł teraz nocą przez Hausenberg. Już za chwilę spotka się z Miką i wspólnie zakończą tę wojnę.

Przeciął po skosie zrujnowane podwórko, którego ściany zabazgrano napisami wzywającymi do walki. Wszedł do środka odrapanej kamienicy, na chwilę chowając się przed wilgotnym chłodem. Na końcu śmierdzącego moczem korytarza odsunął masywną kratę i wszedł po schodach na pierwsze piętro. Nie czekając na zaproszenie, otworzył pierwsze z brzegu drzwi i wkroczył do mieszkania. W zaskakująco ciepłym i zadbanym przedsionku stał wieszak; wisiał na nim samotny płaszcz. A zatem Mika już był na miejscu.

Dobrze. Czas kończyć tę awanturę.

Podczas bankietu podziemia Wielkiego Teatru Hausenberga zamieniały się w krainę masek. Była to stara tradycja, która dodawała elitarnej już imprezie jeszcze odrobinę pikanterii, bo na tę jedną noc można było ukryć się, przybierając twarz dowolnie wybranej postaci. Najpopularniejsze były dzikie koty: tygrysy, pantery czy jaguary; ceniono również ptaki: orły i jastrzębie, ale też mniej groźne pawie i kolibry, a nawet kruki i wrony. Ptakiem była także każda z tancerek, tradycyjnie noszących zdobione setkami drobnych diamentów maski łabędzi. Rzadziej wybierano przyziemne stworzenia: psy czy jaszczurki;

zdarzył się również jeden wąż. Do prawdziwych rarytasów należały z kolei maski inspirowane egzotyczną mitologią, przedstawiające powykręcane diabły, karykaturalne demony o długich rogach i pomarszczone chochliki – niektóre o skórze czerwonej, jak u ugotowanego raka, inne pokryte gadzią łuską. Przywdziewali je głównie goście z Dalekiego Wschodu i Południa.

Slava czuł się jak w domu. Założył przygotowaną przez Daufrego maskę przedstawiającą pospolitego dachowca, z potarganymi uszami i w przeciętnym, szaroburym kolorze. Bycie jedynym obdartusem na przyjęciu sprawiało mu niemałą przyjemność.

Co jakiś czas pomiędzy tym malowniczym tłumem pojawiała się zupełnie zwyczajna, odsłonięta twarz bezimiennego kelnera, donoszącego nowy półmisek lub częstującego gości szampanem. Do obsługi bankietu wybierano tylko tych, którzy w labiryncie ludzkich ciał potrafili być niewidoczni niczym powietrze. Nic nie mogło psuć przedstawienia, czy to na scenie, czy kilkanaście metrów pod nią.

Katakumby pod teatrem stanowiły prawdziwy labirynt, lecz na bankiet wydzielono tylko kilka największych sal, rozplanowanych jako zbiór koncentrycznych kręgów. W kręgu zewnętrznym odbywało się coś na kształt rozgrzewki przed właściwą częścią przyjęcia – można się tam było niezobowiązująco poobracać, pościskać ręce i porozdawać komplementy. Z czasem miał się zamienić w legowisko dla tych, dla których impreza skończy się przedwcześnie; zajmą oni rozłożone wokół zewnętrznego kręgu wnęki, gdzie będą mogli w spokoju dogorywać. W kręgu środkowym było znacznie bardziej hucznie. Kulturalny szept przechodził w mrużący wielogłos tłumiony przez dziesiątki masek. To tutaj, w ukryciu pomiędzy rozochocionym tłumem, prowadziło się poważne rozmowy, które w następnych miesiącach mogły rozpędzać artystyczne kariery, dokonywać fuzji przedsiębiorstw, a nawet kosztować kogoś życie. Wszystko jednak odbywało się pod płaszczykiem dobrej zabawy, uprzejmych uśmiechów i dystygowanej atmosfery.

Środkowy krąg otwierał się na koliste pomieszczenie, gdzie miała się rozegrać główna część przyjęcia. Rzekomo mieściło się w prostej linii pod sceną teatru. Co było w środku, na razie nie wiedział nikt.

Slava przeciskał się pomiędzy gośćmi, w ręce trzymając smukły kieliszek z szampanem i wypatrując Camilli. Miał nadzieję, że gdzieś w tłumie dojrzy znajomą furię złotych loków, wymykającą się spod maski królowej łabędzi. Zresztą tancerka mogłaby równie dobrze przebrać się za odyńca, a i tak by ją rozpoznał – wystarczył mu jeden jej ruch.

Nie znalazłszy primabaleriny w głównej sali, wyszedł jednym z czterech symetrycznie umieszczonych wyjść i skierował się do środkowego kręgu. Tam dopiero przyjęcie rozkręcało się na dobre. Pierwszym, co rzuciło mu się w oczy, był podchmielony mężczyzna w masce żółwia, który chwiejnie kroczył środkiem korytarza, co rusz poklepując kogoś niczym starego znajomego. Sądząc po częstotliwości tego gestu, znał niemal całe miasto oraz znaczną większość przyjezdnych. Pośród tłumu Slawie mignęła też maska pawiana zaprojektowana tak, by zakrywać nie tylko twarz, ale również tył głowy. Jej druga strona przedstawiała, jakżeby inaczej, nabrzmiałe, czerwone pośladki. W pawiana wcielać mógł się tylko jeden człowiek i Slava był pewien, że się nie myli, a za maską kryje się Jacob Bronte. Idąc dalej, zauważył stojącą w niedalekiej wnęce smukłą modliszkę. Myśląc, że nikt na nią nie patrzy, bezwstydnie wciskała się pomiędzy nogi stojącego obok węża i pocierała odkrytym udem jego krocze, szepcząc gadowi coś do ucha. Nosiła suknię, która odkrywała więcej ciała, niż zakrywała. A ciało miała zjawiskowe.

Żeby nie zwracać na siebie uwagi, przystanął przy jednym z suto zastawionych stołów. Zwłaszcza że przyszła najwyższa pora, by coś przekąsić. Nie mógł się zdecydować, czy powinien skosztować pieczonego w całości prosiaka, sprowadzanego na specjalne zamówienie kawioru czy też surowej ryby, której co dziesiąty kawałek podobno był trujący.

Nagle, jego uwagę ściągnął męski głos. Był tak głośny, że nawet gdyby szuler nie chciał, musiał podsłuchiwać.

– Droga pani, rączki całuję, to było fenomenalne! – bardziej jęczał, niż mówił pękaty mężczyzna w masce lwa. Gestykulował przy tym żywo, machając trzymanym w dłoni widelcem. – Po prostu brak mi słów...

Odpowiedzią był furkot rozkładanego płynnie wachlarza. Trzymała go stojąca zaraz obok Slavy czarna łabędzica. Jej przebraniem była nie tylko maska, lecz także czarna suknia z aksamitnych piór. Pióra te zostały w odpowiednich miejscach porozcinane i tak dopasowane, by w pełni eksponować przepięknie wyrzeźbioną figurę kobiety. Głęboki dekolt ozdobiła diamentowa kolia, zasłaniająca drobne niedoskonałości nie najmłodszej już skóry. Jednak pomimo wieku czarna dama poruszała się lekko, a jej ciało zdradzało niemałą siłę.

– Mówię poważnie – kontynuował lew. – Zrobiła pani z tańca prawdziwy teatr emocji. To już nie jest tylko spektakl, to jest przeżycie duchowe! Otarcie się o absolut...

– Szanowny mecenasie, porzygam się zaraz od tej słodyczy – odezwała się

kobieta. Slava poznał jej głos, chociaż i bez niego dobrze wiedział, z kim rozmawia rzeczony mecenas. – I co pan tak wybałusza oczy, że widać to nawet spod tej przesadzonej maski. Lew, proszę mecenasa? Nie zapędził się pan przypadkiem w tych swoich ambicjach? Poza tym na tak marne pochlebstwa to nie da się zaciągnąć do łóżka nawet żadna z biegających tu podchmielonych łabędzic, a ja słyszałam w życiu o wiele więcej niż one.

– Ale... przecież... To jest skandal! – wykrzyczał wyśmiany lew, trzęsąc sztuczną grzywą. – Skandal!

– Nie, proszę mecenasa. To jest smutna prawda. Skandal by był, gdybym tu, przy wszystkich, zsunęła suknię i wypięła goły tyłek. Wtedy byłby skandal.

Dama błyskawicznym ruchem zwinęła wachlarz i karcąco stuknęła nim lwa w nos. Spod maski czarnego łabędzia błysnęły krwistoczerwone usta. Było w tym uśmiechu coś zwierzęco bezwzględne, jak u drapieżnika. Lew niemal zapiszczał ze złości, po czym zaczął przeciskać się przez tłum, starając się przy tym nie wyglądać, jakby uciekał.

Slava też chciał jak najszybciej zniknąć, lecz nie zdążył. Lekko pomarszczona kobieca dłoń już muskała jego podbródek.

– Proszę, proszę. Dachowiec.

Miała zmysłowy, przepełniony niewypowiedzianą groźbą głos.

– Droga pani. – Szuler odłożył talerz ze wspaniale wypieczonym policzkiem wieprzowym. Ukłonił się i spojrzał wprost w obleczone czernią zielone oczy. Przyniosły mu na myśl znudzonego zbyt łatwym polowaniem tygrysa. Przez chwilę czuł się dokładnie tak, jakby to jego, a nie leżącego na stole prosiaka podano z jabłkiem w zębach. – Podejrzewam, że winny jestem pani podziękowania...

Za maską kryła się Caterina Murino, matka sukcesu Wielkiego Teatru, jego właścicielka i choreografka, a kiedyś tancerka znana w całym cywilizowanym świecie. Była legendą. Traktowała Teatr jak swój dom, a baletnice jak niesforne córki. Nazywała to opieką, lecz pośród tancerek miała władzę niemal absolutną. Kontrolowała wszystko, co miało związek z jej podopiecznymi, i była jedną z nielicznych osób, które wiedziały, że młody szuler wcale nie umarł.

Kiedy Slava opowiedział o swoim planie Camilli, była przerażona, on jednak nie miał wyboru. Zdecydował się wykorzystać fakt, że Profesor i Caterina Murino – o czym mało kto wiedział – znają się od dawna. Caterina mieszkała sama, w monumentalnej kamienicy nieopodal teatru. Był to najpiękniejszy budynek w mieście, o dziwo, stojący poza pilnie strzeżoną

Valorią, za to będący dumą dzielnicy Gislaku. Nie było w mieście nikogo, kto poważyłby się na zadarcie z Cateriną. Teatr był oczkiem w głowie Hausenberga i zarówno ona, jak i pozostali artyści mieli status nietykalnych.

Slava zdawał sobie z tego sprawę, wiedział też, że dokładnie z tego powodu rezydencja Cateriny stoi zupełnie pusta i niezabezpieczona. Sforsowanie prostego zamka przy wejściu dla służby zajęło mu mniej niż minutę, mimo że wcale nie był w tym zbyt dobry. Dowolnemu z pajęczarzy Petra wystarczyłoby pewnie najwyżej kilka sekund. Szybko przemknął przez puste pomieszczenia i wyszedł na piętro, wprost do sypialni Cateriny. Zajął miejsce w fotelu ustawionym w najciemniejszym z kątów pokoju. Czekał.

Po kilku godzinach usłyszał chrobotanie zamka głównych drzwi, a później pewne kroki wciąż pełnej wigoru choreografki. Kilka stuknięć obcasów, później ciche stąpanie. Musiała jeszcze w progu zrzucić eleganckie buty i teraz szła boso. Wchodziła po schodach, lecz nie zapaliła świateł i nie weszła do sypialni. Udała się wprost do połączonej z nią łazienki. Slava usłyszał, jak nastawia astralitową grzałkę i nalewa wody do wanny. Zdziwił się, że nie ma od tego służby, z drugiej strony nieraz słyszał od Camilli, że Caterina nienawidziła, kiedy ktoś kręci się wokół niej. Podobno twierdziła, że tylko w absolutnym odosobnieniu jest w stanie tworzyć. Pomiędzy tancerkami krążyły powtarzane szeptem legendy o tym, jak samotna Caterina układa spektakle, tańcząc w pokojach olbrzymiej rezydencji. Nikt nie wiedział, czy to prawda, bo nie było nikogo na tyle odważnego, by ją zapytać.

Nuciła. Miała niski głos z lekką chrypą, który bardzo pasował do smutnej, powolnej melodii. Slava usłyszał, jak nie przestając nucić, wsuwa się do wanny. Leżała tam chyba z godzinę, a on czekał cierpliwie. W końcu skończyła kąpiel i zupełnie naga przeszła do sypialni.

Musiał przyznać, że chociaż miała pewnie dobrze ponad pięćdziesiąt lat, jej ciało zachowało formę. Miała długie, wspaniale wyrzeźbione nogi, płaski brzuch, a także małe wciąż jędrne piersi. Kiedy się poruszała, jej skóra zdawała się opinać na grających pod spodem mięśniach.

Zaskoczył ją. Trwało to dosłownie ułamek sekundy, bo już jedno mrugnięcie oczu później przyjęła władczą pozę. Nie zakryła się, lecz wyprostowała dumnie, nogi odruchowo ustawiając w pozycji baletowej. Niesamowite.

– Przychodzę w pokoju, chociaż imię moje złodziej – wyrecytował mało znany wers ze zbiorów ulicznej poezji Baudleira. Elita oszustów posługiwała się nimi jako swego rodzaju kodem, odwołując się tym samym do zasad panujących jeszcze w Starym Hausenbergu. Slava wiedział, że będzie musiał

poprosić o pomoc kogoś, kto mógłby zgasić jego życie łatwo jak płomień świecy. – Wyciągam dłoń i czekam, nie odrzucaj jej, proszę.

W zapomnianym już geście wyciągnął dłoń. Prawą dłoń. Caterina zerknęła na jego brakujący palec i przekrzywiła głowę w zamyśleniu. Wyglądała trochę jak drapieżny ptak, który zastanawia się, czy powinien rozszarpać ofiarę.

Wiedział, że musi zaryzykować. Powiedział jej wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Mówił długo, a Caterina słuchała.

– Jeżeli ja ci nie pomogę – odparła w końcu, również cytatem – świat rozszarpie cię na strzępy. Idź i wiedz, że we mnie zawsze przyjaciela znajdziesz.

Slava wstał i skłonił się z szacunkiem, po czym ruszył w stronę wyjścia, a zimny pot spływał mu po plecach. Zatrzymała go w progu, wysuwając rękę i obracając go ku sobie. Otarł się o jej nagie ciało.

Policzek był krótki i mocny. Na tyle mocny, że pojaśniało mu w oczach i na chwilę stracił równowagę.

– Jeżeli jeszcze kiedykolwiek wtargniesz do mojego domu – usłyszał głos – zabiję cię bez wahania. Rozumiesz, książę?

Tak mówiła do niego tylko jedna kobieta, sporo młodsza od tej, do której domu przyszedł. I też mówiła to zawsze wtedy, kiedy stała przed nim naga. Miał świadomość, że Caterina nie ma prawa o tym wiedzieć, a jednak jakimś sposobem wiedziała. Serce zabiło mu szybciej, a w gardle zrobiło się sucho. Jeszcze kilka dni temu spuściłby wzrok i się wycofał, jak przestraszone kocię. Zamiast tego spojrział wprost we wpatrzone w niego zielone oczy. Przysunął dłoń i delikatnie chwycił jej podbródek. Nie wyrwała się. Nie uderzyła.

– Śmierć to niewielka cena, moja droga fortuno – wyrecytował kolejny wers – kiedy stawką jest pamięć o nas.

Odwrócił się i wyszedł. Wiedział, że po takiej bezczelności może już nigdy nie wejść do sal Teatru. Wiedział, że Caterina może wydać na niego wyrok i że być może poprze ją nawet Profesor.

Kiedy jednak pojawił się na premierze, czekała na niego przygotowana łoża, a stojący przy drzwiach służący szeptem przekazał mu zaproszenie na odbywający się po przedstawieniu bankiet. I teraz stał tutaj, znowu twarzą w twarz z Cateriną Murino. Tym razem jednak czuł się o wiele mniej pewnie niż wtedy, kiedy miał ją przed sobą nagą w jej własnej sypialni. A ona nie wahała się tego wykorzystać.

– Kto to widział, żeby kot drżał na widok ptaszka? – powiedziała i przekrzywiła głowę, uśmiechając się jednak przy tym znacznie serdeczniej,

niż mógł to sugerować zaczepny ton. – No już, dosyć tych przykrości, dzisiaj jest święto

Teatru i z tej okazji powinnam ogłosić małą amnestię. Małą, bo powiedzmy, że obejmującą jednego dachowca. Za to mecenas Frenheim dostał dokładnie to, na co zasłużył.

– To bardzo wspaniałomyślne – odparł. – Jednakże jeszcze raz dziękuję za pomoc, kiedy jej potrzebowałem. Jestem pani dłużnikiem.

– Jesteś – podsumowała chłodno, ale zaraz później znowu się uśmiechnęła. – Jak ci się podoba na bankiecie? Pięknie, prawda?

– Pięknie... Chociaż to bardzo nieprawdziwe piękno, a w dodatku strasznie ulotne. Jedna noc i szlus. Skończy się.

Caterina podeszła bliżej i pogłaskała go po policzku.

– Dziwny z ciebie kot – mruknęła. – Z jednej strony co rusz pchasz się w kłopoty, a z drugiej spadasz ciągle na cztery łapy. Wiesz, chłopcze, że może cię to w końcu kosztować życie?

– My, koty, na szczęście mamy ich dziewięć.

Caterina się roześmiała. Po raz kolejny zauważył, że ma piękny, niski, ale zmysłowy głos. Nagle, bez ostrzeżenia, machnęła złożonym wachlarzem w kierunku jego wciąż posiniałej twarzy. Gdyby sięgnęła celu, zapewne ponownie rozbiłaby mu nos, lecz chłopak w ostatniej chwili złapał wachlarz i zacisnął na nim dłoń. Bezceremonialnie wyrwał go kobiecie i rozłożył z furkotem, po czym odwrócił uchwytem w stronę właścicielki.

– Służę.

Brwi Cateriny uniosły się o kilka milimetrów. Większość czasu perfekcyjnie panowała nad emocjami, ale tym razem była naprawdę zaskoczona.

– No proszę, może jednak coś z tego będzie... – powiedziała do siebie, po czym zwróciła się do niego: – Wiesz, na co się decydujesz?

Młody szuler tylko pokiwał głową.

– I wiesz, że gdyby on o tym wiedział, mógłby kazać cię zabić?

Slava aż zadrżał. Przemknęło mu przez myśl, że Caterina go zdradziła. Że poszła do Profesora i wszystko mu powiedziała, a teraz wyprowadzą go stąd i zadźgają. Szybko jednak zacisnął pięść i poczuł puste miejsce po odciętym palcu. Po wątpliwościach nie został nawet ślad.

– Jeszcze nie raz ktoś będzie próbował mnie zabić. Dziewięć żyć, pamięta pani?

Nagle czarna dama postąpiła krok w jego stronę, tak że poczuł ciężki,

zmysłowy zapach jej słodkich perfum.

– To zaczynajmy. – Szept Cateriny zdawał się muskać płatek jego ucha. –
Już za chwilę.

Po tych słowach zniknęła w tłumie.

Grało się.

Silas Faugen przechadzał się po podziemiach Teatru z lampką szampana w ręce i rozmyślał nad ostatnimi tygodniami, podczas których stopniowo przekonywał się, że coraz bardziej nienawidzi Hausenberga. To miasto zakpiło z niego już kilka razy.

Przyjechał tutaj w bardzo jasnym celu – chciał zdobyć plany Projektu Pandemonium. Na początku spodziewał się, że będzie po prostu musiał spotkać się z tym przeklętym Profesorem i zaproponować mu dobrą stawkę. Ten jednak nie tylko zupełnie go zignorował, ale również okazał się też odporny na jakiegokolwiek rodzaju perswazję, włącznie z wysłaniem mu palca jego ucznia.

Na szczęście Faugen miał jeszcze plan B. Hausenberg, poza tym, że słynął z toczonych tutaj na każdym rogu rozgrywek karcianych, miał także opinię miasta, w którym mechanika oparła się prawom rynku. W innych miejscach ta gałąź nauki odchodziła powoli do lamusa, ustępując miejsca znacznie bardziej postępowej i znacznie bardziej opłacalnej alchemii. Większość znanych inżynierów dawno przeszła pod szyldy wielkich kompanii alchemicznych i zajmowała się masową produkcją taniego złomu. Tymczasem tutaj stare zakłady trzymały się twardo, chociaż też pozostały jedynie trzy. Wybrał najsolidniejszy z nich, ten prowadzony przez Heinricha Gottenhoffa.

Sprawę zaplanował w najdrobniejszych szczegółach i wydawałoby się, nie popełnił żadnego błędu, a jednak wciąż nie zdobył tego, po co przybył. Wszystko przez ten przeklęty sejf! Faugen długo nie mógł sobie wybaczyć, że przeglądając poprzednie osiągnięcia rodziny Gottenhoffów przeoczył, iż stary Gottenhoff zasłynął przede wszystkim z projektu arcybezpiecznej kasy pancernej. A właściwie nie, Faugen tego nie przeoczył, dobrze o tym wiedział, tylko po prostu nie zwrócił na to uwagi. Skojarzył fakty dopiero po tym, jak już pozbył się upierdliwego inżyniera. Masywna metalowa bryła stojąca pośrodku warsztatu była zbyt wielka, żeby mógł ją niepostrzeżenie przenieść, poza tym nie miał ani czasu, ani możliwości, żeby na szybko zorganizować dobrego kasiarza.

Wiedząc jednak, że nie wszystko stracone, cierpliwie czekał, aż plany i wniosek patentowy złożony do KIRN-u (swoją drogą, co Gottenhoff sobie myślał, żeby zgłaszać projekt za jego plecami?) trafią na akcję patentów. Tam jednak pojawił się Provost. Przeklęty Nikodemus Provost, jeden z nielicznych ludzi, którzy mieli na tyle pieniędzy, żeby pokrzyżować plany Faugena. Przyszedł, usiadł do licytacji i wygrał. Ta kropla przepełniła czarę.

Zaraz po tym, jak bankier odebrał akt własności patentów i opuścił dom aukcyjny, Faugen poszedł za nim. Śledził go cały dzień, żeby się upewnić, że tamten nie pójdzie przypadkiem do banku i nie schowa papierów do kolejnego sejfu. Wtedy sprawy jeszcze bardziej by się pokomplikowały. Na szczęście Faugena Provost zamiast do banku pojechał do restauracji, gdzie przez dwie godziny jadł suty obiad. To, ile ten człowiek pochłaniał, przechodziło wszelkie pojęcie. Kiedy skończył posiłek, spacerem udał się prosto do Ekscelencji. Na to Faugen tylko czekał. Zaczaił się pod hotelem i zastrzelił bankiera. Spodziewał się, że w jednej z jego kieszeni znajdzie to, czego tak bardzo pragnął. Nic z tego. Dla pewności przeszukał jeszcze hotelowy pokój Provosta, ale tam też nie było planów. Zniknęły, zupełnie jakby rozplynęły się w powietrzu. Jedynym wytłumaczeniem było to, że w czasie obiadu Provost musiał je komuś przekazać, a na to, żeby przekopać całe miasto, Faugen nie miał ani czasu, ani środków.

Szczęście uśmiechnęło się do niego dopiero na kilka dni przed premierą. Do jego pokoju w Ekscelencji doręczono list. Wiadomość była krótka, lecz bardzo, ale to bardzo treściwa: „Bądź na bankiecie. Przynieś prototyp, a może uda nam się na ten temat porozumować”.

Żeby podkreślić wagę tych słów, do listu dołączono niewielką, złożoną na cztery kartkę. Pokrywało ją drobne pismo i skrupulatnie odwzorowany rysunek, którego nie dało pomylić się z niczym innym. Był to wycinek z planów Projektu Pandemonium. Faugen wiedział, że tylko jedna osoba w tym mieście mogła wysłać mu coś takiego. Profesor.

Po raz pierwszy, od kiedy przyjechał do tego przeklętego miasta, Silas Faugen poczuł, że sprawy układają się po jego myśli. Upił niewielki łyk szampana i spod przymrużonych powiek oglądał otaczających go ludzi. Spacerował.

W pewnym momencie podeszła do niego jedna z biegających pomiędzy gośćmi łabędzic, dygnęła z gracją i gestem wskazała, żeby szedł za nią. Prowadziła go wprost do głównej sali. Tam, gdzie miała czekać atrakcja wieczoru. Faugen podszedł do najbliższego stołu, odstawił pusty kieliszek, po

czym ruszył za baletnicą.

W końcu nadszedł ten moment. Już za chwilę miało się dokonać otwarcie głównej sali bankietu, a co za tym idzie, przedstawienie wielkiej atrakcji dzisiejszego wieczoru. Był to uwielbiany przez wszystkich zwyczaj, który podtrzymywano podczas premiery każdego nowego spektaklu. Mówiło się nawet, że premiera to noc, w trakcie której rozgrywają się dwa przedstawienia – pierwsze na scenie Wielkiego Teatru Hausenberga, drugie zaś kilkadziesiąt metrów w prostej linii pod tą sceną.

W wewnętrznym z koncentrycznie ułożonych kół mieściła się olbrzymia sala o wysokim sklepieniu w kształcie kopuły. Z sufitu w równych odstępach zwisały przebogato zdobione kryształowe żyrandole. Umieszczone pomiędzy mieniącymi się kamieniami astralitowe lampy powodowały, że pomieszczenie było oświetlone niczym środek sceny teatralnej. Sala została zaaranżowana na wzór amfiteatru: wyznaczono na niej wznoszącą się łagodnie wielopoziomą widownię, gdzie na gości czekały wysokie stoły, dobre, by przy nich przystanąć i obserwować, co będzie się działo w centralnym punkcie. Tam z kolei stała już niespodzianka, w postaci sporej bryły, na razie jednak przykrytej jedwabną karminową płachtą. Co kryło się pod spodem, tego nie wiedział nikt.

Gdy tylko łabędzice dały gościom znak, tłum rozsiany po zewnętrznych kręgach zbił się w jedną całość, przypominającą wielogłową istotę składającą się z kotów, psów, żółwi, węży, smoków, demonów i wielu innych. Kolorowa bestia ruszyła w kierunku głównej sali i szybko wypełniła wszystkie poziomy amfiteatru, szczelnie otaczając atrakcję wieczoru. Przekazywane z ust do ust szepty przeszły z cichego szmeru w wyraźny pomruk, kiedy tłum ujrzał stojącą pośrodku – na razie jeszcze zakrytą – niespodziankę.

W pewnym momencie powietrze przecięło ostre, podwójne kłaśnięcie, ściągające uwagę wszystkich na środek zaimprovizowanej areny. Stała tam dobrze wszystkim znana czarna łabędzica, niepodzielna władczyni tego miejsca.

– Witam was serdecznie na premierze Bajarza. – Dźwięczny, niski głos Cateriny Murino wydawał się wzbijać aż pod samą kopułę. – Wielki Teatr działa już dwadzieścia jeden lat i od początku jego istnienia przy okazji każdej premiery wyprawiany jest bankiet. Nie muszę mówić, jak bardzo się cieszę, że po raz kolejny zaszczylicie nas swoją obecnością. Serce mi rośnie, kiedy

wystawiając nową sztukę, widzę zza kulis wypełnioną po brzegi widownię. Szczególnie chciałabym podziękować obecnym tutaj gościom z dworu, którzy przyjechali do nas aż ze stolicy, oraz nieocenionym mecenasom, dobroczyńcom naszego teatru, którzy woleliby pozostać anonimowi. Wiedźcie jednak, że są tu pośród was i że to dzięki nim ten teatr może być domem dla wspaniałych artystów.

Rozległy się gromkie brawa, a czarna łabędzica dołączyła do nich, unosząc wysoko ręce. Po chwili jednak uciszyła tłum gestem dłoni.

– Właśnie, artyści... – Na chwilę zawiesiła głos. – Po raz kolejny pokazali, że te wszystkie godziny spędzone na próbach nie poszły na marne i że każda kolejna sztuka Wielkiego Teatru jest lepsza od poprzedniej. Dziękuję obecnej gdzieś tutaj orkiestrze, kręcącym się pomiędzy wami tancerzom, a w szczególności mojej wielkiej dumie, Camilli von Einsetz.

Po tych słowach wybuchła prawdziwa burza oklasków, wydawało się, że wręcz trzęsą się od nich mury teatru. Ktoś gwizdał, ktoś tupał, ktoś krzyczał. Caterina ponownie uciszyła rozszalały tłum.

– Nie bójcie się jednak, to nie koniec dzisiejszych wrażeń. Jak się zapewne spodziewacie, czeka was jeszcze coś spektakularnego, coś, co zapamiętacie naprawdę na długo. Ta noc przejdzie do historii.

Caterina przechadzała się w tę i we w tę, przebiegając spojrzeniem po zgromadzonych wokół niej gościach. Uśmiech nawet na chwilę nie schodził z jej twarzy, chociaż było w nim coś niepokojąco okrutnego.

– Nie będę już więcej przedłużać. Czas odsłonić atrakcję dzisiejszego wieczoru. Panie i panowie... Oto ona!

Zamaszystym ruchem ściągnęła płachtę i odsłoniła to, na co wszyscy czekali. Gdzieś w tłumie rozległy się głuche westchnięcia przypominające jęk tonącego, który usilnie chce złapać powietrze, a sekundę później ich miejsce zajął intensywny szmer szeptów.

W centralnym punkcie sali stał masywny, wyłożony zielonym płótnem, stół do gry w karty.

Podczas bankietu niewiele rzeczy było zakazanych. Nie stroniono od alkoholu, seksu ani zażywek. Prowadzono interesy, zawiązywano intrygi, zrywano sojusze. Uwodzono, kłamano i grożono. Nawet zlecano morderstwa. Była jednak zasada, której nie łamano tutaj nigdy: nie tasowano, nie licytowano i nie rozdawano. I chociaż premiera łączyła świat nocy ze światem dnia, to wciąż pozostawiała pomiędzy nimi opuszczoną zasłonę utkaną z pozorów, półprawd, przemilczeń i niedopowiedzeń. Ludzie Nocy wiedzieli,

że jeżeli chcą w spokoju robić swoje, to pewne kwestie muszą odbywać się z dala od ciekawskich oczu, zwłaszcza kiedy oczy te należały do ludzi znajdujących się blisko władzy. Ustawienie stołu do gry na środku głównej sali bankietowej było tym, czego pod żadnym pozorem nie wolno było robić – złamaniem szulerskiego decorum.

Zaraz po odsłonięciu stołu do pomieszczenia wmaszerowało czterech barczystych mężczyzn, a każdy z nich niósł bogato zdobione, eleganckie krzesło. Ustawili je wokół blatu, po czym odeszli bez słowa. Mając za sobą karierę zawodowej tancerki, Caterina umiała nie tylko oddawać ludziom swoje emocje, ale też karmić się tym, co odczuwał otaczający ją tłum. Teraz chłonęła niedowierzanie, które miejscami mieszało się ze strachem, a nawet paniką. Widać było, że sprawia jej to niemałą przyjemność.

– Spokojnie, to jeszcze nie wszystko – ciągnęła z uśmiechem. – Jeżeli taki szok wywołuje u was sam widok stołu, to połowa z was mi tu pomdleje, zanim skończę przedstawiać dzisiejszych graczy... Zacznę od naszego gościa specjalnego. Chodzą słuchy, że jest najpiękniejszą kobietą w królestwie. Z początku miałam zamiar powiedzieć, że nie mnie to oceniać, lecz potem spotkałyśmy się osobiście i jak gustuję raczej w mężczyznach, to, szlag, sama zaciągnęłabym ją do łóżka...

Mówiąc to, Caterina podeszła do stojącej w pierwszym rzędzie tygrysicy. Wyciągnęła do niej rękę, a następnie wyprowadziła ją na środek sali. Tygrysica miała na sobie wspaniale dopasowaną, wąską spódnicę, która chociaż ciągnęła się do samej ziemi, to miała, zgodnie z panującą w królestwie modą, rozcięcie aż do samego biodra. Spódnica była biała, co przy każdym kroku kontrastowało z migającym pomiędzy materiałem brązem jej skóry. Talię z kolei opinał ciasny gorset, jednocześnie eksponujący dekolt i odsłaniający ramiona. Kobieta podeszła do stołu, zajęła miejsce przy oparciu jednego z foteli, po czym powolnym, wystudiowanym gestem zdjęła maskę.

– Panie i panowie, pierwszym z graczy jest ulubienica samego wicekróla, panna Anastazja Frey.

Sądząc po natężeniu oklasków, widownia otrząsnęła się już z pierwszego szoku. Spod masek przebijały teraz rumieńce, nerwowe uśmiechy, ocierano też spocone dłonie. Jak gdyby wszyscy wiedzieli, że mają jedyną w życiu szansę obejrzeć coś absolutnie niedozwolonego.

– Jako drugi moje zaproszenie przyjął wyjątkowy finansista, który jak burza wdarł się na tutejsze salony... I mam nadzieję, że chociaż jest tu pierwszy raz, to nie będzie to jego ostatnia wizyta w Wielkim Teatrze. Zapewne się tego nie

spodziewał, lecz udało mi się go poznać także z tej drugiej, znacznie ciekawszej strony, i kiedy dowiedziałam się, że całkiem nieźle radzi sobie z kartami, nie mogłam sobie odmówić przyjemności zaproszenia go. Ten ktoś nazywa się Silas Faugen.

Tym razem brawa były znacznie skromniejsze, a Faugen precyzyjnie przeszedł przez tłum i podszedł do Cateriny. Jeszcze zanim zajął miejsce przy swoim krześle, zdjął maskę i ucałował dłoń czarnej łabędzicy. Następnie powtórzył ten gest względem Anastazji.

– Kolejnego z graczy w Hausenbergu zna każdy. Przy zielonym płótnie siedzi właściwie od zawsze, lecz przez ostatnie lata można go było spotkać tylko tam, gdzie padają najwyższe stawki. Jeden z moich dawnych przyjaciół kiedyś powiedział o nim, że zaczął grać w karty, kiedy niebo i gwiazdy były jeszcze młode, i przestanie zapewne, dopiero gdy będą gasnąć. Moja bratnia dusza, Viktor Rabald.

Tym razem ku centrum sali ruszył dobroduszny szpakowaty jegomość, który trzymał się nienaturalnie prosto, jakby zamiast kręgosłupa miał wstawiony metalowy drąg. Jego szyję ciasno opinał śnieżnobiały, perfekcyjnie wykrochmalony kołnierzyk, a chude nadgarstki wynurzały się spod przyozdobionych złotymi spinkami mankietów. Kiedy szedł, ludzie spoglądali na niego z szacunkiem. W przeciwieństwie do Anastazji i Faugena był tutaj prawdziwą legendą. Wkroczył na środek sali, zdjął maskę psa o złotej sierści, po czym podszedł do Cateriny i uściskał ją serdecznie. Pozostało już tylko czwarte miejsce.

Slava przez cały czas stał ukryty pośród widowni i słuchał, jak Caterina przedstawia kolejnych graczy. Od kiedy tylko Faugen pojawił się na widoku, szuler nie odrywał od niego oczu. Pożerał każdy jeden najdrobniejszy gest, najmniejszy grymas twarzy, śledził krople potu spływające za jego uchem. Miał go.

– Przyszła pora, by ujawnić ostatniego uczestnika naszej dzisiejszej gry, będącego jednocześnie jej pomysłodawcą i organizatorem.

Caterina mówiła dalej, a Faugen wpatrywał się w nią jak zakłęty. Slava widział, jak zaciska usta i napina mięśnie karku, w oczekiwaniu na to, po co tu przyszedł. Czekał na Profesora i na Projekt Pandemonium. Nie spodziewał się tylko, że będzie musiał o niego zagrać w karty. A to nie był koniec niespodzianek.

– Sytuacja jest o tyle trudna, że tego gracza jednocześnie nikomu nie trzeba przedstawiać, ale z drugiej strony nie sposób zostawić go bez wprowadzenia.

Przed wami ten, który udowodnił, że potrafi odwracać koleje losu, że ma moc dokonywania niemożliwego... Kot dachowiec o dziewięciu życiach...

Slava nie czekał. Wszedł na środek i powolnym, nonszalanckim krokiem zbliżył się do Cateriny. Kiedy był pewny, że wszyscy na niego patrzą, zdjął maskę i ucałował czarną łabędzicę w policzek.

Chyba jeszcze nigdy w podziemiach Wielkiego Teatru Hausenberga nie było tak cicho. Nikt się nie odezwał, nikt nawet nie jęknął, wszyscy stali wpatrzeni w niego jak w dziw nad dziwy. Nagle gdzieś w pobliżu rozległo się powolne, głośne i rytmiczne klaskanie. Bravo bił tylko jeden człowiek. Silas Faugen.

– To co, siadamy? – zapytał Slava, puszczając oko w stronę pozostałych graczy.

Zajęli miejsca przy stole. Dołączył do nich jeszcze krupier, młody chłopak o nijakiej twarzy, który zamiast usiąść, przystanął u szczytu stołu.

– Witam państwa bardzo serdecznie. Na początek proszę o potwierdzenie, czy wszystko jest w porządku – mówiąc to, wyciągnął z kieszeni dwie zapieczętowane talie kart i podał graczom do obejrzenia. Każdy miał prawo dokładnie sprawdzić, czy nie są znaczone, po czym karty wróciły do rozdającego. – Bardzo dziękuję. Już za chwilę rozpocznie się pierwsza partia...

Gra, którą Slava wybrał do rozegrania na bankiecie, nazywała się kostucha. Wbrew potocznej nazwie popularna była nie tylko w domach gry, ale także na salonach i szuler był pewny, że wszyscy w teatrze będą znać jej zasady. Kostucha była bardzo specyficzna, bo poza kartami liczyła się w niej także podzielona na cztery części, prostokątna plansza. Dwie z ćwiartek reprezentowały walczące ze sobą siły: życie i śmierć. Pomiędzy nimi wycięto koło, równo zachodzące na każdą ze stron. Symbolizowało remis lub brak wyraźnej przewagi. Poniżej znajdowało się także szerokie pole neutralne, gdzie trafiały pieniądze, kiedy gracze postanawiali pozostać w grze, ale jeszcze nie wiedzieli, którą stronę będą obstawiać. Po rozdaniu kart można było objąć stronę życia, zwaną także stroną strażnika, ale żeby to zrobić, należało wykazać wystarczająco mocne karty w kolorze czerwonym. Kolory czarne grały oczywiście śmiercią, stąd ich strona nosiła miano kostuchy. Można było też obstawiać, że partia zakończy się remisem, lub po prostu wejść do gry, ale zdecydować później. Ryzykowano wtedy jednak, że jeżeli ktoś zdoła zakończyć partię przed czasem, pieniądze przepadną, zanim zdążą trafić na właściwe pole.

Stół do kostuchy miał kształt elipsy. Przy jego szczytach siedzieli

odpowiednio Slava i Faugen, dzięki czemu przez całą grę mieli się nawzajem na widoku. Po prawej od Slavy stał krupier, a miejsce po drugiej stronie zajmowała Anastazja. No i oczywiście pomiędzy kochanką wicekróla a Faugenem był jeszcze Rabald.

– Rozpoczynam pierwszą partię – zapowiedział krupier. Sprawnie wydobył talię z pudełka i przetasował. Rozdał karty. – Zaczynamy od lewej strony. Panie Faugen?

– Czekam i słucham uważnie – odparł odrobinę zirytowany Faugen.

Krupier odpowiedział mu skinieniem głowy, po czym spojrzał pytająco na Rabalda. Ten uśmiechnął się uprzejmie.

– Dwa tysiące idą, za pozwoleniem. Na razie do wspólnej puli.

Gracz, pomyślał Slava. Chłodno kalkulujący, nieskazitelnie uprzejmy i zabójczo niebezpieczny. Zanim zajmie się Faugenem, musi się uporać właśnie z Rabaldem.

Szuler podążył za wzrokiem krupiera i spojrzał na Anastazję. Pierwszym, co zauważył, była para dużych tygrysiobrazowych oczu. Kiedy kobieta na niego spojrzała, poczuł, że mimowolnie oblizuje wyschnięte nagle usta. O jasna cholera, pomyślał, starając się ukryć zaskoczenie. Piękna to było mało powiedziane – ona była absolutnie zniewalająca.

– Ja... – Tygrysica miała głęboki, niski głos, który przynosił na myśl mruczenie dzikiego kota. Naprawdę dobrze wybrała maskę na dzisiejszy wieczór. – Dam dwa, też do wspólnej.

– Skoro tak – rzekł Slava, nie czekając na krupiera – to ja też. Są dwa, neutralnie, jak reszta.

Rozdający wrócił do Faugena, który się nie odezwał, jedynie pokiwał głową na znak, że również się zgadza.

Zaczęło się, wszyscy weszli do gry.

Po chwili licytacja szła już o wiele sprawniej, a atmosfera przy stole się rozluźniła. Kostucha była czasochłonną grą i pewne było, że spędzą przy niej jeszcze sporo czasu. Przy trzecim albo czwartym podbiciu stawki zaczęli rozmawiać.

– Czy mnie się wydaje – zaczęła Slavę Anastazja – czy ostatnio nie krążyły słuchy o pańskim pogrzebie?

– Wie pani, jak to jest – odpowiedział młody szuler, uśmiechając się do niej – skacze się trochę nocami po płotach, śpiewa nocne serenady, to i życie stracić można. Na szczęście my, koty, mamy ich dziewięć.

Faugen przewrócił oczami. Rabald, jak to Rabald, nie dał nic po sobie

poznać.

– Ale palce od tego zmartwychwstania nie wracają, co? Bo jednego brakuje – mruknęła tygryśca i odwróciła się do krupiera. – Dziesięć tysięcy... I chyba jestem śmiercią.

A jednak, ta kotka potrafiła pokazać pazurki... Kiedy Slava odpowiadał, czuł na sobie świdrujące spojrzenie Faugena.

– To część kociej natury: czasami daje się komuś po głowie... a czasami obrywa.

– Dobrze – przerwał mu Faugen – tylko warto z tego zbierania wyciągać jakieś wnioski. Słyszałem kiedyś o kocie, który uwielbiał wkładać łapę w ogień. Wkładał, parzył się, uciekał, wracał i wkładał od nowa. Bo mu ten ogień ładnie migał. I wie panicz, jak skończył? Przejechał go powóz. Bo tak bardzo był zajęty patrzeniem w płomienie.

– A pan? – Anastazja tym razem odwróciła się do Rabalda. – Zna pan jakieś ciekawe historie?

– Niestety – odparł Viktor. – Nie jestem równie imponującą kopalnią anegdot co pozostali panowie. Za to podbijam do piętnastu tysięcy i jestem strażnikiem.

Słyszając stawkę, tygryśca dama wbiła wzrok w karty. Zarumieniła się, nerwowo przebierając palcami pomiędzy sztonami. Jasna cholera, pomyślał Slava, nawet speszona wyglądała jak bogini. A może właśnie to ta ludzka niepewność dodawała jej uroku.

– Piętnaście – powtórzył Faugen, dorzucając stawkę do puli – i obstawiam remis. Nic z tego nie będzie.

Przyszła kolej Slavy.

– Idzie piętnaście, a jakże – powiedział pewny siebie szuler. – I to ja jestem śmiercią.

Słyszając to, Anastazja poderwała wzrok znad kart i rzuciła mu naburmuszone spojrzenie. On w odpowiedzi wyszczerzył się do niej łobuzersko.

Usłyszał, jak ktoś z widowni przeklina go po cichu, i przypomniał sobie, o jaką stawkę toczyła się ta gra. Odwalał właśnie numer na oczach najważniejszych ludzi w królestwie, brakowało pośród nich tylko samego władcy i jego zastępcy. To jednak było bez znaczenia. Jutro o tej grze będą mówić wszyscy, i to zarówno na dworze, jak i na ulicy. Jeżeli wygra, stanie się legendą. Jeżeli przegra, będzie mógł zapomnieć o tym, że jeszcze kiedykolwiek siądzie do kart. Za to bez względu na wynik po dzisiejszej nocy bardzo wielu potężnych ludzi będzie chciało go zabić.

Grało się.

Zostawił płaszcz w sieni, zaraz obok tego należącego do Miki. Wiedząc, że nikt go nie widzi, przeciągnął się jeszcze i rozmasował zmarznięte dłonie.

Najwyższa pora kończyć ten geszeft. I tak udało się na nim ugrać naprawdę sporo.

Z tą myślą wszedł głębiej do mieszkania. Panował tu przyjemny półmrok, przez który przebijały kanciaste kształty mebli. Chociaż fronton budynku zupełnie na to nie wskazywał, wewnątrz było zadbane, przestronne i bardzo porządne, urządzone równie dobrze co większość rezydencji w Valorii. Miejsce to musiało służyć Rekinom za jakąś ukrytą metę. Petr skrzywił się z niesmakiem. On nigdy by się nie zgodził, aby zrobić coś takiego w Kamienicy – blichtr usypiał czujność. To właśnie przez takie rzeczy udało się wywołać tę wojnę.

Przeszedł przez pierwszy pokój, stąpając po puchatym dywanie i rozglądając się uważnie. Wprawdzie nie przypuszczał, żeby Mika wystawił go Rekinom, poza tym jego czujki dokładnie sprawdziły okolice, ale i tak był ostrożny. Wiedział, że swojej paranoi zawdzięcza życie. Chociaż nie, teraz to już nie była paranoja, lecz przezorność najbardziej poszukiwanego człowieka w mieście.

Petr szedł przez puste pokoje, a jego dłoń cały czas spoczywała na ukrytym na biodrze nożu. W razie kłopotów wystarczył tylko jeden ruch...

Co tu tak pusto? I gdzie ten pieprzony Mika? Niech go piekło pochłonie...

Petr zaczynał myśleć, że może jednak Rekiny wyszykowały dla niego jakąś sztukę. Przeszedł przez salon, równocześnie sprawdzając, czy miejsce na pewno jest czyste. Szukał rozciągniętych w poprzek pomieszczenia linek, które mogły wysłać sygnał albo uruchomić pułapkę, wypatrywał schowanych za zasłonami ludzi, wyjrzał nawet przez okno, żeby sprawdzić, czy nie będą próbowali przeskoczyć z budynku obok. Pusto.

Został mu już tylko ostatni pokój – tam, na końcu korytarza. Na samym końcu... To ponownie obudziło w nim wątpliwości. Może tylko na to czekali? Może gdy znajdzie się możliwie daleko od wejścia, wleczą tu razem z drzwiami i odetną mu drogę ucieczki?

Nie, to niemożliwe. Przecież jego ludzie nie spuszczaali tego budynku z oczu, zauważyliby, że coś się święci.

Poza tym to była jego jedyna szansa. Ostatnia opcja na pokój i naprawienie

tej zaszrannej sytuacji. Wiedząc, że nie ma zbyt wielkiego wyboru, ruszył dalej.

Przeszedł przez długi korytarz i nic się nie stało. Czyli jednak, to tylko paranoja. Już nieco spokojniejszy, wszedł do ostatniego pomieszczenia.

W potężnym, miękko obitym fotelu pólsiedział, pólleżał Mika. Miał poderżnięte gardło, z którego zapewne niewiele wcześniej chlusnęła pokrywająca teraz wszystko wokół czerwona rzeka. Krew była dosłownie wszędzie, jej szeroki pas zaczynał się pod szyją Miki, a kończył u jego stóp, w postaci zasychającej, ogromnej kałuży. Oczy elegancika były już zupełnie martwe i wywrócone na drugą stronę. Nie było żadnych wątpliwości – Mika umarł, a wraz z nim umarła ostatnia nadzieja Petra na zakończenie wojny.

Spojrzenie złodzieja powędrowało krok dalej, odrobinę za fotel, gdzie czekał na niego ostatni człowiek, którego spodziewał się tutaj spotkać. W ręce trzymał okrwawiony nóż.

Teraz dopiero wszystko się zesrało.

Grali już dobrze ponad godzinę. Mieli za sobą te początkowe, nieporadne rozdania, w których gracze obwąchują się nawzajem i próbują opracować jakąś taktykę. Slava czuł, że zaczyna mieć na to wszystko pomysł i że chyba najwyższa pora wprowadzić go w życie. Wiedział, że jeżeli ktoś przy tym stole stwarzał dla niego realne zagrożenie, to był to tylko Viktor Rabald, weteran, który miał za sobą lata szulerskich doświadczeń. Grał ze wszystkimi lokalnymi mistrzami, a czasami tasował nawet z samym Profesorem. Dlatego należało się go jak najszybciej pozbyć. Anastazję z kolei uważał tylko za ciekawy dodatek, chociaż też trzeba było na nią uważać, bo ona nie miała w tej grze nic do udowodnienia, a kiedy graczom nie zależy na wyniku, robią rzeczy nieprzewidywalne, głupie, wręcz bezsensowne. Dzieje się tak, bo oni tasują jedynie z kaprysu, chwilowego widzimisie, a kolejny wrzucony do puli tysiąc właściwie nie robi im różnicy. Faugena zaś zostawiał sobie na deser.

– Ogłaszam koniec rozdania, osiem tysięcy w puli – zawyrokował krupier. – Wygrywa pan Rabald.

– No, no – pokiwał z uznaniem Faugen. – Widzę, że nie przesadzali, mówiąc, że to miejsce to prawdziwa kolebka karcianych talentów...

– Talent nie ma tu nic do rzeczy – odpowiedział zdawkowo Viktor. Nie było w tym zdaniu skromności, raczej rutyna. – Miałem po prostu trochę szczęścia.

– Szczęścia? – udał zdziwienie Faugen. – Przy trzech wygranych na pięć rozdań szczęście nie ma chyba za wiele do powiedzenia.

– Cóż, może po prostu do mnie uśmiecha się trochę częściej. Wie pan, jak to mówią: fortuna to kapryśna kochanka.

– Fakt – wciął się w ich rozmowę Slava. – Trochę popieści, trochę poprzytula, a potem, w najmniej spodziewanym momencie, zgnoi jak psa i pójdzie do innego. I jego będzie pieścić.

– Albo do innej – dodała Anastazja. – Ja osobiście nie miałabym nic przeciwko, gdyby na chwilę zajęła się mną.

– Kobiety podobno wolą, żeby interesował się nimi los – odpowiedział beczelnie szuler. – Zawsze to lepiej być obracany przez mężczyznę.

– Raz los, raz fortuna... – Tygrysica zmysłowo wydeła usta. Slava nie mógł nie zauważyć, że jednocześnie nachyliła się w jego stronę, prezentując ten swój bardzo, ale to bardzo głęboki dekolt. – A czasami obydwójce naraz. Jak się różnić, to porządnie.

W karty może jej nie szło, ale jak widać inną grę miała opanowaną do perfekcji.

– Kontynuujemy drugą partię, szóste rozdanie, cztery do końca – odezwał się krupier i rozdał karty. – Tym razem zaczynamy od lewej, pan Slava?

– Idą dwa tysiące. – Trzymane przez krupiera drewniane grabki natychmiast przesunęły umieszczoną w puli stawkę na właściwe miejsce na planszy. – Będę neutralny.

Anastazja nie odrywała wzroku od kart. Kiedy już go podniosła, nie patrzyła na planszę. Jej spojrzenie utkwione było w młodym szulerze.

– Cztery – podjęła bez zająknięcia. – I jestem strażnikiem.

– Dam cztery – rzucił Rabald. – Neutralnie.

Faugen spasował. Odłożył karty na stół i cierpliwie czekał na koniec rozdania.

Teraz, pomyślał Slava. Pora zacząć wprowadzać numery. Chociaż wiedział, że nie mając w rękach talii, będzie musiał zrezygnować z technik iluzyjnych, to wciąż pozostawały mu inne narzędzia. Żadna z gier nie była w końcu tak naprawdę grą w karty, lecz grą w ludzi. A na tym Slava znał się naprawdę dobrze.

Podtrzymał spojrzenie tygrysicy, jednocześnie przypominając sobie każdy, nawet najdrobniejszy z jej gestów. Wiedział, że przed naprawdę poważnym zagranieniem przekrzywia lekko głowę, niczym zaciekawiona kotka, która zastanawia się, czy kolejne pacnięcie pazurów nie zakończy ostatecznie zabawy. Kiedy dostawała lepsze karty, brała lekki wdech i na krótką chwilę zapominała o wypuszczeniu powietrza. Kiedy blefowała, zaczynała flirtować.

Kiedy wiedziała, że przegra, po prostu milczała.

– Osiem – powiedział. – Żyjmy niebezpiecznie.

Weszli w to i dorzucili do puli po osiem tysięcy. Wymienili po kilka kart. Grało się.

Na pełną partię kostuchy składało się kilka pomniejszych rozgrywek, każda z osobną licytacją. Za bazę, do której każdorazowo dobierano kolejne karty, musiała służyć ręka wyciągnięta w pierwszym rozdaniu. Dopiero po dziesięciu rozdaniach ogłaszano koniec partii i w pełni przetasowywano talię. Dlatego mając dobrą pamięć i umiejętnie licząc karty, od pewnego momentu można było wydedukować, co znajduje się na rękach przeciwników. Slava zdecydował, że najwyższy czas to wykorzystać.

– Licytacja po wymianie – ogłosił krupier. – Pan Slava?

– Pas – odpowiedział szuler i tym razem to on odwrócił się do Anastazji. – Jest pani śmiercią.

– Ależ nie – zaprzeczyła. – Przecież mówiłam, że jestem strażnikiem.

Szuler milczał. Uśmiechnął się tylko porozumiewawczo i splótł ręce na piersi.

– Pani? – przypomniał o sobie rozdający.

– Ja... Szesnaście tysięcy – podbiła stawkę. – Jestem strażnikiem.

Przyszła kolej Rabalda. Jak zwykle nie przejawiał żadnych emocji. Był przezroczysty. Przesunął na środek stołu wszystkie swoje sztony.

– Idzie wszystko – powiedział. – Na remis.

Widząc to, tygrysica aż westchnęła.

Udało się, kupili to.

To był bardzo ryzykowny numer, który teraz wymagał tylko wykończenia. Najpierw, chociaż sam dostał główniane rozdanie, Slava podbił stawkę wysoko, co miało uczynić pulę wystarczająco interesującą dla Rabalda. Młody szuler od początku liczył karty i wiedział, że wszystkie najmocniejsze układy strażnika zesły już w poprzednich rozdaniach. Poza tym, biorąc pod uwagę, jak bardzo Anastazja zaczynała się wdzięczyć, wiedział, że blefuje. I był pewien, że wie o tym również Rabald. Zresztą Slava upewnił go o tym, podważając wybór tygrysicy. Viktor zagrał jak typowy stary wyga: wyczekał na odpowiednio wysoką stawkę, a potem postawił wszystko. Nawet jeżeli nie miał w ręce nic, Anastazja nie mogła go sprawdzić, bo z tym strażnikiem tylko blefowała. Było jednak jedno zagranie, którego Rabald nie przewidział lub jeżeli przewidział, to wiedział, że tygrysica nie będzie w stanie na nie wpaść.

– Jest pani śmiercią – odezwał się Slava, ponownie ściągając na siebie

spojrzenie Anastazji. Jej maska kokietki opadła już na dobre, odsłaniając zakłopotanie i zawstydzenie. – Proszę mi zaufać.

Faugen milczał. Krupier czekał. Slava czekał. Rabald czekał, najspokojniejszy z nich wszystkich.

Obserwująca w napięciu widownia zaszumiała.

Anastazja spojrzała w karty, jak gdyby liczyła na to, że może to odmienić wydrukowane na nich znaki.

No, dalej, pomyślał Slava. Zrób to. Skinął głową.

– Ja... – powiedziała wreszcie, powoli odsłaniając karty trzymane na ręce. – Ja jestem śmiercią. Jestem kostuchą.

Tego się Rabald nie spodziewał. Obstawiał zagranie przeciwko strażnikowi, ignorując wszystkie układy obstawiające kostuchę. Jeżeli Slava dobrze przeczytał sytuację na stole, nawet najśłabszy układ po stronie śmierci powinien dać Anastazji wygraną.

Viktor tylko pokiwał głową, po czym powoli odsunął krzesło i wstał. Ucałował dłoń Anastazji, a potem pożegnał się najpierw z Faugenem, później ze Slavą.

– Powodzenia – powiedział i młody szuler miał wrażenie, że mówi do niego. – To była przyjemność.

Wszędzie wokół rozległy się gromkie brawa.

Jednego mniej. Grało się.

Petr wszedł do pokoju. Nie spojrzał już więcej na wciąż ciepłe, pokryte krwią ciało Miki. Za to nie odrywał wzroku od człowieka, który przed chwilą zakończył życie elegancika. Ich spojrzenia się spotkały.

– No proszę – powiedział złodziej poważnie i jakby smutno. – Kogo jak kogo, ale ciebie się tutaj nie spodziewałem.

– Zesrało się – odparł Nino. – Zesrało się bardziej, niż myślisz.

– Przyszedłeś po niego? – Gestem głowy Petr wskazał trupa. – A może po mnie?

Biorąc pod uwagę całą tę sytuację, był dziwnie, porażająco spokojny. Czuł, że to, co musi się stać, i tak się stanie.

– Po ciebie i nie po ciebie. – Wzruszył ramionami Nino. – Ktoś w tym mieście nie życzy sobie, żeby wojna się skończyła. Ten wasz rozejm nie mógł zostać zawarty... Wybrałem mniejsze zło.

– Mniejsze zło... – Petr obrócił te słowa na języku, po czym skrzywił się,

jakby przegryzł coś zgniłego. – Gówno prawda, Nino. Dla kogo biegasz?

Zabójca nie odpowiedział, zamiast tego splótł ręce na piersi. W prawej dłoni wciąż trzymał nóż, który sterczał mu teraz spod ramienia. Czekał. Petr czuł w powietrzu nieuchronność tego, co miało się stać za chwilę. Przez całe swoje życie nazywał rzeczy po imieniu i teraz miał zamiar zrobić dokładnie to samo.

– Zdradziłeś mnie – powiedział, bardziej dla stwierdzenia faktu niż z wyrzutem. – Zdradziłeś mnie, ty skurwysynu.

– Jesteś w tym interesie na tyle długo, żeby wiedzieć, że nie można tego tak do końca nazywać zdradą. – odparł Nino. – Taka robota.

– Prawda – mruknął złodziej. – Robota... Raz stoisz tutaj, a raz gdzie indziej, bez względu na głupie sentymenty.

– Lubię cię, Petr. Ale nie czarujmy się, kochanieńki. Na moim miejscu zrobiłbyś dokładnie tak samo.

Znowu zapadła cisza. Chociaż nigdy by tego nie powiedział głośno, złodziej musiał przyznać zabójcy rację. Miał w swoim życiu tylko jeden cel i żeby go osiągnąć, był gotów na wszystko. Dokładnie tak, jak powiedział Nino – to była taka robota.

– Wszyscy pomyślą, że to ja go zabiłem – powiedział. – Po takiej sztuce o jakimkolwiek rozejmie nikt nawet nie będzie chciał rozmawiać.

– Z grubsza taki był plan – przyznał Nino. – Wojna musi trwać.

– I co? Teraz pewnie jeszcze każesz mi oddać klucz do majątku Rekinów? Po to przyszedłeś?

– To już nie moja sprawa. Ja miałem tylko dopilnować, żebyście się nie dogadali. Zrobiłem swoje i szlus.

Zabójca ruszył w stronę drzwi. Szedł spokojnie, jak gdyby wcale nie zostawiał za sobą ciała i po prostu wybierał się na spacer.

– I szlus... – mruknął pod nosem Petr, kiedy Nino mijał go przy drzwiach. – Z tym wyjątkiem, że mnie się nie robi w wała.

Zaklekotał nóż motylkowy. Złodziej potrafił otworzyć go w locie, w tym samym czasie, w którym ręka już zmierzała do celu w wymierzonym pchnięciu. Ćwiczył ten ruch godzinami i opanował go do perfekcji. Jeszcze nigdy się na nim nie zawiódł.

Nikt nie robi go w wała, nikt.

Celował w bok szyi, w tętnicę. Jedno pchnięcie i szlus.

Nino okręcił się w miejscu, jednocześnie odbijając cios. Petr nie mógł w to uwierzyć. Zabił tak już wielu i żadna z ofiar nie zdążyła choćby drgnąć.

A wszyscy stali do niego przodem. Ten skurwysyn odbił cios, odwracając się!

Nino natychmiast wyprowadził kontrę. Ostrze zgrzytnęło o ostrze. Raz, drugi, trzeci. Niech to jasny chuj, ale on jest szybki!

Petr odskoczył do tyłu, ale zabójca nie dał mu nawet sekundy wytchnienia, od razu ruszył za nim. Złodziej wolną ręką chwycił wysoką, stojącą przy fotelu lampę i cisnął nią w kierunku Nina. Jeszcze zanim spadła na ziemię, ciął w miejsce, w którym zabójca powinien stać po wykonaniu uniku. Przestrzelił. Natychmiast okręcił się i ciął na odlew. Znowu nic. Cudem zdołał odeprzeć kontrę Nina i wtedy aż błysnęło mu w oczach. Zablokował nóż, ale masywna pięść zabójcy zgruchotała mu żebra. Siła uderzenia odrzuciła go na krok w tył.

Noże migotały w powietrzu tak szybko, że ich ostrza rozmazywały się w niewidoczne smugi. Były jak dwie metaliczne ćmy, pogrążone w tańcu śmierci. W końcu jedna z nich musiała wlecieć do ognia. Cios, blok, cios, blok, unik. W końcu trafił. Metaliczna ćma zawirowała i ukąsiła Nina, rozrywając ramię aż do mięsa. Ten odpłacił mu szybkim pchnięciem i trafił w tułów. Na szczęście poszło płytko, przy żebrach. Cios, blok, cios, cios. Zabójca zmusił go do odwrotu, walka przeniosła się do ciasnego korytarza. Tam Petr skrócił dystans. Znowu dostał pięścią. Oddał kolaniem w środek uda.

Nie liczył już ran, swoich ani Nina. Obydwaj czekali na to jedno, decydujące cięcie, które za cholerę nie chciało nadejść.

Nagle Petr dojrzał lukę. Po raz kolejny trafił w rękę, dokładnie tam, gdzie zranił Nina za pierwszym razem. I znowu. I znowu. Zobaczył swoją szansę i postawił wszystko na jedną kartę.

Uderzył.

Nie wiedział, co się stało – poczuł tylko potężne uderzenie, a potem następne i odleciał daleko do tyłu. Do oczu napłynęły mu łzy. Nie miał czasu ich przecierać. Instynktownie odbił cios, a później jeszcze jeden. Nino nie przestawał nacierać. Petr zdał sobie sprawę, że za plecami ma coś twardego. Ściana? Nie, okno.

Z tym ramieniem to była wypucha... Nino go podpuścił, a teraz złodziej przypłaci to życiem. Wiedząc, że nie ma wyboru, zdecydował się na ostateczne wyjście. Odchylił się z całej siły do tyłu i wypadł przez okno.

To, co stało się potem, pamiętał jak przez mgłę. Wiedział, że na zewnątrz czekają jego ludzie. Pozbierali go tak szybko, jak tylko się dało, kilku z nich pobiegło do budynku. Nie zdążył ich powstrzymać. Nino połamie ich niczym zapałki.

– Kamienica – wydyszał ciężko. W ustach czuł krew i ledwo oddychał. –

Ch-chodu. Szybko.

Uciekali.

Gra trwała kolejną godzinę. W każdym innym mieście ludzie zapewne zaczęliby się rozchodzić, zmęczeni oglądaniem naprzemiennego rzucania na stół prostokątnych kartoników. Ale nie w Hausenbergu. Tutaj ani jeden z widzów nie odchodził od stołu.

Po tym, jak Slava pozbył się Rabalda, gra zmierzała już tylko w jednym kierunku. Anastazja przegrywała kolejne rozdania, naprzemiennie oddając swoje pieniądze to Faugenowi, to znowu Slawie. Na sam koniec, zmęczona powolnym dogorywaniem, weszła w grę o wszystko, celowo oddając młodemu szulerowi swoje ostatnie sztony.

– Uznajmy to za małą zaliczkę na rzecz podziękowania – powiedziała mu, uśmiechając się zalotnie. – Kto wie, może kiedyś będzie nam dane rozliczyć ten dług do końca...

Skończyła partię, wstała od stołu i odeszła, odprowadzana brawami widowni.

– A zatem, paniczu – rzekł Faugen – zostaliśmy tylko we dwóch. Jak za nie tak dawnych, dobrych czasów.

Slava dobrze wiedział, czego ten skurwiol próbował, i był na to przygotowany. Przez ostatnie dwie godziny przekonał się, że Faugen nie bez przypadku siedzi przy karcianym stoliku. W swoich zagraniach był porażająco metodyczny, jakby pod powiekami miał całe tabele pełne wyliczeń, oszacowań i procentów. Klucz był prosty – brał udział tylko w tych grach, w których jego szansa na wygraną przekraczała połowę. Slava też umiał dobrze liczyć, ale to, co robił ten człowiek, to była zupełnie inna liga. Miał za to na niego sposób.

– Musisz być zawiedziony, co? – zapytał Faugena, nonszalancko rezygnując z grzecznościowej formy. – Tyle zachodu o nic.

– Przykro mi, paniczu, ale nie rozumiem...

– Rozumiesz, rozumiesz – pogroził mu palcem Slava. – Zgodziłeś się zagrać, bo spodziewałeś się, że będzie tu siedział ktoś zupełnie inny.

Faugena замуrowało.

– Tak, tak... – ciągnął dalej szuler. – Ostrzyłeś sobie zęby, ostrzyłeś, a kiedy przyszło co do czego, to zostałeś przetrzynięty jak tania ulicznica.

Zamilkł na chwilę i uważniej przyjrzał się rywalowi.

– No tak! – zaśmiał się i aż klepnął dłonią w stół. Ułożone równo sztony zagrzechotały złowieszczo. – Ty przecież ciągle myślisz, że on gdzieś tu jest. Wydaje ci się, że to on wysłał ten list, a gra ze mną to tylko sprawdzian. A niech to bladź, jak mawia mój przyjaciel... To jest lepsze, niż się spodziewałem.

Faugen zrozumiał, że wpadł w pułapkę, i zbladł. Dopiero teraz w pełni pojął, jak bardzo dał się wykiwać. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł pot, który nagle pojawił się na jego czole.

– Punkt dla ciebie, paniczku, przyznaję – odparł, siląc się na spokój. Obejrzał się na otaczającą ich ze wszech stron widownię i ściszył głos. – Zaczynam wszystko rozumieć.

– Doprawdy?

– Mhm – potwierdził Faugen. – Jakimś cudem udało ci się zdobyć papiery Gottenhoffa. Co prawda nie jest to oryginalny Projekt Pandemonium, ale jak długo stoi za nim patent, nie ma to wielkiego znaczenia.

Dobry był, naprawdę dobry. Diabelnie szybko skojarzył fakty, a to wymagało nie lada przenikliwości. Nie wiedział jednak, że to także jest część planu Slavy. Jak mawiał Profesor, na każdego klienta trzeba było mieć sposób. Zaraz po tym, jak szuler udał się z Petrem po papiery Provosta i zaczęli wspólnie je przeglądać, pośród dokumentów bankiera znalazł jedyną rzecz, której tak naprawdę pragnął Silas Faugen – plany wynalazku i patent, bliźniaczo podobne do tych, które zostały pogrzebane wraz z Projektem Pandemonium.

– Wiesz dobrze, że jestem człowiekiem interesu... – ciągnął Faugen. – Jedyne pytanie zatem brzmi, co mam ci dać w zamian za dokumenty?

Slava odwrócił się w stronę rozdającego.

– Chciałbym zaproponować alternatywny zakład – powiedział i wy dobył z kieszeni fraka cienki plik drobno zapisanych kartek.

Wokół powoli narastał szmer szeptów. Wyłączeni z ich rozmowy widzowie zaczęli się niecierpliwić.

– Oczywiście – krupier skinął uprzejmie – jeżeli tylko pan Faugen raczy...

– Raczę – przerwał mu natychmiast tamten. – Ile?

– Prototyp, Faugen, prototyp... Wiem, że go masz. Provost sam się nie odwalił...

Finansista nie skomentował, jedynie pokiwał głową. Wstał, wyciągnął schowany pod marynarką prototyp i położył go na środku stołu. Slava dorzucił do niego plik papierów.

Grało się.

– Czy są panowie gotowi? – zapytał rozdający.

Niemal równocześnie skinęli głowami.

– Zatem otwieram dziesiątą i ostatnią partię – powiedział donośnie, a z widowni rozległy się brawa. – W puli zakład alternatywny, zwycięzca bierze wszystko. Przypominam panom, że w rozdaniu bez licytacji karty wymieniamy dwa razy.

Karty zostały rozdane. Na sali ponownie zaległa grobowa cisza. Slava wiedział, że wśród widzów było co najmniej kilkanaście osób, które pamiętają czasy Starego Hausenberga, a co za tym idzie, mogą kojarzyć, czym jest Projekt Pandemonium. Jeżeli wygra, jutro na pewno zapukają do jego drzwi.

Tym razem obyło się bez durnych złośliwości. Stawka była na to zbyt wysoka. Slave jednak ogarniał dziwny spokój. Wiedział, że Faugen jedynie przed nim gra, a tak naprawdę niemal wychodzi z siebie. Ten człowiek był nie tylko chłodnym manipulatorem – był też dumny i zapatrzony we własną wielkość. Inaczej nigdy nie poważyłby się uderzyć w Slave, a później w Provosta. Jemu wydawało się, że przez cały czas ma wszystko pod kontrolą. Że może bezkarnie przyjechać do obcego miasta i rozstawiać po kątach Ludzi Nocy. I teraz przyjdzie mu za to słono zapłacić.

– Obstawiam śmierć – zaczął od razu Slava. – Jestem kostuchą.

– Ech, paniczu, paniczu... – odpowiedział Faugen. – To ja jestem kostuchą.

Młody szuler ponownie spojrzął w karty i szybko przeliczył w głowie wszystkie możliwe wyniki. Jeżeli pozostanie przy swoim, miał jakieś czterdzieści procent szans na wygraną. Jeżeli zdecyduje się zagrać jako strażnik, wtedy przegra bez względu na karty przeciwnika. Biorąc pod uwagę, że Faugen nigdy nie obstawiał gier poniżej pięćdziesięciu procent, Slava wiedział, że jest względem niego w plecy.

– Niedoczekanie – mruknął i skinął do krupiera na znak, że mogą zaczynać pierwszą wymianę. – Jedziemy z tym.

Wymienili. Grało się.

Dostał dobre karty, chociaż nie tak dobre, by być pewnym wygranej. Przyjmując zupełnie beznamiętną minę, odłożył je na stół.

– Dalej obstawiam kostuchę – powiedział, wyraźnie rzucając Faugenowi wyzwanie. Ten się zastanawiał. Slava dobrze wiedział, że liczy. Zawsze liczył. Rzeczywiście, zapewne miał na ręce odrobinę mocniejszy układ, ale po raz kolejny tego wieczoru Slava przypomniał sobie, że kostucha nie jest grą

w to, komu przy rozdawaniu dopisze szczęście. Była za to grą kontrolowanego ryzyka, szarpania emocji i subtelnego oszukiwania rzeczywistości. Profesor zawsze powtarzał, że nieważne, czy przewaga niezbędna do wygranej będzie faktyczna czy tylko emocjonalna. Za to wystarczyło, żeby znaleźć swoje zero. Jak w rulecie.

– Kostucha. Jestem nią, Faugen. I przychodzę po ciebie – powiedział.

Faugen się zawahał.

– Ja też obstawiam śmierć – zdecydował w końcu. – Nie pozwolę ci się zastraszyć, paniczu.

Nadszedł czas drugiej i ostatniej wymiany.

Slava nawet nie popatrzył w karty, które dostał od krupiera. Pięćdziesiąt jeden procent, powtarzał w głowie.

– Kostucha – powiedział, ostatni raz tego wieczoru. Wiedział, że jeżeli Faugen odpowie tak samo, to wygra. Na pewno miał od szulera lepsze karty, ale od pewnego momentu Slavia nie robiło to różnicy. Nagle zrozumiał, co Profesor miał na myśli, mówiąc, że każda partia jest do wygrania, bez względu na to, co ma się na ręce. Pięćdziesiąt jeden procent. – No, panie Faugen? Jak będzie?

Mężczyzna siedział nieruchomy jak posąg i nie zdradzał absolutnie żadnej emocji. Liczył. Wreszcie Silas Faugen pokiwał głową i po raz pierwszy zrobił coś, co było zupełnie wbrew jego filozofii: postąpił wbrew wyliczeniom.

– Zmieniam zdanie – powiedział w końcu. – Jestem strażnikiem.

Grało się.

Przyszła chwila sprawdzenia. Slava odsłonił karty z zupełnie przeciętnym, średnio mocnym układem kostuchy. Kiedy Faugen pokazał swoje, jasne było, że gdyby obstawił tak samo, wygrałby bez najmniejszych problemów. On jednak obstawił strażnika. Slava wygrał, nie mając w kartach prawie nic.

Kiedy Faugen to zobaczył, zbladł. Na chwiejących się nogach wstał od stołu i bez najmniejszego gestu uprzejmości, wycofał się w tłum. Tego jednak nikt nie widział. Widzowie oszaleli.

Dzisiejszej nocy, na ich oczach, martwy od tygodnia szuler bez nazwiska stał się legendą.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Dwa tygodnie temu w tym mieście stało się coś wielkiego, coś, co mogło na zawsze zmienić losy Hausenberga. Slava o tym wiedział, ale kiedy wychodził z premiery Bajarza, był tak zmęczony, że po prostu miał to w dupie. Gdyby wcześniej nie przygotował sobie planu, według którego miał zostać ukradkiem wsadzony do dorożki i odwieziony w bezpieczne miejsce, to pewnie w ogóle wymaszerowałyby frontowymi drzwiami i dał się zabić jak pierwszy lepszy frajer.

Dotarło do niego dopiero później – udało się. Naprawdę mu się, kurwa, udało!

Dokonał czegoś, co na zawsze zapisze go w historii szulerstwa i co wreszcie nada mu tożsamość pomiędzy Rekinami. Coś, o czym będzie się mówić nie tylko w mieście, ale i w całym królestwie. Wiedział, że grubo przesadził i że będą go chcieli za to zabić. Liczył się z tym. Jednak najważniejsze było, że udało mu się to wszystko przygotować bez najmniejszej pomocy Profesora.

Wtedy jeszcze Slava nie wiedział, jak bardzo się wszystko zesrało.

Kiedy bowiem on rozgrywał sobie kolejne partie w czasie bankietu, Petr miał zakończyć trwającą od kilku tygodni wojnę. Według złodzieja miała to być zwykła formalność, bo ani on, ani Rekiny nie chcieli już tego dłużej ciągnąć. I wtedy ten pieprzony Nino wszystko zaprzepaścił. Nino, który pojawił się w najmniej oczekiwanym momencie i okazał się zdrajcą. Ten sam kochany Nino, który tyle razy wyciągał ich z kłopotów, teraz władował Petra w największe możliwe gówno. Po tym, co stało się z Miką, walki na ulicach wróciły ze zdwojoną siłą, o rozejmie nie było już mowy. O ile jednak wcześniej była to ewidentna walka o władzę i terytorium, teraz przekształciła się w polowanie na jednego człowieka.

Dwa tygodnie od zajścia Slava stał w miejscu, do którego spodziewał się wrócić jako zwycięzca. Wiedział, że w końcu ten czas nadejdzie i wkroczy do rezydencji Profesora, żeby mogli zamknąć pewien rozdział i wyjaśnić sobie kilka rzeczy. Po premierze Bajarza był pewien, że pojawi się tu jako równorzędny gracz. Jako najmłodszy Rekin w historii Hausenberga, ten, który oszukał śmierć, a potem dokonał niemożliwego.

W nawet najczarniejszej wizji nie spodziewał się, że po tym wszystkim przyjdzie do rezydencji jako przegrany i będzie prosił o pomoc.

Spotkali się w drugim z ulubionych miejsc Profesora. Zaraz po bibliotece stary szuler najbardziej kochał swoją werandę, z której rozciągał się widok na jego imponujący ogród. Co rano siadał tam przy herbacie i czytał książkę albo gazetę. W ogrodzie przyjmował też ulubionych gości, lecz był to zaszczyt, który spotykał naprawdę nielicznych. I nigdy, ale to przenigdy nie rozmawiał tam o interesach. Dlatego też Slava zdziwił się podwójnie, kiedy Jules poprowadził go wprost do ogrodu. Wskazał mu miejsce na jednym z dwóch wiklinowych foteli, zaraz obok tego, który zwyczajowo zajmował gospodarz. Fotele oddzielał misternie wykonany, również wiklinowy stolik ze szklanym blatem. Na stoliku zaś czekały dwie porcelanowe filiżanki i niewielki dzbaneczek.

– Zaraz przyjdzie – powiedział majordomus i zniknął gdzieś w pokojach.

Młody szuler usiadł i czekał.

– Napijesz się może herbaty? – przywitał go po chwili spokojny i uśmiechnięty Profesor. – Udało mi się sprowadzić naprawdę wspaniały gatunek.

Slava nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Spodziewał się różnych reakcji, lecz na pewno nie było pośród nich otwartej zyczliwości.

– Dziękuję, przychodzę w interesach.

– Domyślam się – odpowiedział mentor – ale to chyba nie sprawia, że nie możesz napić się ze mną herbaty?

Slava pokiwał głową. Profesor sięgnął do stolika i nalał im po filiżance pomarańczowego naparu.

– Wiem, że nie słodzisz. Powinieneś to jednak przemyśleć. Jedna łyżeczka nie psuje smaku, ale wyciąga wszystko, co w herbacie najlepsze.

Slava upił łyk. Milczał.

– No dobrze. – Odkładana na spodek filiżanka stuknęła cicho. – Z czym do mnie przychodzisz?

– Chciałbym z tobą porozumować.

Profesor uniósł brwi. Nie odzywał się, słuchał.

– Długo się nad tym zastanawiałem – ciągnął Slava – i nagle bardzo wiele rzeczy stało się dla mnie jasnych. Faugen miał rację. To ty byłeś jednym z tych, którzy pogrzebali Projekt Pandemonium. Ukryłeś go tak, by nikt na świecie się o nim nie dowiedział. Nie działałeś jednak sam i dlatego wyciekł prototyp. A teraz, dwadzieścia lat później, odnalazł go Faugen.

Stary szuler sięgnął po filiżankę. Zaciągnął się aromatem i upił łyk. Słuchał dalej.

– Jakimś cudem dowiedział się, że wynalazek pochodzi stąd, z Hausenberga, i co bardziej dla mnie zaskakujące, powiązał go z tobą. Przyjechał z jakąś propozycją, mniejsza o to z jaką. Odmówiłeś mu. A wtedy on zaczął szaleć. Odwalił starego Wirkę. Później zajął się mną, a na końcu odwalił Provosta. Wszystko po to, by zdobyć Projekt Pandemonium...

Slava wziął wdech i się zawahał. No to szlus.

– Mój przyjaciel ma kłopoty, poważne kłopoty. Na razie to jest tylko uliczna biegania i sprawa pewnie w końcu by przycichła, ale... Dzisiejszej nocy ma się odbyć dintojra. Jeżeli wtedy miasto wyda na niego wyrok, nie będzie od tego odwrotu. Dintojra jest święta.

– Jest – odparł Profesor. – I co w związku z tym?

– Dobrze wiem, że jeżeli tylko będziesz chciał, możesz wpłynąć na Trybunał. Oni cię posłuchają. Proszę. Uratuj go.

Profesor wypił ostatni łyk herbaty. Stuknęło, kiedy pusta filiżanka trafiła na spodek.

– Porozumować... – mruknął stary szuler. – Skoro tak dobrze ci to wychodzi, to zapewne znasz też moją cenę. Ona nie podlega negocjacji.

Slava nie musiał pytać. Z kieszeni marynarki wydobyl plany i patent reinkarnacji Projektu Pandemonium. Położył je na stoliku, zaraz obok chłodnego już dzbanka. Sięgnął do drugiej kieszeni wyjął z niej prototyp. Dołożył go do planów.

Profesor skinął z aprobatą.

– Dziękuję – powiedział spokojnie Slava i wstał, odruchowo zapinając marynarkę. – I za herbatę też, była pyszna.

Kiedy wychodził, stary szuler nie ruszał się z miejsca. Wygrał, jak zwykle. I jak zwykle, żeby tego dokonać nie musiał nawet siadać do gry.

Po wyjściu Slavy na werandzie niemal natychmiast pojawił się Jules. Wymienił dzbanek na nowy, parujący świeżo zaparzoną herbatą. Sprzątnął też filiżankę Slavy, na jej miejscu ustawiając czystą, czekającą na nowego gościa. Gość nadszedł z wnętrza domu, konkretnie z piętra, gdzie bardzo dobrze było słyszeć całą poprzednią rozmowę.

– To było przepięknie okrutne – powiedziała Caterina Murino, dołączając do Profesora i spoglądając na ogród – zwłaszcza że przecież to ty wynająłeś

tego zabójcę, Perreza. To przez ciebie przyjaciel chłopaka ma kłopoty.

Stary szuler nie odpowiedział. Zamiast tego zajął się nalewaniem herbaty. Popatrzył na Caterinę pytająco.

– Dziękuję, nie słodzę. – Pokręciła głową. – I oszczędź mi tych bredni o cukrze. Możesz zamiast tego mi powiedzieć, co jeszcze zrobiłeś.

– Proszę? – zdziwił się Profesor.

– Na bogów, ile lat cię znam? Przecież to jasne, że ten cały Nino to tylko wisienka na torcie. Opowiadaj, jak to było? Wiedziałeś o wojnie?

– Oczywiście – odparł spokojnie szuler. – Jak myślisz, do kogo Provost przyszedł, gdy tylko Petr zaproponował mu układ? Zachował przy tym wszelkie zasady ostrożności i nie było szans, by ktokolwiek się o tym dowiedział... Gdybym na to nie zezwolił, nie byłoby tutaj żadnej wojny.

– Fą fą forąfą... – przedrzeźniła go, lecz jednocześnie uśmiechnęła się ciepło. – No już, nie bocz się. Przecież lubię, jak tak perorujesz. A Faugen?

– Faugen przyjechał tutaj z prototypem... Jak go zdobył, nie mam pojęcia. Będę musiał w wolnej chwili zapytać o to Roberta. Kiedy odmówiłem mu spotkania i zaczął zabijać ludzi, kazałem go śledzić. Tak trafiłem na tę sprawę z Gottenhoffem i jego patentami. Potem wystarczyło tylko wysłać wiadomość do Nikodemusa. Wiedziałem, że mnie posłucha i wygra dla mnie aukcję.

– Nie przewidziałeś tylko, że jego też zabijają. Swoją drogą, biedny Niko... Lubiałam go za to, jak tyle razy nieudolnie próbował zaciągnąć mnie do łóżka.

Tym razem to Profesor się uśmiechnął. Rzadko to robił w tak bardzo szczery sposób.

– Dobre czasy – podsumował. – Wracając do sprawy... Tutaj Faugen rzeczywiście mnie zaskoczył, ale na szczęście byliśmy na to przygotowani. Kiedyś wspólnie z Nikodemusem ustaliliśmy, że po każdym większym ruchu natychmiast będzie pozbywał się zdobyczy. Prosto z domu aukcyjnego poszedł do naszego wspianego bankiera i zostawił mu plany.

– Które potem wyciągnął twój chłopak. A wiedziałeś, że to zrobi, bo Perrez od samego początku pracował dla ciebie. Niech mnie szlag, to jest naprawdę dobra sztuka. Na mnie już czas. Nie wstawaj, znam drogę.

Caterina podeszła do starego szulera i pocałowała go w policzek. Już była w progu, kiedy zatrzymał ją jego głos.

– Catia, dziękuję.

– Nie dziękuj – odparła. – W równej mierze co dla ciebie, zrobiłam to dla niego. To jest jego syn. I chociaż nigdy tego przed sobą nie przyznasz, być może właśnie podpisałeś na siebie wyrok.

STARY HAUSENBERG, DWIE GODZINY PRZED ROZPOCZĘCIEM NOCY ŁOWÓW

Słońce na dobre już zaszło i noc przejęła niebo we władanie, kiedy z niewielkiego mieszkania gdzieś pośrodku Gislaku wyszło dwóch mężczyzn. Ten niższy, drobniejszy, trzymał na rękach niespełna roczne dziecko. Maluch wtulał się w niego, najwyraźniej nie wiedząc, że właśnie opuszcza dom rodzinny, w którym leżą teraz ciała jego matki i ojca.

– Poradzisz sobie? – zapytał ten wyższy, Robert Baudleir.

– Nie mam wyboru – odparł niższy, którego przez lata nazywać będą Profesorem. – Jestem mu to winien.

– Nie pytam o dziecko. Będą próbowali cię zabić.

Profesor pokręcił głową, podtrzymując wiercącego się uparcie berbecia.

– Nie martw się o to – odpowiedział spokojnie. – Wszystko jest załatwione. A ty? Wiesz już, gdzie pojedziesz?

– Na wschód – oznajmił Baudleir. – Pojawiła się możliwość... Umarł tam ostatnio wielki mistrz. Teraz klany biją się o schedę po nim. Myślę, że może być tam teraz miejsce dla mnie. – Wyprostował rękę i położył dłoń na ramieniu Profesora. – Dbaj o siebie, przyjacielu – powiedział. – Wiedz, że jeżeli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebował, przybędę.

Profesor bez słowa pokiwał głową, wolną ręką odwzajemnił gest. Stali przez chwilę w milczeniu, po czym jak na komendę odwrócili się i odeszli, każdy w swoją stronę.

OD AUTORA

Scena szkolenia młodego szulera jest nawiązaniem do filmu, który piętnaście lat temu zapoczątkował moje zainteresowanie sztuką szulerstwa. Chodzi oczywiście o wspaiałego Wielkiego Szu.

Poza tym w tekście „ukryłem” kilka pomniejszych odwołań, które uważny czytelnik na pewno szybko przypisze do klasyki kina gangsterskiego bądź też historii opowiadających o oszustach.

Wszyscy patrzyli, nikt nie widział

Copyright © by Tomasz Marchewka 2017

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Aneta Wieczorek

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Robert Adler

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.











Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPBU: 978-83-7924-820-9

ISBN MOBI: 978-83-7924-819-3

-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](#)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)
-  [Eheu, fugaces labuntur anni](#)

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Stary Hausenberg, czasy panowania Rekinów

Część I. Rozdanie

Hausenberg dziś, dwadzieścia lat później

Hausenberg, trzy lata wcześniej

Hausenberg dziś

Rezydencja Profesora, osiem lat temu

Hausenberg dziś

Stary Hausenberg, popołudnie

Część II. Licytacja

Hausenberg dziś, tydzień po numerze z Divardem

Kilka lat wcześniej

Hausenberg dziś, tydzień po numerze z Divardem

Rezydencja Profesora, sześć lat temu

Hausenberg dziś

Kilka godzin wcześniej

Stary Hausenberg, późny wieczór

Część III. Sprawdzenie

Hausenberg współcześnie, dwa tygodnie po pożarze

Rezydencja Profesora, osiem lat temu

Hausenberg dziś

Tydzień później, dzień premiery Bajarza

Dwa tygodnie później

Stary Hausenberg, dwie godziny przed rozpoczęciem Nocy Łowów

Od autora

Strona redakcyjna



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:



WydawnictwoSQN



SQNPublishing



wydawnictwosqn



wydawnictwosqn



WydawnictwoSQN

www.wsqn.pl



ANETA
JADOWSKA



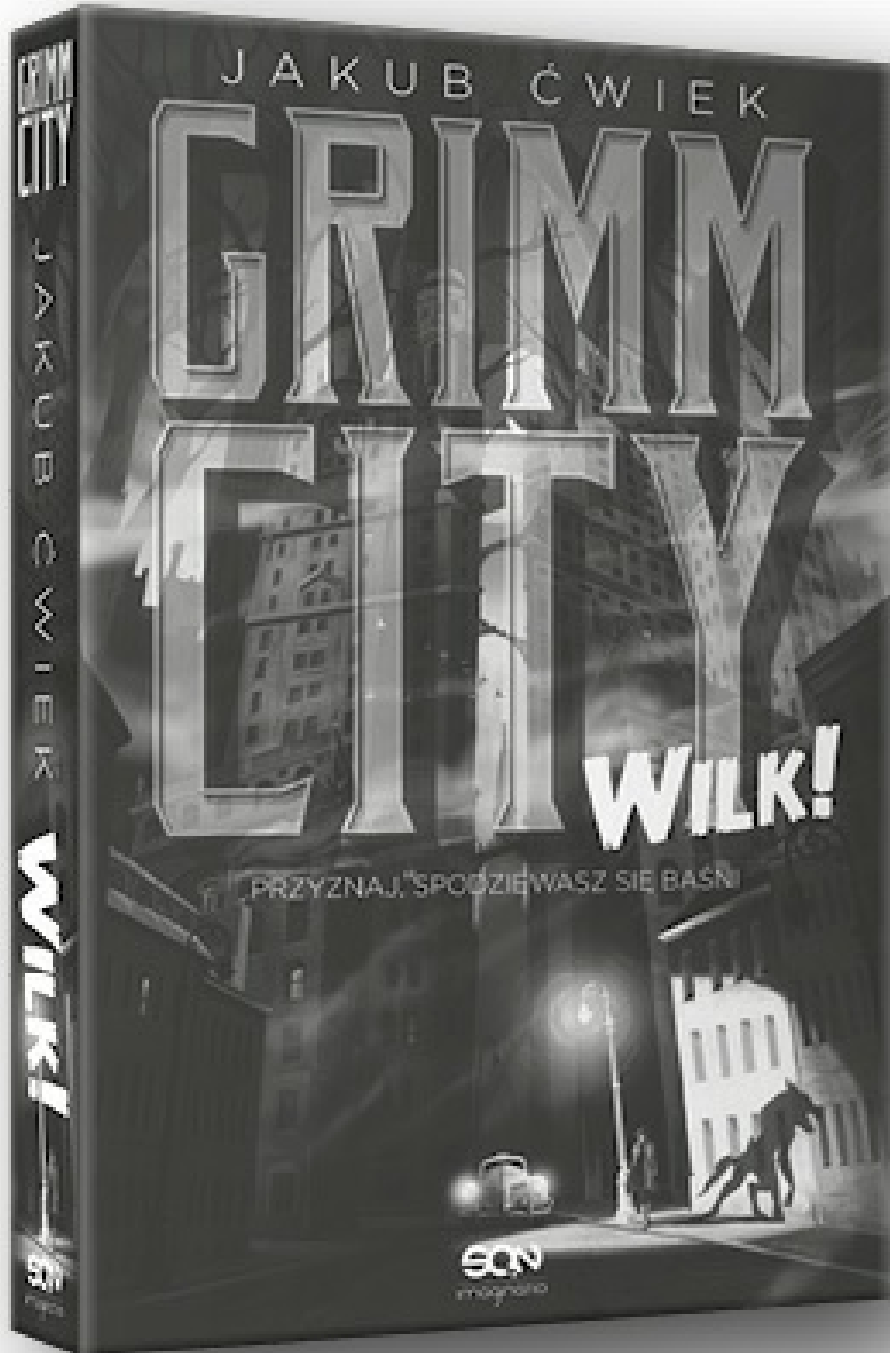
TOM I SERII NIKTY

DZIEWCZYNA
Z DZIELNICY CUDÓW

SCN
magnum

JADOWSKA

SCN
magnum



JAKUB ĆWIEK

GRIMM CITY WILK!

PRYZNAJ, SPODZIEWASZ SIĘ BAŚNI

GRIMM CITY
JAKUB ĆWIEK
WILK!
SCN

SCN
magnum

POD SZTANDARĘ CZERWONEGO KWIATU

KRÓLOWIE DARY



LAUREAT HUGO, NEBULA I WORLD FANTASY AWARDS

KEN LIU

SON
imagination

KEN
LIU

KRÓLOWIE
DARY



PYŁ ZIEMI

RAFAŁ CICHOWSKI

89

RAFAŁ CICHOWSKI

PYŁ ZIEMI



CZAS WYRÓWNUJE WSZYSTKO DO ZERA

SON
wydawnictwo

ANNA LANGE

ANNA LANGE

CLOVIS LAFAY
MAGICZNE AKTA
SCOTLAND YARDU



CLOVIS LAFAY
MAGICZNE AKTA
SCOTLAND YARDU



SON
magical

SON
magical

POD SZTANDARTEM CZERWIEGO KWIATU

ŚCIANA BURZ



LAUREAT HUGO, NEBULA I WORLD FANTASY AWARDS

KEN LIU

SON
magazines

KEN
LIU
ŚCIANA
BURZ



ANETA
JADOWSKA

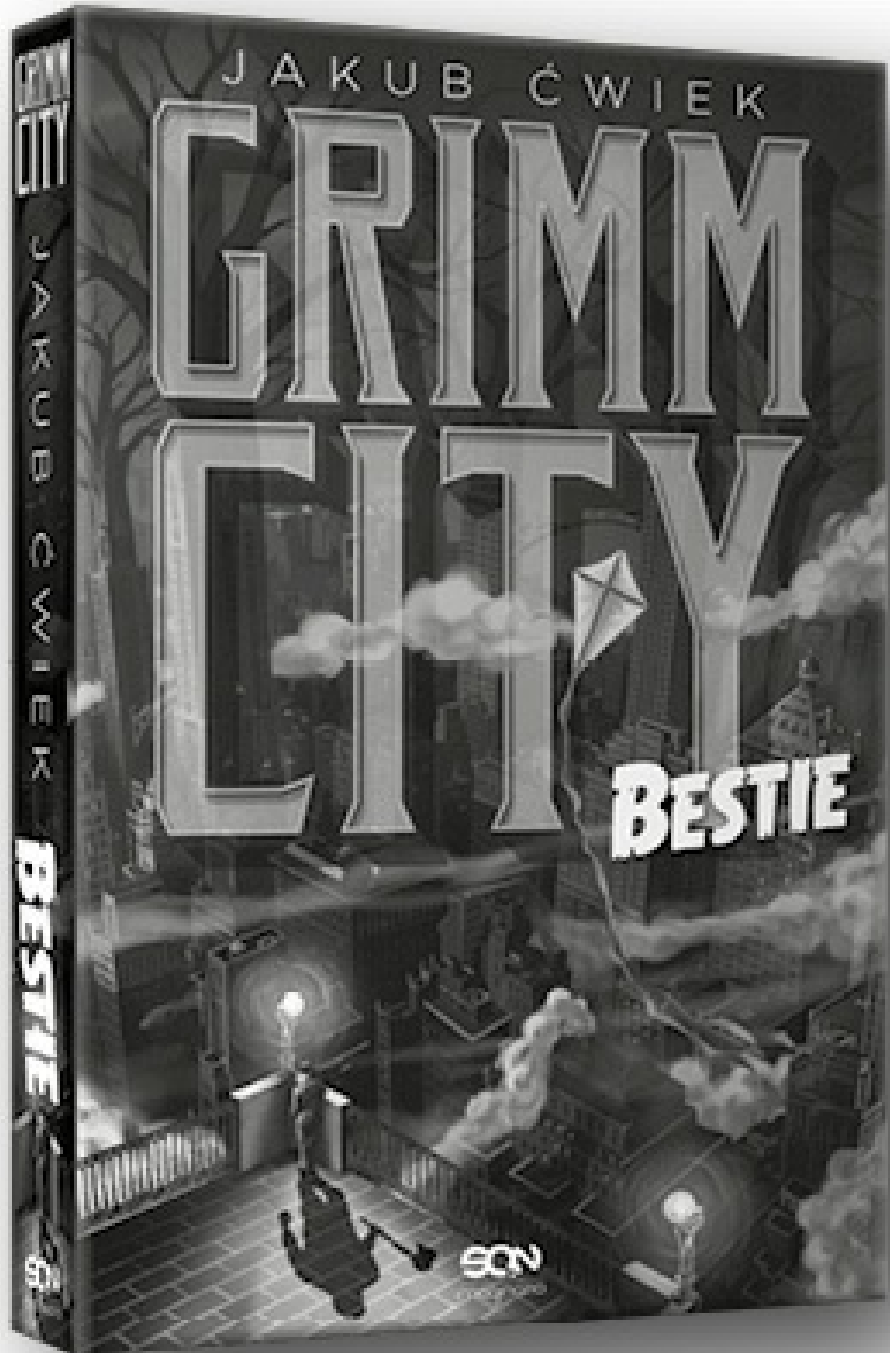


TOM 3 SERII NIKITY
AKUSZER
BOGÓW

SON
imaginacja



AKUSZER
BOGÓW
JADOWSKA
SON



JAKUB ĆWIEK

GRIMM CITY

BESTIE

GRIMM CITY

JAKUB ĆWIEK

BESTIE

SON

SON



t o m a s z

MARCHEWKA

Niezwykłe,
oryginalne,
świeże.

JAROSŁAW
GRZĘDOWICZ

— MIASTO SZULERÓW —

WSZYSCY PATRZYLI NIKT NIE WIDZIAŁ

SON
imaginatio